ROK XIX.
Ogólnego zbioru Tom LXXVI.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

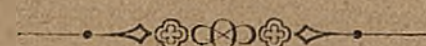
TOM IV. — ZESZYT III.

Grudzień.

WARSZAWA.
1894.

Druk Jana Cotty,
29. Senatorska 29.

SPIS RZECZY.



Zeszyt zawiera arkuszy 14.

Druk ukończono d. 1 grudnia 1894 r.

Telegram p. ministra spraw wewnętrznych do J. E. Generał-Gubernatora warszawskiego z dnia 20-go października (1 listopada):

Najjaśniejszy Pan Cesarz Aleksander III dziś o godzinie 2 m. 15 po południu w spokoju spoczął w Bogu. Proszę uprzejmie zarządzić natychmiastowe przygotowanie list do przysięgi, w formie, ustanowionéj w 5 dodatku do artykułu 34 ustaw zasadniczych, oraz samo wykonanie przysięgi na wierność poddańczą wstępującemu na Tron Najjaśniejszemu Cesarzowi Mikołajowi Aleksandrowiczowi, tudzież Jego Następcy, Cesarzewiczowi i Wielkiemu Księciu Jerzemu Aleksandrowiczowi.

NAJWYŻSZY MANIFEST.

Z BOŻÉJ ŁASKI

MY, MIKOŁAJ II,

Cesarz i Samowładca Wszechrossyjski, Król Polski, Wielki Książę Finlandzki etc. etc. etc.

wiadomo czynimy wszystkim Naszym wiernym poddanym — Bogu Wszechmocnemu podobało się w niezbadanych wyrokach swoich przerwać drogocenne życie gorąco kochanego Rodzica Naszego, Jego Cesarskiéj Mości Najjaśniejszego Pana Aleksandra Aleksandrowicza. Ciężka choroba nie ustąpiła ani przed leczeniem, ani przed dobroczynnym klimatem Krymu i d. 20 października Jego Cesarska Mość zakończył życie w Liwadyi, otoczony Swoją Najdostojniejszą Rodziną na rękach Jéj Cesarskiéj Mości, Najjaśniejszéj Pani i Naszych.

Boleści Naszéj niepodobna wyrazić słowami, ale zrozumie ją każde serce russkie i wierzymy, iż nie będzie miejsca w rozległém Naszém Państwie, gdzieby się nie lały łzy gorące po Monarsze, który przedwcześnie przeniósł się do wieczności i opuścił ziemię ojczystą,

ukochaną przez Niego całą siłą Jego ruskiéj duszy i dla szczęścia któréj poświęcał wszystkie Swoje myśli, nie szczędząc ani zdrowia, ani życia. I nie w Rossyi tylko, ale daleko po za jéj granicami nigdy nie przestanie być czczoną pamięć Monarchy, uosabiającego niewzruszoną prawdę i pokój, ani razu nie zakłócony przez całe Jego panowanie.

Lecz niechaj będzie świętą wola Najwyższego i niechaj krzepi Nas niezachwiana wiara w mądrość Opatrzności Boskiéj; niech pocieszy Nas świadomość, że boleść Nasza jest boleścią całego ukochanego ludu Naszego i niech lud ten nie zapomina, że siła i moc świętéj Rossyi leży w jéj jedności z Nami i bezgranicznéj wierności dla Nas. My zaś w téj bolesnéj lecz uroczystéj godzinie wstąpienia Naszego na Praojcowski Tron Cesarstwa Rossyjskiego i nierozdzielnych z Nim Królestwa Polskiego i Wielkiego Księstwa Finlandzkiego, pomni na Spuściznę zgasłego Rodzica Naszego i przejęci nią, czynimy święty ślub przed obliczem Najwyższego, że zawsze jedynym celem Naszym będzie rozwój pokojowy, potęga i chwała ukochanéj Rossyi, tudzież zapewnienie szczęścia wszystkim Naszym wiernym poddanym. Niechaj wspomaga Nas Bóg Wszechmogący, któremu podobało się powołać Nas do téj wielkiéj służby.

Zanosząc gorące modły do Tronu Wszechmocnego o spokój czystéj duszy Niezapomnianego Rodzica Naszego, Rozkazujemy wszystkim Naszym poddanym złożyć przysięgę na wierność Nam i Następcy Naszemu Jego Cesarskiéj Wysokości Wielkiemu Księciu Jerzemu Aleksandrowiczowi, Który ma być i nosić tytuł Następcy Tronu Cesarzewicza, dopóki Bogu nie podoba się pobłogosławić urodzeniem Syna przyszłego związku Naszego z Księżniczką Alicyą Hessko-Darmsztadzką.

Dan w Liwadyi, roku od narodzenia Chrystusa tysiąc ośmset dziewięćdziesiątego czwartego, Panowania zaś Naszego pierwszego, dnia dwudziestego października.

Na oryginale Własną Jego Cesarskiéj Mości Ręką podpisano:

MIKOŁAJ.

SYBARYTKA.

Wielka, o pełnych ramionach i piersiach, o alabastrowéj szyi, o dużéj twarzy i niskiém, szerokiém czole, o lśniących przyćmionym blaskiem, pół przymrużonych oczach, wąskich, dużym jedwabistym łukiem zarysowanych brwiach i długich, czarnych rzęsach, o bladéj, limfatycznéj cerze i wydętéj mocno dolnéj wardze, całą swą postacią zdradzała sybarytyzm zmysłowy. Wchodząc do salonu, przechylała się zlekka: wzrok jéj wyrażał jakby omdlenie i odurzenie; zdawało się, że, oparłszy głowę na ramieniu pierwszego spotkanego mężczyzny, z przymkniętemi powiekami pójdzie za nim, opieszale, posłuszna jego woli. W każdym swym ruchu była huryską, leniwie wyczekującą sułtana haremu. Nawet głos jéj, jakkolwiek metaliczny, silny, miał przeciągłe dźwięki ociężałéj gnuśności, jaką roztaczała dokoła siebie.

Za lat dziecinnych była leniwą w nauce, otrząsała się na widok książki, czytała tylko pilnie bajki Szeherezady, które wpadły jéj w ręce, gdy zaczęła rok dwunasty. Odtąd żyła wyobraźnią. Dorósłszy, miewała chwile, w których niekiedy gorąco zabiérała się do pracy: jednego miesiąca malowała pilnie, drugiego rzeźbiła, trzeciego śpiéwała, grała lub haftowała namiętnie. Najczęściéj jednak po kilku tygodniach prób gorączkowych rzucała zajęcie, wpadając w jednostajny tryb życia wiejskiego o drobnych, codziennych potrzebach, nie urozmaiconych niczém, nawet czczą paplaniną sąsiadów i sąsiadek okolicznych, z którymi nie żyli chorzy, niedołężni jéj rodzice.

Nuda męczyła ją strasznie, nie mogąc znaglić jéj do zajęcia się czémkolwiek. Leżąc na kanapie, w panieńskim swym pokoju, z oczyma wlepionemi w sufit, z odsłoniętą alabastrową szyją i z głową, opartą o miękkie, białe dłonie, wyczekiwała rycerza z bajki. Musiał przybyć: była tego pewna. Ziéwając, opieszała, gnuśna, leniwa, bezmyślna, goniła powolnym lotem fantazyi jego obraz.

Nudziła się szalenie, jak może jeszcze nigdy w życiu, kiedy Zenon w krótkich, suchych wyrazach wyznał jéj miłość swoją. Pisał: „Kocham panią bardzo; zdaje mi się, że więcéj kochać trudno. Chciałbym panią uszczęśliwić: sądzę, iż cel ten osiągnę, abyś tylko, powierzając mi los swój, zechciała uwierzyć w dobre moje, szczere intencye."

Otworzywszy list z niepokojem i gorączkową ciekawością, rzuciła go na ziemię niedbale natychmiast po przeczytaniu. Byłaby go zmięła i podeptała, gdyby zwykłe lenistwo nie powstrzymało jéj tym razem, jak zawsze, od wybuchów gniéwu i oburzenia.

— To dobre, to mi się podoba — powtarzała półgłosem przez zaciśnięte zęby, leżąc na kanapie i przyglądając się różowym, śpiczasto obciętym swym paznogciom.

Od tak dawna wyczekiwała jakiegoś listu miłosnego. Wyobrażała sobie, że ten, co kocha, słowami poety wyzna jéj miłość swoją, a tu Zenon tak prosto, w kilku zaledwie suchych, zwięzłych frazesach, na wstrętnym groszowym papiérze, w dodatku, jak żebraczce, spragnionéj jałmużny, rzucił to, co świat nazywał oświadczeniem się, a co dla niéj miało być pierwszym akordem hymnu miłosnego, wibrującego w jéj piersi słodkiém upojeniem.

— To dobre, to mi się podoba — powtarzała, ziéwając i przeciągając się leniwie.

Zenon był manekinem bez czucia. Oburzała się na niego. Mówiła sobie, że znać go nie chce, że z taką, jak on, lalką bezmyślną nigdy nie mogłaby być szczęśliwą.

— Czemu nie mam tego, czego pragnę? — powtarzała w duszy, wyciągając ręce do jednego z powieściowych kochanków, których postaci majaczyły pod powiekami jéj ustawicznie.

Czuła się nieszczęśliwą, skrzywdzoną: nikt jéj nie rozumiał. Otaczający ją ludzie to były maryonetki, a Zenon stał pierwszy w ich rzędzie. Czyż mogła przyjąć tego manekina bezdusznego, czy mogła zaufać mu, związać z jego losem całe swoje przyszłe życie?

Nie, stokroć nie.

Leżąc na kanapie, rozmyślała nad odpowiedzią, jaką miała dać Zenonowi.

Naraz zerwała się szybko, podniosła z ziemi rzucony przed chwilą list. Drżącą z gniewu i oburzenia ręką napisała na odwrotnéj stronie:

„Jeżeli, doszedłszy do wieku dojrzałego, nie nauczyłeś się pan wypowiadać szczerzéj, goręcéj uczuć swoich, to zajrzyj do pierwszych lepszych wypisów, a znajdziesz w nich wskazówki. Czekam poprawnego wydania oświadczyn i wówczas dopiéro dam, lub nie, słowo swoje...”

Wsunęła list w kopertę. Już miała położyć na niéj adres Zenona i posłać na pocztę, gdy w tém przyszła rozwaga.

Zenon miał śliczne blond wąsiki, w których kochało się kilka panien z sąsiedztwa; miał śliczne szafirowe oczy, zimne wprawdzie, jak bryły lodu, nie błyszczące nigdy, nie ożywiające się nawet wtedy, gdy dokoła niego wrzało życie, ale zachwycano się niemi jednogłośnie; miał bujną, jasno blond czupryne, gładko przyczesaną wprawdzie i lekko fiksatuarowaną, lecz można ją było każdéj chwili rozrzucić nad czołem niedbale w artystyczném *rococo*. Miał spokojny, cichy profil, nic nie mówiący, nie ożywiający się nigdy, lecz klasyczny, jak z marmuru wykuty; miał usta łagodne, różowe i lśniące perłowe zęby; miał wzrost wysoki i zręczną figurę; był piękny, bardzo piękny, jak milczący posąg Apolla. Gdyby ożył, możnaby go było pokochać...

Wolno, w zamyśleniu Ludka podarła swój i jego bilecik. Czuła instynktownie, iż nie można było zrażać do siebie człowieka, który nie wié wprawdzie, co to jest miłość ognista, który kręci się, jakby pokąsany przez rój bąków, gdy przyjdzie mówić o niéj, który ma tę brzydką wadę, że jest przemysłowcem, który jednak zwraca ku sobie westchnienia wszystkich panien okolicznych...

Na wsi nudy tak straszne: prócz Zenona, nie przyjeżdża z Warszawy nikt, nikt zgoła; możnaby ziewać się na śmierć każdéj niedzieli i święta.

Matka, ciotka i starsza jéj siostra chwaliły Zenona bardzo; ta ostatnia mówiła nieraz:

— Wyszłabym za niego jednéj chwili, gdyby tylko mnie zechciał...

W przyszłości, nawet najodleglejszéj, nie było nadziei ani na jednego konkurenta: cała młodzież okoliczna pożeniła się z pannami z Warszawy w ciągu ostatniego karnawału. Co tu robić? Co robić?

Gryząc wargi i poruszając się na krześle niecierpliwie, myślała długo, uparcie; wreszcie, uderzywszy dłonią w stół, zawołała:

— Już wiem, już wiem!

I wyjąwszy z biurka wonną kartkę chińskiego papiéru, napisała:

„Przyjedżaj pan jaknajprędzéj; pragnę z nim pomówić...”

Jeżeli wykrztusi z niego przyzwoite wyznanie miłości, w takim razie przyjmie go, jeżeli nie...

Otrząsnęła się na myśl dalszego życia na wsi. Nie, nie, wolała najbardziéj ponurego, milczącego męża, aniżeli nieznośne, jednostajne, piekielne panieńskie nudy swoje...

To téż kiedy Zenon przyjechał w parę dni póżniéj, przyjęła go z najuprzejmiejszym uśmiechem; nie pozwoliła wyjść ani matce, ani ciotce, ani starszéj siostrze do niego; w swoim maleńkim, jak bombonierka, różowym adamaszkiem obitym pokoiku, postanowiła rozmówić się z nim.

— To go może ośmieli — myślała, szykując w lustrze zalotne spojrzenia i kokieteryjne minki.

Zenon, poważny, jak zwykle, nie powiedział nic nad to, co napisał w liście.

— Kocham panią bardzo; zdaje się, że więcéj kochać trudno; celem moim będzie uszczęśliwienie pani, jeżeli powierzysz mi los swój.

Brzmiało to sucho, sztywnie, jak urzędowo złożona deklaracya na kupno towaru.

Ani jeden muskuł nie drgnął w twarzy jego, gdy wymawiał te słowa: oczy zaszły wprawdzie mgłą wilgotną, wargi poruszyły się zlekka, lecz nadało mu to wyraz człowieka uśpionego, któremu senne majaki podszepnęły wyznanie.

Ludka szarpnęła się kilka razy niespokojnie na niskiéj, różowéj kanapce, na któréj usiadła obok Zenona, obrócona do niego profilem, tak, aby mogła wydać się mu jaknajlepiéj. Twarz miała cokolwiek za szeroką w obwodzie dolnym, profil jéj natomiast był bez zarzutu: mówiono o tém głośno, a ona, studyując siebie w lustrze, wiedziała o tém oddawna.

— Pani nie odpowiada? — spytał Zenon tym samym sztywnym, suchym głosem kupca, targującego towar.

Oczy jego spokojnie, beznamiętnie zawisły na miękkim profilu młodéj dziewczyny; zdawało się, iż czekać mógł do wieczora, nie poruszywszy się z miejsca.

— To mają być oświadczyny miłosne! — szepnęła w duszy Ludka—i gryząc wargi do krwi, zerwała się z miejsca, pobiegła do okna, aby ukryć nurtujące ją zniecierpliwienie i rozgoryczenie.

Zenon śledził ją spokojnym biernym wzrokiem, z którego nic absolutnie wyczytać nie było można.

Czas jakiś stała przy oknie, porządkując kwiaty. Ręce jéj drżały; całą istotą swoją zdradzała silne wewnętrzne poruszenie, które mówiło Zenonowi:

— Ona cię kocha!

Była chwila, kiedy patrząc na nią, uśmiechnął się łagodnie; wyraz słodkiego upojenia przemknął mu po twarzy, natychmiast jednak zniknął, pozostawiając dawną maskę bierności i zobojętnienia.

Uszczknąwszy gałązkę chryzantemów, którą przypięła do stanika, Ludka wróciła na miejsce. Drżąc cała, usiadła obok Zenona. Chciała powiedzieć mu coś niegrzecznego: nudził ją i niecierpliwił tém swojém wykrztuszoném wyznaniem.

Od tak dawna marzyła o chwili podobnéj. Zdawało się jéj, że czar zachwytu poniesie ją—wówczas w świat, pełen upojenia, że dozna wrażeń i uczuć bohatérek, o których naczytała się tyle we wschodnich romansach; tymczasem — nic z tego; rzeczywistość mroziła ją lodem obojętności, depcąc młodzieńcze jéj mrzonki.

Miała na ustach słowa: „Losu swego nie powierzam manekinom, któreby dopiéro należało uczyć czuć i mówić”—wstrzymała się jednak.

Przed wyobraźnią jéj przebiegły sylwetki wrzącego warszawskiego życia.

— Bądźmy narzeczonymi—rzekła, spuściwszy oczy i obrywając listek po listku z kwiatów, przypiętych do stanika.

— Zobaczymy, czy nam dobrze będzie razem? — dodała szybko.

Zenon wyciągnął rękę do jéj ręki i złożył długi pocałunek na białych miękkich paluszkach.

— Nie umiem wypowiedzieć tego, co czuję—rzekł drżącym lekko głosem.—Za lat młodych zabijano we mnie serce, kazano się zawsze i wszędzie rządzić rozumem. Dziś, jakkolwiek kieruję sam sobą, nie jestem w stanie poddawać się, jak inni, wrażeniom chwili. Ilekroć serce zabije żywiéj, rozsądek napomina je i karci surowo. Przywykłem do maski obojętności tak dalece, iż nie byłbym sobą, gdybym ją chciał zrzucić. Niech to pani nie przeraża jednak: ja... ja umiem kochać.

Ostatnie słowa wymówił z silniejszém drżeniem głosu. Ludka uczuła lekkie podniecenie.

— To nie tak trudno przestać być obojętnym i sztywnym, jak się przypuszcza—rzekła z filuterną minką kotki, łaszącéj się do swego pana. W rękach jéj zadrżał ostatni, nieoberwany jeszcze listek kwiatu chryzantemy: wpięła go w butonierkę tużurka narzeczonego.

— To na znak zawartéj umowy — dodała, uśmiechając się zalotnie.

Zenon spojrzał na nią wzrokiem, w którym na razie dostrzedz było można lekki odcień zachwytu, minęło to jednak szybko. Spokojny, bierny, zaczął zwykłą potoczną rozmowę, jak gdyby nic ważniejszego nie zaszło w jego życiu. Po godzinie gawędy sam na sam, zaczął spoglądać na zégarek. Pociąg odchodził nad wieczorem: bał się spóźnić; miał wysłać tego dnia jeszcze kilka pilnych depesz.

Ludka marszczyła brwi, patrząc na gorączkowy pośpiech, z jakim ją żegnał. Przyrzekł odwiedzać ją co tydzień. Listów, jak tego żądała narzeczona, pisywać nie mógł: nie miał na to czasu.

Wyjechał obojętny, chłodny, jak po zawartéj tranzakcyi, która ani źle, ani dobrze nie wpłynęła na jego interesa.

Gdyby nie rozpoczęte zaraz nazajutrz przygotowania ślubne, Ludka byłaby mogła zapomniéć, że jest narzeczoną. Zenon przyjeżdżał wprawdzie co niedziela z bukietem róż, heliotropów i hyacyntów, z ogromném pudłem cukierków, z błyskotkami i drobiazgami, które mogły sprawić jéj przyjemność, po za tém jednak nigdy i w niczém nie korzystał z praw narzeczonego.

Matka, ciotka i siostra wychodziły zawsze dyskretnie z pokoju, aby go pozostawić sam na sam z Ludką: czy przy nich, czy bez nich wszakże zawsze był jednakowy. Cichym, słabo modulowanym głosem opowiadał o ważniejszych brukowych nowinkach miejskich, o zmianach kursu na giełdzie, o kłopotach firmy, któréj był przedstawicielem.

— Ale to panią nudzi zapewne?—pytał niekiedy, patrząc na zachmurzone czoło, ściągnięte brwi i wargi Ludki.

— Nie, przeciwnie, bardzo, bardzo, bardzo bawi — odpowiadała z przekąsem, zrywając się z miejsca i ziéwając głośno.

Milknął wówczas lub usprawiedliwiał się cicho, łagodnie:

— Mówię z panią o interesach moich, sądzę bowiem, iż zechcesz uważać je w niedalekiéj przyszłości za swoje własne...

— Nie cierpię, nie znoszę, nienawidzę wyrazu „interes"; brzmi on dla mnie, jak tarcie sztaby żelaznéj po szkle; gdybym mogła, wykreśliłabym go ze słownika na zawsze—wołała wówczas, biegając po pokoju, roztrącając krzesła, fotele, stoliki i etażerki po drodze ze zniecierpliwienia.

— W takim razie, przepraszam: nie użyję go wobec pani już nigdy...

Przyrzekał, lecz nie dotrzymywał. Przyzwyczajenie brało górę nad jednorazowym aktem postanowienia: wracał do rozmowy o inte-

resie często, przejęty myślą jaknajszybszego zrobienia majątku i zrzucenia z siebie jarzma koniecznéj, musowéj pracy, do któréj nie miał powołania.

Rodzice jego, arbitralni, despotyczni, z krédką w ręku obliczający groszowe dochody dnia każdego, które musiały zawsze trzy lub czterykroć przewyższać rozchody, nie pytali go za lat młodych, czém chce zostać?

— Masz być kupcem—mówili mu, gdy był dzieckiem jeszcze.—Zbiéramy majątek nie po to, aby miał butwiéć w kasach ogniotrwałych: nasze setki w twoich rękach muszą zmienić się na tysiące: inaczéj—wydziedziczamy cię na zawsze...

Celem wychowania go stało się zabicie w nim jeżeli nie serca, to przynajmniéj możności wypowiadania tego, co ono czuło.

— Rozum tylko uczyni cię szczęśliwym—twierdzono na każdym kroku i przy każdéj sposobności.

Matka odtrącała go, ilekroć, spragniony pieszczoty, chciał ucałować jéj ręce. Ani ona, ani ojciec nie lubili czułości: uważali, iż one rozstrajały nerwy, nie dając wzamian żadnych pozytywnych korzyści. Dzieci ich srodze były karane, ilekroć schwytano je na gorącym uczynku wzajemnych uścisków i pocałunków.

— Człowiek żyć powinien rozsądkiem i wyrachowaniem jedynie: wtedy tylko będzie mu dobrze na świecie...

Przykazanie to co rano, co wieczór, w południe i o zmierzchu Zenon słyszał, wygłaszane stanowczym tonem głosu ojca, lub matki.

Wrażliwy, czuły z natury, nasiąkał niém jak gąbka i ani się spostrzegł, kiedy, doszedłszy do wieku dojrzałego, zobojętniał pozornie na wszystko. Nieraz tłumione porywy zachwytu rozsadzały mu piersi: miał, jak inni, głowę, pełną fantastycznych mrzonek; wierzył we wzniosłe idee, uwielbiał poezyę i sztukę, nigdy jednak nie był zdolny poddać się wrażeniom chwili tak, aby one wstrząsnęły nim do głębi i rozlały się słodką wibracyą po nerwach jego, aby, jak w zwierciedle, mógł przejrzéć się sam w przepojonéj niemi duszy swojéj. Coś zawsze stawało między nim a światem zewnętrznym: to nawyknienie do przygłuszania doznawanych uczuć.

Ustawiczna walka z samym sobą przy powściąganiu wrodzonéj wrażliwości sprawiała mu chwilami ból niewysłowiony, budząc tęsknotę za straconą na zawsze małą różową kartką życia, któréj nigdy już i w żadnych warunkach miał nie odzyskać.

Przytępiwszy wrażliwość, zabijano w nim zwolna jednocześnie wznioślejsze porywy umysłu, tłómacząc ciągle, bez końca, iż wiedza

nie doprowadzi go do niczego, że dla kupca spryt i wrodzony rozsądek jest wszystkiém, a laury nauki — to niepotrzebne dodatki, które trzeba opłacać bezcelowym nakładem czasu, pracy i pieniędzy.

Nie obrał zawodu naturalną drogą własnych popędów i zastanowienia: wciśnięto go w formę, z góry urobioną; pojęciem musu, konieczności, niby żelaznemi kleszczami, obwarowano powołanie jego; raz pchnięty na drogę, któréj sam nie szukał, posuwał się po niéj tą siłą bezwładności, która nie pozwala stanąć w miejscu.

Czego jednak nie zdołał zabić w nim najgroźniejszy egzorcyzm matki, to cichego, skrytego, nie zdradzającego się nigdy i w niczém marzycielstwa. Przyszedł z niém na świat, stanowiło ono tło jego duszy.

Szare, rąbkiem złota i tęczy obramowane fantazye ułudne, rozléwały się w myślach jego powodzią mglistych obrazów, budzących słodycz i ciepło.

W chwilach, wolnych od pracy, układał plany czegoś, co miało pokrzepić umysł jego, w pogoni za chlebem. Tém czémś było całkowite oderwanie się na lat kilka od pracy, była długa, nowych wrażeń pełna podróż dokoła świata. Marzył o niéj, będąc dzieckiem. Teraz, gdy pojęcia jego krystalizowały się coraz jaśniéj i trzeźwiéj, tęsknił za nią z każdym dniem silniéj. Narzeczeństwo zwiększyło tę tęsknotę. Włoskie niebo, góry Tyrolu, lodniki Szwajcaryi, łagodna przyroda Grecyi, sfinksy i piramidy Egiptu, pampasy i liany lasów dziewiczych, pustynie Afryki miały zbudzić go do życia z cichéj drzémki, wśród któréj, jak automat, handlował zbożem i wełną.

Widział siebie i Ludkę, jadących wzdłuż pustyni, na grzbietach wielbłądów, w stroju Beduinów. Karawana postępowała zwolna za nimi; wieczorem rozpinali namioty na wąskiéj przestrzeni oazy; zasypiali pod okiem południowego firmamentu, kołysani ciepłym powiewem liści palmowych, karmieni słodyczą bananów, pojeni mlékiem kokosów i kryształową wodą dobroczynnych strumieni.

Czy tęskniliby za chłodem północy?

Nie, o nie! Byłoby im nieskończenie dobrze. Wachlarze palm i piaski pustyni, niebo szafirowe oraz wichry skrzydlate nuciłyby hymn tryumfalny na cześć ich swobody.

Nad morzem, na piaskach patrzeliby w słońce. Niebo promieniałoby nad nimi blaskiem złota. Woda, szeleszcząc pluskiem fal i rozsypując się przy brzegu burzyną białéj piany, połyskiwałaby srebrną łuską. Od barw srebra i złota drgałyby powieki, jak od pryzmatu, rozszczepiającego kolory tęczy. Odblask słońca i parującéj masy wód, smugi białych pyłków, rozsypanych w przestrzeni, bu-

dziłyby w piersiach ich słodką tęsknotę za oceanem nieskończoności, za kresem duszy i myśli, za pojęciem nirwany, kojącéj drobne i wielkie bóle życia.

Nie umiejąc ująć w słowa obrazów, majaczących w myślach jego, Zenon poddawał się im w błogiém upojeniu rozkoszy. Twarz jego przybierała wówczas wyraz cichéj ekstazy, oczy zachodziły mgłą, wargi drżały zlekka.

Nie wiedział nigdy, jak długo marzył: po kwadransie, czy po godzinie takiego niemego zachwytu zrywał sie do pracy z głową lekką i piersią, pełną zapału, na jaki tylko nerwy jego, przyzwyczajone do powściągliwości, zdobyć się umiały.

Dla urzeczywistnienia tych marzeń swoich, dla oderwania się przynajmniéj na dwa, trzy lata od zajęć musowych, pragnął zdobyć majątek.

— Czas przekona ją, dlaczego jestem maszyną roboczą, dlaczeczego z ust moich nie schodzi słowo „interes" — myślał, dostrzegając w twarzy Ludki niechęć, niezadowolenie, a nawet pogardę dla pracy swojej.

Na parę tygodni przed ślubem, w chwili gorętszego uniesienia, które, niewiadomo skąd poruszyło się w jego piersi, powiedział jéj:

— Pracuję dlatego, abyśmy kiedyś oboje mogli odetchnąć swobodniéj, abyśmy poznali kraje różne i ludzi odmiennych, ochłonęli ze wszystkiego, co dusznе i dławi pierś ciasnotą powszedniości...

Roztoczył następnie plan podróży, jaką wraz z nią z czasem odbyć zamierzał.

Była to jedyna chwila, w ciągu któréj oczy Ludki zaświéciły żywiéj.

Narzeczony nudził ją, męczył niewypowiedzianie. Tysiąc razy chciała zerwać z nim; tysiąc razy rozsądek mówił:

— Daj pokój! Pożałujesz tego kiedyś!...

Nie zerwała. Projekt trzyletniéj podróży rozbroił ją do reszty. Całemi godzinami odtąd marzyła o niéj.

Gdyby tylko, zamiast Zenona, towarzyszył jéj ktoś, coby ją lepiéj rozumiał, ktoś żywszy, milszy, rozmowniejszy, nawet brzydszy od niego, aby tylko nie taki chłodny i obojętny, jak on.

Dzień ślubu ich nadszedł wreszcie. Zenon drżał, jak liść osiki, tuląc ją po raz pierwszy w ramionach swoich, pieszczoty jego wszakże trwały krótko: zdawało się, że spełniał je musowo, że wchodziły one w zakres całodziennych jego zajęć, jak kontrakty zawierane z kupcami, którym odstępował swój towar.

Tak zupełnie inaczéj Ludka wyobrażała sobie szczęście swoje

poślubne!... Sądziła, że Zenon, ośmielony do niéj, będzie całował ją i pieścił bez końca. Tymczasem on, jak człowiek interesu, śpieszył się wiecznie. Najczulszém spojrzeniem, najserdeczniejszym pocałunkiem nie była w stanie przykuć go do siebie dłużéj nad kwadrans.

Z rana, po pierwszéj nocy, spędzonéj w jego domu, on spał spokojnie, kiedy ona, pełna podniety, oka zmrużyć nie mogła!

Takim był raj, do którego rwały się niegdyś jéj marzenia, takim był kres jéj pragnień!

Głuchy bunt zaczął wrzéć w niéj powoli.

— To kawał drzewa, nie człowiek—myślała, ilekroć Zenon, usuwając ręce jéj łagodnie z ramion swoich, mówił tym cichym, jednostajnym, stereotypowo słodkim głosem, który drażnił ją do żywego.

— Bądź zdrowa, duszko! Trzeba iść do pracy...

Nigdy, ani chwili nie spóźnił się dla niéj „do interesu"; był stokroć względniejszy dla brudnych, obszarpanych Żydów, którzy męczyli go całemi dniami o groszowe ustępstwa w sprzedaży aniżeli dla niéj, dla żony, „któréj szczęście było celem jego życia".

Nie, tak dłużéj trwać nie mogło: ona musiała odnieść zwycięstwo nad twardą naturą męża, dla którego „interes" był bożyszczem, musiała przekonać się, ile władzy ma nad nim, musiała doprowadzić do tego, aby jéj więcéj czasu poświęcał, aniżeli wełnie i zbożu, inaczéj — rozwiedzie się z nim, albo poszuka sobie kochanka, któryby więcéj dbał o nią, aniżeli mąż.

Zaczęła stroić się do męża w jasne, mocno wycięte szlafroczki, o szerokich, otwartych rękawach, odsłaniających alabastrowe jéj ramiona, zmieniała codzień ażurowe pończoszki i niby mimowolnie, siadając obok Zenona, unosiła spódniczki tak, aby wzrok jego padał na płytkie, zaledwie końce stóp pokrywające pantofelki, z po za których wyglądała kształtna nóżka, mogąca odebrać rozum najtrzeźwiejszemu mędrcowi. Gładząc czoło i włosy Zenona, bawiąc się jasnemi jego wąsami, które okręcała dokoła palców swoich, niby zwoje miękkiego, lśniącego jedwabiu, opowiadała mu tysiące drobiazgów z pensyonarskiego swego życia, naśladowała kulawą przełożoną, któréj głos, podobny do górnych tonów rozstrojonéj pikuliny, rozlegał się po całéj pensyi od rana do wieczora, a stuk przewłóczonéj co chwila z pokoju do pokoju sztucznéj lewéj nogi przypominał łoskot spacerującego w pancerzu swym jeża; naśladowała guwernantki, profesorów, koleżanki, naśladowała siebie samą w chwili, gdy, wyrwana do lekcyi, któréj nie zdążyła przejrzéć dnia poprzedniego, udawała ból zębów lub silną migrenę, aby nie odpowiadać na zadawane sobie pytania; naśladowała dwóch konkurentów swoich, starych kawalerów, cierpią-

cych na scyjatykę i astmę, którzy oświadczyli się jéj na wsi, w czasie wakacyi między piątą a szóstą klasą; naśladowała wszystkie sąsiadki i wszystkich sąsiadów wiejskich, ciotki, wujaszków, kuzynki i kuzynków swoich, śmiała się przytém do rozpuku, sądząc, iż tym sposobem i Zenona pobudzi do śmiéchu.

On z początku słuchał jéj uważnie. Twarz jego, mało mówiąca, okazywała pewne zadowolenie. Uśmiéchnął się zlekka, łagodnie, na poły dobrodusznym, na poły sztucznie wyrobionym uśmiéchem, który, niby stała maska, przyrósł do jego oblicza. Chwilami, tuląc żonę mocniéj do piersi, wyciskał długi, głęboki pocałunek na wargach jéj, to była najgorętsza pieszczota, na jaką zgodyć się umiał; patrzył, jak w tęczę, na piękny profil Ludki, a oczy jego zachodziły wówczas tą mgłą łzawą, która zawisała na rzęsach w chwilach rozrzewnienia. Byłby chciał utulić ją dłużéj i tkliwiéj: wiedział, że ona potrzebuje tego; serce rwało się do niéj; cóż, kiedy wydawał się sobie niezdarnym, śmiésznym w chwilach rozczulenia: czuł wyraźnie czyjeś drwiące spojrzenia w chwili, gdy szukał ust żony, słyszał dokoła siebie szept głosów szyderczych.

Przytém — czasu miał zawsze tak niewiele. Ludka rozmawiała z nim najżywiéj, pieściła go najserdeczniéj w chwilach, w których wiedziała, że on musi wyjść z domu. Jakżeż trudno mu było wówczas słuchać jéj cierpliwie! Kręcił się na krześle, spoglądał co chwila na zégar, którego wskazówki, jak na złość, poruszały się szybko, bardzo szybko; kilkakrotnie usiłował przerwać opowiadanie żony łagodném, pokorném:

— Muszę cię opuścić, duszko: wieczorem dokończysz mi téj ciekawéj historyjki...

Gdzie tam! Zamykała mu usta pocałunkami. Pieszczota kobiéty, którą kochał nad życie, odurzała go, oszałamiała, jak stare wino. Mimo to, przyzwyczajony do panowania nad sobą, nie poddawał się wrażeniom i korzystał z pierwszéj sposobności, aby jak najrychléj zrzucić z siebie złote pęta.

— To posąg, którego nic i nigdy nie pobudzi do życia — powtarzała Ludka, płacząc.

Nie ustawała jednak w pracy. Raz postanowiwszy sobie odciągnąć męża od wstrętnego „interesu”, stawiała wszystko na kartę, aby zwyciężyć. Walka miała być uparta: obmyślanie sposobów jéj i środków pochłaniało ją obecnie godzinami całemi.

Któregoś dnia, przebrana w strój starogrecki, odsłaniający alabastrowe, gładkie, jak aksamit, jéj ramiona, w pół przyćmionem świetle lampy wiszącéj oczekiwała męża. Kostium jéj był niespo-

dzianką dla niego: miał go zdziwić i ucieszyć. Dotąd nie zważał wprawdzie nigdy na jéj ubranie; najpiękniejsze koronkowe szlafroczki, które kładła dla niego, uchodziły jego baczności; nie pochwalił nigdy pończoszek i pantofelków, które tak misternie, z myślą o nim dobiérała do sukien i negliży swoich; dziś jednak... dziś byłby ślepym, gdyby nie spostrzegł cudownie pięknego stroju, jaki przygotowała, by go olśnić i zająć sobą nareszcie.

Od kwadransa czekała na niego, leżąc na niskiéj perskiéj otomanie, pod parasolem z piór i wachlarzy.

Nie przychodził: co to znaczyło? Nigdy jeszcze nie spóźnił się tak bardzo. Był punktualny, jak żołnierz, zmieniający wartę. Dzwonek, jego ręką poruszony, rozlegał się jednocześnie z uderzeniem godziny piątéj przez wszystkie zégary w bliższych i dalszych pokojach. Dziś już kwadrans minął po piątéj, a jego jeszcze nie było!

Gdyby nie obawa zgniecenia fałd białego chitonu, które misternie, jak sztuczna draperya, ułożyły się na kanapie, byłaby wstała i wyjrzała przez okno, pełna niepokoju. Dziwiło ją, niecierpliwiło i oburzało pierwsze opóźnienie męża: jakto, już nawet nie śpieszył się do niéj!?

Leżąc z głową, opartą o ponsową poduszkę, od tła któréj ciemną plamą odbijały się jéj włosy, szarpała końce batystowéj chusteczki w nerwowém rozdrażnieniu.

— Nie, tak dłużéj być nie mogło: nie dosyć, że myślał i mówił ciągle tylko o „interesie", jeszcze zaczynał późno przychodzić: tego zawiele, stanowczo zawiele na jéj cierpliwość!

Zapomniawszy o fałdach greckiéj sukni, już zerwała się z kanapy, aby wezwać służącego i posłać go po pana, gdy wtém dzwonek rozległ się w przedpokoju i w chwilę potém Zenon stanął przed nią.

Był jakiś rozstrojony dnia tego. Twarz jego, zwykle spokojna, dziś drgała nerwowo.

— Miałem dużo pracy i kilka interesów, które wymagały naprężonéj uwagi—rzekł, całując żonę w czoło.—Jestem cokolwiek zmęczony, a po południu mam ważną naradę ze wspólnikiem...

— Dlaczego tu tak ciemno?—dodał po chwili, opadając na fotel ciężkim ruchem człowieka znużonego i wyczerpanego, który radby się zmienić w bryłę kamienia, aby tylko módz pozostać w miejscu przez chwilę.

Kilka minut przesiedział w fotelu z głową, zwieszoną na piersi i zasłoniętemi dłonią oczyma. Ludka przez ten czas skinęła na służącego, aby zapalił wszystkie świéczniki w pokoju. Jaskrawy blask kilkunastu płomieni żyrandola, pomieszany z różnobarwném światłem wiszącéj

chińskiéj lampy, padł fantastyczną smugą na twarz Ludki, przysłoniętą do połowy cieniem wachlarza, na draperyę białéj jéj sukni, drżąc i migocąc, niby połysk błędnych ogników.

Zenon podniósł głowę i roztargnionym wzrokiem człowieka, którego myśli odbiegły daleko, spojrzał na żonę.

Nie widział ani uśmiéchniętych filuternie ust jéj, ani pozy misternéj, ani oczów, wlepionych w niego i mówiących wyraźnie:

— No, patrz, jaka jestem ładna: to wszystko dla ciebie...

— Jeszcze dwa lata takiéj, jak dzisiejsza, pracy—rzekł, tłumiąc ziéwanie, przy żonie bowiem nie ziéwał nigdy—a zrzucę z siebie jarzmo niewoli; wyjedziemy z kraju, odetchnę wówczas... Ach, jak jestem zmęczony!

Miał ochotę przeciągnąć się, rozprostować członki, zdrętwiałe po całodzienném siedzeniu nad biurkiem, obecność Ludki krępowała go wszakże: przy niéj był zawsze jak w salonie, poprawny, uprzejmy, pełen taktu i rycerskiéj grzeczności.

Służący oznajmił podanie na stół obiadu. Ludka, jak kapryśne dziecko, wyciągnęła ręce do męża, aby ją podniósł z kanapy: sądziła, że teraz przynajmniéj, kiedy stanął przed nią tak blisko, w pełnym blasku lampy i świéczników, spostrzeże wreszcie misterną złotą opaską, podtrzymującą nad czołem ciemne jéj włosy, wachlarz z piór i chiton grecki.

Zenon uniósł ją zlekka, pocałował w czoło i w obie ręce i, objąwszy w pół ramieniem, pociągnął za sobą do jadalni.

Nic nie widział, jak gdyby mgła szara zasłoniła mu oczy.

Szarpnąwszy się gwałtownie, Ludka odbiegła od niego. Zła, rozdrażniona, oburzona do żywego, usiadła do stołu, aby zmiąć, rzucić na ziemię i podeptać nogami serwetę, roztrącać talérze i półmiski, które Jan stawiał przed nią.

Zenon patrzył na nią w milczéniu, nie rozumiejąc, co się z nią dzieje.

— Interes zabił w tobie wszystko—zawołała wreszcie, wybuchając głośnym płaczem — od dwóch tygodni próżno silę się, aby zwrócić na siebie twoją uwagę: przechodzisz koło mnie, jak koło lampy albo stołu, na które nawet nie raczysz rzucić okiem łaskawie. Jestem dla ciebie zerem, istotą, o którą nie warto troszczyć się zgoła. Gdybym przyszła do ciebie w chałacie pierwszego lepszego żyda z ulicy i zaproponowała ci nabycie korca żyta lub worka wełny, wówczas dopiéro może zechciałbyś poświęcić mi chwilę drogocennego swego czasu. Dziś—mogłabym doskonale, zamiast siebie, podsunąć ci lalkę woskową:

ręczę, że nie zauważyłbyś téj zmiany i że ona równie dobrze, jak ja, mogłaby być żoną twoją...

Zdumiony, przerażony Zenon, spojrzał na nią pytającym wzrokiem.

Nic nie rozumiał: zdawało mu się, że dotąd była z niego zupełnie zadowolona; dogadzał wszystkim jéj kaprysom i dziwacznym nieraz zachciankom; był dla niéj dobry, uprzejmy, nic... nic zgoła nie rozumiał!...

— Jesteś dziś rozdrażniona, duszko; musiałaś zmęczyć się czémś lub nie wywczasować — rzekł łagodnie, obejmując ją wpół ramieniem.

Odtrąciła go od siebie.

— Idź precz; daj mi pokój; jesteś nudny; znieść ciebie nie mogę—zawołała, zrywając się z miejsca i uciekając do swego pokoju.

Zenon pozostał, kończąc obiad napozór spokojnie, w gruncie rzeczy jednak wzburzony i podrażniony do żywego. Nie jadł nic i dla formy tylko nakładał potrawy z półmisków.

Chmurny, zasępiony, siedział czas jakiś sam jeden przy stole; w końcu podniósłszy się, wolnym krokiem przeszedł do swego pokoju. Zapalając cygaro, pomyślał:

— Musi być niezdrowa; może — kto wié — kobiéty w takich razach miéwają zawsze tysiące kaprysów...

Uśmiéchnął się lekko, niewidocznie sam do siebie, postanawiając nadal być względniejszym dla żony, aniżeli dotychczas.

Ludka przez dwa dni nie wychodziła ze swego pokoju. Trzeciego dnia, wezwawszy męża do siebie, tonem znieważonéj, a jednak czującéj w całéj pełni godność swoją księżniczki, rzekla do niego:

— Proszę cię, urządź zajęcia swoje tak, abyś mi trochę więcéj czasu mógł poświęcić. Chcę zacząć bywać. Zwiędłabym, jak grzyb, prowadząc takie, jak teraz, życie klasztorne. Od jutra zaczniemy składać wizyty. Jeżeli tym razem „interes” nie pozwoli ci spełnić mego życzenia, pójdę wszędzie sama, co nie wiem, czy ci wielką sprawi przyjemność...

— Dobrze, możemy złożyć kilka wizyt, bądź gotowa jutro na pierwszą: uwolnię się, aby zaspokoić twoje żądanie — odparł Zenon spokojnie.

Złożyli wizyty, zapisane w notesiku Ludki; zaczęli żyć w towarzystwie.

Nie było odtąd wieczoru, w którymby Zenon, wracając do domu zmęczony, wyczerpany pracą, nie słyszł z ust żony:

— Dziś idziemy do X-ów, jutro jesteśmy zaproszeni do Y-ów, pojutrze mamy kilka osób u siebie...

Program bywał ułożony zwykle na kilka dni, a czasami i na kilka tygodni naprzód; trzeba było wypełniać go ściśle, inaczéj — Ludka wpadała w melancholię: dniami całemi nie wychodziła ze swego pokoju, odrzucała pokarmy, które jéj przynoszono, czuwała nocami, paląc światło i zanosząc się od płaczu.

Zenon przestał powtarzać:

— Musi być niezdrowa; kobiéty w pewnych chwilach życia dziwne miéwają kaprysy...

Wiedział, że tak nie było, dla świętego spokoju wszakże spełniał jéj życzenia.

Szorstka, opryskliwa dla niego w domu, w salonie lubiła miéć go przy sobie, lubiła, by pomagał jéj w rozmowie, którą trudno było nieraz prowadzić.

— Niech on powié za mnie — mówiła często, zwracając się do niego w chwilach, gdy zagadywano ją o coś, czego nie rozumiała dobrze!

Powtarzała niekiedy żywcem jego zdania, które w domu, kiedy zwracał je w prośbie do niéj, drażniły ją i niecierpliwiły. Nie mówiąc z nim nieraz tygodniami całemi, gdy byli sami, w salonie powoływała się na niego każdéj chwili.

Uważano ich za wzorowe stadło, jedną myślą natchnione, podziwiano miłość i uwielbienie dla męża Ludki, zachwycano się taktem, spokojem, równowagą uczuć i myśli Zenona.

Salony, które na razie uderzały czczy, chciwy wrażeń, lecz leniwy i ociężały umysł młodéj kobiéty, powoli zaczęły ją nużyć niewypowiedzianie. W rozmowie — zwłaszcza z mężczyznami — należało silić się na humor, dowcip, werwę, życie i złośliwe dwuznaczniki, inaczéj — znudzeni — odchodzili szybko, a raz odszedłszy, już nie wracali. Tańczyć nie lubiła, każdy szybszy ruch męczył ją bowiem, towarzystwa kobiét nie znosiła; zresztą ludzie tak wszyscy byli do siebie podobni, a ona tak mało umiała wyciągnąć na jaw indywidualność każdego, iż często, przegadawszy cały wieczór z X-em, była pewna, że rozmawia z Y-em.

Nuda, taka sama, jak rok temu na wsi, przeraźliwa, pustką i czczością ziejąca nuda, opanowała ją teraz nanowo.

Jak wyrwać się ze szponów jéj? Jak pokierować życiem, aby dnie, godziny, ba, nawet minuty, sekundy nie płynęły tak zabójczo jednostajnie, jak dotąd?

Leżąc na niskiéj, skórą tygrysią obrzuconéj kozetce, rozmyślała nad tém całemi dniami. Raz w końcu, zerwawszy się z roziskrzonemi oczyma i pałającą twarzą, wołając: „już wiem, już wiem!” zadzwoni-

ła na służącego i kazała mu biedz po pana, sprowadzić go do siebie czémprędzéj, gdziekolwiekby był w téj chwili.

Czekając na Zenona, spoglądała na zégar co chwila, szarpała końce batystowéj chusteczki ze zniecierpliwienia, darła, łamała i rzucała w ogiéń kominka małe chińskie wachlarzyki, powsuwane w matę stojącego tuż za nią ekranu.

— Dlaczego on nie przychodzi natychmiast? Nieznośny, nudny, sztywny i suchy, jak kłoda drzewa, pewno nie chce oderwać się od interesów, jak zawsze... Powinien wszystko rzucić i przybiedz do mnie, skoro go wzywam — mówiła sama do siebie w coraz silniejszéj gorączkowéj podniecie.

Dwie godziny upłynęło, zanim Zenon, którego trudno było od szukać na mieście, stanął przed nią przerażony, sądząc, iż zasłabła nagle i dlatego przysłała po niego.

— Musimy jutro, pojutrze, jaknajprędzéj, choćby dziś zaraz wyjechać z Warszawy: na północ, na południe, na wschód, czy na zachód, wszystko mi jedno, aby raz tylko rzucić te mury, w których się duszę—zawołała, padając na kanapę w omdleniu.

Zenon zmarszczył brwi i spojrzał na nią z pod oka. Chwilę milczał; w końcu łagodnie, lecz stanowczo rzekł:

— Interesa moje nie pozwalają mi myśléć o wyjeździe w téj chwili, za dwa lata—wiész—projektuję sam podróż dłuższą...

Nastała chwila ciszy głębokiéj, którą przerywało tylko cykanie zégara w kryształowéj gablotce i szelest papugi, kołyszącéj się na mosiężném kółku klatki.

Naraz Ludka wybuchnęła głośném łkaniem.

— Ja wiem — zawołała — że ty nie robisz sobie nic ze mnie, że dla ciebie interes wszystkiém, że poświęciłbyś mój spokój, zdrowie moje dla sprzedania jednego korca owsa; wiem, że jesteś kupcem tylko, że żyjesz głową tylko, a nie sercem; wiem, wiem o tém dobrze; odpokutuję całém życiem to, że wyszłam za ciebie. Niema już dla mnie ratunku, nie ma nadziei, abym kiedykolwiek mogła być szczęśliwą...

Szlochała coraz głośniéj; płacz jéj przeszedł w śmiéch spazmatyczny.

Posłano po doktora, który zalecił spokój, lekkie rozrywki, a przedewszystkiém nie drażnienie choréj stawianiem oporu jéj życzeniom.

Dwa tygodnie codzień zrana i wieczorem powtarzały się spazmy Ludki, dopóki Zenon chłodno, sztywno, jakkolwiek ładodnie i uprzejmie nie oznajmił jéj któregoś popołudnia:

— Dziś, jutro, pojutrze, kiedy zechcesz, możemy jechać.

Tracił na podróży téj wiele, tracił przedewszystkiém marzenia trzyletniéj swobody, któréj oczekiwał, jak dziecko; dla świętego spokoju należało jednak ponieść tę ofiarę.

Plan wycieczki nakréśliła Ludka sama; Zenon tylko od czasu do czasu zwracał jéj uwagę na taki lub inny rozkład pociągów, uniemożliwiający jéj projekty, w zasadzie wszakże nie sprzeciwiał się niczemu.

Stanęło zatém, iż przedewszystkiém zwiedzić mieli Wiedeń, Włochy, Szwajcaryę, następnie — ku wiośnie —jedną z wysp morza Północnego.

Z roziskrzonemi oczyma i pałającą twarzą Ludka w tydzień po tém wstępowała na stopnie wagonu. Nie widziała nikogo z otaczających ją znajomych, nie słyszała słów, jakie rzucano jéj na pożegnanie, nie odpowiadała na zadawane sobie pytania; myślą była już daleko pod szafirowém niebem południa.

Pierwsze godziny drogi przeszły szybko. Świst lokomotywy, warczenie i turkot kół wagonów, mijane co chwila lotem błyskawicy przestrzenie, wszystko to podniecało ją i odurzało. Pałającym wzrokiem żegnała pola łąki i lasy północy.

— Jakiś ty dobry, żeś mię wziął z sobą — szeptała, tuląc się do męża. — Jakiś ty dobry, jaki... jaki dobry! — powtarzała, całując oczy i usta Zenona, gładząc jasne jego włosy.

On za każdą pieszczotą przyciskał do ust ręce jéj łagodnie, lecz nic nie mówił.

Co mógł powiedziéć? Miał ciężki żal do niéj, że nie jak kobiéta-towarzyszka—przyjaciółka jego, związana z nim wspólnością celów i interesów, lecz jak grymaśne, rozkapryszone dziecko, któremu należy wyjąć szybę z okna, jeżeli jéj zażąda, gdyż inaczéj dostanie z płaczu konwulsyi, — naparła się podróży, przynoszącéj im obojgu wielkie straty. Czuł żal do niéj głęboki, postanowił wszakże nie wspominać o tém. Ludka nie rozumiała go nigdy. Zatopiona w sobie, przejęta tém tylko, co mogło jéj sprawić bezpośrednią przyjemność lub przykrość, nie zwracała na nic innego uwagi. Wiedział o tém dobrze, lecz ból i troskę tych spostrzeżeń zamknął sam w sobie, nie chcąc i nie mając z kim dzielić się niemi.

W połowie drogi z Warszawy do Wiednia Ludka zaczęła się nudzić. Przeszkadzały jéj twarde poduszki wagonu, łoskot parowozu, rzężące „r” niemieckie współtowarzyszy podróży. Co dwie stacye trzeba było zmieniać przedział: w każdym okazała się jakaś inna niedogodność.

— Jesteś nieznośny; zamiast postarać się o kilka pustych miejsc dla nas wyłącznie, narażasz mię na tłok i ciągłe skrępowanie. Nawet stanika nie mogę rozpiąć swobodnie—wyrzucała mężowi.

W Trzebini zajęli przedział osobny, zaczęła wówczas narzekać na bezsenność i zmęczenie. Do Wiednia przyjechała zła, skwaszona, W hotelu zrobiła Zenonowi scenę o to, że wziął pokój na drugiém, nie zaś na pierwszém piętrze; w restauracyi odtrącała wszystkie stawiane przed sobą półmiski, oburzając się na męża, iż przy ułożeniu *menu* kolacyi, nie pomyślał o dwóch ulubionych jéj potrawach: rostbefie i kalafiorach, które w domu musiała miéwać codzień.

Sceny w hotelu i restauracyi powtarzały się odtąd po kilka razy w ciągu doby. Zmęczona chodzeniem po galeryach i muzeach, Ludka czuła pewne rozczarowanie: czegoś innego oczekiwała w téj podróży, wrażeń, któreby pochłonęły ją całą, tymczasem...

Cały żał z powodu nieziszczonych pragnień spadł na Zenona.

— Z nim chodzi się, jak z kłodą drzewa—myślała, ilekroć wprowadzał ją na stopnie galeryi lub muzeum. Byłaby chciała, aby przycisnął ją w téj chwili mocno do siebie, aby szepnął jéj do ucha coś czułego; wówczas, pobudzona, orzeźwiona, inaczéj patrzyłaby na dzieła sztuki; on tymczasem od początku podróży nie rzucił na nią ani jednego czulszego spojrzenia. Zimny, sztywny, obojętny, pocałował ją w rękę co najwyżéj: to była największa jego pieszczota.

Wyjechała z Wiednia zła, zniecierpliwiona; w Wenecyi drażniły ją brudne, czarne, jakby zakopcone mury pałaców i długie szmaty aksamitne, wlokące się za gondolami po wodzie kanałów; w Neapolu gniéwał ją tłum i zbiegowiska uliczne, a wszędzie prześladowała ją tylko nuda i zmęczenie, to bolesne zmęczenie tych, co, nie przywykłszy do ruchu i podróżując bez celu, nie doznają podniety silnych, kształcących serce i umysł wrażeń!

Po dwóch tygodniach podróży zażądała raptownie powrotu.

— Nudzi mię to wszystko, męczy: rozchoruję się, jeżeli dłużéj takie życie pędzić będziemy—odpowiadała Zenonowi, który tłómaczył jéj, że nie opłaciło się ponosić kosztów i kłopotów na tak krótką podróż.

Stawała się coraz to kapryśniejszą: w restauracyi, na ulicy, w hotelu strofowała męża co chwila! Wyrzucała mu obojętność jego dla niéj, narzekała, że nie umiał, czy téż nie chciał jéj zrozumiéć. Czuła się zawiedzioną, rozczarowaną, żalu i goryczy pełną. Żadnego z marzeń swoich nie miała osiągnąć w życiu. Chciała być kochaną, ubóstwianą: znalazła serce zimne, jak głaz, które ani jednèm drgnieniem nie odpowiadało tętni jéj serca. Zenon był automatem, wrażli-

wym na jeden tylko wyraz „interes”. Nic po za tém nie obchodziło go, nic nie bawiło. Chodził po galeryach i, jak na niego, ciekawie przyglądał się obrazom, obliczał bowiem w myśli zapewne, ile dochodu przyniosłyby mu one, gdyby stanowiły jego własność; śledził z zajęciem architekturę gmachów wspanialszych, robiąc w myśli niechybnie obrachunek, ile martwego kapitału w nich spoczęło.

On nie mógł zrozumiéć wrażliwéj jéj duszy, tęskniącéj za czémś nieuchwytném, czego sama nie umiała nazwać i określić.

Zmęczona całodzienném błądzeniem po obcych miastach, nieraz, leżąc na kanapie z przymkniętemi oczyma, miéwała słodkie, rozkoszne widzenia. Marzyła, że ktoś siedzi przy niéj, ktoś, czyje tchnienie sprawia jéj zawrót głowy, czyje dotknięcie zaléwa krwią jéj czoło, czyj głos brzmi, jak muzyka, ktoś, co szepcze jéj wprost do ucha, że uwielbia ją i kocha nad życie, że chciałby być pantofelkiem na boséj jéj stopie, rękawiczką na drobnéj, białéj rączce, różą, rozkołysaną na piersiach oddechem, przepaską we włosach, rąbkiem szaty, cząstką wzroku, słuchu, że chciałby pić każde tchnienie jéj ust, wléwające w pierś jego balsam potęgi i siły. Marzyła, że ten ktoś, cień, snujący się dokoła niéj w mglistych konturach, klęcząc, całuje obie jéj dłonie i patrzy w jéj oczy, jak w niebo, pełne rozkoszy.

Uczuwała wówczas słodką błogość: byłaby leżała, marząc tak bez końca. Zenon cichym swoim, stereotypowo słodkim i uprzejmym głosem budził ją z zamyślenia.

— Wstań, duszko; wieczorem mamy iść na operę, a przedtém trzeba zwiedzić jeszcze park miejski—mówił, dotykając zlekka jéj ramienia.

To było szorstkie, brutalne! Budzić ją z marzeń, stanowiących jedyną osłodę jéj życia, wspominać jéj o operze i parku miejskim wówczas, gdy śniła rozkosznie o uczuciach, jakich dotąd nie doznawała!

Wychodziła zła, chmurna. Z oczów jéj sypały się iskry gniewu z ust—słowa niezadowolenia. Dosyć było tego; stanowczo już téj podróży miała zawiele; za żadne skarby świata nie pojechałaby daléj.

— Wróćmy, wróćmy! — wołała w teatrze, w hotelu, na spacerze, wśród najpiękniejszych krajobrazów i najgwarniejszego otoczenia znajomych rodaków!

Wrócili. Zenon z przykrém uczuciem dławiącéj w piersiach goryczy wyrzucał sobie, że nie umié być dobrym i czułym dla żony, że nie umié otworzyć serca swego przed nią, by przekonać ją, że ono bije gorąco. Sam siebie winił o kaprysy żony; sam sobie je przypisywał.

— Kobiéta, jak dziecko, potrzebuje dużo szczeréj, serdecznéj pieszczoty; inaczéj — grymasi i czuje się nieszczęśliwą, jak dziecko — myślał.

Wrócił do kraju, pełen niechęci sam dla siebie. Głos sumienia karcił go, że zwichnął jedno młode życie, wzięte na odpowiedzialność. Serce i myśl jego rwały się do żony, a jednocześnie coś, na kształt bryły lodu, przymus do którego nawykł od dzieciństwa, mroził mu piersi.

Zmęczona podróżą, Ludka odetchnęła w domu u siebie. Nic jéj nie obchodziły kraje widziane, nowo poznani ludzie, arcydzieła sztuki; nie otrzymała żadnych wrażeń; czuła tylko silne, silne znużenie. To téż godzinami całemi nie wstawała z niskiéj różowéj kanapki, na któréj leżąc, snuła nić marzeń.

Przy leniwém z natury jéj usposobieniu, przekształcały się one stopniowo w haremowe żądze huryski, oczekującéj wśród drzémki pana i kochanka, który miał przybyć z pieszczotą do niéj i pocałunkami.

Kilkakrotnie jeszcze Ludka próbowała zwabić do siebie Zenona. Przebrana w kostium sułtanki, prosiła, by, klęcząc przed nią, czytał jéj bajki Szecherazady. On, całując jéj ręce, błagał, aby zwolniła go z tego; nie lubił czytać głośno, nie miał na to czasu, zresztą — co najważniejsze—byłby wydawał się sobie śmiészny w roli mdłego kochanka, klęczącego u stóp swéj bogini.

— Biédne, biédne dziecko! — myślał, patrząc z żalem na żonę.— Nie umiem jéj wystarczyć, nie mogę jéj zrozumiéć, nie jestem w stanie zaspokoić potrzeb jéj serca...

Czemu nie był młody duszą i wyobraźnią, jak ona? Czemu śmiészném i dziwném wydawało mu się to, co w zasadzie było może poetyczne i piękne?

Stracił już rachunek sam z sobą; wiedział to tylko, że unieszczęśliwił Ludkę zimném, suchém swém usposobieniem. Nie chcąc drażnić jéj i siebie, większą część czasu postanowił spędzać po za domem przy pracy.

Wieczorem Ludka nie chciała teraz wychodzić nigdzie; wizyty męczyły ją; musiała mówić dużo, a rozleniwiła się tak dalece, że sprawiało jéj to przykrość. Najlepiéj było jéj w domu, na niskiéj różowéj kanapce, pod wielkim chińskim parasolem, rzucającym cień na twarz jéj i draperye zmienianych codzień kostiumów, szlafroczków.

Leżąc z oczyma przymkniętemi, marzyła o tym kimś, co, jak duch, miał stanąć przed nią, ogrzać ją ciepłem miłości, wzbudzić żar jéj serca. Wierzyła w przybycie jego tak święcie, że nieraz, gdy papuga, ocknąwszy się z drzémki, wywołała ruchem szelest w klatce,

otwiérała oczy i patrzyła, czy „on", rycerz tajemniczy, nie stoi już przed nią.

Któregoś wiosennego ranka, gdy, trochę już znudzona długim nieustannym swym spoczynkiem, postanowiła wyjechać na spacer, służący oznajmił dobrze jéj znane, jakkolwiek oddawna zapomniane nazwisko kuzyna, który w przejeździe z dalekiéj podróży zapragnął ją odwiedzić.

Przyjęła go w buduarze swoim, na różowéj kanapce, na któréj tyle godzin przemarzyła o nieznanym sobie kochanku.

Staś Łempicki, rówieśnik jéj zmężniał i wypiękniał, odkąd go nie widziała. Oczy jego, spokojne i matowe, jak gdyby zmęczone w chwili, gdy milczał, roziskrzone namiętnie, gdy mówić zaczynał, dziwnie ją upajały. Zdawało się, iż prąd ciepły biegnie wprost od nich do serca Ludki, drgającego, jak blaszki metalu.

Mówili o podróżach. Staś, objechawszy świat cały, podążał na wieś do siebie dla opracowania notatek, z których miało powstać dzieło turysty-estetyka, pragnącego przekazać współczesnym wrażenia i przygody swoje.

Z zapałem mówił o pracy, jaka go czekała; kochał ją, jakkolwiek tkwiła dopiéro w zarodku myśli jego, miał złożyć w niéj lepszą cząstkę swéj istoty, wszystkie porywy i natchnienia swoje.

Ludka z uniesieniem słuchała wyznań kuzyna. Dotąd nigdy nie zetknęła się bliżéj z kimś, „co pisze". Zdawało się jéj, że, wtajemniczona w plan dzieła, przez to samo przyczyni się do jego powstania.

Zmiérzch zapadał, gdy Staś wyszedł od niéj. Zostawił ją rozmarzoną. Powtarzała w myślach rozmowę z nim. Głos jego, ciepły, dźwięczny, silnie modulowany, sprawiał wrażenie raczéj śpiéwnego *recitativa*, aniżeli zwykłéj, powszedniéj mowy. Opowiadając, patrzył na nią tak serdecznie, jak gdyby chciał odrazu między nią a sobą za dziérzgnąć węzeł szczeréj, niezmiennéj przyjaźni.

Czemu Zenon nie umiał tak mówić i tak patrzéć? Czemu w niczém nie był podobny do kuzynka Stasia?

Za lat dziecinnych podkochiwali się w sobie trochę oboje. Leżąc na trawie w ogrodzie, powtarzali sobie bajki czytane i marzyli o tém, jakby to było, gdyby on był rozbójnikiem i miał skarby Ali-Baby, a ona — królewną, śpiącą w kryształowéj trumnie od lat tysiąca, strzeżoną przez smoki, ogniem ziejące?

— Jabym z rozbójnika zmienił się w rycerza, zabiłbym smoki, otworzyłbym trumnę, wyjąłbym z twéj głowy szpilkę zaczarowaną i obudziłbym ciebie; musiałabyś być żoną moją—mówił Staś, rwąc trawę garściami.

— A jabym wyszła za ciebie wtedy dopiéro, gdybyś naprawdę był rycerzem, a nie rozbójnikiem—odpowiadała Ludka.

Układali następnie, coby robili, gdyby byli mężem i żoną: całowali się ciągle i chodzili pod rękę po ogrodzie tak, jak ciocia Józia z wujkiem Franiem, których ślub odbył się przed miesiącem.

Wspomnienia ożyły w umyśle Ludki. Czemu nie czekała na powrót Stasia z zagranicy? Czemu tak lekkomyślnie, z nudów jedynie, wyszła za Zenona?

Staś, który zaczął odwiedzać kuzynkę codziennie, z wyrzutem odezwał się któregoś dnia do niéj:

Kobiéty nie umieją kochać i pamiętać prawdziwie; żądza zamążpójścia tłumi w zarodku wszystkie ich uczucia. Lada dudek, spotkany na drodze życia, jako konkurent, zdobywa je bez względu na to, co mówi serce...

Ludka westchnęła. Zrozumiała kuzynka; zrozumiała, że pozostał wierny marzeniom, jakie niegdyś snuli razem. Czuła się upokorzoną wobec niego. W sercu jéj powstała nowa niechęć dla Zenona: on tylko był winien temu, że wyszła za niego. Gdyby nie napastował jéj nudnemi, suchemi i zwietrzałemi, jak badyle w słońcu, wyznaniami swemi, byłaby teraz wolną, o, i jak szczęśliwą!

Kuzynek przychodził codzień. Wyjazd na wieś szedł mu jakoś niesporo. O pisaniu dzieła nie myślał w téj chwili: musiał odpocząć czas jakiś. Był zmęczony nadmiarem wrażeń, które należało dopiéro ugrupować w całość, aby módz zrobić z nich szkic początkowy.

Tydzień schodził za tygodniem, miesiąc za miesiącem: kuzynek nie wyjeżdżał. Codzień, nim zmiérzchać zaczęło, zjawiał się w gabinecie Ludki, która, leżąc w zmienianych co wieczór kostiumach, słuchała opowiadań kuzynka.

Było im dobrze ze sobą, rozumieli się. On cierpiał nad jéj losem, losem zawiedzionéj i rozczarowanéj kobiéty; ona czuła dotkliwie krzywdę, wyrządzoną „jemu”, którego kochała od pierwszych chwili życia!

— Tyś dla mnie była stworzona...

— Ty, ty jedynie mógłbyś zapewnić mi szczęście — powtarzali nieraz, snując nić wspomnień przeszłości.

Godzinami całemi siedzieli obok siebie w ponurém zamyśleniu. Ręce ich, splecione uściskiem, drżały zlekka; przytulali się do siebie, zbliżali usta do ust...

Było im dobrze razem. Leniwe ich, skłonne raczéj do marzeń, aniżeli do czynu, usposobienia zgadzały się najzupełniéj.

— Zenon tylko o interesie umié mówić ze mną — skarżyła się szeptem Ludka.

Staś przyciskał ją wówczas mocno do piersi.

— Moje ty drogie, słodkie biédactwo! — mówił drżącym ze wzruszenia głosem.—Czemu nie należysz do mnie?... Ja bym murem chińskim odgrodził cię od wszystkiego, co szare i powszednie; szczebiotałabyś mi jak ptaszę; ani jednym dysonansem nie przerwałbym słodkich piosenek mego skowronka... Czemu nie należysz do mnie? Czemu? Czemu?—powtarzał, tuląc ją do siebie.

To były najsłodsze, najszczęśliwsze chwile ich życia. Marzyła o takiéj tylko miłości. Nie pożądała nic więcéj; silniejsze, ognistsze porywy byłyby ją męczyły. Tak słodko, tak dobrze było jéj w objęciach kuzyna! Opływało ją morze radosnego upojenia; najlżejszy wyrzut sumienia nie mącił jéj spokoju, bo i cóż mogła wymawiać sobie? Przecież nie zdradzała Zenona; ciałem należała do niego; duch jéj tylko, marzenia wybiegły cokolwiek po za sferę obowiązku.

Rządca listami i depeszami wzywał Stasia na wieś, gdzie „oko pana" było konieczne.

On nie wyjeżdżał; nie chciało mu się nawet odpowiadać na depesze i listy. I on téż roztapiał się w słodkiém odurzeniu, i on téż marzył.

Dobrze mu było w téj leniwéj drzémce uczuć. Zasypiając, myślał o uroczéj kuzynce, którą miał odwiedzić nazajutrz; budząc się, liczył czas, dzielący go od niéj...

Niekiedy lekką goryczą napełniało go przeświadczenie, że dotąd jeszcze nie zabrał się do dzieła, które miał opracować.

— Napiszemy je późniéj razem — pocieszała go Ludka — teraz odpocznij trochę i poświęć całego siebie mnie tylko...

Instynkt zniszczenia, tkwiący w niéj, jak w dziecku, które wabi świat wdziękiem i kaprysami swemi, pomimo, iż drobne ręce jego szarpią w kawałki misterny dorobek wiedzy i pracy, rzucany mu pod stopy przez nieoględność starszych, instynkt ten pełną siłą wybuchnął w piersiach Ludki. Nie znosiła, by ci, co ją kochali, miłowali coś, prócz niéj. Zenon stał się jéj wstrętny, ponieważ nie poświęcił dla niéj „interesu"; kuzynka Stasia zwolna, umiejętnie, natrafiwszy na grunt mało oporny, wciągnęła w sidła sybarytyzmu swego.

Wiosna i lato minęły; kuzynek siedział w mieście. Ludzie zaczęli szeptać potrosze, widując go wszędzie z Ludką. Zenon posępniał, patrząc na nich. Oddawna już unikał żony, nie będąc w stanie zadowolnić jéj kaprysów; oddawna powiedział sobie:

— Trudno, nie jesteśmy stworzeni dla siebie; trzeba się z tém zgodzić.

Godził się, przyzwyczajony do panowania nad sobą, powstrzymywał jad goryczy, sączący mu się do żył; teraz jednak położenie jego zaczynało być zbyt dwuznaczne, aby mógł znosić je spokojnie:

Któregoś dnia zrana, w porze niezwykłéj, wszedł do pokoju żony. Chwilę milczał, zmieszany, zakłopotany; wreszcie, wskazując na fotografię Stasia, zawieszoną na chińskiéj macie ekranu, spytał cicho lecz stanowczo:

— Kochasz go?

Ludka spojrzała na niego, pełna niepokoju, spuściwszy wszakże szybko oczy, zajęta czyszczeniem różowych, przezroczystych swych paznokci, odparła leniwie:

— Nie rozumiem celu i rozciągłości tego pytania...

Wargi Zenona drgały konwulsyjnie.

— Pragnę wiedzieć — rzekł głucho — czy kochasz kuzyna swego naprawdę, głęboko, czy też z nudów bawisz się z nim tak, jak z nudów wyszłaś za mnie? Jeżeli stosunek z nim obliczony jest tylko na chwilową igraszkę dla was obojga, w takim razie prosiłbym ciebie o poszukanie sobie innéj rozrywki; jeżeli zaś w grę wchodzi uczucie...

— Wówczas?...

— Wówczas spokojnie i bez żalu usuwam się z niewygodnego i arcynieprzyjemnego dla mnie stanowiska okolicznościowéj przyzwoitki, zostawiając pole szczęśliwemu rywalowi otwartego starania się o twoje względy...

Wargi i głos jego drgały coraz silniéj; oczy zaszły mgłą wilgotną.

— Jutro porozumiemy się bliżéj—odparła Ludka, nie patrząc na męża—dziś... zostaw mnie w spokoju.

Porozumienie nazajutrz nastąpiło.

Staś postanowił rozwieść Ludkę. Zenon nie sprzeciwiał się temu, prosił tylko żonę, aby pamiętała o nim i uważała go zawsze za przyjaciela swego, aby w krytycznych chwilach życia zwracała się do niego z żądaniem pomocy, a on szczęśliwym będzie, ilekroć los pozwoli mu spełnić najbłahsze jéj życzenie.

Rozstali się cicho, spokojnie, bez żalu i goryczy wzajemnéj, jak dwoje ludzi, których przypadek złączył, a własna, rozumna, świadoma celów swoich wola rozłączyła dla dobra ich wspólnego.

W dwa lata późniéj, po uzyskanym rozwodzie, nastąpił ślub Stasia i Ludki. Po sześciu latach zaczęto ubolewać nad Ludką; mówio-

no, że jest bardzo nieszczęśliwą, że drugi mąż tyranizuje ją brutalnie, że traci dziedziczną fortunę, że jéj i jemu grozi ruina, nędza.

Zenon marszczył i przygryzał wargi, słuchając tych opowieści.

Od lat trzech był żonaty. Jula, którą w parę lat po rozejściu się z Ludką spotkał przypadkiem na zebraniu, a którą znał oddawna, cichém, lecz głębokiem i szczerém przywiązaniem swojém zdobyła sobie jego przyjaźń serdeczną. Pierwsza wyznała mu miłość swoją, pierwsza wyciągnęła doń rękę, któréj on nie miał odwagi odtrącić.

Rozumna, cicha, pracowita, zapobiegliwa, skrzętna i niewymagająca, stała się prawdziwą towarzyszką i przyjaciółką jego, dzieliła z nim wszystkie troski i kłopoty, pomagała mu w pracy, śledziła pilnie bieg interesów, załatwiała całą niemal korespondencyę handlową, wtajemniczona w każdy najdrobniejszy szczegół przedsiębiorstwa, była duszą jego, dając częstokroć rady i wskazówki, nacechowane tą intuicyą kobiécą, która przewiduje przyszłość, jak w jasnowidzeniu i nie drogą refleksyi, lecz przez czyste natchnienie dochodzi do wniosków zbawiennych.

Zenon czuł dla niéj głęboki szacunek, lecz nie kochał jéj nigdy. Nie miała wdzięku pieszczotliwego, który krasił każdy uśmiéch Ludki, nie miała słodkich jéj kaprysów, które, gdyby nie opór z jego strony, byłyby go doprowadziły w krótkim czasie do ruiny, stanowiły wszakże niezrównany urok młodéj kobiéty.

Tamta pierwsza pobudzała go do marzeń. Dziś jeszcze, odpoczywając po pracy, zagłębiony w fotelu swoim, z cygarem w ręku, gonił jéj obraz myślami.

Cierpiał bardzo, rozstając się z nią. Gdyby nie moc panowania nad sobą, byłby płakał, jak dziecko w chwili ostatecznego pożegnania. Nie płakał, lekkiém zaledwie drżeniem warg dał poznać po sobie, że jest wzruszony, długo, długo wszakże ból i tęsknota dławiły go w piersi, unosiły się nad nim, jak czarne widma, które mogły doprowadzić go do szaleństwa, gdyby od lat dziecinnych nie przywykł do zwalczania wszystkich żywszych uczuć.

Żył z Julą napozór szczęśliwie, oboje ich wszakże toczył jad zwątpienia; on ciągle jeszcze myślał o kapryśnéj rozpieszczonéj Ludce, ona—w oczach jego czytała ból tęsknoty.

W rok po ślubie Julia powiła parę bliźniąt; odtąd dzieci, które bardzo kochali, stały się dla nich łącznikiem. W chwilach zwątpienia zwracali się do nich. Przyszłość malców była tłem długich gawęd rodziców, w których rozpływały się zobopólne ich żale.

Ludka w chwilach, w których najgłośniéj mówiono o majątkowych niepowodzeniach jéj męża, otrzymywała stale z poczty anonimową paczkę pieniędzy.

Wiedziała, skąd pochodzą: odtrącała je na razie z niechęcią, darła kopertę, w któréj były zawarte, pierwszy natrętny wierzyciel zabiérał je wszakże, a ona, leżąc na kanapie, zmęczona krzykiem dzieci, których bona nie umiała zająć i zabawić, myślała o czuwającym nad nią tajemniczym opiekunie.

Zenon rysował się w jéj myślach zrazu niedołężnym, słabym konturem, stopniowo jednak wyrastał na bohatéra.

Kochał ją, kochał zawsze, tylko nie umiał mówić o miłości swéj, a ona... ona była niewdzięczną dla niego, nie oceniała go nigdy, nie usiłowała, nie chciała go rozumiéć. Teraz, gdyby los kiedy zbliżył ją z nim na nowo, byłaby stokroć lepszą dla niego...

Tysiące scen romantycznych, czułych odtwarzało się w jéj umyśle z Zenonem.

Czemu nie umiała patrzéć nań dawniéj tak, jak byłaby patrzyła teraz? Czemu na odległości dopiéro dostrzegała szlachetne cechy jego charakteru, które niknęły dla niéj zbliska?

Delikatny, łagodny, spokojny, o ileż lepszy był dla niéj od Stasia.

Po rozejściu się z Zenonem niedługo była szczęśliwa. Staś wkrótce stał się dla niéj ostry, szorstki, niemal brutalny. Dochodziło do gwałtownych scen między nimi. Wymawiał jéj zniweczony los swój; dowodził, że przez nią nie napisał dzieła, które miał w sercu i w głowie, przez nią popadł w drzémkę sybaryty, która zabiła w piersi jego polot natchnienia. Ona była demonem jego życia, jak cień ponury, zagrodziła mu drogę powodzenia i sławy. Przy niéj rozleniwił się, jak ona. To, co bawiło go na razie, haremowa jéj kokieterya, drobne kaprysy, łzy, które z pieszczotliwego rozgrymaszenia wyléwała na ramiona jego, — nudziło go teraz i drażniło do najwyższego stopnia. Uciekał z domu, wyjeżdżał do sąsiadów na tygodnie całe, a majątek jego tymczasem coraz bardziéj chylił się ku upadkowi: groziła im nędza... Przytém, co rok niemal przybywało coś małego. Staś był bezwzględny. Zenon—oh, on miesiącami całemi nie zbliżał się do niéj, nie chcąc jéj męczyć...

Gdyby tak...

Miewała pomysły szalone: zdawało się jéj naturalném zupełnie, gdyby któregokolwiek dnia, zabrawszy z sobą dwoje starszych dzieci, Franka i Heniulę, opuściła Stasia i sprowadziła się do Zenona: prze-

cież był jéj mężem; prawo kościelne i cywilne nie mogło zerwać węzłów, jakie łączyły ich niegdyś.

Leżąc na kanapie, o zmroku, układała sobie w myślach pierwsze sceny powitania z Zenonem.

Kochał ją: tego była pewna; byłby dla niéj dobry, jak niegdyś, nawet może jeszcze lepszy, względniejszy.

Stanowczo Staś nie dorównywał mu w niczém. Początkowo jeszcze, póki godzinami całemi marzyli razem, połączeni uściskiem, kochała go bardzo i była szczęśliwa. Od paru lat jednak, po gwałtownéj scenie, jaką zrobił jéj wobec kilku sąsiadów i sąsiadek z okolicy, nazywając ją publicznie egoistką, próżniakiem i kapryśnicą, przypisując jéj głośno i przy wszystkich zgubę swoją, od paru lat nie mówili ze sobą.

Zamknięta w swoim pokoju, Ludka całemi dniami rozmyślała nad szczęśliwą swą przeszłością. Nudziła się teraz znowu szalenie. Nie miała chęci czytać, nie miała chęci szyć: do książek i do roboty czuła wstręt nieprzezwyciężony. Najlepiéj było jéj, gdy, leżąc na miękkiéj, niskiéj kanapie, drzémała zlekka lub snuła fantastyczne plany przyszłości.

Przeszkadzały jéj tylko dzieci. Bona nie umiała utrzymać ich w spokoju: co chwila wpadały do niéj to z jakąś prośbą, to ze skargą jedno na drugie.

— Niech panna Berta weźmie stąd Jasia! Że téż panna Berta nie zajmie niczém Heniuli i pozwala jéj tak biegać po pokojach. Franio ma brudny fartuszek: trzeba go zmienić — rozlegał się od czasu do czasu matowy, przyćmiony i jak gdyby siłą woli z leniwéj krtani wydobywany głos Ludki.

Dzieci nie pozwoliły jéj wypocząć ani przez chwilę: to było okropne!

Zenon napewne umiałby ją otoczyć tak staranną opieką i troskliwością, że nie czułaby zupełnie kłopotów macierzyństwa.

Zenon nie schodził teraz z jéj myśli. Na każdym kroku, przy każdéj sposobności wracała pamięcią do niego.

Położenie jéj stawało się coraz gorsze. Staś całemi tygodniami nie zaglądał do domu, jeżdżąc po sąsiadach okolicznych, pijąc i grając w karty u nich. Majątek, którym nie miał kto rządzić, nie przynosił żadnych dochodów. Wierzyciele napiérali coraz silniéj o zwrot sum zahypotekowanych. Któregoś ranka wreszcie Ludka wraz z dziećmi znalazła się na bruku, a Staś za całą pociechę wobec służby i komornika rzucił jéj w twarz garść obelg.

— Próżniactwem, sybarytyzmem i niedołęstwem swojém dopro-

wadziłaś mię do nędzy; złamałaś los mój, zagrodziłaś mi drogę do szczęścia i sławy: cierp teraz! — wołał, grożąc jéj zaciśniętemi pięściami.

Co należało począć? Dzieci płakały; ona sama wybuchała co chwila łkaniem spazmatycznėm. Życie było dla niéj okrutne, bezlitosne, przygniatało ją brutalnym swym ciężarem; los obchodził się z nią, jak z galerniczką, potępioną bez winy... Co należało począć? Do kogo zwrócić się o pomoc? Rodzice umarli, siostra wyjechała daleko...

Jak gwiazda nadziei, błysnęła naraz w myślach jéj postać Zenona. Uspokojona, napisała do niego:

„Jesteśmy w nędzy; ja i dzieci moje nie mamy dachu nad głową. Dopomóż nam: inaczéj zginiemy..."

W trzy dni potém na ręce Ludki przyszła paczka pieniędzy i krótki, suchy bilecik Zenona, radzący dawnéj swéj żonie osiąść w Warszawie, gdzie przyrzekał zająć się bliżéj losem jéj i dzieci.

W rok potém obiegały miasto dziwne wieści: mówiono dużo o stosunku Zenona i Ludki. Dawny mąż odwiedzał ją codzień. Wchodził do niéj drżący, wzruszony, wychodził, pełen rozmarzenia. Głos Ludki, jéj fioletowe, lekko przymrużone, ciemną rzęsą ocienione oczy odurzały go. Dziwny czar wywierała nań całą swą istotą. Kochał ją taką, jaką była; kochał teraz stokroć jeszcze więcéj, aniżeli dawniéj, gdy prawnie wobec ludzi mógł nazywać ją żoną swoją. Tajemniczy stosunek z nią działał nań podniecająco. Zwolna, nieznacznie wciągał się w sidła jéj sybarytyzmu; coraz dłużéj przesiadywał u niéj, coraz silniéj upajał się atmosferą rozleniwienia, którą roztaczała dokoła siebie. Wracał od niéj odurzony, upojony. Częstokroć, myśląc o niéj, zapominał o załatwieniu najpilniejszych interesów, odkładał je do następnego dnia lub z następnego jeszcze na następny, aż termin byłby minął, gdyby nie baczność Juli, która czuwała nad nim i karciła go ostro za wszelką zwłokę.

O, jakżeż wstrętną wydawała mu się ona nieraz z tym swoim męskim umysłem, męską energią i męskim hartem woli! Nie znosił stanowczego tonu głosu, jakim przedstawiała mu konieczność takich a nie innych kombinacyi handlowych; drażnił go jéj absolutyzm, drażniła powaga i znaczenie, jakie nadawała sobie. Teraz dopiéro zrozumiał, czemu, ceniąc ją, nie kochał jéj nigdy: zamiast dopełnieniem jego, była drugą, zamkniętą w sobie całością; zamiast opiérać się na nim, omotać się dokoła niego, jak wątły powój dokoła konarów dębu, żyła sokami własnych trzewi i tyle siły miała w sobie, że jego jeszcze

w chwilach upadku podtrzymać była zdolna. Czuł się upokorzony wobec niéj. Nie mógł nigdy powiedziéć jéj, jak Ludce:

— Ufaj mi, wierz; ja uchronię cię od wszelkiéj krzywdy; pierś moja, zbrojna w pancerz hartu i wytrwania, odbije wszelkie, przeciw tobie mierzone pociski.

Jula nie potrzebowała, jak tamta, jego obrony: wystarczała sama sobie, a teraz nawet — postrzegał to coraz wyraźniéj stała, pełna rozwagi, na straży jego i swoich interesów.

Coraz mniéj pracował. Opanowała go dziwna niechęć do zwykłych codziennych zajęć; jarzmo musowych obowiązków ciążyło mu na piersiach bryłą ołowiu.

Coś dziwnego działo się z nim teraz, coś, czego nazwać, ani określić nie umiał. W duszy powstawała tęsknota za straconą młodością. Życie ubiegłe nie zostawiło mu nic, prócz kilku stłumionych w samym zarodku porywów, garści niespełnionych marzeń.

Tak być nie mogło. Raz jeden przynajmniéj musiał wychylić do dna kielich rozkoszy, jakich dokoła niego kosztowali codzień wszyscy; raz jeden musiał paść, odurzony niemi, niby haszyszem. Mniejsza o to, co powié świat i własne jego sumienie. Pęta powściągliwości, w które skuto go od lat dziecinnych, rozbiegły się nagle: zagrały w nim zmysły dotąd wolą rozsądku kierowane, ocknęły się żądze uśpione: niby ze snu zbudzony, wstał do nowego życia.

Ludka pociągała go coraz silniéj. Piękna zawsze, a mniéj wygająca, niż dawniéj, patrząc mu w oczy z pieszczotą, szeptała:

— Dlaczegom ja ciebie nie rozumiała dawniéj? Dlaczego nie odczuwałam tak, jak teraz, każdego drgnienia twego serca, dlaczego nie czytałam w spojrzeniu twém każdéj myśli twojéj? O, jakżeż inną byłabym dzisiaj dla ciebie! Jak umiałabym ocenić wszystko, co robisz dla mnie! Nie narzekałabym na nic! pieściłabym tylko, pieściła cię bez końca, a ty musiałbyś mnie kochać bardzo, bardzo, więcéj... od... tamtéj.

Wspomnienie Juli rzucało troskę na czoło jego; szybko wszakże wracając do równowagi, tulił i pieścił Ludkę.

Odjechać z nią gdzieś daleko, na kraniec świata, tak, aby nikt o nich nie wiedział, nikt nie kaléczył ich żądłami złych języków, stało się teraz pragnieniem jego jedyném. Zaczął miewać dawne marzenia: niebo południowe, szmer egzotycznéj przyrody, lasy dziewicze, góry niebotyczne, kaskady szumiących potoków, świergot rozweselonego ptastwa, szmaragdowe tonie wód, morze piasku, roztopionego w słońcu, tysiące świetnych i zmienianych co chwila, jak w kalejdoskopie, obrazów snuło się w myślach jego. Być tam wszędzie z Lud-

ką, miéć ją dla siebie wyłącznie, nie dopuszczać do niéj nikogo, uciec od Juli, któréj spojrzenie, pełne niemego wyrzutu, ścigało go wszędzie,—stało się żądzą jego najgorętszą. Musiał ją spełnić: inaczéj — rozsadziłaby mu piersi.

Któregoś wieczora, siedząc na niskim stołeczku u stóp Ludki, pochylony nad pantofelkiem jéj, którego brzeg całował co chwila, spytał, patrząc na nią badawczo:

— Czy chciałabyś pojechać ze mną daleko, tak, aby nie doścignęły nas potworne plotki ludzkie, abyśmy lat parę mogli przebyć sami ze sobą tylko, odgrodzeni od świata, nie śledzeni przez nikogo, oddani sobie tylko i otaczającéj nas przyrodzie?...

Ona spojrzała na niego zdumiona, a po chwili, wskazując ręką na dzieci, uśpione w sąsiednim pokoju, dodała z westchnieniem:

— Nie jestem wolna, jak wówczas, kiedy z wolności téj korzystać nie umiałam; nie mam prawa rozporządzać sobą...

Zenon uśmiechnął się. Wszystko obmyślił już z góry. Przy dzieciach Ludki miała zostać kuzynka jéj, wdowa, która mogła zapewnić im troskliwą i baczną opiekę; pieniądze dla nich miał złożyć u kasyera swego; nie, żadna najlżejsza przeszkoda nie powinna była zmącić planu, który wykołysał myślą, niby hasło przyszłego swego szczęścia.

— Pojedź ze mną na rok, na pół roku choćby! — błagał, całując oczy, szyję i usta Ludki, która nie broniła mu pieszczot, lecz patrzyła na niego coraz bardziéj zdziwiona.

Nie rozumiała go zupełnie; nie pojmowała, co się z nim stało. On, zwykle taki spokojny, martwy, jak z kamienia wykuty, dziś drżał całém ciałem; w oczach jego migotały płomyki, nadające im blask dziwny; twarz, usta, dłonie pałały. Był jak w gorączce, na pół przytomny. Coraz usilniéj, coraz natarczywiéj błagał:

— Pojedź, pojedź ze mną! Będzie nam tak dobrze! Uciekniemy od ludzi, od świata... Zapomnimy o wszystkiém, co krępuje nas teraz: będzie nam dobrze, bardzo dobrze.

Duże senne oczy Ludki rozwarły się szeroko. Wstała powoli, przeciągnęła się, jak kotka i, spojrzawszy na Zenona raz jeszcze ze zdumieniem, z niedowierzaniem rzekła półgłosem:

— Bredzisz, jak w malignie. Coby świat powiedział na to, gdybym opuściła dzieci swoje?... Spełniłabym twe życzenie chętnie, dziś jednak nie mam prawa myśléć tylko o sobie.

Zenon umilkł. Przestał drżéć, jak w febrze. Płomyki przygasły naraz w jego oczach. Oprzytomniał. Przyszedł do całkowitéj, zupełnéj równowagi. W piersiach uczuł bryłę lodu, któréj chłód roz-

szedł się po wszystkich jego członkach. Wargi i dłonie, w których przed chwilą pulsowała krew żywa, ostygły nagle. Zimny, sztywny, obojętny, jak zwykle, spojrzał w milczeniu na Ludkę, która, przeszedłszy dwa razy przez pokój, już uczuła się zmęczoną i padła rozziewana na kanapę.

I on chciał narazić ją na trudy podróży, na niewygody kilkoletniéj tułaczki po świecie, ją, dla któréj spokój i cichy jednostajny tryb domowego życia był wszystkiém, czego żądała od losu...

Pojął krzywdę, jaką jéj chciał wyrządzić, on, egoista, samolub bez serca...

Do końca wieczora nie odezwał się już ani słowem. Żądza podróży przycichła w nim nagle. Życie zabijało w nim wszystkie pragnienia: rzeczywistość, któréj pęta czuł na sobie od pierwszych chwil dzieciństwa, nie pozwalała mu marzyć: tęczowe bańki ułudy pryskały w powietrzu, nim zdołał je objąć chciwym, niepewnym wzrokiem.

Ludka kazała mu usiąść przy sobie; miękką, białą dłonią gładziła czoło jego i włosy; pozwalała mu od czasu do czasu całować swoje usta.

Pieszczoty te wystarczały jéj najzupełniéj. Rozleniwiła się tak dalece, że męczyła ją nawet rozmowa; silniejsze wrażenia byłyby ją doprowadziły do rozpaczy. Zenon dziś zaspakajał wszystkie jéj najgorętsze porywy i życzenia.

Punktualny, troskliwy o nią i o dzieci, wchodzący w każdy najdrobniejszy szczegół domowego jéj życia, pamiętający o wszystkich jéj potrzebach, stał się dla niéj nieodzownym. Bez niego zginęłaby niechybnie. Kochał ją tak bardzo. Dziś dopiéro zrozumiała skrytą, obojętną napozór, lecz w gruncie głęboką, szlachetną i wrażliwą jego naturę. Dla niéj rzucił „tę drugą”, żonę swoją, matkę swych dzieci. Przez nią on, silny, pełen hartu, jak stal nieugięty, świadomy czynów swoich, przeniewierzył się najświętszym obowiązkom życia: to ją zadawalniało i przekonywało o uczuciach jego dostatecznie. Ostatniego wieczora, kiedy, szalony, na pół przytomny, namawiał ją do ucieczki, ujrzała zwycięstwo swe tak całkowite, tak nieopisanie świetne, że w najśmielszych nawet marzeniach nie roiła o niém. Przelękła się namiętności Zenona, która mogła wyprowadzić z chwilowéj równowagi ich oboje: to też rozziéwanemi usty odpowiedziała na zaklęcia jego.

Tak dobrze było jéj teraz! Czuła się szczęśliwą, jak nigdy. Zenon, wpatrzony w nią jak w tęczę, zaspakajał całkowicie wrodzoną żądzę hołdów i uwielbienia. Ktoś żywszy, ruchliwszy od niego, byłby ją zmęczył: nie chciała wychodzić z sennego swego spokoju; leni-

wa, ociężała, nadewszystko wygodę swą ceniąca, uciekłaby od kochanka, narażającego ją na częste sprzeczki, nieporozumienia, na sceny zazdrości lub gorzkie wymówki. Zenon nie wymagał nic od niéj; zadawalniał się pieszczotami i pocałunkami, oddalał od niéj wszystkie kłopoty. Cichy, spokojny, raz jeden tylko zawrzał namiętnie, ale to przeszło szybko. Życie ich zaraz nazajutrz po owym nerwowym wybuchu wróciło do trybu dawnego. Punkt siódma wieczorem Zenon przyszedł, jak zwykle, załatwiwszy w ciągu dnia wszystkie zlecenia Ludki; usiadł przy niéj, całował ją, mrużył oczy, gdy ona białą swoją rączką gładziła jego włosy.

Tak musiało być zawsze. Ludka nie wyobrażała sobie innego życia. Co ją to obchodziło, że ktoś łzami krwawemi opłakiwał jéj szczęście? Uśmiéchała się na myśl, że odbiéra Juli serce męża: wbijało ją to w dumę, podniecało ambicyę.

Nieraz byłaby przyjęła Zenona w rannym, cokolwiek zmiętym i przybrudzonym szlafroczku, którego nie chciało się jéj zrzucać w ciągu dnia: ociężała bowiem tak bardzo, iż straciła chęć nawet do strojów. Wspomnienie Juli wszakże, którą widywała na ulicy zawsze świéżo, jak z żurnala wyciętą, w skromnéj, ciemnéj, lecz według ostatniéj mody skrojonéj sukni, podniecało ją: trefiła włosy i ubiérała się starannie na przyjęcie Zenona. Biała jéj szyja i aksamitne, pełne ramiona nęciły z pod zwojów koronek i przezroczystych muślinów. Całując ją, Zenon czuł zawrót głowy.

Czemu Jula nie była do niéj podobna?

Szczupła, drobna, mała, o bladéj, przezroczystéj niemal cerze i żywych, płomienistych, dużych, bardzo rozumnych źrenicach, nie miała, jak tamta, leniwych ruchów rozpieszczonéj kotki, nie podawała ust do pocałunków z têm lubieżnêm, zmysłowêm upojeniem, jakie drgało w sennych, przymrużonych fijołkowych oczach Ludki. Czynna, wiecznie czémś zajęta, nie wiedziała, co to jest spoczynek. Nikt nie widział jéj nigdy leżącéj. Pierwsza w domu wstawała. Wychodziła do służby ubrana, jak na ulicę. Zenon od pierwszych chwil pożycia z nią uczuwał pewną, tłumioną skrycie, niechęć do niéj. Dotąd z pomiędzy ludzi, jakich znał, nikt tak, jak on, gorliwie i wytrwale nie spełniał obowiązków swoich: Jula prześcignęła go energią, sumiennością i wytrwałością swoją. Im bardziéj on, zarażony atmosferą Ludki, leniwiał, têm usilniéj ona zastępowała go w pracy, aż nakoniec wszystkie drobne i większe niteczki, cała splątana, zagmatwana sieć interesów znalazła się w jéj ręku. Zenon nie spostrzegł, jak powoli, stopniowo, w biurze u siebie, zeszedł na plan drugi. Ludka ustami wampira wyssała zeń wszystkie soki żywotne; coraz bardziéj

tracił przy niéj siły, wolę i energię. Najpilniejszą robotę rzucał, aby biedz do niéj, ilekroć wezwała go krótkim, niedbałym bilecikiem. Siedział u niéj nieraz pół dnia i dzień cały, jeżeli ona, kaprysząc, udając chorą lub smutną, zatrzymywała go przy sobie. Miłość dla niéj zabijała go, a jednocześnie — czuł to dobrze — przez nią i dla niéj tylko istniał. Ona, zatruwając w nim wszystkie szlachetniejsze porywy, znieprawiając go moralnie, podtrzymywała go zarazem przy życiu.

Przychodziły chwile, kiedy, pełen zwątpienia, goryczy i niechęci sam dla siebie, pojmując moralny swój upadek, widząc krzywdę, wyrządzaną kobiécie, targającéj siły swoje w pracy dla niego, patrzył w ciemną lufę rewolweru, jak w źródło jedynego swego wybawienia.

Dreszcz przejmował go jednak na myśl o śmierci. Coby poczęła Ludka bez niego? Rodzina jéj częścią wymarła, częścią odsunęła się od niéj zupełnie, mąż rozpił się: znajdowano go nieraz nieprzytomnego w rowach przydrożnych. Włóczył się po ulicy i wyciągał, jak żebrak, rękę do przechodniów z prośbą o jałmużnę.

Coby poczęła Ludka sama z czworgiem dzieci, niezaradna, pojęcia nie mając o pracy?

Gorycz, niesmak i niezadowolenie z samego siebie ustępowały wrażeniu wielkiego współczucia. Nie mógł pragnąć śmierci: potrzebował żyć dla niéj, dla téj wielkiéj, pięknéj kobiéty, o kształtach huryski i spojrzeniu Omfali.

Czarowała go, wabiła; wpadał w sieci jéj wdzięków, bezsilny, tracąc z dniem każdym moc panowania nad sobą, gnuśniejąc i leniwiejąc z dniem każdym.

Jula, któréj nie kochał, pracowała na niego i na „tę drugą”... Świat dziwił się temu z początku, stopniowo przywykł jednak do takiego, a nie innego trybu życia trzech istot ludzkich, spojonych ze sobą silnie maszyneryą bytu.

Nie ma anomalii w stosunkach życiowo-społecznych, którym nie ulegnie opinia, jeżeli upór jéj trwania przezwycięży ją w czasie.

Marek Derwid.



FERDYNAND BRUNETIÈRE.

Trafiwszy na kartę, z tylko co wypisaném przez nas imieniem najnowszego z akademików francuskich, powiész sobie prawdopodobnie łaskawy czytelniku:

— Jeszcze Brunetière!...

Jeszcze... gdyż ostatniemi czasy nieraz zapewne spotykałeś się z obcém, lub prawie obcém ci do niedawna nazwiskiem. Jeszcze... gdyż dolatujące z nad Sekwany echa poinformowały cię już niejednokrotnie o tém, iż ów najnowszy, czy téż, jak się dziś mówi, „ostatni" z akademików jest: pedantem, arogantem, ignorantem i t. d. i że w gruncie nie jest on nawet niczém inném, jak „słoikiem Liebiga, starającym się kopnąć nogą stado wołów" [1]).

Wszystkiego tego nie mamy zamiaru ani ci powtarzać, ani téż stwierdzać, lub prostować. Obok jednak wyżéj wymienionych lub niewymienionwch przez nas, a znanych ci z innych źródeł, własności umysłu i serca, p. Brunetière posiada jeszcze parę innych. Jest autorem całego, dziś już dość długiego szeregu tomów, z których kilka szczególnie przedstawia się — poważnie. Jako dziennikarz — przepraszam, publicysta — jest jednym z najbardziéj wykształconych i myślących. Wykłady jego, jako profesora i prelegenta publicznego, należą do najbardziéj uczęszczanych i wywiérają głęboki wpływ na umysły słuchaczy. Ci, z najzaciętszych nawet przeciwników nowego akade-

---

[1]) Obrazowe to porównanie czerpiemy z jednego z licznych artykułów o p. Brunetière, zamieszczonych ostatniemi czasy w paryskim dzienniku „Eclair".

mika, którzy go czytali lub słuchali, przyznają mu zresztą niepospolitą erudycyę. We wszystkich nakoniec owych obszerniejszych i drobnych pracach, wykładach publicznych i szkolnych tkwi coraz jaśniéj, wyraźniéj przebijająca się myśl, co im nadaje charakter pewnéj całości, jednego z tych jeśli nie „pałaców”, to przynajmniéj domów lub domków, zbudowanych z idei, których w zasadzie można być przeciwnikiem, lecz które znać—nie zawadzi. O tych to pracach, zbiorach artykułów i lekcyi, nie zaś o samym p. Brunetière, zamierzamy pomówić.

Mówić zresztą o nim, byłoby rzeczą nie zbyt łatwą, gdyż pomimo zaciekawienie, jakie budzi człowiek, którego imię stało się nagle tak głośném, wiadomości biograficzne, są nader nieliczne. Prasa dla braku informacyi, czy téż może pomna na niechęć, z jaką pan Brunetière odzywał się nieraz o wdziéraniu się jéj w życie prywatne, odsyła czytelników do Larrousse’a. Encyklopedya ta podaje do wiadomo ści ciekawych, iż F. Brunetière urodził się w 1849 r. w Tulonie, że w r. 1886 został mianowany „zastępcą” profesora literatury francuskiéj w paryskiéj wyższéj szkole normalnéj, a w r. 1888 otrzymał krzyż legii honorowéj. Do wiadomości tych dodamy kilka innych, zaczerpniętych z zeszłorocznego studyum p. Larroumeta, o dzisiejszym akademiku i z niedawnéj mowy członka akademii francuskiéj, hr. d’Haussonville. Zwolniony od służby wojskowéj z powodu krótkości wzroku, dwudziesto paro letni p. F. Brunetière przybywa do Paryża, żeby się dostać do tutejszéj wyższéj szkoły normalnéj i na wstępnym konkursowym egzaminie zostaje „ściętym”. Zmuszony szukać środków do życia w zarobku, daje lekcye w jakiéjś prywatnéj pensyi, czas po za owemi lekcyami spędza w bibliotekach, rozmiłowany w teatrze, do którego szczupłe środki nie pozwalają mu uczęszczać — wchodzi do klaki. Zostawszy członkiem jednego z tych, tak licznych we Francyi, a szczególniéj w Paryżu towarzystw, mających na celu szerzenie oświaty, a mianowicie *association scientifique de France*, probuje swych sił, jako mówca i prelegent publiczny, miewając odczyty z początku w lokalu stowarzyszenia saint-simonistów, a późniéj (1883 r.) w jednéj z sal Sorbony. Z początku „zastępca” profesora, późniéj kierownik konferencyi w wyższéj szkole normalnéj paryskiéj, zakładzie naukowym zamkniętym, p. Brunetière w zimie 1891—1892 roku występuje ponownie z publicznemi odczytami w teatrze Odeon, odczytami, których serya ukazuje się w tymże roku w formie książki, zatytułowanéj: „Ewolucya teatru francuskiego pomiedzy 1636 i 1850 r.” W styczniu tegoż 1893 r. rozpoczyna inną seryę odczytów publicznych, odbywających się w wynajmowanéj przezeń na ten cel wiel-

kiéj sali nowéj Sorbony. Seryę ich stanowi treść świéżo wydanego dzieła, zatytułowanego: „Ewolucya francuskiéj poezyi lirycznéj XIX-go wieku”. Oprócz dwu tych obszerniejszych prac, p. Brunetière wydał jeszcze i trzecią, zawiérającą jego wykłady w szkole normalnéj paryskiéj i zatytułowaną: „Ewolucya krytyki francuskiéj od epoki Odrodzenia po dzisiejsze czasy”.

Co się tyczy prasy, to imię p. Brunetière ukazuje się w niéj po raz pierwszy w początku 1875 r.; ukazuje się prawie jednocześnie w dwu pismach: tygodniku *Revue Politique et littéraire* i dwutygodniku *Revue des deux mondes*. W obu tych pismach występuje w roli sprawozdawcy literackiego. A jeśli dwa pierwsze niewielkie artykuły jego w przeglądzie *Polit et litéraire* (o dziele p. Wallona: „Król Ludwik św.” i p. J. Claretie: „Kamil Desmoulins”) przechodzą niepostrzeżone, za to pierwszy w *Revue des deux mondes* doznaje wielkiego powodzenia, powodzenia — ujemnego, zwracając na młodego krytyka uwagę prawie całego czytającego ogółu francuskiego. Zatytułowany „Współczesny romans realistyczny” — czém jest ów tak głośny artykuł? Przedewszystkiém artykułem młodego i —co się nazywa— nieostrzelanego jeszcze dziennikarza i artykułem, w którym „wyrazy są większe od rzeczy”, o jakich mówi, w którym uczucie góruje nad myślą, w którym owa przewaga nader niekorzystnie oddziaływa zarówno na treść, jak i na formę. Nie myślimy zapoznawać czytelnika z wątkiem tego, tak głośnego artykułu, gdyż artykuł ów, jak i wszelkie inne tego rodzaju, właściwie żadnéj treści nie ma. Autor występuje w nim, jako gwałtowny przeciwnik realizmu i naturalizmu, których zresztą nie rozróżnia, lub téż rozróżnia czysto powierzchownie; stawia przytém na jednéj desce Flauberta z Hekt. Malot a Zolę z Anglikiem Richardsonem; hałasuje o bezwstydzie i zamiłowaniu pisarzy tych w bezeceństwach i nawołuje do poszanowania moralności i tradycyi. Wszystko to, razem wzięte, sprowadza się do nader płytkiego i niesmacznego „besztania”, z jakiém nieraz spotykaliśmy się i w pismach naszych, z jakiém nie trudno spotykać się i w piśmiennictwie innych krajów. Tylko, że zarówno pisarze ówcześni, jak i ówczesne społeczeństwo francuskie, w przeciągu dwudziestu z górą lat przyzwyczaili się do krytyki, w któréj nadawali ton: Villemain, Sainte-Beuve i Taine; krytyki o wykwintnych formach, filozoficznych podstawach i filozoficznym spokoju; krytyki, co nie chciała „ani sądzić, ani przebaczać”, ani nawet klasyfikować, a zadawalniała się analizowaniem utworów, wykazywaniem ich stosunku do autorów i okoliczności, w jakich te utwory powstały. To téż zuchwałe i brutalne wystąpienie p. Brunetière wywołało nietylko oburzenie, lecz i zdumienie, które z kolei zrodziły

pytania: Kim jest ów nikomu nieznany i tak mocno złoszczący się pan? I w jaki sposób, nieznany, dostał się on do *Revue des deux mondes*, pisma, lubującego się w „dystynkcyi” i wymagającego zazwyczaj od swych współpracowników takiego wyrobienia, iż ci, co nie dostają się do niego dość prędko, lub nie dostają się wcale, przezwali je „przytułkiem dla dystyngowanych starców”. A na pytania te ktoś, ów „ktoś”, zawsze bezimienny, lecz wszędzie i zawsze obecny, podszepnął odpowiedź, iż p. Brunetière jest to ambitny i nieokrzesany pedant prowincyonalny, starający się za pomocą „schlebiania reakcyjnéj klice” i okupywanéj schlébianiem tém protekcyi, zdobyć sobie stanowisko w prasie paryskiéj i paryskich salonach. Co w podszepcie tém jest prawdą, a co kalumnią? P. Brunetière tak starannie i stanowczo unika wszelkich zwierzeń, tak zacięcie broni się przed wszelkiemi próbami wtargnięcia w jego zarówno wewnętrzne, jak, i to szczególnie, zewnętrzne, materyalne życie osobiste, iż odpowiedziéć na powyższe pytanie nie umiemy. Tak więc, czy inaczéj, tamta odpowiedź, podszepnięta przez jakieś X., niewiadome X., przemknąwszy się w téj formie przez parę dziesiątków dziennikarskich artykułów i *entre-filets* i powtarzana całkiem już wyraźnie przez kilka setek ust, podaje się obecnie, po dwudziestu blisko latach, jako pewnik i bodaj, że jedyne tłómaczenie rzeczywiście dość szybkiéj karyery najnowszego z akademików francuskich.

Powróćmy jednak do artykułu o „współczesnym romansie realistycznym”. Najsłabszy, zarówno pod względem treści, jak i formy, ze wszystkiego, co wyszło z pod pióra p. Brunetière, jest on zarazem, omal, że nie jedynym, znanym szerokim kołom francuskiego czytającego ogółu. P. Brunetière względnie (do ogólnéj ilości napisanych przezeń artykułów krytycznych) nie często zajmuje się bieżącém powieściopisarstwem. Szuka tematów dla studyów swych przeważnie w historyi literatury francuskiéj, w pracach, poświęconych owéj historyi, ku czemu pociąga go zarówno widoczne zamiłowanie i zapas z góry nabytych i coraz rosnących w kierunku tym wiadomości, jak i ten charakterystyczny pogląd jego na stosunek owéj historyi do teraźniejszości, o którym pomówimy wkrótce. Stąd większość prac dzisiejszego akademika dla szerokiego ogółu francuskiego są to: „ćwiczenia pedanta”, „popisy erudycyi”, które się zlekka tylko przerzuca, lub pomija całkiem. Stąd też to po swojemu ciekawe zjawisko, iż nawet dziś, gdy imię p. Brunetière stało się tak głośném i gdy noszący je człowiek zajął tak wybitne wpływowe stanowisko, poglądy, teorye jego są względnie mało i powierzchownie tylko znane, ze śladami czego spotykamy się nawet w akademickiéj mowie hr. d'Haussonville.

P. Brunetière posiada rzeczywiście niepospolitą erudycyę w dziedzinie literackiéj i ogólnéj historyi Francyi, ale ponieważ, czy to poprawiając, czy téż dopełniając rozpatrywany przez się utwór, hojnie szafuje swemi bogactwami, większość krytycznych artykułów jego zawiéra w sobie masę faktycznych wiadomości, czyniących artykuły owe daleko ciekawszemi i bardziéj nauczającemi, niż najdowcipniejsze nawet i najpiękniéj napisane rozprawy i rozprawki krytyków impresyonistów, nie wyłączając i tych, co wychodzą z pod pióra takiego, ównież niepospolitego erudyty w téjże dziedzinie, jakim jest p. A. France. Owa hojność w szafowaniu wiadomościami faktycznemi nie jest jednak ani popisem erudycyi, ani téż głównym znamiennym rysem krytycznych studyów i rozpraw p. Brunetière'a. Nie, gdyż zarówno wiadomości owe, jak i sam rozpatrywany utwór, jak wszystko, czego w pracach swych dotyka, są to dla niego tylko pretektsty sposobności do wypowiedzenia jakiegoś zdania, jakiéjś myśli, mniéj więcéj ogólnéj, dla któréj, a jest to nader widoczném, autor wziął się do pióra, o którą prawie że wyłącznie troszczy się.

Jakież to są owe poglądy, idee, wypowiadane przez dzisiejszego akademika? Zarówno ogromna ilość napisanych przezeń studyów krytycznych, które dziś już stanowią kilkanaście tomów [1]), jak i ich dorywczy, okolicznościowy charakter, sprawiają, iż studya owe nie nadają się całkowicie ani do streszczenia, ani do poszczególnéj ich charakterystyki. Zamiast więc zapoznawać z owemi mniéj więcéj drobnemi pracami, będziemy zmuszeni uciec się do ogólnéj charakterystyki jego zapatrywań i dążności.

Wspomnieliśmy przed chwilą o zamiłowaniu nowego akademika do historyi literatury. W historyi téj autor przekłada literaturę XVII wieku, a w wieku tym drugą jego połowę, okres panowania Ludwika XIV-go. Upodobanie to, podzielane przez bardzo wielu i bardzo rozmaitych ludzi, zaczynając od Voltaire'a *(Le siècle de Louis XIV)* a kończąc na pisarzach rozmaitych podręczników, nie zwróciłoby prawdopodobnie uwagi, gdyby nie pewna namiętność, jaką p. Brunetière w nie wnosił, gdyby nie romantyczne i polityczno-liberalne krytyki, które odarły literaturę okresu tego z jéj dawnéj aureoli i z wieku niegdyś złotego nie zrobiły wieku formalistyki i płaszczenia się przed „królem-słońcem".

---

[1]) Pięć tomów „Etudes sur l'histoire de la littérature française", dwa „Questions de la critique", dwa czy trzy „Nouvelles questions de la critique", dwa „Etudes sur la littérature contemporaine", jeden „Le Roman naturaliste" i t. d.

Jakież-to rysy dzisiejszy akademik najbardziéj ceni w literaturze okresu tego? Z zewnętrznych, obok języka i stylu, są niemi: poszanowanie dla pewnych stałych, powszechnie używanych form; umiejętność zachowania we wszystkiém miary. Z wewnętrznych: traktowanie w utworach człowieka, jako człowieka, a nie jako pewną poszczególną jednostkę; podnoszenie w nim tych stron, uczuć, dążności, które chociaż występują w danym bohatérze, czy téż bohatérce dosadniéj, potężniéj, niż w codzienném życiu, są jednak uczuciami i dążnościami nie indywidualnemi, lecz ogólno-ludzkiemi, czy téż ludzkiemi wogóle. Obok rysu tego, który szczególnie ceni, dzisiejszy akademik zaznacza kilka innych. Psychologię, polegającą na walce woli z przeszkodami zewnętrznemi, lub z samą sobą; poszanowanie dla wszystkiego, co uświęcone przez czas i obyczaje stało się cząstką duchowego życia narodu; ogólną podniosłość myśli i uczuć; interesowanie się niepoziomemi, przemijającemi zjawiskami, lecz głębszemi, ogólnoludzkiego znaczenia zagadnieniami.

Wszystkie te rysy razem wzięte każą p. Brunetière'owi widzićć w umiłowanym przezeń okresie nietylko złoty okres literatury francuskiéj, lecz zarazem i epokę ogólnego rozkwitu ducha narodowego. Co się tyczy pisarzy, tym, w którym wszystkie tylko co wspomnione rysy występują jaknajwyraźniéj, który jaknajświetniéj reprezentuje ówczesną epokę, zdaniem dzisiejszego akademika, jest Bossuet. To téż szacunek i zamiłowanie p. Brunetièr'a dla słynnego kaznodziei są bezgraniczne. A z cytat i wzmianek, nader licznych, widoczném jest, iż po nad pisarza, mówcę i myśliciela przekłada w nim moralistę.

Moralistą i moralizatorem (tym ostatnim szczególnie wyraźnie w początkach) jest téż i sam dzisiejszy akademik, a rys ten występuje nader dosadnie we wszystkich bez wyjątku pracach jego, zaczynając od owego głośnego artykułu o współczesnym romansie realistycznym i kończąc... kończąc prawdopodobnie na ostatnim, jaki kiedyś napisze. Moralność lub niemoralność analizowanego pisarza, jeśli go analizuje, jest stałym powodem tych zapalań się, uniesień, które tłómacząc się po części południowym temperamentem, a po części moralizatorskiemi tendencyami dzisiejszego akademika, stanowią jeden z najwybitniejszych rysów jego osobistego usposobienia. Obok studyów o Bossuet'cie i jego długoletnim oponencie i współzawodniku, Fenelonie, z których drugiego autor tak zapalczywie maltretuje, jak pierwszego miłuje, nader charakterystycznym, pod tylko co wspomnionym względem, jest literacki portret Voltaire'a. Napisany z powodu ukazania się książki p. Desnoirterres: „*Voltaire et la société du XVIII s.*", oparty na jakiéj setce cytat, dokładnych, lecz stronniczo dobranych,

składający się z masy drobnych faktów i fakcików, zaczerpniętych z obszernéj i różnorodnéj korespondencyi samego Voltaire'a, jego znajomych, przyjaciół i wrogów. Portret ów, rys po rysie maluje moralną stronę Voltaire'a. Odpowiednio ugrupowane i oderwane od stosunków i obyczajów ówczesnéj epoki, a przeciwnie z umysłu ciągle zestawiane z dzisiejszemi pojęciami: o moralności, o godności ludzkiéj, rysy owe sprawiają, iż malowany niemi człowiek zmienia się nagle w kupę jaknajwstrętniejszego błota. Autor portretu nie ukrywa zresztą ani trochę uczuć, jakie w nim budzi oryginał, pozwalając sobie naprzykład na podstawie całkiem arbitralnych przypuszczeń twierdzić, iż nawet interwencya przestarzałego Voltaire'a w głośnych polityczno-religijnych procesach: Calas'a, Sirvene'a, La Barre'a, była ze strony jego prostém wyrachowaniem. Obszerne to studyum kończy się oświadczeniem, iż „ostatnim zręcznym wybiegiem starego i chytrego dworaka było to, że „w porę umarł" [1]).

Wychodząc z tegoż moralistycznego punktu widzenia, p. Brunetière, który właściwie nie należy do obozu reakcyonistów politycznych (obacz krytykę „Historyi rewolucyi" H. Taine'a), potępia jednak tych z pisarzy i działaczy końca XVIII-go i początku XIX-go wieku, jakich mu wypada analizować, mówiąc wielokrotnie z nietajoną niechęcią o „płytkim" racyonalizmie lub racyonalistycznym deizmie owego okresu, o upadku ideałów, rozprzężeniu moralném i t. p. rzeszach. Jako moralista téż, a nie jako myśliciel, zachwyca się moralistą i człowiekiem, w niedawno zmarłym filozofie Caro. W przeglądzie utworów Schopenhauera, zrobiwszy uwagę, iż spostrzeżenia, na jakich autor ów opiéra swe wnioski, są niedostateczne i że wnioski owe nie wypływają koniecznie (chodzi o konieczność logiczną) ze spostrzeżeń, na jakich są oparte, podpisuje się w końcu pod wnioskami owemi dlatego, iż uważa pesymizm za teoryę umoralniającą.

Do dwu ostatnich przykładów, świadczących o tém, iż w samym p. Brunetière moralista góruje nad myślicielem [2]), dodamy jeszcze trzeci, który chociaż mniéj wyraźnie sformułowany, zdaje się być nie mniéj wymownym. Pisząc w r. 1876 przegląd francusko-niemiecko-angielskiéj literatury naukowéj, zajmującéj się teoryą ewolucyi i transformizmu, pomimo widocznéj ostrożności, z jaką porusza się na obcym, a przynajmniéj mało mu znanym gruncie nauk przyrodniczych,

---

[1]) „Etudes critique sur l'histoire de la litterature française". Hachette, 1888 r., tom I, str. 248.

[2]) Oba te przykłady czerpiemy ze zbioru: „Questions de la critique", C. Levy, 1889 r.

dzisiejszy akademik wypowiada się jednak przeciw owéj teoryi. Oświadczenie, iż jest ona przeniesieniem do dziedziny naukowéj téj saméj metafizyki, którą niedawno tak gwałtownie starano się wyrugować z dziedziny filozofii [1]), będące echem tego, co w owych czasach o téjże teoryi mówiło wielu myślicieli i przyrodników w rodzaju Virchowa, kazało przypuszczać, że i p. Brunetière wychodzi z tegoż co i oni, t. j. filozoficznego punktu widzenia. Po pewnych wahaniach, jakie w nim wywołuje znacznie późniejsza polemika pomiędzy francuskimi moralistami - ewolucyonistami i Caro, dzisiejszy akademik oświadcza w r. 1890, iż się rozmyślił i staje się odtąd ewolucyonistą, szczególniéj zaś stronnikiem Darwina. Jeden z przypisków, istniejących w świéżo wydanéj pracy jego: „Ewolucya francuskiéj poezyi lirycznéj”, chociaż poświęcony tym, co z zasady nie chcą dotąd pogodzić się z teoryą ewolucyi transformistycznéj, t. j. moralistom-idealistom i wyznawcom doktryn grzechu pierworodnego, każe nam przypuszczać, że i to stanowisko, jakie przed laty sam p. Brunetière zajął wobec téjże teoryi, wypływało nie tyle z pobudek filozoficznych, ile moralnych. Oto ów przypisek: .....„Już przez to samo, iż każe nam ona (teorya ewolucyi) strzedz się samych siebie i że, przypominając nam o naszém zwierzęcém pochodzeniu, czyni z pilnowania naszych instynktów jedno z prawideł konduity, doktryna ta nadaje się doskonale po temu, aby zwalczać w nas i zwyciężyć zamiłowanie w swém własném *ja* (w tekście mowa o egotyzmie). Można więc wyciągnąć wnioski użyteczne i całkiem różne, a nawet wręcz przeciwne tym, do jakich dochodzi zwykły *struggle forlifer;* i jeśli Spencer i Haeckel wniosków tych nie zrobili, to nie dowodzi to niczego innego, jak tylko iż „ich ewolucya” nie jest jedyną—ani też naszą” [2]).

Prace p. Brunetièr'a większe i mniejsze obfitują w tego rodzaju przykłady. Dość ich jednak na to, aby spostrzedz, iż nowy akademik jest przedewszystkiém i nadewszystko moralistą i że rys ten stanowi główny punkt wyjścia wszelkich jego poglądów, sympatyi i antypatyi. Gdyby jednak zechciał kto zapytać nas: do jakiéj mianowicie szkoły moralistów należy p. Brunetière? — to nie potrafilibyśmy dać odpowiedzi. Nie, gdyż zazwyczaj tak stanowczy w wypowiadaniu swych poszczególnych zdań i wielomówny, na tym tak ważnym dlań, a może dlatego właśnie, że w ważnym punkcie, okazuje się nader wstrzemięźliwym i prace jego, w których tak dużo mowy o moralistach i mo-

---

1) „Revue politique et littéraire”, n-r z 27 listopada 1876 r.

2) „Evolution de la poésie lyrique française au XIX s.” Hachette, 1884 r. t. I, str. 159.

ralności, nie zawierają w sobie w téj mierze nic oprócz wskazówek. Ze wskazówek tych do tych, któreśmy już zaznaczyli, wypadnie nam dodać jeszcze jedną. Obok Bossueta, którego moralność, niewątpliwie podniosła, opiéra się cała na chrystyanizmie i katolicyzmie, p. Brunetière darzy swą szczególną sympatyą innego również chrześciańskiego moralistę Pascala, krańcowego pesymistę, za którym tak chętnie i często powtarza, iż *ja* jest „godném pogardy i nienawiści". Dwaj ci pisarze, obaj należący do XVII w., którego literatura wogóle wywarła tak głęboki wpływ na umysł dzisiejszego akademika, zdają się wodzić rej i w jego zapatrywanich moralnych.

Takiemi w ogólnych swych zarysach są zapatrywania p. Brunetière'a, wypowiadane w jego krytycznych studyach i rozprawach. Stałość w wypowiadaniu ich, jakoteż w trzymaniu się pewnych metod, czy téż pewnéj metody krytycznéj, o któréj pomówimy wkrótce; coraz rosnąca erudycya i coraz to rozwijający się talent pisarski, kilka wycieczek w dziedzinę literatury naukowéj [1]) i wytrzymana z powodu ich polemika, wszystko to wyrabia mu rychło imię poważnego krytyka. Do osiągnięcia rezultatu tego dopomaga mu zresztą i parę zewnętrznych okoliczności. W chwili, gdy p. Brunetière występuje na pole działalności literackiéj, Villemain już nie żyje; przestarzały Nisard porzuca pióro; Sainte-Beuve i Taine, pierwszy czasowo, drugi ostatecznie opuszczają krytykę dla historyi, przerzucenie się, na którém autor „Historyi Port-Royal'u" tak dużo wygrywa, autor zaś „Początków współczesnéj Francyi" tak dużo traci. Okoliczność ta wytwarza w piśmiennictwie francuskiém pewną próżnię i usuwa zarazem z drogi nowego przybysza współzawodników, niebezpiecznych wiedzą swą, talentem i nabytą sławą. Do przyczyny téj, która niewątpliwie oddziałała na dalsze losy dzisiejszego akademika, należy dodać inną, głębszą. Polega ona na zgodności zasadniczych poglądów i dążności p. Brunetière'a z tym tak zwanym „nowym" nastrojem, który od pewnego czasu ogarniając coraz szersze warstwy społeczeństwa francuskiego, usposabia umysły do przyjęcia tego, co dzisiejszy akademik nazywa „swoją" doktryną.

Doktrynę tę p. Brunetière wyłożył w trzech obszerniejszych pracach swych: Ewolucya francuskiéj krytyki, francuskiego teatru i francuskiéj liryki. Z nich dwie drugie są przystosowaniem, a po części

---

[1]) Krytyka dzieła Maspero: „Historya starożytnych narodów wschodnich"; studyum zatytułowane: „Współczesna erudycya i literatura wieków średnich" i inne.

i dopełnieniem teoryi wyłożonych w pierwszéj, od któréj też rozpoczniemy naszą analizę.

Książka ta rozpoczyna się oświadczeniem, iż jeśli autor z zasady uważa za dobre nie ufać nowościom, to po 30-tu blisko latach próby, po usługach, jakie okazało zastosowanie teoryi ewolucyonizmu transformistycznego do rozmaitych gałęzi wiedzy, nie widzi on racyi, dla któréjby nie miał spróbować zastosowania teoryi téj do dziejów literatury. Oświadczenie to nie mówi wszystkiego, coby mogło powiedzieć; pozostawmy je jednak takiém, jakiém jest, i przejdźmy do saméj ewolucyi krytyki.

Rozbudzona we Włoszech w epoce Odrodzenia potrzebą bliższego zapoznania się ze świéżo odnalezionemi skarbami literackiemi starożytnego świata, krytyka początkowo jest czysto filologiczną; potém zaczyna klasyfikować, a dla klasyfikacyi téj — rozróżniać rozmaite rodzaje utworów, studyować ich formy, porównywać uogólnienia. Wnioski ze spostrzeżeń tych, czysto zewnętrznych, formalnych, stają dla następnych pokoleń krytyków, reprezentowanych we Francyi przez Du Bellay'a, Scaligera, Vauquelin de la Fresnay'a i nieco późniéj przez Maleherbe'a, stają się wskazówkami: jak należy pisać, „prawidłami". „Poetyka" Arystotelesa, od pewnego czasu już znana nielicznym uczonym francuskim, z którą Chapelain zapoznaje świéżo ufundowaną przez kardynała Richelieu, akademię i przez nią szersze koła ówczesnego ogółu, dopełnia „prawidła" te i nadaje im charakter niewzruszonéj powagi, pewnego dogmatu. Boileau dowodzi zgodności „prawideł" z naturą i rozumem: bracia Perrault, Fontenelle i inni „nowożytni" próbują obalić je, twierdząc, iż ponieważ wszędzie i we wszystkiém istnieje postęp, więc i poeci nowożytni, t. j. sami Perrault, Fontenelle i t. d., są poetami większymi i lepszymi od wszelkich Homerów, Wirgiliuszy i jako tacy potrafią sami sobie wymyślić „prawidła" lepsze od wymyślonych przez ich poprzedników. W ten sposób krytyka klasyczna dobiega XVIII-go wieku, z którego p. Brunetière podnosi tylko klasyków: księdza Dubos i Laharpe'a i Voltaire'a, co w teoryi powstając bardzo głośno przeciw „prawidłom", w praktyce, t. j. w swych własnych poezyach i dramatach, był też klasykiem.

Cała krytyka tego tak długiego okresu odznacza się obok swego formalizmu jeszcze tém, iż traktuje utwory jako coś istniejącego dla siebie samych, jako coś bezwzględnego. Dopiéro krytycy XIX-go w. zaczynają traktować je jako rzeczy względne; przewrót ten p. Brunetière przypisuje wpływowi J. J. Rousseau.

Pani Staël czyni charakter utworów tych zależnym od charakte-

ru narodu, który je wydał, Chateaubriand wnosi pojęcie o tak zwanym kolorycie lokalnym; Villemain stawia charakter utworów literackich w zależności od charakteru tego okresu historycznego, w jakim one powstały, t. j. od właściwych okresowi temu stosunków politycznych i społecznych, obyczajów, poglądów i t. d. Sainte-Beuve, uznając wszystkie powyższe wpływy, kładzie specyalny nacisk na zależność utworu od charakteru, skłonności, nawyknień, poglądów autora; H. Taine nareszcie uzależnia go od rasy, geograficznego położenia kraju, dziedziczności, otoczenia historycznego i osobistego, w jakim żyje autor, i chwili, w jakiéj twór został napisany.

Skróciwszy o ile się dało jak najwięcéj cały ten szemat, o szczegółach którego zresztą dałoby się wiele powiedziéć, zatrzymamy się nieco dłużéj na Taine'ie, gdyż p. Brunetière, który co do bliskich i dalekich poprzedników jego zadawalniał się prostém zaznaczeniem ich roli w ewolucy krytyki, poddaje krytyce teoryę autora „Historyi literatury angielskiéj" i „Filozofii sztuki". Krytyka ta zresztą jest po większéj części i nie nową i nie głęboką. Nowy akademik twierdzi, iż rasy czyste nie zmieszane obecnie już nie istnieją; że kwestya dziedziczności jest sporną i dotąd nie dość wyjaśnioną: iż otoczenie historyczne na jednych wpływa tak, a na drugich wprost inaczéj; że z otoczeń osobistych—jedne wpływają, a inne nie i że on, p. Brunetière, rozumié co znaczy: być po królewsku hojnym, postąpić po książęcemu, lecz nie przedstawia sobie, jak się kocha po stolarsku, lub śpiéwa po szewcku.

Wszystko to, powtarzamy, nie nowe i nie głębokie, lecz o wszystko to widocznie p. Brunetière'owi mało chodzi. Ożywia się on dopiéro, gdy dotyka kwestyi wpływu „chwili", w jakiéj utwór został napisanym i woła: „Tak! chwilą, samą tylko chwilą, wszystko co w utworze literackim daje się tłómaczyć wpływem przyczyn ogólnych, wszystko to podejmę się wytłómaczyć" [1]. Z wykrzykniku tego możnaby wywnioskować, iż chwila owa jest głównym czynnikiem ewolucyi rodzajów w literaturze. Zaraz jednak na następnéj stronicy autor mówi:

W literaturze jak w sztuce, po indywiduum największą potęgą, jaka działa, jest wpływ utworów na utwory. Albo chcemy w ich rodzaju współzawodniczyć z tymi, którzy nas poprzedzili, i tak się doskonalą pewne sposoby pisania, jak ustalają się szkoły, jak tworzą tradycye; albo mamy pretensyę zrobić coś innego, niż to, co robili oni

---

[1] „Evolution des genres dans la littérature", a w niéj „Evolution de la critique française". Hachette, 1890 r., str. 262.

i w ten sposób ewolucya przeciwdziała tradycyi, jak się odnawiają szkoły, jak przeistaczają tryby pisania" [1]. Z określenia tego, niezbyt zresztą jasnego, okazuje się więc, że indywiduum i utwór są to główne czynniki téj ewolacyi rodzajów w literaturze, o jakiéj mówi p. Brunetière i że tak radośnie na poprzedniéj stronicy spotkana chwila gra w stosunku do nich nieco podrzędną rolę. Przyjrzyjmy się jednak czynnikom tym i ich roli w ewolucyi rodzajów nieco bliżéj.

Czém dla p. Brunetièr'a jest indywiduum? „Tym lub owym człowiekiem, osobistością, indywidualnością i dodaje autor: „*une liberté*", określenie, przez które widocznie rozumié: wolną wolę. A przewidując możliwe zdziwienie i zarzuty, natychmiast tłómaczy, iż jeśli przed Darwinem widziano główny i najbliższy czynnnik zmiany gatunków w wpływie, jaki na nie wywierały przyczyny zewnętrzne: klimat, grunt, otoczenie, chwila, to właściwém dziełem Darwina, jego genialnym wynalazkiem było przeniesienie owego głównego czynnika z zewnątrz do wnętrza gatunku, rodzaju, wskazanie, iż głównym czynnikiem owym jest powstanie pewnéj nowéj odmiany. Bez ukazania się odmiany owéj, w pięciu na dziesięć wypadkach, rzeczy pozostałyby w dawnym stanie, bo-by się zrównoważyły. To samo dzieje się i w literaturze, gdzie ukazanie się pewnéj osobistości zmienia nieraz otoczenie, często charakter, a w pewnych razach i samą naturę wpływu, wywieranego przez chwilę [2].

O drugim z czynników ewolucyi rodzajów w literaturze, a mianowicie o utworach p. Brunetière powiedział dotąd bardzo nie wiele. Krytykuje Sainte-Beuve'a i Taine'a, widzących w utworze „ślad" autora i epoki, w jakiéj utwór ten powstał; pogląd, który nazywa romantycznym, twierdzi i to wielokrotnie, iż jak dojrzały owoc od drzewa, utwór raz oderwawszy się od autora, „żyje swém własném, niezależném życiem" [3] i że grupy utworów, ich „rodzaje" ściérają się między sobą i toczą „walkę o byt". W teoryi téj ewolucyi, którą p. Brunetière nazywa swoją, teoryi wogóle słabo rozwiniętéj, część dotycząca utworów i ich roli jest traktowaną wyjątkowo, powierzchownie i dogmatycznie. W przedmowie do swéj „Ewolucyi krytyki" zapowiadał jeszcze na początek 1891 r. pracę, która miała być poświęcona specyalnie wykładowi teoryi ewolucyi rodzajów w literaturze, a między innemi i tego, co autor rozumié przez owo „niezależne życie" utworów i toczącą się pomiędzy rodzajami ich walkę o byt. Praca ta nie wy-

---

[1]) id., str. 263.

[2]) „Evolution de la poésie lyrique". Hachette, 1894, str. 67 i 68.

[3]) „Evolution de la critique", str. 275.

szła dotąd, okoliczność, skutkiem któréj pewne strony teoryi p. Brunetière'a są nader niejasne.

Co się tyczy chwili, to autor „Ewolucyi krytyki" objaśnia rolę jéj na przykładach w sposób następujący:

„Tragedya Voltaire'a tłómaczy się przedewszystkiém indywidualnością Voltaire'a, a szczególnie pragnienia, żeby naśladując Racine'a i Quinault'a, zrobić jednak coś innego, niż oni. Dramat romantyczny, dramat Dumasa i Hugo, całkowitą definicyę jego znajdziemy w definicyi tragedyi Voltaire'a, któréj jest przeciwstawieniem. Romantycy nie chcieli z teatru swego zrobić czegoś określonego, lecz chcieli po prostu zrobić zeń rzecz wprost przeciwną klasycyzmowi [1]).

Z dwu tych przykładów, Voltaire'owi, pragnącemu udoskonalić tragedyę, czy téż odznaczyć się, jako dramaturg, chwila dyktuje sposoby, za pomocą których ma osiągnąć cel zamierzony, t. j. każe mu, naśladując Racine'a i Quinaulta, starać się jednak pisać lepiéj i inaczéj. Co się tyczy romantyków, chcących całkowicie przekształcić teatr, toż samo chwila doradza im pisać w sposób wprost przeciwny temu, w jaki pisali klasycy. Obok pisarza, chcącego polepszyć czy téż przekształcić pewien rodzaj w kierunku i granicach określonych jego (owego indywiduum) zdolnościami i „rodzaju", mającego, czy téż nawet, w imię walki o byt, potrzebującego być udoskonalonym, lub téż przekształconym, chwila okazuje się elementem, że tak powiemy, ściągającym oba te dążenia z po za obłoków na ziemię, nadającym im pewną określoną treść. Stąd twierdzenie p. Brunetière'a, iż chwilą i samą tylko chwilą podejmuje się on wytłómaczyć wszystko, co w utworze literackim istnieje, dającego się tłómaczyć wpływem przyczyn ogólnych (z tekstu poprzedzającego owo twierdzenie widać, iż owe przyczyny „ogólne" są to przyczyny zewnętrzne). Stąd też i podporządkowanie owego trzeciego czynnika pierwszemu, t. j. indywiduum, o którém, jakeśmy widzieli dopiéro co, autor twierdzi, iż jest on w stanie zmienić nietylko otoczenie, lecz i charakter, a czasem i samą naturę wpływu chwili.

Taką w ogólnych zarysach jest teorya ewolucyi rodzajów w literaturze. Aby zapoznać się z nią dokładniéj, przyjrzyjmy się nieco bliżéj owym ewolucyom: krytyki, teatru i liryki, które są tylko zastosowaniem owéj ogólnéj teoryi do rozmaitych działów literatury francuskiéj.

Stąd całkiem odrębny w dzisiejszém piśmiennictwie krytycznem charakter owych trzech utworów; charakter, którego próbkę mieliśmy

---

[1]) Ib., str. 262.

w tylko co podaném przez nas streszczeniu „Ewolucyi krytyki”. Co rozdział, to przedewszystkiém nazwisko tego lub owego z pisarzy. Potém następuje charakterystyka jego „ducha”, którego, w swém zamiłowaniu do klasycznego „człowieka wogóle”, p. Brunetière traktuje nader ogólnikowo i abstrakcyjnie, podnosząc w nim, przez wzgląd na rolę, jaką „duch” ów odgrywa w ewolucyi danego „rodzaju”, te tylko z jego poszczególnych rysów, wśród których pewien pisarz różnił się od innych pisarzy, wniósł coś swego do historyi uprawianego przezeń działu literatury. Następnie autor zapoznaje nas z teoryami sformułowanemi przez tegoż pisarza, lub innych na podstawie prac jego, przeplatając wykład ów, jak i poprzednią charakterystykę „ducha”, cytatami zazwyczaj bardzo licznemi, celem stwierdzenia słuszności jego sposobu pojmowania zarówno owego ducha, jak i stworzonych przezeń teoryi. Dziesięć, piętnaście rozdziałów takich stanowi coś w rodzaju jednego z tych skrótów, jakiemi studenci posługują się przed egzaminami, skrótów jasnością swą i systematycznością nader użytecznych... szczególnie dla tych, co skądinąd znają literaturę francuską. Nadmieniamy o owém uprzedniém zapoznaniu się z literaturą, gdyż użyteczne wogóle, gdzie chodzi o skrót, w stosunku do utworów p. Brunetière’a ma ono pewne specyalne znaczenie.

Historya ewolucyi pewnego zjawiska nie jest tém samém, co jego historya i gdy historyk ma za zadanie opowiedzieć wszystkie, lub mniéj więcéj wszystkie fazy, przez jakie przeszło owo zjawisko, historyk ewolucyi z faz tych, czy téż faktów podnosi tylko te, które wpłynęły na charakter, na rozwój całości, nadały rozwojowi temu pewien kierunek. Każdy więc piszący historyę ewolucyi musi mieć z góry urobione zdanie: co mianowicie przyczyniło się do owéj ewolucyi. Korzystając z przywileju tego, przysługującego historykom ewolucyi, autor „Ewolucyi krytyki francuskiéj” wykreśla zeń Fenelona i potrąciwszy po drodze Diderota po to tylko, aby oświadczyć, iż jest on wstrętny, ściąga do jednego Voltaire’a cały dziennikarski i encyklopedystyczny ruch drugiéj połowy XVIII-go w., duch tak nawskroś krytyczny i przesiąkły ideą „względności”, między innymi i literatury, w któréj widzi narzędzie dla propagandy pewnych idei, jeden ze środków przyśpieszenia zmiany ówczesnego ustroju. Na progu za to XIX wieku zajmuje się sporo Chateaubriand’em, zazwyczaj mało cenionym jako teoretyk, filozof literatury; zajmuje się dla tychże, jeśli nie niewiadomych, to nie podlegających kontroli czytelnika, czy téż słuchacza przyczyn, dla których z historyi ewolucyi francuskiéj liryki XIX w. wykreśla Berengera i kilku innych poetów.

P. Brunetière wielokrotnie twierdzi, iż posądzać go o stronność

jest największą i najboleśniejszą dlań niesprawiedliwością, jaką mu można wyrządzić, i że w rzeczywistości dla zasady, dla zgody ze swemi własnemi przekonaniami, gotów jest wynosić pod niebiosa pisarza, który mu się całkiem nie podoba i zmieszać z błotem innego, którego utwory w czytaniu sprawiają mu jaknajwiększą przyjemność. Twierdzenie to może być słuszne, o ile chodzi o stronność lub bezstronność świadomą, o to, co sam autor nazywa terminami oznaczającemi nie tyle fakta, ile „tendencyą woli”. Harmonia jednak istniejąca pomiędzy dzisiejszym podziałem pisarzy na tych, którzy się przyczynili, lub nie do ewolucyi rodzajów, a temi sympatyami i antypatyami, które p. Brunetière tak dosadnie zaznaczył jeszcze w czasach, gdy ewolucyonistą nie był, każe być mocno ostrożnym w przyjmowaniu owego podziału.

Innym charakterystycznym rysem prac dzisiejszego akademika jest całkowity brak wszystkiego tego, co obecnie przyjęto nazywać po prostu: fizyologią, historyą, geografią w literaturze, co w takich „portretach” i „Poniedziałkowych gawędach” Sainte Beuve'a odzwierciadlało całego, t. j. zarówno fizycznie, jak i moralnie pisarza, co w „Historyi literatury angielskiéj” biło wszystkiemi tętnami życia i myśli. W studyach p. Brunetière'a, pomimo wybitnéj roli jaką przypisuje pisarzowi, nie masz całkiem biografii pisarzy, biografii chociażby najelementarniejszéj. Zastępują je zazwyczaj tylko co wspomniane przez nas charakterystyki „ducha”. Cała nader rzadko zresztą potrącana geografia ściąga się to do twierdzenia, iż „duch” narodów niemieckiego i angielskiego różnią się od ducha narodu francuskiego. Cała historya w tych nawet wyjątkowych wypadkach, gdy p. Brunetière z góry zapowie, iż poszuka w niéj wyjaśnienia pewnego zjawiska, jak np. ogólnego charakteru klasycyzmu, sprowadza się do stwierdzenia faktu, iż panujący w salonach XVII i XVIII w. duch, w imię przyzwoitości, grzeczności i t. d. wymagał, aby wszyscy byli podobni do siebie, poddawali się pewnym, ogólnym prawidłom [1]). Stąd w „Ewolucyi krytyki” tłómaczenie różnicy, istniejącéj pomiędzy zapatrywaniami na literaturę klasyków francuskich z jednéj i pisarzy XIX w. z drugiéj strony osobistym wpływem J. J. Rousseau. Stąd zarówno w témże dziele, jak i w „Ewolucyi krytyki”, twierdzenie, iż romantycy chcieli nie „czegoś określonego”, lecz poprostu czegoś, coby było wręcz przeciwném klasycyzmowi. Stąd też to nie miłe uczucie nagłego zacieśnienia widnokręgu, jakiego się doznaje, przechodząc od prac nietylko Sainte-

1) „Evolution de la poesie liryque française au XIX s.”, str. 39 i następne.

Beuve'a i Taine'a, lecz nawet i mniéj wybitnych współczesnych krytyków do „ewolucyi" p. Brunetière'a.

Jakaż w tém wszystkiém jest rola Darwina i współczesnych filozoficzno-przyrodniczych teoryi? Jest ona jaknajwyraźniéj rolą kozła ofiarnego. P. Brunetière od pewnego, dziś już odległego czasu, czuł potrzebę nadania swym upodobaniom, sympatyom i poglądom pewnéj jednolitości, związania ich w pewną całość, a nie chcąc, czy też nie mogąc ani stworzyć całości téj sam, ani odwołać się wyraźnie do jakiéjś ze szkół dawnych, zrobił parę prób podciągnięcia się pod sztandar téj lub owéj z doktryn, cieszących się mniéj więcéj szerokiemi sympatyami dzisiejszego wykształconego ogółu. Próby te, o których wkrótce wypadnie nam nadmienić, okazały się nieudatnemi. Wówczas po namyśle i zrobiwszy zresztą niedawne [1], a znane już nam odkrycie, iż w najgorszym razie teorya ewolucyjno-transformistyczna da się pogodzić nawet i z doktryną grzechu pierworodnego, postanowił stać się ewolucyonistą.

Wybór ten, przy którym trwa od lat kilku, miał te dobre strony, iż obok popularnego i poważniejszego niż poprzednie sztandaru, pozwolił p. Brunetière'owi zadowolnić kilka naraz ze swych dawnych aspiracyi. Mamy tu na myśli jego dążności do wyzwolenia indywiduum, człowieka, a właściwie jego ducha z pod jarzma materyi, a woli z pod jarzma determinizmu; uzasadnienia również dawnych nawoływań do poszanowania przeszłości, tradycyi, dziś tak często powtarzaném twierdzeniem, że skoro charakter ewolucyi zależy o tyleż od charakteru indywiduum, jak i od charakteru tego obiektu, na który indywiduum owo oddziaływa, a jakim jest wyrobiony przez poprzedników jego pewien rodzaj literacki, chcieć więc zrywać z przeszłością ani nie ma sensu, ani nie należy i t. d. Ta okoliczność, iż teorye przyrodnicze nie mają nic wspólnego ani z duchem, ani z wolną wolą; że nic w nich nie upoważnia do negowania wpływu czynników zewnętrznych na gatunki, rodzaje i wchodzące w skład ich osobniki i t. d. nie obchodzi ani trochę p. Brunetière'a, w którym i na teraz moralista góruje nad myślicielem. Przeciwnie. Zająwszy wreszcie stanowisko pod sztandarem ewolucyonistów, nowy akademik wyzyskuje je aż do końca i przewidując zarzuty, jakie „jego" teorya może wywołać, broni jéj z góry, twierdząc, iż jak wszystkie teorye naukowe jest ona pro-

---

[1] Nazywamy odkrycie to niedawném, gdyż jeszcze 1884 r., mówiąc o sporze Caro z ewolucyonistami, p. Brunetière oświadczał, iż nie jest ani z ewolucyonistami, ani z Caro. Patrz: „Questions de critique". C. Levy, 1889 r., studyum o Caro, stron 289.

stém uogólnieniem poprzednio poczynionych przezeń spostrzeżeń nad literaturą i że jeśli w teoryi téj nie wszystko jest dość jasném, uzasadnioném, to przecież i taka teorya naturalnego doboru nie jest tłómaczeniem, uzasadnieniem, lecz prostém konstantowaniem [1]. Jeśli jednak dwudziestoletnia praca nad literaturą i kilkanaście tomów poszczególnych studyów o rozmaitych pisarzach i utworach stanowią pod względem ilościowym dostateczny materyał do pewnych uogólnień, to aby uogólnienia owe miały wartość, należy przedewszystkiém określić jakość spostrzeżeń, na których zostały oparte. Otóż najpowierzchowniejsza chociażby znajomość z owemi kilkunastu tomami spostrzeżeń wskazuje, iż w panu Brunetière badacz jest również tendencyjnym, jak i teoretyk. Jeśli przytém uczeni przyrodnicy zadawalniają się prostém konstatowaniem faktów, nie tłómacząc dlaczego fakty te są takiemi, a nie innemi, to dlatego, iż nie chcą przekraczać granic obserwacyi. Raz przekroczywszy granice te wprowadzeniem do ewolucyi swéj wolnéj woli, wyzwolonego z pod jarzma materyi ducha, p. Brunetière traci prawo zasłaniania się ich przykładem i jeśli i jako metafizyk nic nie tłómaczy, nie uzasadnia, to winni temu nie przyrodnicy i ich metody, lecz ta okoliczność, iż wytłómaczyć, uzasadnić albo nie umié, albo się boi. W dodatku, oświadczywszy, iż na wzór Darwina przenosi on główny czynnik ewolucyi z zewnątrz do wnętrza „rodzaju" literackiego, nowy akademik robi owym głównym czynnikiem pisarza, który, przy najbardziéj nawet „romantycznéM" [2] zapatrywaniu się na stosunek autora do utworu, nie jest przecież tém samém co ów utwór. Wszystkie te rysy razem wzięte sprawiają, iż dzisiejszéj teoryi p. Brunetière'a daleko jeszcze do naukowości, o jaką się ubiega. Nadając jéj przytém charakter tak dalece arbitralny, iż gdyby nie zgodność jéj z zasadniczemi, widocznie tak żywo i głęboko obchodzącemi go jego własnemi poglądami, tendencyami, możnaby ją wziąć za mniéj więcéj żartobliwe zastosowanie téj metody, tego programu, jaki przypisuje romantykom, a który miał polegać na tém, iż chcieli oni nie czegoś określonego, lecz po prostu rzeczy wręcz przeciwnych tym, których chcieli ich poprzednicy.

Wspomnieliśmy niedawno, iż zadaniem historyka ewolucyi jest podnoszenie tych tylko zjawisk, czy téż faktów, które wywarły pewien wpływ na charakter całości, nadały rozwojowi jéj pewien kierunek. Zadanie to nie jest jedyném, gdyż historyk ewolucyi powinien jeszcze wyszukać prawa rządzące ową ewolucyą. Wiemy już obecnie, jak

---

[1] id., str. 68.

[2] id., str. 90.

p. Brunetière pojmuje ogólne prawa rządzące ewolucyą literacką. Do ogólnych praw tych należy dodać jeszcze kilka poszczególnych. Co do poezyi — jest nim twierdzenie, iż nie może ona istnieć bez religii i metafizyki, bez pierwszéj szczególnie. Co do teatru—zdanie 1) iż akcya sceniczna powinna zawsze obracać się około jakiegoś mniéj więcéj doniosłego problematu (moralnego w „Cydzie" i „Fedrze", społecznego w „Szkole kobiét" i „Tartufe'ie"), 2) być sama odtworzeniem walki toczącéj się pomiędzy wolą i stojącemi na drodze jéj przeszkodami, przyczém jeśli przeszkodami owemi okażą się: natura, przeznaczenie, taż sama lub czyjaś obca wola, wówczas utwór będzie tragedyą; jeśli obyczaje, salonowe konwenanse, przesądy i t. d. — komedyą lub wodewilem. Do dwu tych praw stosujących się bardziéj wyłącznie do teatru, p. Brunetière dodaje parę innych. Takiemi są: *a*) konieczność uszanowania tradycyi, gdyż, aby ustalić się i trwać, nowe formy muszą zawsze zachować coś ze starych; *b*) konieczność utrzymania łączności pomiędzy teatrem i innemi rodzajami literatury, a szczególnie pomiędzy teatrem i życiem, gdyż sztuka istnieje dla człowieka, a w żadnym razie nie sama dla siebie [1]).

Powyższe zdanie o stosunku sztuki do człowieka nie zawsze było zdaniem p. Brunetière'a. Przed dziesięciu, dwunastu laty, dzisiejszy akademik, szukając środka zreformowania literatury współczesnéj i znajdując go raz w mniejszéj lub większéj głębokości przewodniéj myśli utworów już to w tendencyi, przeżył téż i okres tak zwanego „czystego artyzmu". W okresie tym był z początku absolutnym stronnikiem hasła „sztuka dla sztuki" i twierdził, iż artysta w utworach swych nie powinien mieć na względzie nic oprócz piękna, a twierdzenie to, tak całkowicie niezgodne z jego ogólnemi tendencyami, często nawet z charakterem tych samych artykułów, w jakich je wygłaszał, było wyraźném ustępstwem czynioném swym własnym czasowym poglądom teoretycznym. W miarę jednak, jak myśl jego rozwija się i wyjaśnia we właściwym mu kierunku, staje on w coraz wyraźniejszéj sprzeczności z owym „czystym artyzmem", rugując go powoli z rozmaitych rodzai literatury, uważając przez czas jakiś hasło „sztuka dla sztuki" za słuszne w zastosowaniu do saméj tylko poezyi, gdzie, jak powiada, chodzi przedewszystkiém o formę.

W tymże okresie „czystego artyzmu" p. Brunetière był i „czystym arystokratą"; twierdził, iż artysta jest wyższym od tłumu, którego zdania, sympatye, sądy powinny być mu obojętne; że popularność, wziętość pewnego pisarza, czy téż utworu, nie dowodzą całkiem,

---

[1]) „Evolution du théâtre". Hachette, 1893, str. 365—371.

aby pisarz ów, lub utwór, byli rzeczywiście doskonałymi, lecz że właściwie są one zazwyczaj wskazówką wręcz przeciwną. W jednym z ówczesnych artykułów krytycznych, potrącając o legendę, według któréj tłum paryski, powodowany czasowemi (1673 r.) zapatrywaniami na aktorów, chciał sprzeciwić się pochowaniu Molière'a na cmentarzu i rzucał w pogrzebowy orszak kamieniami i błotem, legendę, którą, opiérając się na faktach, zbija dzisiejszy akademik i mówi: „Niewątpliwie nie mielibyśmy nic przeciw temu, aby w tym jeszcze wypadku lud *(le peuple)* dowiódł istnienia w nim tego dziwnego instynktu, wskutek którego zazwyczaj nie pojmuje swoich, t. j. tych, co go najbardziéj umiłowali" [1]). Obok artystycznego arystokratyzmu, czy też arystokratycznego artyzmu w wykrzykniku tym czuć pewną gorycz, wywołaną być może mimowolnym zwrotem ku samemu sobie, myślą o téj obojętności, a po troszę nawet i niechęci, z jaką szersze koła czytającego ogółu francuskiego traktowały ówczesne reformatorskie prądy dzisiejszego akademika. Obecnie oficer legii honorowéj, dyrektor „Przytułku dla dystyngowanych starców", inaczéj zwanego: *Revue des deux mondes*; członek Akademii francuskiéj, nadzwyczajny profesor wyższéj szkoły normalnéj i Sorbony, rzeczywistym profesorem których być nie może z powodu braku odpowiedniego stopnia naukowego [2]), profesor, na każdy wykład którego do wielkiéj auli nowéj Sorbony zbiega się od 3 do $3^1/_2$ tysięczny tłum słuchaczy, p. Brunetière nie może uważać, żeby mu brak było uznania. Z chwilowego zresztą wyznawcy „czystego artyzmu" p. B. oddawna stał się znów tém, czém w gruncie był zawsze, t. j. *par excellence* moralistą. To też mimowolnie, czy też świadomie, przebijające się w nim chwilami rozgoryczenie wyléwa się teraz na inne sfery, a mianowicie na sfery jego własnych kolegów pióra, o których nawpół żartem, nawpół seryo mawia, iż ze wszystkich narodów najmniéj łatwym, przyjemnym w stosunkach jest naród tak zwanych *gens-des-lettres*'ów (literatów), tak dalece nie łatwym, iż każdy z nich wzięty z osobna uważałby się za szczęśliwego, gdyby mógł miéć do czynienia tylko z publicznością. Co się tyczy dość często czynionego mu zarzutu, iż jest co do tendencyi swych arystokratą, p. B. broni się odeń, twierdząc, iż losy, walki,

---

[1]) „Etudes critiques sur l'histoire de la littérat. franç." Hachette, 1888, t. I, studyum o Molierze, stron 136.

[2]) P. Brunetière urzędownie jest dotąd prostym „bakałarzem literatury" *(bachelier es lettres)*, t. j. posiada ten stopień, jaki otrzymują wszyscy kończący literacką sekcyę średnich zakładów naukowych i który jest koniecznym dla wstąpienia do wyższych ogólnie kształcących zakładów.

cierpienia, na jakimkolwiek szczeblu hierarchii społecznéj i intelektualno-moralnéj stałby ten, kto walczy i cierpi, budzą w nim współczucie a oddane przez artystę, mogą być materyałem do jaknajpiękniejszego utworu.

Najnowsza z prac naszego autora, „Ewolucya liryki francuskiéj" przynosi ze sobą bodaj że ostateczną formułę jego poglądów na rozmaite, tylko co poruszane kwestye. Powiada w niéj, iż ani mieszając, ani identyfikując moralności ze sztuką, jest jednak stanowczo przeciwny temu, aby je całkowicie oddzielono jedną od drugiéj, zrywano tę nić, jaka je łączy ze sobą, chociażby jako dwie rzeczy: ludzkie i społeczne. Ludzkie, czyli przeznaczone dla ludzi, bo przecież nikt nie maluje obrazów i nie pisze oper dlatego, aby były one nigdy przez nikogo nie widziane i nie słyszane. Społeczne, gdyż tylko dzięki społeczeństwu, jego organizacyi, istniejącemu w nim mniéj więcéj doskonałemu podziałowi pracy, artysta, zamiast samemu siać i zbiérać zboże, szyć sobie ubranie i buty, może oddawać się malarstwu lub muzyce i znajdowawać ludzi, zdolnych zrozumiéć i ocenić, no!... i kupić jego utwory. W dodatku i sam artysta i utwory jego mogą, jeśli ma po temu odpowiednie zdolności, być tym doskonalszym, im bardziéj ucywilizowaném jest to społeczeństwo, do których należą. Tak więc sztuka, sztuka wogóle jest jedną z funkcyi społeczeństwa, z którém rachować się musi, powinna.

Konieczność ta, obowiązek staje się tém wyraźniejszym, gdy od sztuk innych przejdziemy do literatury. Bo chociaż wyrazy mogą być rozpatrywane z punktu widzenia dźwięczności ich i barwności, są one jednak przedewszystkiém i nadewszystko „znakami" pewnych pojęć, idei, które, rozbudzone, stają się, a przynajmniéj stać się nam mogą pobudkami do czynów. Wpływ przytém zarówno słów naszych, jak i czynów, nie ogranicza się do nas samych, lecz rozchodzi się wokoło nas coraz szerszemi falami, których ilość i głębokość nie dają się ani przewidziéć, ani obrachować. To téż mylą się ci literaci, co, osłaniając się hasłem: „sztuka dla sztuki", uważają, iż im wszystko wolno, a odmawiają innym prawa sądzenia ich samych i ich utworów. Ten, kto raz z tych lub owych pobudek zdecydował się przemówić do ogółu, wziąć za pióro, staje się na całe życie podsądnym i odpowiedzialnym nietylko przed swymi współczesnymi, lecz i najpóźniéjszemi pokoleniami [1]).

Cóż mianowicie literaturze wolno, a czego niewolno? Co w literaturze jest dobrém, a co złém? Dawniéj, to jest „za czasów, gdy się kłócił z naturalistami", czasy i zajście, o których nowy akademik mó-

---

[1]) „Evolution de la poesie lyrique..." str. 26 i 27.

wi obecnie z ironicznie-pobłażliwym uśmiéchem, odpowiédź na powyższe pytanie nietrudno było znaléść w jego pracach. Wyrazy: brudy bezczelność, bezeceństwo—sypały się wówczas z pod pióra jego, jak z rogu obfitości. Gdyby w owych czasach ktoś chciał poszukać w studyach jego odpowiedzi na pytanie, czy wszystko to wolno wnosić do literatury, byłby się spotkał: albo ze stanowczém: n i e; albo nieco późniéj z twierdzeniem, że jeśli nawet można, to tylko pod pewnemi warunkami. Warunki owe polegały na tém, aby bohatérowie i bohatérki brudnych utworów nie tonęły w swych bezeceństwach nieświadomie, biernie, jak bydlęta *(brutes)*, bez najmniejszego nawet wzdrygnięcia się, bez wszelkiéj próby wydostania się z błota. Lecz, aby autorowie przedstawiali ich, jako chwilami przynajmniéj świadomych swego poniżenia, starających się podniéść, walczących, gdyż owa walka woli z zewnętrznemi wpływami i z samą sobą oczyszcza moralnie i nadaje pewną wartość estetyczną odtworzonym w literaturze bezeceństwom i brudom [1]). Co się tyczy najnowszéj z prac p. Brunetière'a, nie zawiéra ona w sobie żadnéj podobnéj odpowiedzi. Nie dlatego, aby kwestya owych „bezeceństw i brudów" przestała interesować autora, lecz dlatego, iż liryka francuska pierwszéj połowy bieżącego wieku, szczególnie wobec wyboru pisarzy, o jakich mówi [2]), nie nastręcza mu materyału do podniesienia nanowo téj kwestyi. Zjawiskiem natomiast, z jakiém spotyka się tu na każdym kroku, jest—coraz to krańcowszy indywidualizm, przelanie się do literatury tego samego, „godnego pogardy i nienawiści" *ja*, co odbijając w sobie cały świat zewnętrznych wpływów, nędzne przeświadczeniem zależności od nich — aż do zrzeczenia się wszelkiéj próby oporu i zarazem dumne — aż do samoubóstwiania, rozpanoszyło się omal że nie w każdéj literaturze XIX-go wieku. Zjawisko to nowy akademik nazywa stanowczo — złém i w życiu i w literaturze; widzi w niém chorobę ducha wieku, przyczynę, która do tylu cierpień, wypływających z saméj natury rzeczy i ludzi, dodaje jeszcze moc cierpień nowych, a przeciwstawia egotyzmowi to, co nazywa uczuciami społecznemi, jako o wiele wyższe i szlachetniejsze. Do punktu tego, po części z konieczności, po części uniesiony swym moralizatorskim zapałem, powraca tak często, iż w końcu, obawiając się, aby go nie wzięto za socyalistę, uważa za stosowne wypowiedziéć się jasno pod tym względem. Powiada więc, iż

---

[1]) „Le roman naturaliste". Col. Levy, 1883 r., str. 369.

[2]) Pani Staël, Chateaubriand, Lamartine, Hugo, Sainte-Beuve, który pod pseudonimem J. Delorme pisywał niegdyś poezye i romanse, Musset i Georges Sand.

socyalistą nie jest, gdyż socyaliści używają gwałtownych środków, które potępia, i marzą o zniwelowaniu wszelkich różnic, zniweczeniu wszelkiéj konkurencyi, wszelkiego współzawodnictwa, bez których, (t. j. bez różnic i współzawodnictwa) niemożliwa żadna ewolucya, żaden postęp. Obok takiego jednak socyalizmu, o którym wiadomości i przeciw którym argumenta swe widocznie czerpie z prac Leroy-Beaulieu'a i Yvesa Guyota, p. Brunetière widzi jeszcze inny, moralny. Polega on na tém, że skoro wśród powszechnéj nędzy ludzkiéj pewne warstwy społeczne cierpią więcéj od innych, przedstawiciele tych drugich, t. j. mniéj cierpiących, zamiast zamykać się każdy w sobie, w swym egoizmie, powinni litować się nad pierwszymi, współczuć i dopomagać im [1]). Do uczuć tych zresztą p. Brunetière odwoływał się oddawna i wielokrotnie odwoływał się między innemi, ganiąc realistów i naturalistów za to, iż jątrzą przeciw sobie rozmaite warstwy społeczne, chwaląc Georges Sanda, iż zamiast je jątrzyć, każe przedstawicielom i przedstawicielkom owych rozmaitych warstw zakochiwać się w sobie, poczém je żeni.

Zatrzymaliśmy się nieco dłużéj na powyższém wyznaniu wiary nowego akademika, zazwyczaj tak skąpego we wszelkich osobistych wywnętrzaniach się, gdyż wyznanie to, określając jego stanowisko wobec dzisiejszéj kwestyi społecznéj, określa zarazem i parę innych rzeczy. Rzeczami temi są: 1) kierunek, jaki obecnie przybiéra jego do niedawna tak nieokréślona moralność; 2) co mianowicie p. Brunetière rozumiał, mówiąc, iż „jego" ewolucya jest przeciwną ewolucyi zwykłych *struggleforliferi*'ów i całkiem różną od ewolucyi Haeckla i Spencera.

Obecnie, gdy wiemy, na czém polega ewolucya naszego autora, pozostaje nam zapoznać się z kilku poszczególnemi, mniéj więcéj praktycznemi jéj wnioskami, jakie z niéj wyprowadza.

Uważając literaturę za jeden z najdaléj sięgających i najdostępniejszych środków moralnego przekształcenia ogółu, a krytykę poważną, trzymającą się pewnych stałych i wyrozumowanych metod i wypływającą z takichże założeń, za zdolną nadać kierunek literaturze całego pewnego okresu, p. Brunetière widzi w krytyku człowieka, pełniącego nader poważną moralno-społeczną misyę. Stąd symboliczne określenie, twierdzące, iż krytyk jest rycerzem, stojącym na straży świątyni prawdy i piękna. Stąd téż nader szerokie wymagania moralne od krytyka, zaczynając od tego, aby raz postanowiwszy być krytykiem, nie pisał nigdy nic oprócz krytyki, wymaganie do którego sam

---

[1]) „Ewolucya liryki francuskiéj, przedostatni rozdział.

nowy akademik zastosował się jaknajściśléj i kończąc innėm, jak sam powiada idealnėm, aby tenże krytyk nie miał nic swojego, ani stałych sympatyi i upodobań, ani nawet stałego swego stylu i języka, napady, na które, drażniąc je i rozgoryczając, mogą zrobić mniéj bezstronnym. Stąd téż wielkie poszanowanie dla samego siebie, jako poważnego krytyka, reformatora społeczeństwa i nieco dogmatyczny, jak mówi francuska prasa, „arcykapłański" ton i niegrzeszące zbytnią skromnością, a dość częste zestawienia samego siebie z ludźmi w rodzaju Taine'a, Haeckla, Spencera.

Jeśli owo zapatrywanie się na znaczenia krytyka i pisarza wogóle doprowadzało czasami p. Brunetière'a do praktycznych wniosków, budzących mimowolny uśmiéch, lub też pewne rozdrażnienie, w innych wypadkach wpływ jego okazywał się nader dodatnim. Tak, dzięki to przeważnie zapatrywaniu owemu, a wbrew tak wyraźnéj wśród pisarzy, rówieśników dzisiejszego akademika, tendencyi do przekładania formy nad treść, do pogoni za dźwięcznėm lub barwnėm słówkiem, p. Brunetière prawie że zawsze nader stanowczo podporządkowywał formę, styl, język—myśli, treści. Nie dlatego, aby nie znał się sam na owych formach i nie umiał ich ocenić. Poszczególne studya jego obfitują w uwagi, o rozmaitych sposobach tworzenia obrazów, o odcieniach, jakie mu nadaje użycie tego lub owego czasu, używanie lub opuszczanie rozmaitych spójników i znaków pisarskich i orkiestrowaniu dźwięków i t. d., uwagi tak liczne i trafne, iż nawet w bardzo bogatéj w tego rodzaju analizy dzisiejszéj literaturze krytycznéj francuskiéj, wyróżniają się one dodatnio. Pomimo owéj znajomości z tém, co się dziś nazywa „tajemnicami formy" i zdolności odczuwania jéj piękna, p. Brunetière wciąż powtarza, iż, aby pisać—trzeba przedewszystkiém myśléć, iż utwór tylko wtedy jest dobrym, gdy zawiera w sobie myśl jakąś i daje do myślenia czytelnikowi, że najważniejsza zaleta stylu i języka literackiego polega na tém, aby jaknajjaśniéj i najdokładniéj oddawała myśl autora, wszystkie jéj zwroty i odcienie i t. d. Wychodząc z założenia, iż pisarz powinien przedewszystkiém myśléć i pisać tylko wtedy, gdy ma coś do powiedzenia i że pisanie jego wtedy tylko będzie miało jakąś wartość, gdy pobudzi czytelnika do myślenia; p. Brunetière uważa, iż obecnie jest moc wielka piszących, lecz bardzo mało pisarzy.

Poglądy na formę, styl, język, p. Brunetière od czasu, gdy z pisarza, którym włada pióro, stał się pisarzem, który włada piórem, określają w znacznym stopniu formę i jego własnych utworów. Analizu-

[1] „Questions de critique, C. Levy, 1889 r., f. I, str. 250.

jąc rozmaite formy stylu, dzisiejszy akademik robi między innemi uwagę, iż tak modny dziś styl, składający się z krótkich, mniéj więcéj urywanych zdań, jest bardziéj subiektywny, nadaje się prędzéj do odtworzenia uczuć i wrażeń piszącego, gdy tymczasem styl klasyczny, w mniéj więcéj długich i zaokrąglonych okresach, jest bardziéj obiektywnym i odpowiedniejszym do oddania logicznie rozwijającéj się myśli. Uwaga ta, psychologicznie słuszna, jest zarazem okolicznościowém tłómaczeniem, obroną własnego stylu autora, któremu często zarzucają, iż i pod tym względem małpuje swego ukochanego Bossueta. Tak, czy inaczéj, owe (względnie do ogólnie dziś, a szczególnie w dziennikarstwie używanych) długie okresy stanowią jeden z charakterystycznych rysów sposobu pisania p. Brunetière'a. Inny, bardziéj uderzający, stanowi obfitość tak zwanych „inwersyi", t. j. przestawiań na początek tych części zdania, które według zwyczajnych prawideł stylistyki francuskiéj, powinnyby znajdować się na końcu, lub naodwrót. Inwersye owe, używane nieraz przez poetów, dla większéj obrazowości, lub harmonijności wiersza, pod piórem p. Brunetière'a mają znaczenie pewnego logicznego zaakcentowania, nacisku, położonego na tę część zdania, na jaką chce zwrócić uwagę czytelników lub słuchaczy. O ile środek ten jest skuteczny, można było osądzić chociażby z tych nielicznych cytat dosłownych, jakieśmy podali, a z których przypomnimy chociażby owe: „Tak! chwilą, samą tylko chwilą, wszystko, co w utworze jest dającego się wytłómaczyć wpływem przyczyn ogólnych, wszystko to podejmę się wytłómaczyć". Co do ogólnéj formy utworów nowego akademika, prasa zarzuca mu, iż karmi słuchaczy swych anegdotami i że jest pedantycznie suchym i nudnym. Oba te zarzuty, sprzeczne w zasadzie, są jednakowo niesłuszne. Co do anegdot, w dwudziestu blisko tomach, jakie dziś już wyszły z pod pióra p. Brunetière'a, znajdzie się ich około dwudziestu. Co do właściwéj formy, najczęściéj wykładowa, płynna i zwięzła, ze znaczną w języku przewagą wyrazów abstrakcyjnych. Z masą inwersyi, podniecających uwagę słuchaczy, czy téż czytelników, jest ona widocznie obrachowana na to, aby być zrozumiałą, a od suchości broni ją zapał, pewna namiętność, z jaką p. Brunetière, pisarz, a szczególnie mówca, stara się przekonać swych czytelników i słuchaczy.

Innym jeszcze wynikiem ogólnych zapatrywań nowego akademika na literaturę i jéj zadania jest jego stosunek do dziennikarstwa z jednéj i do realistycznego i naturalistycznego powieściopisarstwa z drugiéj strony. Co do pierwszego, obok zarzutów, iż tak samo, jak i realistyczno-naturalistyczne powieściopisarstwo, lubuje się ono w bezeceństwach i brudach; o płytkość myśli, powierzchowność w trakto-

waniu najczęściéj obcych sobie, nieznanych kwestyi i przekręcania faktów; główną, dominującą nutę stanowi zarzut, iż zajęte wyłącznie wypadkami dnia bieżącego, dziennikarstwo jest zarówno co do treści swéj, jak i co do tendencyi, nawskroś modernistyczném. Ku modernizmowi, lubowaniu się w teraźniejszości, p. Brunetière ma starą i stałą niechęć, przeglądającą od początku jego działalności literackiéj i wypływającą, jak i wszystkie inne jego sympatye, antypatye i poglądy, z moralistycznego źródła.

Nowy akademik widzi w modernizmie owym lekceważenie tak umiłowanéj przezeń, bo moralniejszéj od czasów teraźniejszych, przeszłości i jéj tradycyi, jako téż negacyę ideałów, bo kto żyje wyłącznie chwilą bieżącą, ten ideałów nie ma i miéć nie może. Stara owa niechęć, spotęgowana dość licznemi osobistemi zatargami z prasą paryską, przybrała oddawna nader ostry charakter ze strony p. Brunetière'a, nie krępującego się wogóle zarówno w objawieniu swych poglądów, jak i tych uczuć w tego rodzaju kwestyach.

Co się tyczy realistów i naturalistów, to jeszcze za czasów swéj walki z nimi, t. j. pomiędzy 1875 i 1883 r., dzisiejszy akademik porobił im sporo ustępstw. Wycofał z pod ogólnéj anatemy Richardsona i angielskich realistów wogóle. Uznał G. Flauberta za mistrza „w swoim rodzaju", rodzaju dość podrzędnym zresztą, a „Panią Bovary" za jedno z (w tymże rodzaju) arcydzieł literatury XIX-go wieku. Pochwalił, i to obficie, A. Daudeta za talent, z jakim maluje obrazy; za to, iż w utworach jego istnieje zaczątek psychologii, polegającéj, jeśli nie na walce woli z otoczeniem i samą sobą, to przynajmniéj na pewném wzdraganiu się, chwilowych chociażby próbach oporu; pochwalił i za to, iż nie nienawidzi i nie uczy nienawiści, a ze wszystkimi i ze wszystkiém sympatyzuje. Samemu, nawet najbardziéj nienawistnemu dlań, Zoli przyznał, iż ma i talent, i siłę, i twórczość, i wiarę w to, co robi, i że mu brak tylko zmysłu moralnego [1]). A w ostatniéj owéj prelekcyi o ewolucyi teatru francuskiego, potrąciwszy o epos, oświadczył swym, niemało zdumionym słuchaczom, iż czytając *Germinal*, doznaje się tego samego rodzaju przyjemności, jakiéj doświadczali niegdyś starożytni Grecy, słuchając pieśni Homera. Obok tych poszczególnych i osobistych amnestyi p. Brunetière obdarzył realistów i naturalistów jeszcze dwiema ogólniejszemi. Pierwszą z okazyi odkrycia, iż malując nie jakieś tam poszczególne *ja*, lecz typy, reprezentujące rozmaite warstwy społeczne, zrobili oni pierwszy w dzisiejszéj literatu-

---

[1]) „Le roman naturaliste", Calman Levy, 1883 r. Zakończenie studyum: „A propos de Pot-Bouille.

rze krok w kierunku tego „poprostu człowieka”, „człowieka wogóle”, który w oczach wychowanego na klasykach p. Brunetière jest jedynym porządnym i zasługującym na uwagę pisarza człowiekiem. Drugą—gdy przyszedł do wniosku, iż jeśli malują rzeczy brudne, to dlatego, iż już takie mają usposobienie, duch, co jest pewnego rodzaju ułomnością, za którą karać ich osobiście do niczego nie prowadzi. Co pozostało po za owemi amnestyami, należy to, powiada sam p. Brunetière, do starego odwiecznego sporu pomiędzy idealistami i materyalistami, do staréj niechęci tych, co w życiu i literaturze szukają prawdy moralnéj, ku tym, co szukają w nich prawdy pozytywnéj. Pozostałość ta jest znaczna, gdyż tylko co wspomniana niechęć w p. Brunetière przybiéra charakter pewnéj idyosynkrazyi, zaostrzonéj jeszcze długą, nader gwałtowną polemiką, jeśli nie z samymi realistami i naturalistami, to z ich, jak się mówi, proszonymi i nieproszonymi obrońcami.

Zamiast wtrącać się do owego sporu i owéj polemiki, coby nas zadaleko zaprowadziło, podsumujmy raczéj rysy, stopniowo podniesione w pracach p. Brunetière'a.

Dążenie do przekształcenia społeczeństwa przez umoralnienie go za pomocą literatury; niechęć do „płaskiego” racyonalizmu XVIII-go wieku i do teraźniejszości; pesymizm, zwrot ku metafizyce i religijności, wyzwolenie ducha z pod jarzma materyi, a woli z pod jarzma determinizmu; wyniesienie indywiduum na godność głównego czynnika ewolucyi, zarówno moralnéj, jak i literackiéj, wszystko to dokonane lub dokonywane bez żadnego kłopotu, lecz za to i bez żadnego uzasadnienia, prostém pociągnięciem pióra aspiranta na reformatora.

Jeśli śledzisz, czytelniku, tak zwaną „nową” francuską i niefrancuską zresztą literaturę, żaden tych rysów nie może ci być obcy. Podnosiliśmy je niegdyś i my z okazyi téj części owéj „nowéj” literatury, która we Francyi zowie się dekadencką. Wspominając dziś o dekadentach, nie czynimy tego bynajmniéj w celu zapisania p. Brunetière'a do ich i tak już licznego pocztu. Nie, gdyż w tylko co zrobionym przez nas rachunku brakuje pewnéj ilości nader charakterystycznych dla dekadentyzmu rysów. Nie, gdyż taka, jaką jest dziś, t. j. nieuzasadniona, niedokończona na wielu punktach, teorya p. Brunetière'a nie nadaje się do żadnéj, mniéj więcéj stanowczéj klasyfikacyi. Chodziło nam poprostu o zaznaczenie faktu, iż reformatorskie próby nowego akademika należą do cyklu dość już dziś licznych prób tego rodzaju. P. Brunetière twierdzi, iż pewne indywidua, do kategoryi jakich niewątpliwie zalicza samego siebie, są w stanie przełamać wpływ wszelkich czynników zewnętrznych, włącznie z wpływem,

„saméj" nawet chwili. Tylko co wskazana przez nas wspólność jego poglądów i aspiracyi z poglądami i aspiracyami dość sporéj dziś już garści innych indywiduów świadczy, iż owe poglądy i aspiracye nie są przejawami osobliwości jego własnego, czy też owych innych indywiduów „ducha", lecz wynikiem działania pewnych przyczyn, leżących po za niemi wszystkiemi, t. j. w stosunkach i historyi dzisiejszego społeczeństwa francuskiego.

A teraz, łaskawy czytelniku, spodziéwasz się zapewne po nas ogólnéj sumy teoryi p. Brunetière'a... Dałoby się w tym względzie powiedziéć niejedno, gdyż teorya owa, taka, jaką jest dziś, ma wiele, bardzo wiele słabych stron, których zresztą nie mogłeś nie spostrzedz i sam. Zamiast więc rozprawiać znów o rozmaitych poszczególnych zapatrywaniach nowego akademika, o których już i tak nagadaliśmy się sporo, streśćmy jego teoryę ogólną.

Postanowiwszy umoralnić dzisiejsze społeszeństwo francuskie, p. Brunetière zadał sobie pytanie: czém jest literatura? i przyszedł do wniosku, iż jest ona wynikiem wzajemnego oddziaływania na siebie dwu czynników, a mianowicie: piszącego indywiduum i pewnego „rodzaju" literackiego. Aby więc nadać pożądany, t. j. umoralniający kierunek literaturze, należy przedewszystkiém umoralnić indywiduum piszące, indywiduum wogóle, bo któż zgadnie, które z nich będzie pisać, a które nie? Umoralniać społeczeństwo! umoralniać indywiduum! Zadanie to niełatwe, szczególnie, gdy się traktuje indywiduum owe po klasycznemu, t. j. gdy się o niém mówi, iż jest takiém, bo takie ma usposobienie, taki duch! Nie ustraszony jednak ową trudnością zadania, a tylko przywoławszy na pomoc wolną wolę, p. Brunetière prowadzi analizę swą daléj, poszukując: na czém głównie polega niemoralność dzisiejszych jednostek? a uznawszy, iż głównie na ich indywidualizmie, czy też egoizmie, postanawia zwalczać ów egoizm. W jakiż sposób?

Wyniósłszy przedewszystkiém jednostkę do godności głównego, niczém oprócz własnéj swojéj woli i usposobienia nie zawarunkowanego czynnika niezależnego ewolucyi moralnéj i literackiéj. Potém... potém... kładąc czynnikowi temu do ucha sam i żądając, aby i inni literaci i dziennikarze kładli mu w uszy również, iż egoistą być nie należy, a należy być dobrym, współczującym, litościwym. Z czasem, po za owém „nie należy i należy" znajdzie się prawdopodobnie jakaś teorya metafizyczna. Tymczasem jednak, a tymczasem to

---

[1]) „Evolution de la poesie lyrique française au XIX s." Rozdział zatytułowany: „L'ejneuci pation du Moi".

trwa od lat blisko dwudziestu, jest samo tylko „należy i nienależy”. Otóż i jako środek zwalczania onego egoizmu, którego korzenie sięgają tak głęboko w przeszłość Francyi, iż p. Brunetière poświęca analizowaniu ich cały rozdział i wyjątkowo zagląda aż do wielkiéj rewolucyi i jako podstawa do wydania sobie dyplomu na myśliciela, równego Taine'owi, Spencerowi i Haecklowi, owo: „należy i nie należy”—to zamało! stanowczo zamało!

W. Wojnarowska.



BIOPSYCHIKA I SOCYOLOGIA.

Istnieje mniemanie, jakoby życie było powszechném zjawiskiem we wszechświecie, i jakoby atomy były żywemi istotami. I w saméj rzeczy, jeżeli ruch ma być oznaką życia, to przejawia się on zarówno w ciałach tak nieorganicznych, jak organicznych.

W tych ostatnich jednak spostrzegamy pewne, onym tylko właściwe zjawiska, które obejmujemy zwykle pod ogólną nazwą życia, a dla wyjaśnienia których nie wystarczają ani kinematyka (o ruchu masowym czyli molarnym), ani fizyka (o ruchu drobinowym czyli molekularnym), ani chemia (o ruchu atomowym).

Pojawia się więc potrzeba uznania nowéj kategoryi ruchu: ruchu, który może się ujawniać tylko w materyi szczególnego ustroju, a którego najogólniejszym wyrazem jest pobudliwość, czyli czułość na drgania eteru, atomów i drobin.

Wprawdzie już Oken mówił o istnieniu takiéj materyi, ale dopiéro w r. 1844 określił ją bliżéj Mulder, a od r. 1846 otrzymała ona nazwę protoplazmy, po polsku pierwoszczy albo zarodzi. Jest ona siedliskiem życia wszystkich organizmów—jak się wyraża W. Preyer. Skład jéj chemiczny nie zawsze jest jednakowy: wchodzą do niéj przedewszystkiém związki białkowe i woda, zawiéra téż ona małą ilość związków nieorganicznych, a często spostrzegać się w niéj dają wodany węgla i tłuszcze. Odznacza się ona wielką elastycznością i zmiennością, chciwie pochłania tlen, wydziela dwutlenek węgla i wytwarza pracę mechaniczną, ciepło, światło, elektryczność. Wrażliwość swoją na wszelkie podniety ujawnia, to wydłużając się, to kur-

cząc. Kwasy organiczne niszczą skurczliwość onéj, a chloroform, chloral, nikotyna osłabiają jéj wrażliwość. Chlornik rtęci (sublimat) w dwutysiącznem nawet rozcieńczeniu niweczy życiowe onéj przejawy.

Buffon już przypuszczał elementarne cząsteczki organizowane (molekuły organiczne) w sokach i krwi istot żywych. Lecz dopiéro w r. 1862 Naegeli podał systematyczny pogląd na budowę pierwoszczy. Zdaniem jego, zaródź składa się z drobin organizowanych *(micelle)*, przy najsilniejszém nawet powiększeniu mikroskopowém niedostrzegalnych, a utrzymywanych w pewnym stosunku do siebie działaniem sił międzymicellarnych. Karol Darwin w hypotezie swojéj pangenezy, ogłoszonéj w r. 1868, przypuszcza takie pierwotne drobiny zorganizowane, które nazywa pangenami. Dzisiaj liczni biologowie, tak botanicy jak zoologowie, są tego przekonania, że większość objawów życiowych da się sprowadzić do przyrody i sposobu łączenia się tych pierwotnych cząstek zorganizowanych, jakkolwiek je nazwiemy. Teorya drobin organicznych — skoro zostanie dostatecznie uzasadniona i rozwinięta — może w nauce o życiu oddać takie usługi, jakie oddaje teorya atomistyczna w chemii.

Drobiny organiczne, łącząc się z sobą, wytwarzają komórkę, początek i fundament życia organicznego. Komórki są żywemi kulkami pierwoszczy. Posiadają one w sobie znaczny zapas nagromadzonéj energii, i ruchy drobinowe, wewnątrz onych odbywających się, sprowadzają rozmaite zjawiska, dające początek rozmaitym funkcyom. Pierwotne komórki są nagie, bezbłonkowe; w dalszym rozwoju wydziela się błonka komórkowa, a grubienie onéj sprowadza rozmaitość kształtów. Komórką jest monera, najpierwszy organizm na drabinie tworów organicznych; komórką jest także jajko, z którego najwyższy organizm, jakim jest ludzki, powstaje. Komórka jest punktem, od którego rozpoczyna się nietylko świat organiczny i ludzki, ale i społeczny. Preyer, mówiąc o rozwoju indywidualizacyi, podaje następujący szereg: komórka, tkanka, organ, przyrząd organiczny, organizm, spółka dwóch osobników płci rozmaitéj (małżeństwo), rodzina i państwo. Przytaczam ten pogląd tylko dla zaznaczenia ciągłości łańcucha form życiowych.

Czy pierwoszcza może się tworzyć dzisiaj bez pośrednictwa komórek, nie wiemy. Co do samorodztwa komórek, to tacy znakomici przyrodoznawcy, jak Schwann, Schleiden, Raspail, K. Robin, uznawali onego możliwość, ale niczém to nie zostało dotąd dowiedzione. Słynny więc aforyzm Harvey'a: *omne vivum ex ovo*, nie stracił dzisiaj swe-

go znaczenia, lecz został jeszcze bardziéj uogólniony w aforyzmie: *omnis cellula a cellula et in cellula.*

Z połączenia się komórek powstają bardziéj złożone ustroje, lecz pomimo to każda komórka nie przestaje żyć własném życiem. Jestto zdanie zarówno takich znawców życia komórkowego, jak Klaudyusz Bernard, I. Paget, Mathias-Duval, Virchow, Strasburger. Nawet po śmierci całego organizmu objawia się jeszcze przez pewien czas życie w niektórych komórkach. Widziano ruchy rzęs migawkowych u żółwia, w piętnaście dni po jego śmierci; u człowieka w jamach nosowych w trzydzieści dni po odcięciu głowy przez gilotynę. Komórki można przenosić z jednego ciała na drugie i na oném zaszczepiać, kolonizować. Na tém polega znakomite odkrycie Jakóba Reverdin'a z Genewy, że można przenosić naskórek z jednéj części ciała na drugą, z jednego człowieka na drugiego, z umarłego nawet przed kilku godzinami na żywego.

W komórce rozpoczyna się różnicowanie pierwoszczy: jedna przedstawia własności więcéj odżywcze, druga twórcze. Naegeli, Hertwig, Weissmann przypuszczają, że istnieje osobnego rodzaju pierwoszcza, któréj czynnością jest przenoszenie cech dziedzicznie, i Naegeli dał mu nazwę idyoplazmy, która—zdaniem jego—u każdego niemal osobnika jest odmienna. W miarę przewagi téj lub owéj pierwoszczy w komórkach, i one same się rozróżniają. W roślinach bywają komórki rozrostowe i rozpłodne. W organizmie zwierzęcym najwyższy szczebel zajmują komórki nerwowe, które stają się siedliskiem ruchu nerwowego, ujawniającego wszystkie zjawiska życiowe i onemi kierującego.

Badania Maxa Vervorn'a [1]) nad początkiem i przyrodą ruchu ustrojowego okazały, że w komórce istnieje wielka wzajemna zależność pomiędzy jéj jądrem i pierwoszczą. Jądro, oddzielone od pierwoszczy, i pierwoszcza, pozbawiana jądra, przestają objawiać ruch życiowy. Dzieje się to skutkiem tego, że w ten sposób zostaje powstrzymana wymiana pomiędzy pierwoszczą a jądrem. Pierwoszcza bowiem chciwie pochłania tlen, i cząstki jego, nasycone tlenem, dążą do jądra, by prawdopodobnie zabrać mu inne pierwiastki, a skoro to nastąpi, pierwoszcza odzyskuje poprzednią chciwość do tlenu. Odbywa się więc nieustanne wydłużanie się pierwoszczy ku stronie zewnętrznéj, gdzie może się zetknąć z tlenem, i skracanie się ku jądru. Ruch ten w komórce — jak to znakomicie okazał Vervorn szeregiem

---

[1]) „Die physiologische Bedeutung des Zellkerns", Bonn, 1891. „Die Bewegung der lebendigen Substanz", Jena, 1892.

dobrze obmyślanych doświadczeń — jest początkiem i pierwiastkiem wszelkiego ruchu mięśniowego.

Objaśniwszy skurczliwość, nauka nie rozwiązała jeszcze zagadnienia. Pomijając pytanie, dlaczego pierwoszcza okazuje taką chciwość na tlen, pozostaje jeszcze do objaśnienia pobudliwość, czyli wrażliwość. Jest ona nader czuła. Doświadczenia Pfeffera nad bakteryami i płodnikami, wogóle nad drobnoustrojami roślinnemi, przekonały go, że tak nieskończenie małe części materyi pokarmowéj, jak trylionowa część miligramu wywierały na nie wrażenie, przynęcając je ku sobie, aczkolwiek najsubtelniejsza reakcya chemiczna nie była w stanie wykryć tych części. Sam więc chemizm nie daje jeszcze ostatniego klucza do wyjaśnienia zjawisk życiowych.

Ruch drobin pierwoszczy można nazwać ruchem życiowym, i w nerwie czynnym spostrzegamy także wibracyę drobinową, która szerzy się mniéj więcéj z prędkością od 28 do 30 metrów na sekundę. Zaznaczył ją już Hartley, lekarz londyński, w dziele wydaném w roku 1749 p. t. *Observations on Man, his frame, his duty, his expectations* („Spostrzeżenia nad człowiekiem, jego ustrój, obowiązek i nadzieje"). Ponieważ wykazano, że we wszystkich organach życia roślinnego i zwierzęcego objawia się elektryczność, i że ona stanowi najsilniejszą podnietę czynności nerwowéj, więc niektórzy biologowie brali ją za jedno z siłą nerwową. Wszelako do przyjęcia tego wniosku nie ma uzasadnionéj podstawy. Różnica w szybkości rozchodzenia się prądu elektrycznego i nerwowego jest ogromna; a przytém skoro nerw staje się czynnym, prąd elektryczny w nim słabnie, skutkiem zapewne przeobrażenia się téj siły w nową jéj formę.

Już Mesmer, lekarz wiedeński, zaznaczył w r. 1779 istnienie osobnéj siły nerwowéj i nazwał ją magnetyzmem zwierzęcym. Bain w swojém dziele: *The Senses and Intellect* mówi także o osobnéj odmianie siły pod postacią siły nerwowéj. Z największą jednak stanowczością wystąpił w tym względzie dr. A. Barety. W r. 1881 złożył on Towarzystwu biologicznemu, za pośrednictwem profesora wydziału lekarskiego w Paryżu, Karola Richet'a, memoryał o sile nerwowéj promienistéj, który wielką pomiędzy biologami wzbudził uwagę. Następnie w r. 1887 wydał on dzieło p. t. *Le Magnétisme animal étudié sous le nom de Force Neurique*, w którém twierdzi, że w ciele ludzkiém istnieje osobna siła nerwowa *(force neurique, agent neurique, neuricité)*, mająca wielkie podobieństwo do elektryczności, szczególnie do jéj postaci znanéj pod nazwą magnetyzmu, i dlatego nazwę magnetyzmu zwierzęcego uważa za zupełnie odpowiednią. Istnieje ona w stanie statystycznym i dynamicznym, a w stanie dynamicznym

ujawnia się jako obieg wewnętrzny po fibrach nerwowych i jako promieniowanie na zewnątrz. Mówi on o doświadczeniach Marcina Zieglera, które ten robił w Genewie nad promieniowaniem ciała ludzkiego w obecności profesora Schiffa, i wspomina, że dr. Collongues w roku 1874 za pomocą bioskopu, a w kilkanaście lat późniéj dr. Planat, za pomocą zbudowanego przez siebie przyrządu, ujawniali promieniowanie nerwowe. Dr. Barety opisuje liczne doświadczenia nad siłą nerwową w stanie promieniowania, które wykazują wielką analogię onéj do ciepła promienistego i światła, pod względem rozchodzenia się w powietrzu, odbijania się od powierzchni gładkich i krzywych, załamywania się w soczewkach i rozpraszaniu się przy przechodzeniu przez pryzmy. Osoby hypnotyzowane, które—zdaniem Luys'a—stają się niezmiernie czułe na wibracye ruchu życiowego, czyli—jak się on wyraża — „wibracye magnetyczne żywe" [1]), odczuwają okiem — podług jego doświadczeń — w barwnéj postaci promieniowanie siły życiowéj. Dr. H. Baraduc czynił doświadczenia nad wpływem, jaki wywierają ciepło, światło, elektryczność i siła nerwowa na igłę magnetometru Fortin'a, i spostrzeżenia swoje ogłosił w książce p. t. *La Force Vitale* (Paris, 1893). Podług jego doświadczeń — ciepło, światło, elektryczność, tak dodatnia jak ujemna, zawsze przyciągają igłę, i tylko lód, zbliżony do klosza na dwa centimetry, ją odpychał. Palce ludzkie na odległości 5 centimetrów w większéj części wypadków (91 na 100), co najwyżéj po dwóch minutach okazywały wpływ na igłę, która albo się przybliżała, albo się oddalała. Prawa ręka niemal zawsze przyciągała; lewa nieco częściéj (109 wypadków) raczéj odpychała, niż przyciągała (107). Baraduc czynił doświadczenia nad 300 osobami, przyczém zauważał, że temperament a szczególnie stan zdrowia sprowadzały ważne odmiany, ujawniając się przewagą przyciągania lub odpychania, kątem odchylenia się igły, szybszém lub powolniejszém, stałém lub zmienném działaniem. Podług spostrzeżeń Baraduc'a, u osób zupełnie zdrowych przyciąganie prawéj ręki równało się prawie odpychaniu lewéj. Osoby usposobienia obojętnego, mało wrażliwe, nie wywierały żadnego wpływu na igłę magnetometru [2]). Im większe były zboczenia od równości, tém więcéj okazywała się

[1]) Charcot i Rainoldi wykazali, że mózg podczas snu hypnotycznego znajduje się w szczególnem podnieceniu. Że osoby hypnotyzowane okazują wielką nieczułość na ból, to biologowie przypisują temu, że z zapadaniem w stan hypnotyczny znika świadomość.

[2]) Osób takich było 10 na 300, które obserwował Baraduc. Brak ten wpływu oznacza on formułą: o|o.

nadwérężoną równowaga sił w organizmie, a szczególnie w stanie nerwowości [1]).

Potrzeba hypotezy ruchu życiowego jest przez wielu biologów uznawana, jak przez Häckla, Hisa, Huxley'a i t. d., a nawet już Arystoteles, na podstawie hypotezy ruchu, usiłował objaśniać stopniowe tworzenie się narządów zarodka. W jakim jednak stosunku jest ruch nerwowy do życiowego? Opiérając się na tém, że życie jest ogólném zjawiskiem wszelkiéj komórki, a nerwowość jest jedną niejako jego stroną, która się specyalizuje w komórkach nerwowych, możemy ruch życiowy porównać do światła słonecznego, które się składa z drgań różnéj szybkości, różnemi barwami ujawniających się w oku ludzkiém, a które łączą się razem w jedną barwę.

Jeżeli ruchy nerwowe możemy zaliczyć do jednéj kategoryi z ruchem życiowym, to nie mamy żadnéj podstawy do szukania gdzieindziéj początków życia psychicznego, jak w nerwowości. Bez ruchu nerwowego, nie byłoby wrażenia, tego pierwiastku życia psychicznego. Im system nerwowy jest bardziéj rozwinięty, więcéj zróżnicowany, im komórki nerwowe liczniejszemi fibrami są połączone z sobą (Ramon y Cajal), tém życie psychiczne jest bogatsze i rozmaitsze. Rozwój świadomości postępuje — że tak powiem — za rozwojem masy szaréj w mózgowiu, i im większa jest liczba zwojów w mózgu, tém głębsza i rozleglejsza świadomość. Pobudliwość, wrażliwość, czułość są to—rzec można—coraz wyższe tony téj samej gamy.

Czy możliwa jest przemiana energii fizycznéj w psychiczną i odwrotnie? Zwykłe spostrzeżenie zdaje się to potwierdzać. Ruch bowiem fizyczny wzbudza wrażenia, wzruszenia, a te za pośrednictwem substancyi szaréj mlécza pacierzowego zamieniają się w ruch mięśniowy. Widzimy więc, że ruch psychiczny jest ogniwem pośredniczącém pomiędzy przemianami energii fizycznéj. To samo spostrzegamy i u osób hypnotyzowanych, u których usposobienie do przyjmowania poddawanych wrażeń i wzruszeń *(suggestibilité)* jest szczególnie silném, czyli znajduje się w stanie egzaltacyi — jak się wyraża dr. Babiński. Wmawiając cośkolwiek hypnotyzowanym, za pomocą dźwięków, wyrażających pewne wyobrażenia i uczucia, wzbudzamy

---

[1]) Szkoda, że autor nie ograniczył się na podaniu tych doświadczeń i nie wstrzymał się od wkroczenia na pole fantastycznych przypuszczeń, skutkiem czego książka wiele traci na charakterze naukowym. Nie ma też zgoła charakteru naukowego i książka A. de Rochas'a („Les forces non définies", Paris, 1887), i dlatego nie powołuję się na doświadczenia, które on w niéj opisuje, ani też na jego najnowsze doświadczenia nad uzewnętrznieniem czułości *(extériorisation de la sensibilité)*.

odpowiednie drgania powietrza, które działają na nerwy słuchowe, a powstający w tychże prąd wyzwala z komórek mózgowych uśpionego to skojarzanie wrażeń i wzruszeń, które poddający, czyli suggestyonujący, chciał wywołać. Biologowie włoscy, szczególnie Tanzi, Musso i Corso, wykazali doświadczeniami, że istnieje równoważność i wzajemna przemienność energii psychicznéj z ciepłem. Kiedy mózg znajduje się w stanie dynamicznym, czyli pracuje, to spostrzegamy oziębienie substancyi mózgowéj, a kiedy przestaje pracować, czyli przechodzi w stan statyczny, temperatura się podnosi [1]). Kolejno następujące zmiany temperatury w mózgu pracującym przedstawiają wahania (oscylacye) termiczne, które odpowiadają rytmowi procesu dezintegracyi i reintegracyi w centrach nerwowych. Stąd biologowie włoscy przychodzą do wniosku, że praca mózgowa jest postacią energii, i że ma ona swoje równoważniki chemiczne, fizyczne i kinematyczne. Doświadczenia i wnioskowania ich są tak przekonywające, że Juliusz Soury, zdając sprawę z nowoczesnych prac psychologicznych szkoły włoskiéj, z całą stanowczością powiada: „Wszystkie dzisiaj znane siły kosmiczne, nie wyłączając psychicznych, dają się przeobrazić jedne w drugie, bez straty i przybytku" [2]). Babiński wykazał, że można przenosić pewne zjawiska nerwowe z jednéj osoby na drugą, a Luys twierdzi, że siła nerwowa, tak samo jak elektryczność, daje się nagromadzać w zgiętéj namagnesowanéj sztabie żelaznéj [3]). Powiększona w stanie hypnotycznym wrażliwość na znajdujące się w pewnéj odległości magnesy, metale i trucizny, okazana przez profesorów: Bourru, Burot'a i Luys'a, świadczy, że prąd magetyczny i ruch drobinowy metali i trucizn jest w stanie przeobrażać się w ruch nerwowy. I odwrotnie spostrzegano przeobrażenie się energii nerwowéj w mięśniową i fizyczną. P. Ochorowicz zauważył, że u osób, zostających we śnie hypnotycznym, mięśnie szyi i szczęki drgały za zbliżeniem palców na odległość 4 do 5 centimetrów. Mówiłem już o doświadczeniach Barety'ego i Baraduc'a nad wpływem siły nerwowéj na igłę magnetyczną.

Na pierwszych stopniach ustrojowości zwierzęcéj, u korzenio-

---

[1]) Corso wbrew Schiffowi dowiódł, że przy pracy czynnéj mózgu temperatura jego substancyi nie podnosi się, ale obniża.

[2]) Str. XIV. Préface. Les fonctions du cerveau. — Doctrines de l'école de Strasbourg, — Doctrines de l'école italienne—par Jules Soury. Paris, 1891.

[3]) Na posiedzeniu Towarzystwa biologicznego w Paryżu 10 lutego 1894 r., Luys mówił o swoich spostrzeżeniach i doświadczeniach przenoszenia pewnego usposobienia psychicznego, za pomocą tak zwanéj korony magnetycznéj, z jednéj osoby na drugą.

nóżek *(rhizopoda)* cała pierwoszcza ciała jest równomiernie wrażliwa, Następnie na wyższych szczeblach pojawiają się osobne organa o zwiększonéj wrażliwości, jak biczyki u wiciowców *(Flagellata)* i rzęsy, czyli migawki u *Ciliata*. Wrażliwość u flagellatów, jest większa aniżeli u korzenionóżek, a Ciliata zajmują najwyższy w tym względzie szczebel w państwie pierwotniaków. Na wyższych jeszcze szczeblach ustroowości powstają szczególnie wrażliwe komórki: n e r w o w e, a w nich tkwi wszelka czynność psychiczna. Wraz z rozwojem systematu nerwowego wzmaga się także i wrażliwość. Jest ona większa u europejczyków, aniżeli u murzynów. Wogóle, wrażliwość wzrasta w miarę podnoszenia się szczebli rozwojowych. Hugo Magnus, profesor oftalmologii we Wrocławiu, spostrzegł, że dzicy rozróżniają w widmie tylko barwy sąsiednie z czerwoną; od strony zaś fioletowéj znajdujące się, przedstawiają się im jako szare, albo mniéj lub więcéj ciemne. Badania językowe przekonywują tak samo, że w odległéj starożytności znano tylko kolory: czerwony i czarny. L. Geiger przekonał się, że ani w pismach Rygwedy, ani w Zendaweście, ani w Biblii, ani u Homera nie ma wzmianki o barwie niebieskiéj. Powonienie, które jest czém inném, jak węch, także się rozwijało. W Rygwedzie nic się nie wspomina o kadzidłach ofiarnych. W pierwszéj księdze Biblii, gdy się mówi o drzewach i owocach w raju, używa się przymiotników: piękne i smaczne, i dopiéro w apokryficznéj księdze „Enoch" (w pierwszym lub drugim wieku po Chrystusie) drzewo wiadomości dobrego i złego przedstawia się, jako posiadające rozkoszny zapach. Uczucie bólu u ludów dzikich, u dzieci i u jednostek atawistycznych (zbrodniarzy) jest mniéj silne, niż u narodów z wyższą kulturą i u osób dorosłych. Z tego też powodu choroby nerwowe stały się tak częstemi w naszém stuleciu.

Cienkowski, mówiąc o zoosporach i amebach, robi uwagę, że przy szukaniu i przyjmowaniu pokarmu, przejawiają one jakby pewnego rodzaju świadomość, chociaż, co do swego ustroju, są tylko zwykłą pierwoszczą. Im wrażliwsze są twory, tém widoczniejsze oznaki świadomości i od wyższego jéj stopnia zależy względna doskonałość gatunku. Mając to na uwadze, d-r Max Verworn w swych badaniach doświadczalnych nad pierwotniakami przyszedł do tego wniosku, „że pojęcie duszy (psychy) rozciąga się tak daleko, jak daleko sięgamy z pojęciem życia". „Oba te pojęcia — powiada on — są nierozłączne, oba te pojęcia zléwają się razem" [1].

---

[1]) Psycho-psychologische Protisten-Studien. Experimentelle Untersuchungen von D-r Max Verworn. Jena, 1889. Str. 203.

Ruchy: życiowy, nerwowy i psychiczny należą do jednéj kategoryi zjawisk. Cała energia życiowa w ciele ludzkiém powstaje z promieni słonecznych, które w gałeczkach zieleni komórek roślinnych uwięzione, wchodzą pośrednio lub bezpośrednio, jako pokarm do wnętrza organizmu i tam, ulegając rozmaitym przeobrażeniom chemicznym w komórkach, przemieniają się częściowo w ciepło, częściowo w inne siły, jak elektryczność, siłę nerwową i t. d.

Nauka o ruchu życiowym, sprowadzającym wszelkie zjawiska życia cielesnego i duchowego, zwolna się kształtuje. Zwłaszcza wiele dla niéj zrobił Klaudyusz Bernard. W ostatnich czasach W. Preyer, Karol Richet, Herzen usiłowali nakréślić jéj pierwsze zarysy. Dawano jéj nazwę: ogólnéj biologii, fizyki organicznéj, ogólnéj psychofizyologii. W mojéj klasyfikacyi nauk dałem jéj nazwę bio-psychiki.

Jeśli kinematykę można uważać za podstawową naukę dla kosmologa; jeżeli bez dokładnéj znajomości fizyki i chemii, ziemioznawstwo w obszerniejszém jego znaczeniu jest niemożliwe; to bio-psychika może dać jeno klucz do wyjaśnienia zjawisk organologicznych i socyologicznych.

Bez komórki nie ma życia. Jest ona wrażliwa na wszelkie podniety, tak ciepło, światło, elektryczność, jak mechaniczne i chemiczne podrażnienia. Podniety te sprowadzają w niéj zmiany, skutkiem których garnie ona z zewnątrz coraz więcéj materyi, czyli bierze pokarm, odżywia się. Sprawa odżywiania się jest ściśle połączona z własnością odbiérania wrażeń, i obie te najpierwotniejsze funkcye są podstawą życia organicznego. W komórce więc już życie cielesne jest ściśle połączone z życiem psychiczném, a na wyższych szczeblach ustrojowości uwydatnia się to coraz bardziéj, i w społeczeństwie ludzkiem życie ekonomiczne i umysłowe są tak zespolone z sobą, iż trudno stanowczo orzekać, które z nich ma wpływ większy.

Komórka przez odżywianie powiększa owe ciało i rozpada się na nowe odrębne komórki, a te następnie rozpadają się na inne i t. d. Z tego powodu niektórzy biologowie uważają, że życie jadnokomórkowych istot przedstawia pewnego rodzaju nieśmiertelność. Rozmnażanie się komórek można uważać, jako dalszy tylko ciąg rozrastania się onych cielesnego.

Właściwość ta komórki jest powodem, że przedstawia ona większą analogię z rodziną, aniżeli z oddzielną jednostką, chociaż z innych względów możnaby upatrywać większe podobieństwo do roli oddzielnego osobnika.

W miarę powiększania się liczby komórek, widzimy zbliżanie się ich do siebie, łączenie się i powstawanie nowych złożonych ciał.

W pierwszych połączeniach komórkowych tkwi także początek życia społecznego. Każdy następny osobnik, jakkolwiek zupełną przedstawiałby jedność organiczną, właściwie jest wielością, społeczeństwem. W łączeniu się komórek z sobą leży zawiązek wszelkiego rozwoju i postępu, albowiem zespolone, snadniéj opiérają się niszczącemu wpływowi otoczenia i wspiérają się wzajemnie w pełnieniu funkcyi życiowych, do czego przyczynia się z jednéj strony większy rozmiar ciała, a z drugiój—pewien podział pracy.

Podział pracy, będący właściwie różniczkowaniem się fizyologicznem komórek — podług trafnego objaśnienia Roux'a — pochodzi stąd, że wszystkie komórki z równą łatwością chwytają żywność i że niektóre zmuszone są brać taką, jaka pozostaje, a różnica w odżywianiu się wpływa na zmianę budowy i czynności. Roux nazywa to walką o byt. Wogóle, życie rozwija się w kierunku najmniejszego wysiłku, a życie świadome w kierunku najmniejszego cierpienia.

Jednokomórkowe najniższe istoty, rozmnażając się przez samopodział, wyczerpują wreszcie po wielu pokoleniach energię życiową i dalsze rozmnażanie się może odbywać się jeno wskutek łączenia się, czyli konjugacyi dwóch organizmów jednokomórkowych, t. j. częściowego lub całkowitego onych zespalania, zléwania. Tu się poczyna rozróżnianie i rodzenie płciowe. W akcie odgrywają specyalną i wielką rolę jądra komórkowe, które, zléwając się z sobą, sprowadzają zapłodnienie. I to przedstawia nowy powód, dlaczego komórkę słuszniéj możemy przyrównywać do rodziny.

Pomimo ważnych prac nad rolą i ruchami jąderka przy dzieleniu się komórek, nad tak zwaną karyokinezą lub karyomitozą—w których to pracach przewodzi znany profesor Strasburger — niewiele jeszcze wiadomo o tym przedmiocie i dlatego ze szczegółowém porównywaniem rodziny z komórką — jak to uczynił Schäffle — wstrzymać się jeszcze należy. Prawdopodobnie, sprzęgające się komórki, ameby [1]) mało się różnią pomiędzy sobą, ale następnie różnica ta staje się coraz większa i u wyższych tworów pojawiają się specyalne ciałka płciowe, z których jedno jest jajkiem, drugie nasieniem, plennikiem, zapłodnikiem. Ciałko nasienne ruchliwe odgrywa czynną rolę, jajko więcéj bierną. Zjawisko zapłodnienia — podług Giarda — polega na tém, że ameba plennicza, dostawszy się do jajka i żywiąc się jego wierzchnią pokrywą, łączy się z amebą jajową, wychodzącą ze stanu otorbienia

---

[1]) Ameba o szczebel wyżéj posunięta jest w rozwoju ustrojowym od monery. Jestto komórka, złożona ze stałego jąderka białkowego i z otaczającego one białka w stanie mniejszéj gęstości i spójności.

Sam akt rodzenia dzieci zmusza kobiétę do mniéj czynnéj roli w społeczeństwie.

Można przeszkodzić ciałku nasiennemu do zespolenia się z jądrem jajowém, a jajku przewężnemu, t. j. zespolonemu, do dalszego podziału i rozwoju, za pomocą chloroformu, chloralu, nikotyny i chininy. Badania w tym kierunku wiążą się z ważną kwestyą ludnościową.

Jeżeli będziemy postępować za rozwojem życia zwierzęcego w jajku zapłodnioném lub po szczeblach ustrojowości, to widzimy coraz widoczniejszy podział komórek, który się przedstawia pod postacią dwóch listków zarodkowych: ektodermy i entodermy. W pierwszéj warstwie skupiają się komórki osłaniające, broniące; w drugiéj trawiące, odżywiające. Zwracając się ku ustrojom społecznym, możemy do pierwszych porównać rycerstwo, do drugich stan rolniczy. Z entodermy wydziela się i wyróżnia średni listek — mezoderma, przylegający do obu poprzednich, a który w ustroju społecznym można porównać do stanu rzemieślniczego, albowiem i ten wydziela się ze stanu rolniczego i w pełnieniu swych czynności zwraca się ku obu innym warstwom. Zwrócono oddawna uwagę na ważność genetyczną tych trzech stanów. Pominąwszy mniéj znaczące wyjątki — powiada Wawrzyniec Surowiecki—od najdawniejszych czasów w każdym narodzie liczono trzy główne klasy obywateli: rolniczą, trudniącą się hodowaniem zwierząt i wyprowadzaniem surowych płodów ziemi; rzemieślniczą, przerabiającą od pierwszéj dostarczane płody na użytek i wygodę powszechną; wojskową, strzegącą, aby pierwsza i druga nie doświadczała w swéj pracy żadnéj przeszkody" [1]). Listki owe zarodkowe mają jeszcze ogólną nazwę archiblastu, a parablastem zowią komórki z pierwoszczu twórczego, wydzielające się z żółtka jajowego i przeobrażające się w ciałka krwi i tkankę łączną. Na tem opiérano się, że istnienie analogicznego stanu kupieckiego i piéniędzy, jako krwi jest uwarunkowane koniecznością rozwoju. Wiemy jednak, że u owadów układ naczyniowy jest mało rozwinięty, albowiem ustrój organów oddechowych daje możność doprowadzania powietrza bezpośrednio do wszystkich części ciała. Możemy więc przypuszczać możność istnienia i takich organizmów społecznych, w którychby czynność rozdzielcza, odbywając się bezpośrednio pomiędzy wytwórcami i spożywcami, była sprowadzona do najmniejszéj liczby osób i mogła się obchodzić bez kruszcowych znaków wymiany. Herbert Spencer szczegółowo wykazał analogię powstawania warstw w organizmie zwierzęcym i spo-

---

[1]) O upadku przemysłu i miast.

łecznym. Przedstawiłem tę analogię odmienniéj od niego, lubo zasadniczéj różnicy w tém nie ma [1]).

Analogia wskazuje tylko to, że jest pewna wspólność planu rozwoju, która wynika z tego, iż punkt wyjścia, początek procesu rozwojowego jest wspólny, i że siły przeobrażające działają te same. Spencer w porównaniach swych czynności socyologicznych z biologicznemi wykazał to z wielką gruntownością. Z tego też powodu rozwój filogenetyczny, szczeblowanie całéj ustrojowości, i rozwój ontogenetyczny, czyli rozwój jednostki ustrojowéj, mają wiele do siebie podobieństwa, i podobieństwo to, często zaciemnione nowym układem i nowemi czynnościami, dopiéro przy ściślejszém i dokładniejszém badaniu — jak to uwidocznil biologowie — daje się wykazać.

Nagromadzenie się komórek sprowadza ich różniczkowanie, które przejawia się rozmaitemi czynnościami. Za różniczkowaniem idzie całkowanie, indywidualizacya. Pomiędzy rozmaitemi czynnościami wyrabia się coraz większa zależność wzajemna, tak zwane prawo współczynności. Wszystkie komórki łączą się w stawianiu oporu szkodliwym wpływom otoczenia zewnętrznego, w walce całego ogółu o swój byt, o swoje istnienie. Interes całości zaczyna przeważać nad oddzielnym interesem każdéj komórki z osobna. Ustala się to i upowszechnia. Przejawia się to w instynkcie, który troszczy się o zachowanie gatunku chociażby z poświęceniem oddzielnych osobników; w wewnętrzném jakby poczuciu każdéj komórki, że bezpieczeństwo jéj jest większe w łączności organicznéj z innemi. W życiu ludzkiém staje się to widoczniejszą jeszcze rzeczą.

Kiedy pewna liczba komórek lub połączeń komórkowych spełnia jedną czynność w organizacyi, stanowi ona to, co nazywamy organem. Z pojawieniem się większéj liczby organów odbywa się różczkowanie onych i następuje ponowne ich scałkowanie w wyższy organizm, przedstawiający wyższy stopień indywidualizacyi i większą świadomość.

W rozwoju życia społecznego widzimy analogiczne zjawiska różniczkowania i całkowania się oddzielnych rodzin, związków, stanów, korporacyi. Wraz z urozmaiceniem się zajęć, podobne łączą się w osobną całość z właściwym im kierowniczym centrem. Im organizm społeczny jest wyższy, tém ujawnia większą jedność i świadomość.

W organizmach wyższych widzimy, że wszystkie części tak się

---

[1]) Patrz artykuł: „Organizm społeczny“ w „Szkice filozoficzne“. Część pierwsza, wydanie drugie“. Warszawa, 1883.

przystosowują do siebie i układają zgodnie z sobą, iż wydaje się, jakoby panowała celowość. Przystosowanie się to jednak i ta zgodność są dziełem pracy setek tysięcy lat. Wstępując po szczeblach ustrojowości, możemy śledzić, jak stawały się one coraz doskonalszemi. Szczególnie widoczne jest to w rozwoju układu nerwowego. Najbardziéj złożonym organem w ciele ludzkiém jest mózg. Maynert i Bain przypuszczają, że w korze jego istnieje co najmniéj miliard komórek. Żadne państwo nie posiada tak licznéj ludności. A jednak jaki zadziwiający porządek, jaka zgodność działania w tém mózgowém społeczeństwie! A nie jestto jednolity jaki organ—powiada Charcot—ale raczéj stowarzyszenie, konfederacya różnych organów, z których każdy ma własne zdolności i własne czynności. Luys porównywa komórki mózgowe do wprawnych robotników, milcząco porozumiewających się z sobą, a zawsze gotowych na dany znak do rozpoczęcia czynności. „Jestto armia—powiada—dobrze wyćwiczona, działająca zgodnie we wszystkich swoich częściach i czekająca na rozkaz dowódcy."

Społeczeństwa ludzkie składają się także z komórek, jakiemi są rodziny, i mają rozmaite organy; społeczeństwa ludzkie, w których przejawia się interes powszechny i panuje jedność i zgodność działania, muszą być także organizmami. Pomiędzy niemi a innemi organizmami musi istniéć podobieństwo, albowiem na ich wytworzenie działały te same siły, aczkolwiek w różném skomplikowaniu, i w tym samym kierunku. Błędném jest atoli upatrywać to podobieństwo we wszystkich szczegółach—jak to uczynił Albert Schäffle, a tém większy błąd popełniał on, że zestawiał z sobą najwyższy organizm biologiczny, jakiém jest ciało ludzkie, z najwyższemi organizmami socyologicznemi, jakiemi są dzisiejsze narodowe państwa. Racyonalniejszém, chociaż także błędném, jest usiłowanie Pawła Lilienfelda, wykazać równoległość analogiczną pomiędzy układem nerwowym i społecznym. Najbardziéj uzasadnione naukowo są porównania Herberta Spencera, jakie on czyni pomiędzy organizmami socyologicznemi a biologicznemi, jakkolwiek i jego wywody często idą za daleko. Nie powinniśmy zapominać o tém, że lubo rośliny i zwierzęta niezaprzeczenie są organizmami i wspólną miały kolébkę, to jednak w dalszym postępowym rozwoju ogromne powstały między niemi różnice. Powinniśmy także pomyśléć i o tém, że przyroda nie skończyła jeszcze swojéj pracy, że wszelkie organizmy, a przedewszystkiém społeczne, mogą się udoskonalać, i że to, czego dokonała przeszłość, nie jest jeszcze niezłomnie koniecznem dla przyszłości.

Komórka jest zasadniczym organizmem życiowym, z którego się

rozwijają wszystkie następne wyższe organizmy biologiczne i socyologiczne. Istota jednokomórkowa rozpoczęła szereg wszystkich ustrojów żyjących. W jaki sposób rozwijał się ten łańcuch, poucza nas paleontologia. Baer, który w r. 1827 ogłosił o swojém odkryciu jajka u ssaków, okazał także pierwsze przemiany, jakim ulega płód zwierzęcy w łonie macierzyńskiém. Rozważając te przemiany, Agassiz spostrzegł, że istnieje pewna równoległość pomiędzy rozwojem paleontologicznym (w następstwie epok geologicznym) i zarodkowym. Ernest Häckel uogólniał to spostrzeżenie i nazwał je zasadniczém prawem biogenetycznêm, wyrażając je w ten sposób, że rozwój osobnikowy *(ontogenia)* jest pod pewnym względem szybkiém przebieżeniem drogi rozwoju rodowego *(filogenii)*, streszczeniem onego, powtórzeniem całego szeregu kształtów, jakie przechodziły organizmy, poczynając od szczebla istoty jednokomórkowéj.

Prawo biogenetyczne stosuje się do organizmów społecznych nietylko ze względu na zasadniczą onych pierwiastkową formę, rodzinę, ale także i ze względu na to, że organizmy socyologiczne są niejako dalszym ciągiem rozwojowym organizmów biologicznych. Prawo to upoważnia nietylko do uznania społeczeństwa za organizm, ale także do upatrywania podobieństw, jakie istniéć muszą pomiędzy niém a wcześniejszemi od niego ustrojami biologicznemi.

Proces rozwojowy, który odbywał się z początku jakby omackiem, błądząc i powoli, uproszcza się następnie, a przez to samo przebieg jego staje się szybszy. Zmienione przytém warunki wprowadzają ważne odmiany. Rozmaite fazy przeobrażeń, które pierwotnie następowały po sobie kolejno, przemijają tak szybko, że nie zwracają naszéj uwagi, a stąd wnioskujemy o braku onych. Widzimy to zarówno w biologii, jak i w socyologii.

Ponieważ działają te same siły, i stosunek wzajemny onych do siebie jest ten sam, więc wytwarzane kształty muszą się powtarzać. Jestto zasada dziedziczności, która tkwi w jednostajnie nagromadzonéj energii jajka. Nie wszystkie jednak jajka mają jednostajnie nagromadzoną energię. Skoro więc łączą się z sobą dwa jajka z rozmaicie nagromadzoną energią, to wypadkowa onych musi być nieco odmienna. Rozradzanie się więc płciowe wpływa na zbaczanie tworów od pierwotnego typu, i powstaje w ten sposób wielka rozmaitość cech osobnikowych. Ustala i powiększa tę rozmaitość dążenie tworów do coraz lepszego przystosowania się do istniejących warunków swego otoczenia. I tak w rozwoju filogenetycznym widzimy, że jedne organy odziedziczają się po przodkach łańcucha rodowego, drugie zaś powstają na nowo, skutkiem potrzeb życiowych. Użytek wytwa-

rza organ—jestto wielkie prawo biologiczne i socyologiczne. Te organy, które przestają być czynnemi, pozostając bez ruchu, słabo się odżywiają, a skutkiem tego zanikają. Znowu powiększona czynność w pewnym kierunku kształtuje odpowiedni dla siebie organ. Pierwszego rodzaju organy nazywamy szczątkowemi, drugiego — zaczątkowemi. Przy powstawaniu nowych organów daje się zauważyć, że odbywa się ono względnie z najmniejszym wysiłkiem, czyli oszczędnością siły. Nowy organ powstaje wówczas tylko, kiedy z łatwością może się utworzyć. Jeżeli zaś tę samą czynność może łatwo spełniać inny istniejący już organ, albo też pewna jego część, wówczas zachodzi tylko odpowiednia w nim zmiana organiczna: pęcherz pławny u ryb najwyższego ustroju służy do oddychania.

Zdaniem niektórych przyrodników, ciała organiczne tém się różnią od nieorganicznych, że mieszczą w sobie źródło ciepła. Biorąc rzecz ogólniéj, możemy powiedziéć, że organizm jestto taki układ materyi, w którym wydana na zewnątrz, czyli rozproszona energia jest w stanie samoistnie nagromadzić się znowu, i tém się różni organizm od mechanizmu, że w tym ostatnim energia może być nagromadzona tylko biernie, to jest dla ponownego nagromadzenia energii potrzebuje obcego pośrednictwa.

Praca organizmu żyjącego, zarówno osobnikowego jak społecznego, składa się z trzech najogólniejszych aktów czynności: nagromadzania sił, wyzwalania onych ku użytkowi wewnętrznemu i rozpraszania sił nazewnątrz. W początkowém życiu nagromadza się więcéj sił, aniżeli się ich wydaje. Wydatek sił początkowo idzie przeważnie na ukształtowanie i wzmacnianie organizmu. W miarę rozwoju organizmu, wydatek pracy zewnętrznéj wzrasta. Przychodzi wreszcie okres, w którym organizm nie jest w stanie czynienia zapasu energii na przyszłość, albowiem wyzwala na pracę wewnętrzną i zewnętrzną tyle sił, ile onych nagromadza. Stan ten równowagi mógłby trwać bez końca, gdyby nie niszczące wpływy środowiska. Skutkiem tych wpływów organizm się psuje, przestaje należycie działać, a zdolność jego nagromadzania sił zmniejsza się. Z początku objawia się to przez zmniejszanie się pracy zewnętrznéj, następnie i wewnętrznéj, dla podtrzymania organizmu niezbędnéj, zaczém idzie obumieranie onego, aż nareszcie rwie się ostatecznie nić życia.

Im doskonalszy organizm, tém wydaje większą i rozmaitszą ilość pracy zewnętrznéj; z tego też powodu potrzebuje większego nagromadzania sił, a budowa jego staje się bardziéj złożoną. Im jest doskonalszy organizm, tém więcéj ma środków do utrzymania swego bytu, lecz z drugiéj strony tém więcéj też potrzebuje pokarmu i większą mu-

si staczać walkę z niszczącą czynnością warunków zewnętrznych. Pozbawiając wilgoci i ciepła, można w niższych ustrojach tamować życie na całe lata, a nawet wieki. Z wyższemi tworami staje się rzecz coraz trudniejsza, aczkolwiek u żab jeszcze daje się zawieszać proces życiowy na pewien przeciąg czasu. Opowiadają nawet, że w Indyach Wschodnich toginowie, przygotowawszy się odpowiednio, dają się zagrzebywać w ziemi suchéj na całe tygodnie i miesiące, a odgrzebani następnie, zostają przywróceni do życia.

Czynność organizmu jest ważnym warunkiem, ażeby utrzymywał się on w pełni swych sił. Bezczynność osłabia organy i organizm. Organy, które często pracują, tężeją, wyrabiają się; te, które nie wykonywują swéj czynności, słabną, niedołężnieją, zanikają. „Gimnastyka mózgowa—powiada Ramon y Cajal — nie jest zdolna do polepszenia organizacyi mózgowéj przez powiększenie liczby komórek, ponieważ pierwiastki nerwowe utraciły od okresu zarodkowego własność rozmnażania; lecz można przypuszczać, że praca umysłowa przyczynia się, w okolicach mózgu bardziéj czynnych, do większego rozwoju przyrządu pierwoszczowego i systemu bocznych odprysków nerwowych.” Przeciwnie, pasorzyty, wskutek bezczynności swych organów, tracą: zmysły, układ nerwowy, mięśnie, nawet organy trawienia i krążenia.

Środowisko kosmiczne jest niezbędnym warunkiem istnienia organizmu i równocześnie niszczycielem onego. Bez powietrza, wilgoci, t. j. wody, żywności, ciepła, światła, elektryczności życie jest niemożliwe. Widzieliśmy to już, że brak wilgoci i ciepła wstrzymuje ruch życiowy drobnoustrojów, a wszczyna się on nanowo, skoro dwa powyższe czynniki znowu się pojawią. Wzrost organizmu jest w stosunku prostym do otrzymywanéj żywności. Im lepiéj organizm się odżywia, tém bardziéj rośnie w ciało i siłę. I przeciwnie, w organizmie, który otrzymuje mało pożywienia, wyrabia się niedostateczna ilość krwi dla odżywiania ciała i organów, a skutkiem tego uczuwa się ociężałość i zmęczenie, i organy mniéj ważne dla życia zużywają się na podtrzymanie ważniejszych. Rozradzanie się jest niejako ciągiem dalszym rozrastania się organizmów. Widzimy to najlepiéj na drobnoustrojach. Obfitość pożywienia sprzyja rozmnażaniu się. Możemy to sprawdzić przy fabrykacyi suchych drożdży, kiedy bakterye mnożą się z taką przerażającą szybkością, że powstałe z jednego zarodka istoty mogłyby w ciągu dni pięciu zapełnić wszystkie oceany.

Ten wzrost, to rozmnażanie się organizmów napotyka jednak w samém środowisku ważne przeszkody. Są niemi: susza i zimno. Lecz najważniejszą przeszkodą jest brak żywności. Sprowadza ona

walkę o byt, która nietylko polega na tém, ażeby pochwycić przed innemi żywność, ale w nie mniejszym stopniu także na tém, ażeby nie stać się pożywieniem, pastwą dla innych tworów, pomiędzy któremi najbardziéj niszczącą potęgą jest niewidomy świat drobnoustrojów, źródło nieustanne rozmaitych chorób.

Ważnym warunkiem powodzenia w walce o byt jest stopień odporności organizmu, a głównym warunkiem téj ostatniéj jest to, ażeby wszystkie części wspiérały się wzajemnie i działały zgodnie. Organizm więc, w którym panuje większa jedność pomiędzy częściami składowemi, jest lepiéj przysposobiony do zachowania swego istnienia. Ażeby ruchy w organizmie stały się ogólnemi, skojarzonemi i celowemi potrzebne są odpowiednie organizacye, ośrodki nerwowe. Ze wzrostem ich wzmaga się świadomość. Można więc powiedziéć, że im większą świadomość posiada organizm, tém większa w nim jedność panować winna.

Rozwój organizmu jestto przeobrażanie się, które odbywa się w kierunku największéj dla niego korzyści. Podług Darwina, tylko pożyteczne organizmowi własności zachowują się i rozwijają. Im doskonalsza organizacya, tém rozwój jest dłuższy. Wszelako jest granica, gdzie on się zatrzymuje; znajduje się ona mniéj więcéj tam, gdzie się zatrzymała organizacya jego rodziców. Czy rozwój społeczny, ze względu na każdy organizm z osobna, ma także swoją granicę? Analogia kazałaby to przypuszczać, lecz w życiu społeczném staje się bardzo silnym czynnikiem: świadomość [1], która może zakreśloną granicę wciąż daléj odsuwać i budowę organizmu odpowiednio udoskonalić.

B. L.



[1]) Wyższy stopień świadomości zaznacza się tém, że myśląca istota zakreśla sobie pewien cel. Dopiéro w świecie świadomym pojawia się celowość.

W SZWAJCARYI.

Okres genewski w życiu J. Słowackiego

(1832—1836) *).

§ 5.

Łudził się jednak Słowacki, kiedy sobie wyobrażał, że z chwilą sprowadzenia się Wodzińskich do domu pani Patteg, zaczną się dlań *die schönen Tage von Aranjuez;* panna Marya bowiem, pomimo owego wiersza, jaki jéj poeta wpisał do stambucha, a który wyglądał trochę na... nieśmiałe wyznanie miłości, zachowywała się, jak dawniéj, t. j. nie zdawała się domyślać nawet w sercu Juliusza żadnego dla siebie głębszego uczucia. Swoją drogą zaprzeczyć się nie da, że w stosunku jéj do niego zaszły niejakie zmiany na lepsze, chociażby takie tylko, jakie za sobą pociągały nieodbicie warunki żywiowe. Przebywając dzień cały w jednym domu, do pewnego stopnia w jednem mieszkaniu (oprócz Wodzińskich bowiem, którzy zajęli całe pierwsze piętro, i Słowackiego, który miał swój pokoik, również na pierwszém piętrze, nie mieszkał nikt w tym czasie w domu pani Patteg, poprostu dla braku miejsca), razem zasiadając do śniadania, obia-

*) Dokończenie.—Patrz „Ateneum" zeszyt listopadowy r. b., str. 256.

du i kolacyi, nie dziw, jeżeli po niejakim czasie—niedługim—nadzwyczajnie tém samém zbliżyli się do siebie, jeżeli wyrodziła się stąd pewna pomiędzy nimi poufałość, i jeżeli z poufałości téj, niby ze źródła, żywsza w końcu wypłynęła sympatya; bo, jak wiadomo, poufałość rodzi sympatyę.

O sympatyi téj ze strony Wodzińskich (a trudno przypuścić, żeby jedna tylko Marya stanowiła wyjątek pod tym względem) świadczy między innemi następujący fakt. Usłyszawszy kiedyś od poety, że, pisząc do wujostwa Januszewskich, wybiérających się w podróż do Włoch, prosił ich, ażeby mu przywieźli z domu dzieła jego ojca [1]), jeżeli im miejsce w pakach zostanie; i dowiedziawszy się późniéj, że projekt spotkania się Słowackiego z krewnymi pod lazurowém niebem Italii nie dojdzie prawdopodobnie do skutku—z powodu trudności paszportowych—postarali się oni o kompletne wydanie pism Euzebiusza Słowackiego i położyli je któregoś dnia na stole, tak, iż poeta, wszedłszy do salonu, nie mógł ich nie zobaczyć odrazu. Jakoż zauważył je istotnie w pierwszéj chwili, a że leżały otwarte, gdzie był portret autora, umieszczony na czele pierwszego tomu, więc Juliuszowi, kiedy spostrzegł nagle, niespodziéwanie zupełnie, tak dobrze znajome sobie rysy, tę twarz wesołą, pogodną i usmiéchniętą, łzy zakręciły się w oczach, tak silnego doznał wrażenia. Zdawało mu się, powiada, że nieboszczyk przyszedł do niego z tamtego świata pytać go o życie, jakiém żył, i chciał mu zostawić naukę spokojności, jeżeli nie szczęścia... [2]).

A, niestety, niczego tak dziś Słowacki nie pragnął, jak spokojności, jak szczęścia! pomimo bowiem, że mu, dzięki sprowadzeniu się Wodzińskich do pani Patteg, upływał czas — pozornie --bardzo wesoło (przynajmniéj miał z kim „pogadać, a czasem potańcować”), spokojności wewnętrznéj, a tém bardziéj szczęścia, które przy braku spokojności właśnie jest niemożebném poprostu, nie kosztował zupełnie. Gry towarzyskie, wspólne czytanie książek, — przyczém Słowacki czytywał paniom i swoje także utwory, — muzyka panny Maryi, spacery nad jeziorem, rozmowy w ogródku, zabawy tańcujące, ciągła możność mówienia popolsku, co na obczyźnie posiada urok podwójny, i atmosfera „prawie familijna”: wszystko to, rzecz dziwna, nie wystarczało mu, nie zadawalniało go, ciągle żądał czegoś więcéj, ciągle trwał w przekonaniu, że nie znalazł jeszcze takiego towarzy-

---

1) Ateneum, 1892, II, 430.

2) List z Genewy z d. 24 maja 1835 r.

stwa, jakiegoby „duszą żądał” i że lubo znajdował często „roztargnienie i cichą wesołość”, czuł jednak, iż sercami ludzie ci nie lgnęli do jego serca...

Ostatnia uwaga odnosiła się głównie do panny Maryi, która, nie lgnąc jakoś sercem do serca poety, czyniła go przez to samo „nieszczęśliwym” i nieczułym na wszelkie drobniejsze dobre strony życia, jakiém żył od pewnego czasu. Przeciwnie, uważał, że wszystko sprzysięgło się przeciwko niemu; we wszystkiém dopatrywał się jakiéjś złośliwéj i niesprawiedliwéj niełaski losu względem siebie. Kiedy czytał damom swoje poezye, wrażenie, jakie tém osiągał, dalekiém było od tego, jakiego się właściwie spodziéwał. Czuł, że i te wystąpienia nie podnosiły wcale jego uroku... Jakoż rzecz miała się tak istotnie. Deklamując z emfazą pewną, i podnosząc głos, który, z natury głuchy i przytłumiony dźwięcznym nie był, nie podobał się, a panny uważały, że był troszkę śmiésznym, kiedy, podnosząc oczy w miarę czytania, śledził wrażenie, malujące się na twarzach słuchaczów, przyczém, co gorsza, jakby oczekiwał oklasków z ich strony, oklasków i objawów podziwu... I tak na każdym kroku! Ogródek, który urządził przed domem (a bardzo być może, iż pracował nad nim z myślą o Maryi), nie rósł coś, choć na słońcu, choć często poléwany. Posiał rezedę, nie zeszła. Dlaczego nie zeszła? Człowiek rozsądny odpowiedziałby niezawodnie, że nasiona były niedobre; Słowacki widział w tém symbol swojego niepowodzenia. Podobnie miała się rzecz z altanką, po któréj sobie obiecywał tak wiele, a która, choć był to już koniec maja, nie zacieniła się jeszcze... Kiedy nadeszła Wielkanoc i pani Wodzińska postanowiła piec ciasto, tym razem według krzemienieckiéj recepty pani Becu, upieczone baby okazały się ciężkie i zakalcowate. Słowackiego to zmartwiło, albowiem imaginował sobie, że wszystkiemu była winna recepta... Z wyjazdu pani Becu razem z Teofilami do Włoch, gdzie się poeta — z takiém utęsknieniem — spodziéwał spotkać z nimi w Pizie, także nie wyłoniło się dla niego nic, prócz zawodu; pani Becu bowiem, w ostatniéj chwili musiała zrezygnować z podróży i Teofilowie pojechali sami; wyjeżdżając zaś, napisali do niego list, kilka słów wszystkiego, tak bladym atramentem, że śladów ledwo dojrzéć można było wyrazów, a potém, ślady te z wielką trudnością odczytane, o żadnych nie donosiły szczegółach. Chcieli, aby przyjechał do Pizy, lecz nie pisali, kiedy? Donosili o jakimś zasiłku, lecz nie wymienili ilości. Żądali téż, aby im kupił zégarek w Genewie, i przywiózł, a zapomnieli o rzeczy najważniejszéj, mianowicie: że kupno podobne może wyczerpać ostatnie jego fundusze, i że bez grosza w kieszeni nie będzie mógł „z zégarkiem, ani na zégarku, jak na koniu, wędrować”.

Nie lepiéj też szczęściło mu się podczas loteryi fantowéj, urządzonéj przez panią Wodzińską na korzyść przebywających w Genewie niezamożnych Polaków-emigrantów. Z 500 biletów 100 było wygrywających. On miał 5 i... żaden nie wygrał! Wypadek ten, tak małoznaczny, że nikt inny nie zwracał by nań uwagi, a przynajmniéj nie przywiązywałby doń tyle, co Słowacki, znaczenia, pozbawił go humoru i pewności siebie na cały wieczór, tak, iż kiedy po skończonéj loteryi fantowéj zaczęto tańczyć, on brał już udział w zabawie, jakby z musu. Źle uprzedzony do wszystkich, próżen „tego zachwycającego uczucia budzącéj się nadziei i słodkiéj melancholii”, z jakiemi niegdyś suwał się po wileńskich posadzkach; mając w sercu żal do panny Maryi, od któréj żądał, ażeby go wyróżniała: nudził się raczéj, aniżeli bawił, i kiedy reszta towarzystwa tańczyła ochoczo, on nie mógł się doczekać końca zabawy. Nawiasem mówiąc, z panną Wodzińską tańczył wieczoru tego mniéj, niż kiedykolwiek, tańcząc — jak powiada — tylko z temi prawie pannami, których nikt nie chciał wziąć do tańca, a więc z panną Eglantyną i niektóremi jéj mniéj zgrabnemi koleżankami. O godzinie drugiéj po północy poczęli się goście rozjeżdżać. Zostało się tylko kilku młodzieży, którzy, z powodu, że bramy miasta jeszcze były zamknięte, nie mogli wracać do domu. Doczekawszy z nimi poranku (pani Wodzińska z córkami przedtém już udała się do swoich pokojów), kiedy go pożegnali (nareszcie!), kontent, że sobie poszli, znużony tym wieczorem, zaduchem salonów, blaskami lamp, smutny i rozdrażniony, czując, że nie będzie spał, choćby się nawet położył, wyszedł przed wschodem słońca na brzeg jeziora... W jakim celu? Nie wiedział sam. Wiedział tylko, że mu potrzeba powietrza, chłodu, że się w pokoju dusi, że mu krew bije do głowy i że mu jest źle na świecie, bardzo źle! Widok budzącéj się ze snu natury, spokojnéj i pogodnéj, przez to, że tak olbrzymi stanowił kontrast z jego chwilowém usposobieniem, nie działał nań kojąco i, zamiast uspokoić, rozdrażniał raczéj. Wody Lemanu były ciche, przejrzyste i błękitne. Zaróżowione szczyty gór przeglądały się w nich, jak w zwierciedle; rybki wyrzucały się na wiérzch. To wesołe pluskanie się rybek, które noc całą przepędziły w cichéj wodzie i nad rankiem szukają świeżego powietrza, pobudziło Słowackiego do rozmyślań na temat, że jednak w życiu tych stworzeń jest coś sprzecznego bardzo z huczną nocą człowieka... Marząc tak, zamyślony, patrzył na czerwieniejące niebo, aż w końcu uwagę jego zwróciły na siebie jakieś dwie biédne kobiéty, które przyszły prać nad jezioro. Odgarnąwszy grabiami muł brzegowy i kamyki, rozrzuciły na trawie cały kosz prostéj, brudnéj bielizny, poczém wzięły się do pracy. Słowacki przyglądał się im w milczeniu i, dzi-

wna rzecz! to prozaiczne zatrudnienie szczególném przejmowało go wzruszeniem, jego, ubranego w balowym stroju. „Zmysły moje rozigrane—pisał o téj chwili do matki—zdolne były do przyjmowania najmniejszych wrażeń: spostrzegałem okiem prawie łzawém sprzeczności między celami życia różnych ludzi: prać bieliznę albo patrzéć na wschód słońca i topić się w marzeniach! Po jakiéj ogromnéj drabinie te zatrudnienia musiały wchodzić i schodzić, aby się spotkać na środkowym szczeblu! Prawda, mamo, że najszczęśliwsze rybki, które połyskały srebrną skrzelą w chłodnéj wodzie?...” I przypomniały mu się owe poranki i owe wschody słońca, na które patrzał ze szczytów Faulhornu i Righi, owe szczęśliwe i wesołe chwile, przeżyte z Maryą podczas podróży po górach, i zdało mu się nagle, że „gdyby nie było na świecie poezyi, to już sama myśl, że człowiek, który, chodząc po ziemi, zebrał tyle jasnych i nadzwyczajnych obrazów i z niemi do grobu pójść musi, zrodziłaby ją...”

I znowu napadła go i opętała na czas dłuższy jego „domownica, zwyczajna melancholia”, i znowu począł pod wpływem téj melancholii układać projekty wyjazdu z Genewy... Dokąd? Wszystko jedno! Chociażby do Paryża, gdzie nawet przydałaby się jego obecność dla sprawdzenia rachunków z księgarzami, a zwłaszcza z Eustachym Januszkiewiczem, który go „zbywał niczém” i nie nadsyłał piéniędzy za rozprzedane tomy poezyi. Jakkolwiekbądź, byłoby mu tam, pod pewnym przynajmniéj względem, lepiéj, aniżeli tu, nad jeziorem, gdzie się truł tylko miłością... Czyż nie rozsądniéj byłoby oddalić się i stracić z oczu Maryę raz nazawsze? Pewném jest, że „potrzeba nieobecności, ażeby zatrzéć żywość wrażenia”, dopóki zaś pozostawać będzie w Paquis, wrażenie, jakie na nim robi panna Wodzińska, tylko się potęgować może z dniem każdym. Zapobiédz temu, przeszkodzić, położyć koniec, dopóki płomień nie rozpalił się zbyt silnie, radził mu instynkt...

Twój pożar jeszcze w maleńkiéj iskierce
A już cię strawił, już cię zwiędniałym uczynił...
Uciekaj! Ciebie już skrzydłami chwyta
Straszny duch ognia; tobie uciekać potrzeba.
Wierzaj mi, są miłości bez gwiazd, Boga, nieba!
Te wkrótce zetrą serce w proch: tak je znudzą,
Tak splamią, tyle razy do niczego zbudzą...
To się i tobie stanie...

Przeczucie to czyniło go coraz smutniejszym i niespokojniejszym, tak dalece, że miéwał chwile, w których, jak sam przyznawał, z przerażeniem patrzył na zdrowie swoje i przyszłość... Dlaczego? „Zwy-

kła niespokojność jaskółki, co się boi, aby się dom jéj z gniazdem nie spalił, nim dzieci się wychowają". Swoją drogą za punkt honoru uważał sobie nie okazywać nikomu zwątpienia, jakie mu toczyło duszę, i stłumiając wszelkie objawy ognia, który w nim płonął wewnątrz, grał rolę człowieka „zimnego" z taką maestryą, że go wszyscy, niekiedy nawet saméj panny Maryi nie wyłączając, uważali „za żelazo bardzo zimne". Tak nakazywała mu jego duma, jego ambicya. A jednak cierpiał przez to, z powodu téj dumy właśnie, i nieraz zrzuciłby z siebie chętnie ten żelazny pancerz udanéj obojętności. „Zdaje mi się—pisał w tém uczuciu do matki—że Bóg kiedyś miał włożyć duszę moją w orła, co śpi na igłach śniegu, nie budząc się, kiedy wicher obrywa mu pióra, co nie ma przyjaciół i szczęśliwy, że sam patrzy na słońce. Szkoda, że nie poszedł Stwórca za pierwszą myślą, że zrobił ze mnie posępne... nic; takby mi dobrze było ze skrzydłami i z jękiem ptaka w piersiach".

Na szczęście jednak, zmęczony smutną rzeczywistością, znajdodował ukojenie w świecie przeszłości, pisząc melancholijną tragedyę prozą, osnutą na tle smutnéj historyi hetmana-renegata Kossakowskiego i jego syna Szczęsnego [1]). „Czasy nasze mają dziwne lekarstwo na chorobę smutku: poezyę" — mówi główny bohatér téj chorobliwéj trochę, ale przepięknéj, choć pełnéj zbyt wyraźnych reminiscencyi z Hamleta i Renégo, tragedyi, a słuszność tego aforyzmu stwierdzał autor najlepiéj na sobie, ile że pisanie i zaabsorbowanie myśli tym utworem, w który Słowacki tyle włożył samego siebie, tyle własnéj melancholii, tyle własnych myśli i uczuć, było mu jakby upustem, którym spływały jego ówczesne spleeny.

Podobnie balsamiczny wpływ, choć z wielu względów odmienny, wywiérała nań także i muzyka, któréj, dzięki pannie Wodzińskiéj, słuchał teraz co dnia godzinami całemi... Panna Marya, tak samo, jak i mistrz jéj, Fryderyk Chopin, najchętniéj grywała wieczorami, w ciemnym pokoju, oświéconym conajwyżéj seledynowym blaskiem księżyca, szeroką smugą przez okno napływającym ze dworu (czasami przy akompaniamencie słowików, zawodzących swe trele w ogrodzie i przy melancholijném dzwonieniu ciszy nocnéj, przypominającéj nokturn *Es dur* Chopina). Słowacki miał ten przywilej, że mu było wolno siedziéć wtedy nieopodal fortepianu i, słuchając, „kryć się do muszli serca swego, jak ślimak". Sceny podobne, jakby wzorowane na cudnéj

---

[1]) Prof. Małecki, wydając pisma Słowackiego pośmiertne, zatytułował dramat ten (zdefektowany): Horsztyński. Mnie by się zdawało, że daleko właściwszym tytułem byłby: Szczęsny Kossakowski.

elegii Alfreda de Musset, *Lucie*, powtarzały się co wieczór, tak, iż Słowacki, jak ów zakochany w Łucyi młodzieniec Mussetowski, również mógł powiedzieć o sobie:

...nous étions seuls, j'étais assis près d'elle,
Elle penchait la tête, et sur le clavecin
Laissait, tout en rêvant, flotter sa blanche main.

Któregoś wieczoru, kiedy siedzieli tak w salonie, bez światła, sami, we dwoje tylko, Słowacki, podniecony muzyką, tą, jak powiada Musset, *langue que pour l'amour inventa le gènie*, podszedł zcicha na palcach do krzesła panny Maryi i nie zdając już sobie sprawy z tego, co robi, oszołomiony uczuciem, wrzącém mu w piersiach, nie wiedząc sam, skąd mu się wzięła ta śmiałość, pochwycił warkocz panny w obie ręce i wpił się weń namiętnie ustami, jak szaleniec. Panna Maryanna, widząc to, zmieszana zrazu, „sercem bijąca, brylantowa w oczach", zerwała się z miejsca, nie wiedziała, co począć i dopiéro, kiedy ujrzała przed sobą ze spuszczonemi oczyma poetę, który, jak zbrodniarz, nie miał siły wytrzymać jéj spojrzenia, nie mogła się powstrzymać, ażeby nie wybuchnąć śmiéchem. Co mu się stało? Oszalał, czy co? Skąd mu się wzięła taka czułość? On, taki zawsze ponury i seryo, on, taki zawsze — jak mówił — zrozpaczony życiem, żeby się uciekać do takich sentymentalności pasterskich! Wszystkiego by się spodziéwała po nim, nigdy jednak, ażeby uczucia swe wyrazić był zdolny w podobnie pastersko-sielankowy sposób! *Lui, cette être morose et grave, lui, ce desespéré de la vie, recourir à ces sentimentalités de berger!...*

Wypadek ten musiał jednak, z natury rzeczy, dać trochę do myślenia pannie: przedewszystkiém pochlebiał jéj, a to wystarczało najzupełniéj, ażeby, ulegając delikatnym podszeptom swéj... próżności, od któréj, będąc kobiétą, nie była wolną, zaczęła się odtąd osobą poety interesować więcéj cokolwiek, aniżeli dotychczas. Do pewnego stopnia było to nieuniknione...

Stąd poszło, że, sama nie wiedząc, kiedy i jak, stała się Słowackiemu życzliwszą. Miała pewność, że była kochaną przezeń, a to wkładało na nią jeden przynajmniéj obowiązek: szanowania tego uczucia. Mogła mu nie być wzajemną, ale samo poczucie delikatności — wrodzone jéj przecież — nakazywało miéć wzgląd na niego, pozwolić, ażeby się czasem... łudził, być w obcowaniu z nim uprzejmą, łaskawą, na niejedno wyrozumiałą, słowem, nie rozdrażniać go, nie dawać powodu, żeby cierpiał, żeby się męczył niepotrzebnie. Kochał ją, to znaczy, że pragnął, ażeby i on był kochany; nie należało więc okazywać mu obojętności, ale, przeciwnie, starać się, ażeby chwilami

niezupełnie tracił nadzieję... Trochę w nim nadzieję tę podsycać, doradzała nawet kokieterya! Kobiéta bowiem, choć nie kocha, widząc jednak, że jest kochaną, wszelkich będzie dokładała starań, ażeby zakochanego w niéj mężczyznę coraz silniéj przykuwać do siebie: o tyle obojętny jéj nie jest nigdy, żeby nie miała czuć się dotkniętą w swojéj miłości własnéj, widząc go, że stygnie i że coraz bardziéj wraca do równowagi. Tego żadna nie zniesie apatycznie. Cóż dopiéro, jeżeli to jest istota, w któréj żyłach płynie odrobina krwi włoskiéj!

Tym sposobem doszło powoli do tego, że i panna Wodzińska zaczęła nieznacznie, ale stopniowo, zapływać zwolna „w kraj ideału..." [1]). Na jakąkolwiek uczucie to zasługiwało nazwę, w każdym razie jedno jest pewném, że panna Wodzińska była w tych czasach z większém dla poety zaufaniem, niż dawniéj, że nie wahała się nawet zwierzać mu się z wielu rzeczy, które miały pozór szczerości, choć wypowiadane były nieraz pół żartem, z uśmiéchem na ustach. Raz np., kiedy, chodząc po lipowéj alei ogrodu, rozmawiali o przyszłości, jaka ich czeka, i kiedy on pół żartem, pół seryo, ubolewał nad swoją, skarżąc się, że wkrótce zostanie sam, opuszczony, z sercem, trawioném miłością niewyznaną, z któréj uléczyć mógłby go chyba jeden tylko... habit mnicha-Kartuza; ona, niby nie domyślając się, o co mu w danym wypadku chodziło, do czego robił aluzyę, kto był tą jego wybraną, pocieszała go—także pół żartem, pół seryo—że i jéj również po przyszłości wiele spodziéwać się nie należy. Dlatego — mówiła— przyjechawszy do Służewa, przywdzieje czarną, żałobną sukienkę, zamieszka w pustelniczym domku nad rzeczką, odda się modlitwie, zajmie się léczeniem chłopów i nauczaniem ich dzieci, i żyć tak będzie w cichości dopóty, dopóki nie wyspowiada się kiedyś, po upływie szeregu lat przed mnichem pewnym, który dziś jeszcze mnichem nie jest wprawdzie, ale który nim pewno zostanie kiedyś... Można to było tłómaczyć sobie rozmaicie i albo do rozmów podobnych przywiązywać wagę, albo téż uważać je za zabawkę, za zwykły, trochę sentymentalizmem zaprawny, flirt. Jak się na kwestyę tę zapatrywał Słowacki? Trudno odpowiedziéć stanowczo. W każdym razie, pisząc o téj rozmowie swéj z Maryą do matki, opisuje ją tonem żartobliwym, jakim téż była niezawodnie i w rzeczywistości także prowadzona. Cokolwiekbądź, o ile domyślać się można, że poeta w swoich „rozmowach o rzeczach anielskich" z Maryą nieraz musiał robić do tego aluzyę, że gotów przywdziać habit mniszy, jeżeli mu się z nią „nigdy, nigdzie

---

[1]) „Panna Marya W., która mieszka z nami, także zapłynęła trochę w kraj ideału..." Listy, I, 216.

połączyć" nie będzie wolno; o tyle pewném jest, że na sentymentalne projekty swéj „czarnobrewéj panienki" zapatrywał się... bardzo sceptycznie, z wielkiém niedowierzaniem: wątpił poprostu, czy panna Marynia, ze swojém usposobieniem żywém, długo byłaby zdolna prowadzić żywot pustelniczy; nie wątpił bowiem, że znajdzie się niebawem „jaki pan Podkomorzyc w krainie Lachów, dobrze opatrzony w szlachecką układność, talenta, wąsy, podkówki i ostrogi", który jéj z łatwością domek pustelniczy wybić z głowy potrafi, kiedy on tymczasem, biédny poeta-wygnaniec, nie będzie mógł „kartuzowém wspomnieniem zdobyć liliowéj duszy dla aniołów". A kiedy go panna zapewniała, że się myli, że nie zna jéj, jeśli przypuszcza, że pierwszy lepszy jakiś podkomorzyc miałby w niéj zatrzéć" kartuzowe wspomnienia" genewskie, on wiedział, co o tych zapewnieniach myśléć, albowiem przekonany był, że „młode nasze Polki zawsze przebywają bardzo piękne krainy marzeń, aby się kiedyś zamknąć i zakopać w najnudniejszéj realności". Po pannie Wodzińskiéj zaś, o ile ją poznać zdołał, nie spodziéwał się również, ażeby mogła stanowić wyjątek pod tym względem. Jakoż przewidywania jego miały się z czasem sprawdzić w zupełności...

Mimo to przeświadczenie jednak, przeświadczenie, które wskazuje wyraźnie, że na rolę swoją w stosunku do Maryi zapatrywał się z krytycyzmem pewnym, zapominał często, że po sielance téj nie może się on dla siebie żadnéj spodziéwać przyszłości i, hołdując horacyuszowskiéj zasadzie *Carpe diem*, z rozkoszą poddawał się urokowi, jaki dlań miała chwilowo... teraźniejszość; a że mu się panna z dniem każdym podobała coraz bardziéj, więc

Z duchy prawie zaczynał się bratać,
Chodzić po wodach i po niebie latać.
A ona tak mię prowadziła wszędzie!...
I mogła była, co chce, robić ze mną!...

Któregoś dnia, korzystając z prześlicznéj pogody, przejechali wszyscy, pod przewodem pani Wodzińskiéj, na drugi brzeg jeziora, na obiad wiejski. Był to jeden z najpiękniejszych dni w życiu poety. Kiedy jechali w tamtą stronę—paroma łódkami—roztaczał się dokoła nich, w całym majestacie i przepychu kolorów, najcudniejszy pejzaż alpejski: śnieżne, jak opale mieniące się lodowce, rzucone na turkusowy ekran nieba włoskiego; olbrzymia, szafirowa tafla jeziora, lśniąca pod światło słoneczne, jakby posypana dyamentami; po brzegach, gdzie spojrzéć, wszędzie istny eden zieleni; w powietrzu zaś, w pro-

mieniach słońca, mnóstwo jaskółek i motyli. Na takiém tle, przybrana w lekką, perkalikową sukienkę, w dużym słomianym kapeluszu, nie dziw, że się Słowackiemu wydała panna Maryanna „tak lekką, że na fale wejść mogła, a staw, nierozbity, nosiłby nóżki jéj", oraz, że rozbawionemu w tém towarzystwie co chwila przychodziła ochota zawołać: „Prawdziwie, że ta ziemia, to raj dla szczęśliwych!..." Stanąwszy u celu, towarzystwo całe, chroniąc się przed upałem, zasiadło u drewnianego stołu, w cieniu olbrzymich platanów. Przedtém oglądano w sadzawce restauracyjnéj, z fontanną w środu, żywe ryby, które, skazane na ogniste *autodafe*, miały się po niejakim czasie ukazać na półmisku, usmażone. Po obiedzie, podczas którego przywiezione z domu wino ciekło obficie, „jak w Kanie Galilejskiéj", grano w zająca, przyczém młodzież, upoważniona przez damy, pozrzucała surduty i fraki; a kiedy się z a j ą c uprzykrzył, puszczano k a c z k i, (t. j. płaskie kamyki, które się rzuca w ten sposób, ażeby, ślizgając się po wodzie, jaknajwiększą ilość razy odbiły się od jéj powierzchni). Tak przeszło kilka godzin. Kiedy zaczęto myśléć o powrocie do Genewy, niebo, dotychczas pogodne i błękitne, zaciągnęło się ołowianemi chmurami, zerwał się wicher, zaszumiały drzewa, jezioro pociemniało, sposępniało nagle, aż w końcu zaczęło się marszczyć, pienić, wzdymać i pomrukiwać złowrogo: zanosiło się na burzę. Nie zwłócząc tedy, ażeby, o ile możności, przed deszczem zdążyć do domu, powskakiwano do czółen i, nie tracąc humoru ani dobréj myśli, odbito od brzegu, w tém przeświadczeniu, że *audaces fortuna juvat.* Tymczasem wiatr zamienił się wkrótce w szalony wicher; chmury, które zdawały się zniżać, stawały się coraz czarniejsze, a grzywy bałwanów — coraz bielsze i bujniejsze; czółnami zaczynało kołysać coraz bardziéj, tak, iż chwilami woda z jeziora dostawała przez burt do wnętrza; wiosła często, zamiast fali, rozbijały powietrze; po niejakim czasie, kiedy o zawróceniu się mowy już być nie mogło, poczęło grzmiéć; zrobiło się ciemno, jak o zmroku; błyskawice poczęły raz po raz pruć zygzakami powietrze; do domu zaś... nie było blisko.

Ale Opatrzność czuwała widocznie nad wesołą drużyną, bo nie dopuściwszy, ażeby zmokli, pozwoliła im dobić szczęśliwie do brzegu, bez szwanku, bez kropli deszczu. Ostatecznie, ponieważ przejażdżka taka, pod grozą burzy, nie była pozbawiona emocyi, zachowali z niéj —na długo—bardzo przyjemne wspomnienie. „Ładny był spacer, wesoły dzień: nikt nie zasmucił się, ani stetryczał bólem głowy, jak się to często zdarza; nikt się nie lękał gromu Boga; wszyscy byli razem, aż do wieczora".

Kiedy pozostawali w domu, w Paquis, zdarzało się im często, że spacerując po ogródku przed domem, „niczém nie strwożeni, sami”, coraz silniéj utwierdzali się w przekonaniu, że

Miło po listku rwać niepełną stokroć
I rozkochanych słów różaniec cedzić:

tak samo, jak miło jest niekiedy

Zabłądzić pod lipowe cienie
Z kwiatkami w ręku i, patrząc ukradkiem,
Wzajemnie mówić obrywanym kwiatkiem:
Kochasz, i pani kochasz mię...

Czasem, gdy ich „różowa poróżniła sprzéczka”, bo o takie „sprzéczki różowe” u zakochanych nietrudno, zwłaszcza, gdzie, jak w danym wypadku, mężczyzna nie jest pewny miłości kobiéty, albo, kiedy im „zgody ciągłe zabraniały świadki”, porozumiéwali się pomiędzy sobą za pomocą... stokrotek, obrywanych niby od niechcenia, dla siebie wyłącznie, uśmiéchając się raz wesoło, raz smutnie, stosownie do tego, co mówił kwiatek: nie, czy troszeczkę [1].

Tak upływały im dnie całe i tygodnie. Któréjś niedzieli, pod koniec czerwca, w czas sianokosu, korzystając z okoliczności, że murawę ogrodu pani Patteg zalegały rozrzucone kopy skoszonego przed paru dniami siana, zaproponował ktoś, ażeby urządzić rodzaj majówki, t. j. spędzić kilka godzin pod gołém niebem, nie daléj wszakże, jak przed domem, w ogródku, na sianie. Myśl ta, rzucona w porę, uzyskawszy aprobatę wszystkich, rychło zamieniła się w czyn, a że pogoda była jak wymarzona, więc popołudnie to, przeleżane na sianie, przegawędzone, prześpiéwane, przedeklamowane i przedowcipkowane, zapisało się w pamięci Słowackiego, jako jedno z najprzyjemniejszych, najbardziéj sielskich. „I tak — powiada Słowacki — leżeliśmy całą niedzielę, panie, panny i chłopcy, święcąc dzień Boży, nie myśląc o niczém, odurzeni zapachem umarłéj i zabitéj trawy, odrzucając tę myśl, że człowiek przechodzi jak trawa i kwiat polny”, że wszystko na tym świecie — a więc i miłość także — musi miéć swój koniec, że wszystko,

---

[1]) Por. wiersz p. t. Stokrotki (pisma pośm. t. I, str. 27. Wydanie drugie, z r. 1885).

Gdy nas różowa poróżniała sprzeczka,
A zgody ciągłe zabraniały świadki,
Pamiętasz, luba, jak te białe kwiatki.
Jeden mówił nie, a drugi troszeczkę.

jak trawa, więdnie i usycha, podcięte nieubłaganą kosą czasu, że nic, a przedewszystkiém szczęście, nie trwa wiecznie, nie ciągnie się w nieskończoność.

Refleksye podobne, choć było mu na razie wcale dobrze, chwilami nawet „wesoło bardzo”, nasuwały się teraz poecie o wiele częściéj, niż dawniéj; a górę nad niemi brała jedna przedewszystkiém: myśl o przyszłości, połączona z dręczącą go niepewnością: jaką téż będzie ta przyszłość? Czy sądzone jest Maryi odegrać w niéj jakąkolwiek rolę? czy téż, przeciwnie, ta pogodna atmosfera, którą oddychał obecnie, rozwieje się lada dzień, jak owe mgły poranne, i nie zostanie mu nic z téj całéj idylli, prócz goryczy doznanego zawodu i... upokorzenia? I znowu, jak parę miesięcy temu, poczęły się w nim budzić pragnienia życia we dwoje, w towarzystwie „młodéj, ładnéj i bogatéj żony”, pragnienia, które go opanowały w krótkim czasie tak silnie, że ukryć się z niemi nie był nawet zdolny przed matką, choć zwykle skryty był pod tym względem i nie skory do wynurzeń [1]). Oto, co pisze w liście do niéj w czerwcu 1835 roku: „Pamiętasz, mamo, te węże, które widzieliśmy kiedyś na moczarach pińskich, obwijające się koło lilii wodnych i grzejące się na słońcu? Chciałbym na rzece żywota znaleść taki biały kwiat, obwinąć się koło niego i zasnąć... To bardzo mistyczne i ciemne, matko moja! Lilia wodna niech się tobie zamieni w jaką miłą, spokojną i cichą dzieweczkę, a zrozumiész moje żądanie. O! o! o! z takiemi wykrzyknikami konają osoby w moich tragedyach; z takiém długiém westchnieniem kona... moja nadzieja! Byłem u panny Lenormand, obrywałem tyle razy margerytki, zdmuchiwałem cykorye, wiązałem trawy, szukałem czterolistnéj koniczyny i... dotąd nie wiem, co mię na świecie czeka. Zdaje mi się jednak, że musi coś czekać”.

Wątpliwość ta zatruwała mu najsłodsze chwile uniesień i wesela, a spotęgował ją jeszcze, i to w stopniu bardzo wysokim, przyjazd

---

[1]) Rzecz dziwna i dobrze malująca duszę Słowackiego, że o dotychczasowych swoich miłostkach pisze matce otwarcie, nic nie obwijając w bawełnę, dlatego, że się nie kochał szczerze, tylko bawił. Tu (z Maryą Wodz.) w głębiach serca, jak w pieczarach perskich, tlił się żywy ogień miłości, niepokalany ludzkiém okiem i słowem. Była to miłość pełna dziecięcéj naiwności i dziewiczego wstydu. To téż nigdy o niéj wyraźnie nie mówi: kryje ją, jak sam powiada, w mistyczne obsłony; rzadko tylko pierś wezbrana mimowoli buchnie płaczem serdecznym... Głębokość swego uczucia spostrzegł poeta prawdopodobnie w chwili dopiéro, kiedy jego ukochana miała odjeżdżać... na zawsze. Smutnym był, nieokreślenie smutnym i t. d. i t. d. Ob. „Ateneum”, 1887, „J. Słowackiego listy do matki” przez S.

do Genewy Wincentego Wodzińskiego, który tu przybył, ażeby razem z żoną i z dziećmi wracać wkrótce do kraju, do Służewa. Dla Słowackiego była wiadomość ta bardzo „smutnym wypadkiem”, a dzieląc się nią z matką, pisał w strapieniu swojém, co następuje: „Mąż pani Wodzińskiéj przyjechał po nią i ma wkrótce porwać stąd całą rodzinę. Szczęśliwi! Wracają! Wracają ułożyć się i pomieścić w domu rodzinnym na resztę życia, usnuć sobie domowe szczęście (którego mu nie kosztować), żenić synów (czego im szczerze zazdrości), wydawać za mąż córki (czyli oddać Maryę, którą on kocha i która jego „pierwszą miłością” pokochała [1]), nie jemu, ale komu innemu!!!), zasadzać ogrody, siać zboża, budować i przebudowywać domy, patrzéć na zachód słońca, wyjeżdżać do lasów na herbatę z przyjaciołmi, z wiejskiém sąsiedztwem... Zazdroszczę, choć takie szczęście podobne mi się wydaje do kwiatowego cmentarza. Bo i nad cmentarzem chce mi się często powiedziéć, jak Luter, patrząc na groby w Worms: *Invideo, quia quiescunt!* Zazdroszczę, bo cicho spoczywają. Czy téż ja kiedy dojdę do przedśmiertnego spoczynku?” Ojciec Maryi, dumny magnat, marzący o świetnéj partyi dla swojéj starszéj córki (co go późniéj skłoniło do dania odmownéj i stanowczéj odpowiedzi Chopinowi, gdy go się ten „grajek” poważył prosić o rękę Maryi), ojciec jéj zachowaniem się swojém, wyniosłém i nieprzystępném, do żadnych nie upoważniał nadziei; przeciwnie, takie robił wrażenie, że gdyby mu się człowiek z taką, jak Słowacki, pozycyą oświadczył o rękę Maryi, gotówby się nawet nie oburzyć, ale poprostu... roześmiać. Dlatego nie pozostawało poecie nic innego, tylko wszelkich pozbyć się złudzeń raz na zawsze. Za wysokie progi... A powtóre, nie był pewny miłości panny, która o ile z jednéj strony dużo mu w ostatnich czasach okazywała życzliwości i przyjaźni, o tyle z drugiéj niemniejszą okazywała życzliwość młodemu Darowskiemu, a oprócz tego pozwalała kochać się w sobie młodemu hrabiemu Montigny: najlepszy dowód, iż ten, oświadczywszy się o nią raz... naprózno, próbował niedawno szczęścia poraz wtóry, niestety, znowu z tym samym skutkiem. Mimo to nie przestał bywać w domu pani Wodzińskiéj, co należało sobie tłómaczyć, iż pomimo dwukrotnego niepowodzenia nie zraził się i miał nadzieję, że, oświadczywszy się po raz trzeci o rękę panny, będzie

---

[1]) „Mówią, że się Chopin z Maryą Wodzińską, a niegdyś moją Maryą ożenił. Może poszła za niego trochę z przyjaźni (należy położyć nacisk na to, że Słowacki nie mówi tu „z miłości dla mnie, lecz tylko z przyjaźni dla mnie”) dla mnie i t. d. Jak to sentymentalnie pójść za człowieka, podobnego temu, którego się pierwszą miłością kochało.” Zob. Listy, t. II, str. 34.

przyjęty ostatecznie... Słowacki, który o tych konkurach Darowskiego i hrabiego de Montigny nie mógł nie wiedziéć, musiał się tém trapić podwójnie, czuł bowiem, że rywale ci, choć on ich zaliczał bez ceremonii do... głupców towarzystwa, mieli więcéj szans, ażeby się módz ożenić z Maryą, aniżeli on. Że refleksye podobne nie wpływały na humor jego dodatnio, rozumié się samo przez się; to téż, pisząc do matki, w następujący sposób streścił swoje ówczesne usposobienie: „atmosfera imaginacyi, kraj przeszłości, wyspa ideału, przerżnięta rzeką łez.”

Na podobną wyspę, nie ideału, ale gorzkiéj rzeczywistości, przerżniętą głębszą nierównie rzeką łez, wyrzuciły losy i Eglantynę Patteg, która, osiadłszy na niéj, jak rozbity okręt na mieliznie, stała się pastwą najsroższych katuszy moralnych, przez jakie kobiéta kochająca przejść może wogóle w życiu. W duszy jéj bowiem, od chwili, kiedy się rodzina Wodzińskich sprowadziła do Paquis, zaczął rozgrywać się bolesny dramat psychiczny, tém boleśniejszy, że nie wolno mu się było ujawniać na zewnątrz; a jak powiada Bourget, *les vrais drames du coeur n'ont pas d'événements*. Jak gdyby chcąc Słowackiemu dowieść słuszności jego aforyzmu w „Horsztyńskim” (którego kreślił właśnie ostatnie sceny), że „ludzie tak dziwnie stworzeni są od Boga, że zawsze przywiązują się do słowa *ja*... oprócz kobiét, które przywiązują się czasem do słowa *mój*”, kiedy spostrzegła — a z przerażeniem zrobiła poraz pierwszy to odkrycie—że poeta, do którego sobie ona dotychczas wyłączne rościła prawo, odwraca się od niéj, że sercem swém i wyobraźnią skłaniać się poczyna w inną stronę, w stronę panny Wodzińskiéj, że jéj, Eglantynie, zejść wypadnie chcąc nie chcąc na drugi plan, że towarzystwo jéj, wobec t a m t é j, przestanie wkrótce posiadać dlań jakikolwiek urok, i że z podobną, jak Marya, rywalką, młodszą, bogatszą, wykształceńszą, inteligentniejszą i świetniejszą pod każdym względem, a do tego jeszcze... Polką, dla takiéj, jak ona, prostéj, niemłodéj, ubogiéj i trochę pospolitéj Szwajcarki nie ma najmniejszych szans powodzenia, a może być tylko pewność... bezsilności własnéj, Eglantyna, kiedy się jéj jasno sformułowało w umyśle niebezpieczeństwo utraty Juliusza, o którego przywiązaniu dla siebie w zaślepieniu swém — tak właściwém pannom starzejącym się — nie wątpiła, poczęła się trapić na samą myśl o tém i otworzyła do duszy swéj przystęp najokropniejszemu ze wszystkich uczuć: zazdrości. Zazdrość ta, opętawszy ją raz, zabiła w niéj spokój, wesołość, otuchę, nadzieję—słowem, wszystko, na czém zakwita szczęście: w nocy odbiérała jéj sen, w dzień apetyt, a w nocy zarówno, jak we dnie, prześladowała ją nieustannie najokropniejszemi podejrzeniami, najczęściéj

wszelkiéj pozbawionemi racyi, podejrzeniami o brak dobréj woli, o nieszczerość, o złośliwość, o lekceważenie, o przewrotność, o niewdzięczność, o brak serca, o egoizm, o radość z cudzéj krzywdy, z cudzych cierpień, z cudzego nieszczęścia. O wszystko to posądzała teraz Eglantyna zarówno Słowackiego, jak i Maryą, którzy, egoistyczni w swojéj miłości, zdawało się jéj, uknuli poprostu spisek przeciwko niéj, jak gdyby dręczyć ją i męczyć szczególną im sprawiało przyjemność. Z natury imaginacyjna i skłonna do przywidzeń — o co u ludzi uczuciowych, a zwłaszcza u kobiét egzaltowanych nietrudno — często widziała więcéj, aniżeli było. Kiedy np. zdarzyło się, że wyszli ze Słowackim i Maryą na spacer do ogrodu, chodziła z nimi, jak po rozpalonéj podłodze; albowiem była gotowa przysiądz, że radziby się jéj byli pozbyć (w czém może miała czasami słuszność). Jeżeli zdarzyło się niekiedy, że, idąc z nią, zapomnieli się i, zamiast po francusku, t. j. zrozumiale dla niéj, mówili przez chwilę po polsku, z pewnością podejrzéwała ich zaraz, że czynią to umyślnie, nie chcąc, ażeby rozumiała, co mówią. Bo kto wié, co sobie mówili? Może wyśmiewali się z niéj? Może się naradzali nad sposobem, w jakiby zostać sami?... Wieczorami, kiedy widziała, że Słowacki idzie do salonu, dokąd go nęciła obecność siedzącéj przy fortepianie Maryi, powiedziałaby mu nieraz, jak zazdrosna Goplana rozkochanemu w Balladynie Grabcowi:

Niech słońce zagaśnie,
Jeśli mi ciebie kto wydrze, kochanku!
Ty jesteś moim, moim, moim wiecznie!
Choćbyś miał księżyc za ślubny pierścionek,
Choćbyś miał księżyc, to ja go rozłamię!
Zagaszę księżyc, który cię prowadzi

do téj dziewczyny, która mi ciebie wydarła!

Ach! bądź mi wiernym! Błagam cię, zaklinam!
Na twoje własne szczęście! Ach! Zaklinam!
Przynajmniéj dzisiaj nie chodź tam wieczorem,
Przynajmniéj dzisiaj nie chodzi tam, ja... każę!

Poeta jednak albo się nie domyślał istotnie, o co jéj chodzi, albo téż... udawał, że się nie domyśla niczego i jak Kirkor szedł do téj chaty,

Gdzie mieszka uboga wdowa
I swe młode córki chowa,

a biédna Eglantyna nie miała, jak Goplana, na rozkazy swoje ani Chochlika ani Skierki, którzyby „pracowali na jéj szczęście", którzyby sprawili, żeby się Marya znowu wydała poecie „bardzo brzydką",

którzyby jéj nie dali „prześlicznie grać na fortepianie”, którzyby zalepili Słowackiemu uszy woskiem, ażeby się nie rozmarzał denerwującemi kompozycyami Chopina, którzyby potrafili dokazać téj sztuki, ażeby pociski Amora, wymierzone w serce Juliusza, chybiały celu, i którzyby wreszcie posiadali moc skierowania serca tego ponownie ku niéj, ku Eglantynie!... Nie mając takiéj władzy nad nim, nie omieszkała mu przynajmniéj dawać przy lada sposobności do zrozumienia, ile cierpi z jego powodu, ile ją to jego sprzeniewierzanie się jéj kosztuje, a kiedy on, rozdrażniony tém i zniecierpliwiony, a i znudzony czasami, bo przedewszystkiém nudziły go te narzekania, usiłował jéj wytłómaczyć, że nigdy nie żądał od niéj niczego więcéj, tylko, żeby mu dała „nieco przyjaźni i ciszy”, ona mu w odpowiedzi na to „łzy w powszednim podawała chlebie” i jęcząc, z jękiem w sercu mówiła: „Niech słyszy” [1]). Rozdrażniony tém wszystkiém Słowacki zaczął jéj poprostu unikać, a jeśli się udało jéj kiedy zatrzymać go z sobą czas jakiś, wymawiał jéj, że mu tylko „serce krwawi” niepotrzebnie, i że, zamiast być dlań balsamem, jakby przystało na kochającą... siostrę, w chwilach, kiedy się otwiéra „serca jego rana”, ona leje w nie „żółciowe gorycze”, niepomna, że takiém postępowaniem nikt sobie jeszcze czyjéjś miłości nie zaskarbił...

Skończyło się na tém, że Eglantyna wskutek tych wszystkich przejść „poczęła schnąć”, blednąć, mizerniéć, aż wreszcie „niebezpiecznie” zachorowała. Widząc to, Słowacki, i wiedząc, że przyczyną choroby téj nie jest nikt inny, tylko on i jego miłość dla Maryi, a dla Eglantyny obojętność, bolał nad tém szczerze i „cierpiał”. Bo jakkolwiekbądź żal mu było biednéj „siostry genewskiéj”, od któréj tyle dobrego doświadczył, a któréj za jéj przywiązanie bezgraniczne odpłacał teraz... złorzeczeniami i niejedném przykrém słowem. Z drugiéj strony, ponieważ miłość jest zawsze egoistyczną, nie widział powodu zmieniać sposobu swojego postępowania z Maryą, pomimo że obecność ojca jéj paraliżowała ich często i krępowała; więcéj nierównie, aniżeli niedomagania i łzy Eglantyny.

Ale podobny stan rzeczy nie mógł trwać długo i jakieś rozwiązanie kwestyi musiało nastąpić koniecznie. Przyśpieszyła je zdaje

---

[1]) Por. Przekleństwo (Do Eglantyny) Pisma pośm., t. I, str. 26, 27. Por. również Piotr Chmielowski, Kobiéty Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego, str. 134, w wyd. trzeciém („...dramat, jeżeli to tylko było dramatem (?), rozgrywał się nie na powierzchni, ale w głębi uczuć...”), oraz Sew. Duchińska, op. cit., str. 338 („To jednak pewna, że dramat, który odbył się wtedy w duszy trzech istot, pełniejszy był, wyższy nastrojem duchowym, nad wszystkie dramata, jakie stworzył geniusz naszego poety“).

się pani Patteg, która „domyślała się, o co rzecz idzie”. Cokolwiekbądź, Słowacki, widząc, że wszystkiemu winien jest on, że chcąc mieć czyste sumienie, należy „postąpić sumiennie” i oszczędzić Eglantynie dalszych powodów do martwienia się, zdecydował się po niemałéj z sobą walce przeciąć pasmo téj kabały i opuścić niezwłocznie Paquis, choć przyznawał, że żal mu było rozstawać się teraz z tym domem, gdzie ostatniemi czasy czuł się tak dobrze, gdzie się do niego uśmiéchać zaczęło szczęście, gdzie zostawiał wszystko, co go chwilowo przywiązywało do życia, co miało dlań powab i urok. Niestety, okoliczności składały się tak fatalnie, że względy osobiste musiały ustąpić na bok, albowiem nie o niego tu chodziło, lecz o kobiétę, któréj dręczyć dłużéj nie miał poprostu sumienia... Dlatego powziął stanowczy zamiar wyjechania.

Ale dokąd? Wybór miejsca nie grał w tym razie żadnéj roli. Chodziło o to tylko, żeby wyjechał z Genewy, żeby się usunął z oczu Eglantynie, żeby się nie mógł widywać z Maryą. W tym celu obrał sobie na miejsce pobytu Veytoux, niewielkie miasteczko, położone na drugim końcu jeziora, niedaleko Villeneuve.

Spakowawszy rzeczy, będąc już gotowym zupełnie do odjazdu, poszedł się pożegnać z Eglantyną i obwieścić jéj przy téj sposobności, że wyjeżdża... Pożegnanie z Maryą odłożył na ostatnią chwilę, albowiem wiedział z góry, ile go pożegnanie to kosztować będzie...

Eglantyna, kiedy się dowiedziała, o co chodzi, w żaden sposób przystać nie chciała na propozycyę matki i zaklinała poetę na wszystko, aby został, tłómacząc, że woli go takiego nawet, jakim jest dla niéj obecnie, aniżeli nie widziéć go wcale...

— Cóż ja kochałam, kochając człowieka?
W cóż ja wierzyłam, wierząc w serce? Stoję,
Jak nad przepaścią jaką, sama jedna
I opuszczona wiecznie, o, ja biédna!
Gdy patrzę w oczy twoje, widzę jasno,
Że ty naprawdę żegnasz... Wieki miną,
Te gwiazdy, które dziś świécą, zagasną,
A nie odmieni się sercom, co giną,
Nic a nic! Lecz ty nie przez duszę własną
Tak postępujesz ze mną, z tą jedyną
Duszą, co tobie spadła, jak z miesiąca,
Siostra i matka razem, i... służąca!
Musi być jakaś okropna przyczyna
Tego rozdziału, téj bolesnéj rany,
Którą mi dajesz w serce...

Jakoż była istotnie przyczyna, że się Słowacki oddalał teraz, tak

nagle, ale mówić o niéj z Eglantyną, rozwodzić nad nią długo, nie pora była obecnie. Mógł jéj dać do zrozumienia, że wyjazd ten wyjdzie *jéj* na dobre, że nie powinna go zaklinać, aby został, bo-by na tém *ona* wyszła najgorzéj, ale wyjawić jéj całą prawdę, bez obsłonek, nie miał poprostu sumienia; témbardziéj, że gdyby powiedział otwarcie, dlaczego wyjeżdża, nie mógł być pewnym, żali się pohamować zdoła i czy jéj nie zacznie tego swojego bądź co bądź poświęcenia się dla niéj... wyrzucać. Albowiem w duszy, pomimo całego współczucia, jakie w nim budziła swoją niedolą, złorzeczył jéj (dowodem rzucone jéj późniéj przekleństwo); ponieważ nikt inny, tylko ona wydzierała mu ostatnie godziny szczęścia jego na ziemi, ponieważ nikt inny, tylko ona wypędzała go na samotność, ponieważ nic innego, tylko jéj... pretensye niczém nieuzasadnione w gruncie rzeczy (bo nigdy jéj nie mówił, że ją kocha) skłaniały go do wyjazdu, bo gdyby nie te względy, jemu aniby przez myśl przeszło opuszczać Paquis i pozbawiać się dobrowolnie paru tygodni przy boku Maryi, która mu była „siostrą na wygnaniu ziemi...”

Pozostawiwszy Eglantynę we łzach [1]), albowiem nie robił z tego tajemnicy, iż żegna się z nią „na wieki”, poszedł pożegnać się z Maryą, a pożegnanie to, dla innych zupełnie względów, także nie musiało być dla niego mniéj bolesném, aniżeli chwila rozstania z Eglantyną; gdyż o ile tam współczucie i poszanowanie cudzego nieszczęścia nie pozwalało mu przyznać się otwarcie, czemu się żegna, o tyle tu nie pozwalała na to... miłość własna; nie mógł się jednak oprzéć nieprzezwyciężonéj poprostu chęci dania przynajmniéj do zrozumienia Maryi, że ta chwila rozstania się z nią, na zawsze prawdopodobnie, niejedną pociągnie za sobą chwilę tęsknoty i żalu w jego życiu [2]), a co będzie tego powodem, o tém on jéj wyraźnie powiedziéć nie może: niech się sama lepiéj wszystkiego domyśli. Ona tymczasem nie domyślała się niczego, a przynajmniéj... nie chciała się domyślać.

Po téj przykréj bardzo dla niego scenie pożegnania z Maryą, jeszcze „nim księżyc zabłysnął wieczorem” wiózł już poetę dyliżans

---

1) Płakałem, wyjeżdżając, płakany. Przy odjeździe taki smutek, taka nuda mię opadła, że zakazałem, aby mi przysyłano książek. Wziąłem tylko kilku moich ulubionych autorów... (Listy, I, 218, 222).

2) Oto, co o téj chwili pisze dziś pani Orpiszewska: „Nie zwracałam uwagi nawet (?), żeby Słowacki był mną zajęty, jak to późniéj twierdzono. Opuścił on Genewę na parę miesięcy przed naszym wyjazdem. Przy pożegnaniu mówił wprawdzie o żalu i tęsknocie... Powiadano mi potém, iż wyjechał dlatego, że Eglantyna Patteg, późniejsza hrabina (?) de Louppé była o mnie zazdrosną. Bardzo mię to zdziwiło...“ (Bibl. Warsz., 1893, IV, 208).

pocztowy wzdłuż lewego brzegu jeziora drogą ku Villeneuve. Noc była jasna, miesięczna, ciepła: prawdziwa noc letnia. W naturze panował spokój, cisza, i słychać było tylko jednostajny pomruk fali, opłókującéj brzegi, i turkot powozu, pomieszany z tententem kopyt końskich. Blada światłość księżyca kładła się na wodzie migotliwą, srebrną kolumną i, co szczególne, niepokoiła Słowackiego, który, „wzburzony", z rozpaloném czołem, takiego doznawał uczucia, jakby uciekał i, co gorsza, jakby uciekał prześladowany wyrzutami sumienia [1]). Zdawało mu się ciągle, przez całą drogę, że widzi Eglantynę, jak „niema płaczem, za nim wyciągała ręce", a on odpychał ją od siebie, „jakby się ta kobiéta do stóp jego kładła"; że dostrzega jéj postać schorzałą i bladą, jak biegnie za nim po smudze światłości księżycowéj; że słyszy jéj głos, jéj łkanie, jéj słowa, które mówiły: Otom jest „oszukana, przeklęta, zabita!"... I, jak powiada, „próżno się zatokami wężowemi kręcił": głos ten, pełen rozpaczy, leciał za nim wszędzie i nie przestawał mu brzmiéć w uszach ani na chwilę. Próżno starał się przekonać sam siebie, że ostatecznie walczy tylko ze złudzeniem; próżno powtarzał na głos:

Patrzę na niebo, księżyc, na gwiazdy, jezioro!
Wszak tu jęk nie doleci, wszak łez nie zobaczę:
To jezioro, to fala, to nie ona płacze!

Nic nie pomagało! Głos sumienia buntował się przeciwko tym sofistycznym perswazyom rozsądku i dręczył go przez całą noc, aż do samego Veytoux... Nadto trapiła go jeszcze niewypowiedziana tęsknota za Maryą, a prócz tęsknoty—smutne przeczucie, graniczące niemal z pewnością, że już nie zobaczą się nigdy.

§ 6.

„Nic piękniejszego, jak okolica, w któréj żyję", pisał Słowacki do matki dnia 2 września 1835 roku po dwóch miesiącach pobytu w Veytoux, które, jako miasteczko, położone na zielonéj równinie, w końcu jeziora genewskiego, niedaleko zamku Chillon i skał Heloizy, nie dziw, że czarowało go swoją wiejską, spokojną pięknością. Na jasnych i wodnistych łąkach zbudowane (opisał je w kilka lat późniéj Słowacki w swoim przepięknym liście do autora Irydiona) uśmiecha się ono wiosenną zielenią z pod czarnych gór, które, podobne rzymskiemu legionowi, stoją groźne, nachylone, gotowe spaść i roz-

[1]) Zob. wiersz p. t. Sumienie. Pism pośm. I, 33 (wyd. drugie).

prószyć... Co? Kilka małych domków, biało odbitych w jeziorze, mały kościołek z piramidalną wieżyczką i rzęd ciemnych drzew kasztanowych, które — jesienią — owieszone mnóstwem chłopiąt, tłukących z koron owoce, rumienią się hożą czerwonością wesołych twarzy, niby jabłonie sadów naszych, mnóstwem owoców spłonione [1]. Stoki gór, jak wszędzie nad Lemanem, porosłe winnicami; w górze śnieżne wierzchołki sławnych dzięki romansowi Rousseau'a skał Meilleries, mieniące się w słońcu na podobieństwo perłowéj macicy: słowem, widok nie do opisania. Ludzie, którzy widzieli Neapol i Helespont, mówią, że piękność krajobrazu Veytoux, w niczém nie ustępuje tamtym. I kto tu nie był, ten, jak się wyraża Słowacki, próżno będzie krajobrazy tworzyć, „osrebrzać je księżycem i promienić świtem"; bo nie wié, „że trzeba niebo zwalić i położyć pod oknami (domu, w którym mieszkał poeta) i nazwać... jeziora błękitem;

Potém jezioro z niebem dzielić na połowę:
W dzień zasłoną gór jasnych, w nocy skał szafirem;

w czasie niepogody zaś „włosem deszczu skałom wieńczyć głowę"; a podczas nocy letnich, miesięcznych i widnych, widziéć wszystko „w księżycu odkreślone kirem".

Niewielki domek, w którym zamieszkał poeta, domek, taki ładny i jasny, że „zjadłoby" go się chętnie, stał na pograniczu pomiędzy Veytoux a sąsiednią wioską Oeglone, i był własnością wieśniaków, którzy za piękność jego kazali sobie... dobrze płacić cudzoziemcom, przyjeżdżającym tu na zimę dla kuracyi winogronowéj i dziwnie ciepłego klimatu. Słowackiego jednak nie „darli" tak niemiłosiernie, jak innych; przeciwnie, pomimo, że miał pokój, jak wymarzony, wynajmował go za cenę bardzo przystępną. Był to pokoik stanowczo najpiękniejszy ze wszystkich, w jakich Słowacki mieszkał kiedykolwiek w życiu. Słoneczny, pełen światła, z widokiem na zamek Chillon, widny o dwieście kroków, na winnice, na jezioro, „prześlicznie" umeblowany, czyściutki i wesoły, odwiedzany w ciągu dnia przez... jaskółki, tłukące się czasem piersią o zwierciadło, służyłby Słowackiemu za rozkoszne gniazdko, gdyby nie smutek, nurtujący duszę poety, od chwili, kiedy wyjechał z Genewy.

Mimo złudzenia bowiem, niestety! optycznego tylko, że się dostał do raju, w gruncie rzeczy, jeżeli myślał czasami o raju, to jedynie w ten sposób, w jaki o nim myśléć musieli nasi pierwsi rodzice, po wypędzeniu z Edenu; a w takim razie rola Anioła Gabryela, który go

---

[1] Zob. Lilla Weneda, List II do autora Irydiona.

z Paquis „wygnał na samotność”, przypadła Eglantynie. Samotność ta, przez to właśnie, że zaprawna smutkiem i melancholią, dokuczała mu najbardziéj; i tu leży przyczyna, dlaczego mu się wszystko wydawało ciemném i „mgłą tajemném”. Patrząc na otoczenie „wzrokiem ponurym skrą i łzami”, myśląc nieustannie o Maryi, o któréj pozbawiony był wszelkich wiadomości, mógł z ręką na sercu powiedzieć o sobie, jak powiedział późniéj w swojéj szwajcarskiéj idylli, że

Odkąd zniknęła, jak sen jaki złoty,
Usycham z żalu, omdlewam z tęsknoty.

Istotnie tak było: tęsknota za Maryą i rozłączenie z nią, co na razie potęgowało niezmiernie samo uczucie miłości, takim przejmowały go smutkiem, że, jak powiada, chciało mu się poprostu... umrzéć. Słowa bowiem, które miał z czasem włożyć w usta Anhellemu, najlepiéj określały jego własne uczucia, jakich teraz doznawał w Veytoux z powodu panny Wodzińskiéj:

— Otom zobaczył anioła, podobnego téj niewieście, którą kochałem z całéj duszy mojéj, będąc jeszcze dzieckiem.

A miłowałem ją w czystości serca mego; i dlatego łzy mię zalewają, kiedy myślę o niéj i o mojéj młodości.

Bo oto byłem przy niéj, jak ptak swojski, co się boi; i nie wziąłem nawet pocałowania od jéj ust koralowych, choć byłem blisko: jak gołąb, mówię, siedzący na ramieniu dziewczyny.

...Oto mi więc smutno, że ujrzałem tego anioła i wolałbym był wczoraj umrzéć.

Pod wpływem tego uczucia napisał Słowacki—pomiędzy 20 a 30 lipca — kilka „lirycznych kawałków”, które malowały stan jego umysłu w tych czasach, a które p. t.: Rozłączenie, Przekleństwo, Stokrotki, Ostatnie wspomnienie i Chmury należą do pereł liryki erotycznéj polskiéj.

Rozłączeni, lecz jedno o drugiém pamięta:
Pomiędzy nami lata biały gołąb smutku
I nosi ciągłe wieści. Wiem, kiedy w ogródku,
Wiem, kiedy płaczesz w cichéj komnacie zamknięta.

Łudząc się chwilami w kwestyi uczucia, jakie dla niego żywiła Marya, wyobrażał sobie, że tak samo, jak on po niéj, i ona tęskni po nim. W przeciwnym razie duma nie pozwalałaby mu tęsknić po niéj...

Wiem, o jakiéj godzinie wraca bolu fala,
Wiem, jaka ci rozmowa ludzi łzę wyciska...

Tyś mi widna jak gwiazda, co się tam zapala
I łzę różową leje i skrą siną błyska.
A choć mi teraz ciebie oczyma nie dostać,

to przecież

Znając twój dom i drzewa ogrodu, i kwiaty,
Wiem, gdzie malować myślą twe oczy i postać,
Między jakiemi drzewy szukać białéj szaty.

Ty jednak „próżno będziesz krajobrazy tworzyć”, bo, nie będąc nigdy w Veytoux, nie jesteś w możności wyobrazić sobie téj prawdziwéj ziemi obiecanéj, wśród któréj żyję i marzę o tobie.

Nie wiész, nad jaką górą wschodzi ta perełka,
Którąm wybrał dla ciebie za gwiazdeczkę-stróża;
Nie wiész, że gdzieś daleko, aż u gór podnóża,
Za jeziorem, dojrzałem dwa z okien światełka...

Przywykłem do nich: kocham te gwiazdy jeziora,
Ciemne mgłą oddalenia, od gwiazd nieba krwawsze...
Dziś je widzę; widziałem zapalone wczora
Zawsze mi świécą: smutno i blado, lecz zawsze...

A ty wiecznie zagasłaś nad biédnym tułaczem:
Lecz, choć się nigdy, nigdzie połączyć nie mamy,
Zamilkniemy na chwilę i znów się wołamy,
Jak dwa smutne słowiki, co się wabią... płaczem.

Ale przeświadczenie, że i Marya tęskni za nim, nie umniejszało bynajmniéj smutku, choć było w pewnym stopniu smutku tego niejaką osłodą. „Dzisiaj samotny, dzisiaj bez nadziei” błądząc po okolicy, myślał o niéj tylko, niezdolny—chwilami—do myślenia o czém inném. Wszystko mu ją przypominało, a nic tak rzewnie, jak... białe stokrotki, które zrywał teraz i obrywał listek po listku, tak samo, jak to czynił niedawno, w towarzystwie Maryi; i wszystkie jego smutki, jak powiada, zbiegały się wtedy razem do białéj stokrotki, „co była siostrą stokrotek w alei”.

Rwałem ją: listki leciały w błękicie
Aż na jezioro za skały, gdziem siedział...
I wiész, co listek ostatni powiedział?

Oto, że jest jeszcze kochany przez nią... Nędzna pociecha! albowiem chociażby nawet tak było, wszelką pewność stałości ze strony Maryi zatruwała inna pewność: że się „nigdy, nigdzie połączyć nie mają”, że muszą się rozejść na drodze życia i o ile możności zapomniéć jedno o drugiém, bo nic im nie pozostaje innego... Niestety, serce nie sługa, ak powiada Mickiewicz, nie zna co to pany, i rozkazywać mu trudno.

To też i Słowacki był wobec swego bezsilny, i dlatego, pomimo głosu rozsądku, który mu radził zaprzątać sobie umysł czém inném, poezyą np., przebywał najchętniéj i prawie ciągle na owéj „wyspie ideału, przerżniętéj rzeką łez”, i zdawało mu się wciąż, że czuje, jak pachną kochanki warkocze, że widzi w oczach jéj blask promienny... I znów, jak powiada w strofie XVIII-éj swojego szwajcarskiego romansu, ogarniały go, drżącego, płomienie, i nie wiedział gdzie iść

i gdzie oczy schować
I gdzie łzy ukryć, i gdzie być samotnym?

I starał się siłą wyobraźni przywołać postać Maryi przed siebie; nie wiedział tylko, ile razy się tak myślą w przyszłości zagłębił, „jak sobie jéj postać malować?”

Czy wtenczas, kiedy uciekała trwożna?...
Czy, kiedy wiejskim otoczona dworem,

jak Zosia w Panu Tadeuszu,

Chodziła, gdyby zaklęta królowa?
Czy, kiedy cicho uśnie pod jaworem?
Czy, kiedy goni? czy, kiedy się chowa,
W księżyca blasku biała, lub wieczorem
Od Alp, na śniegach różowych, różowa?...

W nocy, bywało nieraz, budził się, otwiérał okno i stawał w niém, zamyślony, „słuchając różnych płaczów na dolinie” i zdawało mu się, że w szmerze fontanny, „co wiecznie jęczy zapłakanym szumem” pomięszanym z sentymentalnemi serenadami słowików, słyszy głos jakiś, mówiący mu o niéj... A że z konieczności nie było w tych tajemniczych nokturnach ani jednego słowa nadziei, bo nie mogło być, więc poeta, otwiérający im serce, mógł tylko „o śmierć prędką modlić się z rozpaczą” w tém przekonaniu, że „i tu, i tam, za morzem, i wszędzie,

Gdzie tylko poszlę przed sobą myśl biédną,
Zawsze mi smutno i wszędzie mi jedno,
I wszędzie mi źle, i wiem, że źle będzie...

Obok téj tęsknoty po utracie Maryi znalazło się w sercu Juliusza dosyć jeszcze miejsca na... żal do Eglantyny, od któréj miał częste listy, a którą przeklinał teraz — nawet wierszem — za wszystkie „żółciowe gorycze”, któremi go poiła, dopóki nie wyjechał z Genewy. Pod wpływem tego żalu i téj urazy do biednéj dziewczyny, która zdaniem p. Tretiaka „może jakiś czas karmiła się nadzieją, że zdoła pozyskać serce poety, a zobaczywszy, że to serce zwraca się ku innéj ko-

biécie, nie umiała utaić swego żalu, a czasem gorzkiego powstrzymać słowa", napisał Słowacki swoje słynne Przekleństwo, rzucone Eglantynie, w którém, wymawiając jéj swój wyjazd do Veytoux, między innemi zapewnia ją, że, jeśli dziś „w samotności, okryty żałobą, oczy błędne obraca za każdym szelestem", to niech nie myśli, ażeby o niéj wtedy pamiętał. Nie! bo „czekam, ale nie ciebie! tęsknię, nie za tobą!" Przeciwnie,

Téj czekam, omamiony, téj samotny płaczę,
Która mi była siostrą na wygnania ziemi;
Myśląc, że kiedyś duszy oczyma zobaczę
Tę, co w duszę oczyma patrzy anielskiemi,
A nigdy serca mego nie umiała krwawić.

Nie zniosłaby téż, ażeby się ktoś dla niéj wyrzekał dobrowolnie „ostatnich godzin szczęścia swojego na ziemi", aniby potrafiła dla dogodzenia własnemu egoizmowi „wygnać kogoś na samotność wśród pustyni, samotność, która na niego wpływ wywierała zabijający, potęgując napady spleen'u, i przeciw któréj lekarstwa szukać musiał w nudnych rozmowach z pewnym ministrem protestanckim, jedynym człowiekiem, jaki — oprócz gospodarstwa - wieśniaków — mieszkał w tym domu.

Człowiek to był nie zły, do rzeczy, a jako świéży wdowiec z pięciorgiem dzieci, budzący niejakie współczucie. Szkoda tylko, że rozmowa z nim stawała się zawsze męczącą pod koniec i nudną; jako pastor bowiem, należący do sekty metodystów, miał swoje dziwactwa, a nadto, jak każdy metodysta, starał się wszystkim, a więc i Słowackiemu, narzucić swoje przekonania, na które poecie, dumnemu ze swego katolicyzmu, trudno się było zgodzić... Stąd dysputy, często ożywione bardzo, choć jałowe, bo Słowackiemu ani przez myśl nigdy nie przeszło, ażeby zostać metodystą...

Większą téż, aniżeli w dyskusyach tych, znajdował Słowacki przyjemność w samotnych dumaniach i przechadzkach z książką w ręku, z Szekspirem lub Byronem, których czytał sobie *en plein air*, leżąc na miękkiéj murawie, w cieniu drzew; uważał bowiem, że miło jest

Pójść nad jasne zdroje,
Gdzie słońcu broni przystępu leszczyna,
I na murawie legnąć aksamitnéj
W brzęku motyli, przy wodzie błękitnéj.

Na jednym z takich spacerów, pod wpływem odczytanéj świéżo Pieśni trzeciéj Wędrówek Childe Harolda, zrodził się pomysł do tragedyi, któréj bohatérką miała być początkowo Julia Alpinula,

unieśmiertelniona w tém arcydziele Byrona, któréj z czasem sądzono było przedzierzgnąć się w „pół-posągową” Lillę Wenedę [1]).

Do téj „pół-posągowości” zaczął teraz Słowacki więcéj nierównie przywiązywać wagi, aniżeli mu się to czynić zdarzało dotychczas, do pobytu w Veytoux; pobyt ten bowiem stanowił poniekąd epokę w jego życiu, przynajmniéj w jego przekonaniach i wyobrażeniach artystycznych. Przedtém lubował się w ponurym, chorobliwym Byronizmie, drapując się w urojone często i nieszczere cierpienia; obecnie zaszła w nim stanowcza zmiana pod tym względem, zmiana, ujawniająca się tém przedewszystkiém, że nagle, bez widocznego powodu „znienawidził” swoje pierwsze utwory... Czemu? Na to pytanie potrafił taką dać tylko odpowiedź, że wydawały mu się one dzisiaj nietylko chorobliwemi w założeniu, ale i nieudolnemi w wykonaniu. Jednocześnie poczuł w sobie raptownie „potrzebę większéj doskonałości”, ponieważ rozwinęło się w nim obecnie „jakieś nowe piękności uczucie”, uczucie, o którém nie wiedział jeszcze jak się ono przyoblecze w słowa; wiedział tylko, i z tego zdawał sobie sprawę najdokładniéj, że cokolwiek napisze w przyszłości, już karty tego nowego dzieła będą jaśniejsze, pogodniejsze, pełniejsze równowagi moralnéj; tak samo, jak w słowach i stylu więcéj będzie szczerości, łez, uczucia, a mniéj pozy i retoryki, czém tak grzeszyły wszystkie jego utwory do Kordyana i od czego nie była wolną nawet Godzina myśli, choć ten poemat lubił najwięcéj ze wszystkiego, co napisał w Genewie, albowiem było w nim coś, co go jak gdyby kołysało „przeszłości dźwiękiem, jakąś cichą, dawną piosenką”.

Główną przyczyną téj szczęśliwéj w Słowackim metamorfozy, która się i w ten także objawiła sposób (co świadczyło o pewnym stopniu dojrzałości umysłowéj), że przestał nagle znajdować przyjemność w czytaniu powieści, oraz „w tłumie tych dzieł lekkich”, jakiemi dotychczas otaczał mniéj więcéj swój rozum, było, zaprzeczyć się nie da, zbliżenie się i częste przestawanie z naturą, z wszechstworzeniem. Sam przyznawał, że te trzy miesiące, przepędzone wśród najpiękniejszych widoków przyrody wielką dlań były nauką, i że—dziękitym krajobrazom egzotycznym, oświetlonym złotemi promieniami słońca lub seledynowemi księżyca, tym górom, temu jezioru błękitnemu, nabijanemu światłem, i tym wibracyom lodowców w upalne dni lipcowe— zmienił się do niepoznania w swoich poglądach na świat, a zwłaszcza na artystyczne sposoby jego odtwarzania. Te ostatnie były u niego

---

[1]) Ob. Wiktor Hahn, Studyum nad genezą Lilli Wenedy (Lwów, 1894), oraz List II do autora Irydiona.

aż do téj chwili w fazie fermentu, w fazie krystalizowania się, tak, iż można go było porównać do Schillera z epoki Zbójców lub Goethego z epoki Goetza von Berlichingen. W Veytoux, jakby za dotknięciem laski czarnoksięskiéj, miało się z nim stać to, co się stało z Schillerem, kiedy pisał Don Carlosa, co się stało z Goethem, kiedy zobaczył Włochy, co się stało z Mickiewiczem, kiedy, zamknięty w celi bazyliańskiego klasztoru, z Gustawa przedzierzgnął się w Konrada. Podobna zmiana dokonała się teraz w Słowackim: z Kordyana (z pierwszego aktu) zrodził się nagle Anhelli.

A przyczyniła się do tego — oprócz wpływu natury — w niemałym także stopniu i samotność, ta, jak ją ktoś nazwał trafnie, najprzedniejsza geniuszów mistrzyni, samotność, która im pozwala skupić się w sobie, a któréj w starożytności wielu mędrców, a między innymi Chrystus i św. Jan Chrzciciel, szukali na pustyni, w dali od rozgardyaszu miast, od ciżby ludzkiéj i od... codziennéj banalności życia. Taką pustynią dla Słowackiego było właśnie Veytoux. Odcięty od świata, od ludzi, a przynajmniéj od znajomych, mając dni całe wolne przed sobą, nie potrzebując myśléć o jutrze, mógł z najzupełniejszą, niczém nie zamąconą swobodą oddawać się kontemplacyom, uważać „harmonię, która wszystko łączy i naléwa jednym kolorem"; postrzegać, że sztuka powinna naśladować „tę dziwną wszystkiego jedność"; zastanawiać się długo nad drzewami, kwiatami, szmerem i dźwiękiem natury, w nocy i we dnie, w pogodę i podczas burzy; widziéć ją zbliska błękitną albo chmurną; wsłuchiwać się w szmery potoków, w ciche szepty nocy, w melancholijną muzykę wieczoru, w dzwonienie skowronków, w śpiéw słowików, w kumkanie żab, w plusk rybek, wyrzucających się nad powierzchnią wody, w nieuchwytne dla ucha rozmowy kwiatów i traw, w „rozpłakane" szumy fontanny: słowem, obserwować i patrzéć.

Raz, powiada, wyszedłszy na wielką górę, pod nogami miał wielki parów, zarosły sosnami, bardzo ciemny, przerznięty potokiem. Było to w niedzielę, rano. Dzwon kościoła wiejskiego, nadzwyczaj głośny i ponury, napełniał całe powietrze: tak, iż krajobraz cały zdawał się ożywiony duszą dzwonu, „jak ciemny poemat, w którym brzmi imię Boga". On tymczasem, zasłuchany, nie bez pewnéj słuszności widział w tym obrazie, pełnym kolorów i dźwięków, niby wizerunek symboliczny tego, co czuł w danéj godzinie: zamiast się modlić w kościele, słuchał z daleka między skałami dzwonu, co zwołuje spokojnych ludzi na modlitwę.

Podobnego rodzaju refleksye nasuwały mu się tu na każdym kroku. Oglądając zamek Chillon, podczas nocy, przy świetle księży-

ca (w dzień czytał nieraz Więźnia Chylonu Byrona, patrząc zbliska na mury zamku i więzień) i słuchając śpiéwania puszczyka, ukrytego w staréj wieży, widywał czasami — podobnego doznając złudzenia, jak autor Przedświtu na jeziorze Como—nieprzebrane tłumy mglistych, wymarzonych widm ludzi i rycerzy, z Boniwarem na czele, którzy ginęli niegdyś w tym zamku, a dziś zapomnieni, odpoczywali snem wiecznym, obróceni w proch, z którego powstali, kiedy zamek ich tymczasem aż po dziśdzień stoi taki cichy w księżycowym blasku; i mimowoli rodziło mu się w duszy pytanie: za co ci ludzie ginęli? jaką była idea, w któréj imieniu padali śmiercią walecznych? i czy warto było nieść jéj życie w ofierze, a często z życiem razem i osobiste szczęście?... Pytanie to przez długi czas nie dawało mu spokoju, aż w końcu znalazł na nie odpowiédź... Było to pewnéj niedzieli. Dowiedziawszy się, że w jednéj z oberży na górze ma się odbyć bal, udał się tam o oznaczonéj godzinie — bo smutno jest siedziéć samemu w domu w niedzielę—i dziwnego doznał wrażenia: na murawie, za którą, w dole, widać było błękitną taflę Lemanu, wieśniacy i wieśniaczki, wszyscy w malowniczych świątecznych strojach, tańczyli walca, a tak, że złudzonemu oku zdawało się, iż cały ten korowód tańczących uwija się nad brzegiem przepaści, z miejsca bowiem, gdzie stał poeta, przedewszystkiém rzucało się w oczy jezioro, widne tu zresztą wszędzie, z każdéj ścieżki, z każdéj doliny, z każdéj góry. W głowie Juliusza, jak sam przyznaje, obudziły się dziwne myśli na ten widok. Nasamprzód ci ludzie, między którymi widziałeś mnóstwo pięknie zbudowanych męczyzn i prześlicznych, zgrabnych kobiét, wszyscy bez wyjątku tacy weseli, rozbawieni, szczęśliwi, rozniecali tém swojém szczęściem zazdrość w sercu, że nie wszystkim ludziom tak jest dobrze na świecie, jak im... „Kiedy to tak będzie zawsze i wszędzie?" — myślał sobie Juliusz. Ale jednocześnie obok tego uczucia zazdrości i zarazem politowania nad tymi, którzy podobnego szczęścia nie znają, rodziło się przypuszczenie, ażali ci średniowieczni rycerze Chillonu nie zapewnili zgonem swym szczęścia przyszłym pokoleniom, i czy nie oni temu winni, że nigdzie wieśniak nie jest tak szczęśliwy i bogaty, jak w tych stronach? Kto wié, czy owe więzienia Chillonu, czy te filary i pierścienie żelazne, do których przykuwano więźniów, nie są źródłem, z którego po wiekach wypłynął dzisiejszy dobrobyt ludu szwajcarskiego i jego wolność?... Niejednokrotnie zastanawiał się nad tém Juliusz, a codzień, idąc na obiad do pobliskiego Montreux, i przechodząc koło ślicznego kościołka, otoczonego kwiatami, porosłego bluszczem, wijącym się po starych gatyckich ścianach, otoczonego murem, z którego najpiękniejszy miałeś widok na jezioro, i położonego w ogrodzie

z samych róż, jaśminu i błękitnych dzwonków; codzień, przechodząc tędy, powtarzał sobie: jak dobrze modlić się w takim kościołku! jak dobrze ludziom, którzy modlą się w nim od kołyski aż do grobu, którzy nie są zmuszeni, jak on, trawić najpiękniejsze lata życia na wygnaniu, depcząc „obcych ludzi łany”, wiecznie stęsknieni za ową ziemią obiecaną, na której się urodzili i wychowali, i której im żadna inna, chociażby najpiękniejsza, zastąpić nie była zdolna...

I przestał wierzyć w możliwość szczęścia dla siebie na ziemi, bo szczęścia tego nie rozumiał na razie... bez Maryi, i pragnął tylko jakiego cichego, miłego domku przy Teofilach, z ogrodem, z jednym sługą, z szafą pełną książek, gdzieby mu dni upływały w spokoju i na pracy... „Bo czémże ja byłbym — pisał o tych swoich marzeniach do matki—gdybym stracil to okienko, przez które na świat patrzę i odzywam się do przechodzących pod domkiem moim ludzi. Teraz zdaje mi się, że jestem na coś potrzebny. Gdyby mi powiedziano, że nie, okryłbym się moim płaszczem i położyłbym się spokojnie do snu, pytając Boga, na co mi kazał grać rolę waryata na tym świecie?...”

Cokolwiekbądź, „waryatowi” temu, dobrowolnie wyrzekającemu się wszelkich powabów szczęścia doczesnego, zaczynało się po niejakim czasie przykrzyć w Veytoux; „życie pustelnicze nad jeziorem”, tyle mające dlań uroku z początku, przestało go w końcu poetycznością swoją rozmarzać; tak, iż stopniowo, nieznacznie, począł tęsknić za swojemi dobremi gospodyniami genewskiemi, za panią Patteg, która go kochała jak syna, i nawet za Eglantyną, której niedawno jeszcze złorzeczył tak namiętnemi i niemiłosiernemi przekleństwy. Po upływie dwóch miesięcy, kiedy się dowiedział, od Eglantyny właśnie, która umyślnie w tym celu przyjechała do Veytoux, że cała rodzina Wodzińskich [1]) opuściła ostatecznie Paquis i udała się do Drezna (gdzie się Chopin oświadczył o Maryę i... nie został przyjęty) i kiedy go Eglantyna, nic nie wiedząca naturalnie o napisaném pod jéj adresem „przekleństwie”, zaklinała ze łzami rzęsistemi w oczach, ażeby powrócił do nich, że nigdzie mu nie może być tak dobrze, jak u nich, bo nigdzie otoczony nie będzie taką miłością matczyną i siostrzaną, nie mógł nie uznać całéj słuszności tych perswazyi i, choć na myśl o powrocie takiego doznawał uczucia, „jak gdyby mu się coś na świe-

---

[1]) Z wyjątkiem najstarszego syna, Antoniego, który nie mogąc wracać do kraju, udał się do Paryża, skąd we dwa lata późniéj wysłany został przez Ludwika Filipa z półkiem lancyerów polskich do Hiszpanii. Tamże, ranny ciężko, otrzymywał serdeczne listy od Fryderyka Chopina, listy, z których, niestety, doszedł nas tylko jeden. Zob. w Biografii Schultza o Chopinie, str. 288—290.

cie przez dwa lata kléjonego nie kléiło", to z drugiéj strony przecież zasmucało go przypuszczenie samo, że ten dom, skąd wyjeżdżał, płacząc, płakany, miałby mu być obcym téj zimy, że chcąc na swojém postawić i nie wrócić, musiałby znów nowych szukać ludzi, z nowemi oswajać się twarzami, kiedy tam uważano go, jak syna...

Bo zostać w Veytoux przez całą zimę było niesposób. Ciągła samotność skłaniała do melancholii i mizantropii. Nadto myślał i nadto się zachmurzał, będąc nieustannie sam, a że to niezawsze dobry nań wywiérało wpływ, z tego zdawał sobie sprawę doskonale. W Paquis tymczasem miał tyle samotności, ile chciał, miał jednak i możność pogawędzenia z ludźmi, potańczenia, słowem, rozerwania się. Kiedy na początku września zmuszony był wyjechać za interesami do Genewy na kilka dni, w sprawie paszportu do Włoch, skąd go wciąż atakowali Teofilowie (Januszewscy), aby przyjeżdżał czémprędzéj; i kiedy zamieszkawszy natenczas u swoich dawnych gospodyń, odetchnął znów tą samą serdeczną atmosferą ich domu, w którym przeżył dwa lata i gdzie mu dobrze było, gdzie spokojnie wiódł życie, „jak we własnéj rodzinie", mimowoli ogarnęła go tęsknota za opieką i troskliwością, jakiemi go otaczały matka i córka Patteg, i gdyby mu nie było wstyd przyznać się do tego, kto wié, czy by tu już nie został całkiem. Jak zwykle o téj porze, *pension* w Paquis wrzało jeszcze liczném gronem cudzoziemców, w liczbie których znalazło się kilka ładnych Francuzek, z Paryża, gdzie grasowała właśnie cholera i skąd schroniły się na brzeg Lemanu. Towarzystwo ich, pomijając już inne względy, bardzo zachęcało do pozostania w Paquis... Przemógł się wszakże i, lubo niechętnie, powrócił do Veytoux. Po co? Sam nie wiedział. Chyba w tym celu jedynie, ażeby się nudzić i odbiérać listy z Genewy, od Eglantyny (w których znajdowały się raz po raz i listy od Teofilów z Rzymu, oraz od matki, z Krzemieńca) listy, rozdziérające mu serce... Niezawsze mógł to powiedziéć o listach Hersylki lub Teofila z Włoch, którzy zrozumiéć w żaden sposób nie mogli tego, że on z powodu trudności paszportowych ruszyć się z miejsca nie może. Posądzali go nawet o... skąpstwo i o brak ciekawości dla krajów nieznanych, jakby zapominali o tém, że sami mu w listach swoich pisali, że „nudzą ich bardzo Włochy, a szczególniéj Hersylkę". On pomimo tego nie zrażał się i, przeciwnie, z utęsknieniem marzył o klasycznéj ziemi Italii, o lazurach włoskiego nieba, o blaskach tamtejszego słońca. Bo, pomijając już względy estetycznego piękna i korzyści, jaką by odniósł z téj podróży, jako poeta, znalazłby tam owo zapomnienie, o które modlił się Manfred, a które by go uléczyło może po utracie Maryi. Albowiem wspomnienie jéj towarzyszyło mu wszędzie i ciągle. Gdziekolwiek poszedł,

gdziekolwiek „obrócił myśl biédną”, zawsze mu stawała na drodze, jak widmo senne i przejmowała smutkiem. Cóż dopiéro, kiedy z nadejściem jesieni, w październiku, zaczęły się deszcze i mgły, do reszty rozmiękczające nerwy i ostatecznie pogrążające człowieka w letejskich nurtach splenu. Myślał wtedy, że oszaleje! W końcu ogarnęła go taka obawa, taki lęk jakiś, żeby go ta melancholia istotnie do szczętu nie zgryzła, że spakował któregoś dnia wszystkie manatki, siadł na statek parowy i wrócił do Genewy...

§ 7.

„Wrócił więc Anhelli do jamy pustéj i, spojrzawszy na ściany, zajęczał, bo już jéj nie było”; a patrząc na ten dom, w którym go, jak mu się teraz zdawało, panna Maryanna „kochała (?) krótko, ale mocno, jak zazwyczaj młode dziewczęta polskie kochają”, w którym z nią biegał po murawach ogrodu i w którym przeżył jedyne chwile „szczęścia swojego na ziemi”, śmiało mógł zastosować do siebie słowa jednego z bohaterów swoich: „O, tu mi był eden! Oczy twe były dla mnie gwiazdami zbawienia, hymnem anielskim!... Drżę cały, kiedy myślę, i tego widziadła nie mogę teraz wygnać z pamięci, nie mogę!...” I trudno mu było powstrzymać się chwilami od płaczu, bo — jak sam powiada w liście do matki z tego czasu — człowiek najszczerzéj płacze, kiedy płacze nad sobą samym...

Tymczasem

Jesień z liryzmem smutnym przyszły w parze
Na jego duszę, niby dwaj grabarze,

i nietylko, że mu się w oczach ćmiło od łez, łez szczerych i serdecznych, ale go jeszcze dochodziło ze dworu smutne i jednostajne „płakanie drzew”, które, słońca wzywając daremnie, wdziały na siebie „z liścia złotego ubranie...” Jesień, zwykle taka piękna w Szwajcaryi, tego roku była brzydka, chłodna, dżdżysta: tak dalece, że już w październiku okazała się potrzeba palenia w piecu. Czasami popadywał śnieg. Powietrze było wilgotne, przejmujące. Cała dolina napełniła się iście londyńskiemi mgłami, które, kręcąc się i wyjść z niéj nie mogąc dla otaczających gór, mżyły wciąż drobnym, przedziwnie do spleenu usposabiającym deszczem (u nas nazywa się deszcz taki kapuśniaczkiem). Drogi zaległo błoto, a duszę Słowackiego — czarne, rozpaczliwe myśli. Mało wychodząc z domu, większość dnia spędzając samotnie i bezczynnie, zaczął z nudów, wyglądając przez zapotniałe szyby okien, układać w głowie różne sentymentalno-wyszu-

kane metafory, przyrównywając naprzykład Genewę o téj porze do... serca, które się samo w sobie zasklepia i, raz napełnione mgłami, nie wypogodzi się tak prędko, jak serca, co są na wszystkie cztery wiatry otwarte.

Jego serce, nie należące — jak mniemał — do liczby tych ostatnich, wypełnione melancholijnemi mgłami wspomnień o Maryi, podobnież zasklepiało się teraz samo w sobie, czemu należało przypisać, że jemu, który lubił takie poetyczne metafory, wydawały się one dzisiaj „smutnie śmiésznemi”, tém smutniejszemi, że oprócz metafor tych, nie dowcipnych zresztą, nic innego nie przychodziło mu jakoś do głowy. Dziwna rzecz! On, który każdéj jesieni—od kilku lat przynajmniéj — nawiedzany był przez jakąś nową myśl poematu, w tym roku miał wyobraźnię podobną do niezapalonéj latarni. Nie mając zaś pod czaszką żadnego zmyślonego obrazu, mimowoli musiał oddawać się kontemplacyom na temat rzeczywistości.

A rzeczywistoć ta wcale się nie przedstawiała świetnie. Kilka godzin gry na fortepianie, poprostu dla zabicia czasu, parę godzin lektury, po obiedzie, t. z. nad wieczorem, kilka partyi wista, w którego *notabene* zawsze przegrywał: oto, jak mu upływały dnie całe. A towarzystwo? To składało się z jednego Anglika, jednego Francuza i jednego Polaka, niejakiego Kajockiego: trzech niedobitków z całego różnojęzycznego grona gości, co mieszkali u pani Patteg w ciągu ostatniego lata.

Najsympatyczniejszym z nich był ów Kajocki, bogaty Litwin, lubiący bawić się, trzymający konie i powóz, co poniedziałek wyprawiający wieczorki z tańcami, i mający wszystko, prócz zdrowia. Słowacki znał go z widzenia jeszcze z Wilna, z uniwersytetu. Mieli wtedy wspólną znajomą w Julce Saundersównie, córce profesora, w któréj Kajocki kochał się zapamiętale, a która umarła parę lat temu. Wspomnienie jéj było ogniwem, które sentymentalnego trochę Litwina miało teraz do Juliusza przywiązać bardzo silnie, był to bowiem jedyny człowiek na obczyźnie, z którym mógł o niéj rozmawiać, który ją znał...

Towarzystwo Kajockiego, bardzo poczciwego zresztą i serdecznego chłopca, miało dla poety tę przynajmniéj dobrą stronę, że dawało mu możność rozmawiania popolsku; bo gdyby nie on, byłby chyba Słowacki, jak ów rycerz z szekspirowskiego Ryszarda II-go, który, skazany na wygnanie, powiada: „Język mój teraz będzie mi niepotrzebny, tak właśnie, jak rozstrojona lira albo harfa, lub też jak sztuczny instrument, odemknięty i podany temu, co nie zna żadnych prawideł

harmonii" [1]. Bo, nie wychodząc prawie z domu i nie bywając nigdzie, ponieważ nie wszedł od czasu powrotu z Veytoux w żadne towarzystwo polskie, choć — jak sam powiada — bardzoby to łatwém było dla niego, jedynie z Kajockim miał sposobność w ojczystym porozumiewać się języku. Zresztą mówił wciąż po francusku. Stosunków z genewską kolonią polską nie odnawiał, dlatego głównie, że zwykle nudził się na wieczorach, a powtóre, że każdy taki wieczór kosztował go z ośm franków: mieszkając za miastem, musiał każdym razem brać powóz, kosztujący sześć franków, co wraz z rękawiczkami za dwa franki utwierdzało go dostatecznie w przekonaniu, że „kto się na wieczorach nudzi, ten nudów tak drogo kupować nie powinien".

Wolał zostawać w domu i, w najgorszym razie, gawędzić z Eglantyną. W najgorszym razie? Tak jest, z Eglantyną bowiem nie łączył go już taki serdeczny stosunek, jak dawniéj. Wspomnienie Maryi rzuciło przykry przedział pomiędzy nich, przedział, którego złagodzić ani usunąć nie zdołała nawet miłość Eglantyny. Przeciwnie· pogłębiała go raczéj!... „Ty wydarłaś ostatnie godziny szczęścia mojego na ziemi". Słowa te były wciąż w myśli Słowackiemu przytomne, ile razy Eglantyna stawała przed nim, ile razy zamieniali z sobą spoj, rzenia, ile razy zdarzyło się, że w rozmowie potrącili o wspomnienie Maryi, wspomnienie, które Eglantyna radaby chętnie wyrugować z pamięci Juliusza, ponieważ ono jedynie—czuła to instynktownie—mroziło tak stosunek jéj do poety, ponieważ ono było źródłem téj rozterki moralnéj, jaka nad nimi zawisła. Jakoż doszło do tego w końcu, że oboje unikali wspólnéj rozmowy o Maryi, zrozumieli bowiem, że jest to zarówno dla niego, jak dla niéj, niezabliźniona rana, która boli za najlżejszém dotknięciem. Lepiéj więc nie poruszać jéj wcale. Nie mogąc jednak mówić o tém, co go obchodziło najżywiéj, zwłaszcza, że pozbawiony wszelkich wiadomości o Maryi, straszne cierpiał niepokoje, miał sobie teraz Słowacki wogóle z Eglantyną do powiedzenia bardzo niewiele, „pomimo tortury umysłowéj", jaką sobie zadawał. Eglantyna, która była za inteligentną, aby tego nie widziéć, bolała nad tém, trapiła się, płakała, ale muru głową przebić nie mogła; a że czasami, nie mogąc już dłużéj ukryć tajonego bólu, wymawiała go Słowackiemu, wytworzyła się wskutek tego atmosfera tak duszna, tak męcząca, że im obojgu już oddychać nią dłużéj było trudno.

---

[1] Por. z tem Anhelli, rozdział XV. „Oto język mój rodzinny i mowa ludzka zostanie we mnie, jak harfa z porwanemi strunami. Do kogóż mówić będę?"

Tylko, że istniała wielka między rozczarowaniami ich różnica; bo, choć jedno, jak drugie, doznało zawodu: on, wracając do Genewy, ona, odzyskując go znowu dla siebie wyłącznie (jak myślała) to przecież uczucia, przez jakie przechodzili w tym czasie, bardzo niewiele miały cech pokrewnych. Pomijając już, że ona go kochała, a on jéj nie, że ona mu przebaczyła dawno, co ucierpiała z powodu Maryi (bo kobiéta kochająca wszystko przebaczyć gotowa ukochanemu przez siebie mężczyznie), a on jéj raz powziętéj do niéj urazy zapomniéć nie mógł (bo mężczyzna zawsze bywa w takich razach bardziéj zapamiętałym), to były jeszcze inne względy, które sprawę Eglantyny z dniem każdym pogarszały coraz bardziéj. Przedewszystkiém nudził się Słowacki obecnie w jéj towarzystwie. Powtóre, kochając go, narzucała mu się ze swoją miłością, co nigdy kobiécie nie wychodzi na dobre. Potrzecie drażniła go i irytowała, kiedy mu robiła wyrzuty, że jéj wzamian za przywiązanie odpłaca zimną obojętnością, że nie jest już dla niéj takim, jakim był dawniéj... Słowackiego to niecierpliwiło i nie widział innego sposobu zakończenia téj tragikomedyi, tylko wyjechać z Genewy nazawsze, zejść Eglantynie z oczu.

Najchętniéj, gdyby to od niego zależało, pojechałby do Włoch, do Teofilów. Cóż, kiedy, pomimo najusilniejszych starań, czynionych w Paryżu około uzyskania paszportu na wyjazd ze Szwajcaryi, pozwolenia tego w żaden sposób otrzymać nie mógł Przyjaciele jego paryscy, do których pisał w téj sprawie i którzy się podjęli ułatwiać mu wszystko, tak mało zadawali sobie starania gwoli urzeczywistnienia swych obietnic, że nastąpiło przedawnienie i skończyło się na tém, że prośbę poety ostatecznie... odrzucono. Teofilowie tymczasem, choć sami nieświetnie bawili się w Rzymie, nie chcieli wierzyć, ażeby Juliusz istotnie wyjechać nie mógł, i posądzali go o opieszałość. On przecież miał czyste sumienie pod tym względem, bo prawdziwie, że poruszył wszystkie, jakie się dało tylko sprężyny, ażeby się wyrwać z Genewy, która „nudziła go już z bardzo wielu (wyżéj wymienionych) przyczyn"; a powtóre, że niezmiernie wiele obiecywał sobie po téj podróży włoskiéj. To téż, kiedy stracił nadzieję odbycia jéj w tym roku, przyznawał się otwarcie tak w listach do matki, jak i do Teofilów, że wielka mu przez to przyjemność ubyła w życiu, iż zimy téj spędzić z nimi razem nie może. Bo nietylko — pisał — że z rozkoszą marzył o tych kilku miesiącach wędrówki po ojczyźnie sztuki i piękna z dawno ukochanemi osobami, ale doznawał już „przeczuciem", w imaginacyi, nowych wrażeń, smucąc się na dawnych ruinach, rozmyślając wśród gruzów ich nad wielkością wszelkiéj potęgi ziemskiéj i t. d.

Ale przykuty do miejsca, mógł rozmyślaniom tym oddawać się tylko w swéj bujnéj wyobraźni; z czego—wtrąćmy w nawiasie—Eglantyna w głębi duszy cieszyła się serdecznie. Nie kryła się z tém nawet przed Słowackim; bo i czemuż nie miała by mu się do tego przyznać otwarcie, że na niczém nie zależało jéj tak bardzo, jak na tém właśnie, ażeby on został przy niéj, ażeby, zniechęcony trudnościami, przestał w końcu „modlić się o paszport" i zrezygnował z wyjazdu. Słowacki jednak, jakby na przekór jéj, skoro istotnie przestał wierzyć w możność zobaczenia się z Teofilami we Włoszech, począł układać inne plany, które znowu niweczyły cały gmach marzeń Eglantyny, wszystkie bowiem, jak gwiazdy około słońca, obracały się około wyjazdu z Genewy na wiosnę, do Brukselli, albo do Francyi południowéj. Uskutecznienie tego projektu—tłómaczył Eglantynie—nakazywały mu poprostu względy na matkę, względy oszczędności. Życie w Genewie jest dla niego za kosztowne; nie może tyle wydawać nadal, musi się ograniczyć w wydatkach koniecznie. Nie może ścierpiéć dłużéj, ażeby, kiedy on ma ogiéń na kominku, matka jego sypiała w nieopalonym pokoju—ze względów oszczędności. Byłoby to egoizmem nie do darowania, godzić się z myślą, że się jest matce ciężarem i pomimo tego przeświadczenia, wydawać więcéj, aniżeli na to pozwalają fundusze. A on stanowczo, dotychczas przynajmniéj, żył nad stan. Zarabia bardzo mało; książki, które wydał własnym nakładem — za otrzymane z domu piéniądze — nie przynoszą mu prawie nic, a choćby nawet przynosiły i więcéj, to, „wystawiony na wszelkie szachrajstwa księgarzy", których rachunków nigdy zrozumiéć nie mógł, na dochód z tego źródła nie może liczyć żadną miarą. Dlatego postanowił przenieść się do jakiego tańszego kraju, dlatego, niechaj mu ona zarówno, jak i jéj matka nie biorą za złe, jeżeli dom ich za kilka miesięcy, a może i wcześniéj opuści i t. d.

Słysząc to Eglantyna, która instynktem kobiéty kochającéj odgadywała, że nietylko te są powody, skłaniające Juliusza do opuszczenia Szwajcaryi, chciała koniecznie, aby mieszkał u nich nadal za połowę ceny; a kiedy jéj po niejakim czasie (30 listopada) oświadczył, że z nastaniem wiosny, gdy śniegi potopnieją w górach, wyjedzie stanowczo, nieodwołalnie, ona „płakała, płakała i płakała". Próżno starał się jéj wytłómaczyć (a rozmawiali tego wieczora do pierwszéj po północy), że nie jest jeszcze do takiéj doprowadzony ostateczności, ażeby nadużywać przyjaźni biednéj wdowy, która, ciężko pracując na kawałek chleba, z wielkim go ostatecznie zarabia kłopotem; Eglantyna zaklinała go wciąż, aby został, aby się poprostu ulitował nad nią, bo ona nie przeżyje rozstania z nim (zapewnienie, w którém Słowacki

widział tylko sentymentalną egzaltacyę staréj panny) bo nie godzi się dla kaprysu poświęcać czyjegoś szczęścia, a może i życia i t. d.

W takiém usposobieniu zastała go zima w roku 1835, zima ostra, śnieżna i mroźna, dla niego zaś o tyle nieznośniejsza, że zmuszony kostniéć z zimna, wybić sobie z głowy nie umiał południowego słońca Włoch, o których marzył nieustannie, jak o ziemi obiecanéj, a których jeśliby nie miał zobaczyć, to jedynie dzięki niedbalstwu swoich paryskich przyjaciół... Nagle w połowie lutego 1836 roku, kiedy wszelką już stracił nadzieję wyjazdu do Teofilów i spotkania się z nimi pod lazurowém niebem Italii, przysłano mu niespodziéwanie z Paryża z takiém upragnieniem i od tak dawna wyczekiwany paszport, z którym w kieszeni, mógł jechać natychmiast. Jakoż nie zwłóczył. Piéniądze miał (oprócz dwustu rubli, które mu przysłali Teofilowie, otrzymał był jeszcze od matki niedawno świéży zasiłek), a że w długie pertraktacye z Eglantyną wdawać się nie chciał, postanowił więc, nie czekając, aż śniegi potopnieją, wyruszyć zaraz. I uczynił, jak zadecydował: spakowawszy rzeczy, pożegnał się ze swemi gospodyniami, podziękowawszy im za wszystkie dobrodziejstwa, jakich mu w ciągu tych trzech lat nie szczędziły, Eglantynie, dla któréj ten dzień rozstania z nim (przeczuwała, że na długo, jeżeli nie na zawsze) był najsmutniejszym dniem pewno, jaki miała w życiu, dał piękną szkatułkę, pełną drogich dla niego pamiątek (był w niéj między innemi stary, przywieziony z kraju, zégarek), poczém, obiecawszy jéj, że będzie pisywał do niéj, siadł do dyliżansu pocztowego i, nie przypuszczając, że opuszcza Paquis na zawsze, podążył do kraju, gdzie cytryna dojrzéwa,

Gdzie buja laur
I cyprys cicho stoi...

Ferdynand Hösick.

Zakopane, w lipcu i sierpniu 1893 i 1894 roku.



PERCY BYSSHE SHELLEY.

Stanze

pisane w zwątpieniu pod Neapolem.

W rozkoszném cieple słonecznych strumiemi
Igrają fale, lśnią nieba błękity...
Południa światło przezrocze czerwieni
Błękitne wyspy i gór śnieżne szczyty;
Krąży śród rzeszy kwiecia w pąkach skrytéj
Tchnienie, rozlane przez ziemię wilgotną...
Szmer wiatru, ptasząt świergot rozmaity
Z fal szumem w słodycz zléwa się istotną...
Nawet gwar miejski zdala ciszą tchnie samotną.

Zielsk purpurowe i zielone sploty
W wód przezroczystych dostrzegam krysztale
I w gwiazd ulewie odbijane złotéj
Widzę od brzega pierzchające fale...
Samotny siadam na nadbrzeżnéj skale...
Blask oceanu południowy bije...
Z gry fal miarowéj budzi się wspaniale
Cudna harmonia. — Gdybyż serce czyje
Mogło dzielić rozkosze, które teraz piję!

Niestety! nie mam nadziei promiennéj,
Ciszy za sobą, ni w sobie spokoju...
Ani otuchy błogiéj i tak cennéj,
W rozpamiętywań znajdowanéj znoju,
Co mędrców gloryą wieńczy w zwątpień boju.
Sławę, spoczynek, moc, miłości czary —
Widzę, jak inni czerpią w życia zdroju;
Śmiejąc się, żyją i zwą życia dary
Rozkoszą — lecz mnie dano puhar innéj miary.

Zwątpienie samo jest tu lubém przecie,
Jak wiatr, jak fali szmer, co koi duszę;
Tu ledz-bym pragnął, jak znużone dziecię
I wszystkie życia opłakać katusze,
Które-m niósł dotąd i nieść daléj muszę —
Aż śmierć, podobna snowi, mnie dogoni,
Kiedy czuć będę, w senną tonąc głuszę,
Jak lica stygną... słyszéć, jak z wód toni
Nad mózgiem konającym szmer ostatni dzwoni.

Zgon mój — świat może odczuje boleśnie,
Jak ja, gdy widzę, że dzień piękny kona...
Mojemu sercu, zgasłemu przedwcześnie —
Dnia tego skarga urąga spóźniona...
Może odczuje... jam z tych ludzi grona,
Których nie kocha, choć śle po nich żale...
Jam nie jest, jak ów dzień, co, gdy korona
Słońca zagaśnie w nieskalanéj chwale,
Choć blask zniknął, w pamięci promienieje stale.

Do Nocy.

O duchu Nocy! mknij przez obszary
Zachodnich mórz...
Przybywaj z mglistéj wschodu pieczary,
Gdzieś wił samotnie od rannych zórz
Straszne i lube sny naprzemiany,
Przez któreś groźny lub pożądany...
O przybądź już!

Gwiazdami kryty płaszcz twój uroczy
Na barki włóż...
Włosów potokiem zaćmij Dnia oczy,
Pocałunkami do snu je złóż...
Potém nad ziemią, nad mórz odmętem,
Leć i dotykaj wszystko snu prętem...
O, przybądź już!

Gdym, wstając, w brzasku ujrzał niebiosa,
O tobiem śnił...
Kiedy południe, gdy znikła rosa,
Śród drzew i kwiatów legło bez sił,
Gdy dzień się wahał wejść w mgły tumany,
Jak gość odchodząc niepożądany...
O tobiem śnił!

Śmierć, twoja siostra, przyszła i woła:
„Pragniesz-li mnie?“
Sen, lube dziecię twoje, jak pszczoła
W południe, cichém szemraniem tchnie:
„Czy cię osłonić uśpienia szatą...
Czy ty mnie pragniesz“? A ja mu na to:
„Nie Ciebie, nie!“

Śmierć przyjdzie po mnie... wcześnie—zbyt wcześnie
Z odlotem twym...
Lecz... gdy odejdziesz... ja spocznę we śnie...
O nic nikogo nie błagałbym,
Lecz ciebie błagam: skrzydeł twych ciemno,
O nocy droga, roztocz nademną...
Osłoń mnie niém!

Zmienność.

Kwiecie, co dzisiaj lśni krasą całą,
Nazajutrz ginie:
Wszystko, co chcemy, by dłużéj trwało,
Skusi—i minie.
Długo-li rozkosz nas zachwyca?
Noc drwi, gdy krótka, jasnolica
Zapłonie błyskawica.

O, jakżeż cnota jest nietrwałą!
Przyjaźń jak rzadką!
Miłość, jak szczęście, daje mało,
Choć trosk jest matką.
Wnet one znikną w czasu fali...
Przeżyjem rozkosz ich—a daléj
To, cośmy naszém zwali.

Dopóki niebios toń jasna, lśniąca,
Dopóki płoną
Kwiaty—dnia blasków póki nie zmąca
Noc swą osłoną...
Póki cię jeszcze spokój mami,
Śnij—gdy pożegnasz się ze snami —
Gorzkiemi zapłacz łzami.

Ozymandyas.

(Sonet).

Spotkałem podróżnego z starożytnéj ziemi,
Co mówił: „Dwie olbrzymie granitowe płyty
Spoczywają w pustyni; tuż leżą przed niemi —
Szczątki twarzy, śród piasku na poły zarytéj,

Pofałdowaném czołem, brwiami zmarszczonemi
Świadczącéj, iż artysta czytał wyśmienicie,
Co przeżyło w ten kamień tchnięte, w wieków mule,
Rękę, co odtwarzała, ducha, co dał życie.

I te na piedestale widnieją wyrazy:
„Imię me Ozymandyas. Jam jest król nad króle,
Cóż zrówna dziełom moim—méj chwale bez skazy!“

Cisza głucha i tylko osłonięte mrokiem
Sterczą szczątki kolosu... martwe, nagie głazy...
A wokół puste piaski, jak zasięgniesz okiem.

Do ***

Całusów twych się lękam i pieszczoty;
Lecz ty się, dziewczę moje, nie bój mnie —
Zbyt wiele smutku we mnie i tęsknoty,
Bym je na twego serca budził dnie.

Twój wdzięk mnie trwoży i słów twoich brzmiennie;
Lecz ty się, dziewczę moje, nie bój mnie —
Niewinne bowiem jest to uwielbienie,
Które dla ciebie z mego serca tchnie.

Do Emilii Viviani.

O, Pani! czemuś mi przysłala w darze
Rezedę i firletki wonne kwiecie,
Symbole szczęścia i miłości: wszak na świecie
Nie idzie miłość nigdy z szczęściem w parze!
Niestety! i te kwiaty płaczą przecie!
Czy źródłem łez są usta twe, czy oczy?
Twój płacz czy pocałunki? Ach! wonią z takich zdroi
Ni deszcz, ni rosa kwiatu nie napoi.
Wątpliwość ta czar dla mnie ma uroczy,
Westchnienia moje i łzy koi
I smutek zawsze świeży, gdy myśl o Tobie roi.

Filozofia miłości.

Zdrój się zléwa ze strumieniem,
A strumienie giną w morzu;
Wiatrów prądy z zachwyceniem
Łączą się w przestworzu;

Nic samotném nie jest w świecie;
Wszystko miłość zna wzajemną —
Ciebie nie złączono przecie
W jeden byt wraz ze mną?

Patrz! całują błękit góry,
Fale pieszczą się nawzajem;
Czy na ziemi gardzi który
Kwiat — miłości rajem?

Słońce ziemi śle blask złoty,
Księżyc morzu światła zdroje; —
Czém są dla mnie te pieszczoty,
Gdy mi obce Twoje?

Pieśń.

Siadło ptaszę na gałązce suchéj
Smutne po swéj towarzyszki stracie;
Nad niém—mroźny podmuch zawieruchy,
Pod niém—ziemia, w śnieżnéj śpiąca szacie.

I nie było listka w nagiéj kniei
Ani kwiatka, ani trawki lichéj;
Cisza wokół—tylko śród zawiei
Kół młynarskich płynął odgłos cichy.

Tułacze świata.

Powiédz mi, gwiazdo złota, w biegu
Swym — do jakiego zdążasz brzegu,
W jakiéj pieczarze do noclegu
Swe skrzydła złożysz już?

Blady księżycu, ty błękitu
Siwy pielgrzymie, z brzaskiem świtu
U jakich urwisk spoczniesz szczytu,
Śród jakich dolin, wzgórz?

Wichrze strudzony, co, jak dziecię
Bezdomne, tułasz się po świecie...
Masz-li gdzie gniazdo na skał grzbiecie,
Śród drzew, czy w głębi mórz?

Żal.

Świecie! Życie! Czasu oceanie!
Po których drżącą stopą nieprzerwanie
Pnę się naprzód, wciąż niepewny, czy nie padnę tuż —
Kiedyż znowu chwały waszéj powróci zaranie...
Nie wróci już — nie wróci nigdy już!

W mgle się nademną wspomnienia unoszą
Szczęsnych dni, nocy—i sen z powiek płoszą:
Jesień, zima, lato, wiosna tchnąca wonią róż
Trwożne serce me przejmują smutkiem—lecz rozkoszą
Nie przejmą już, nie przejmą nigdy już!

Z angielskiego przełożył

Władysław Nawrocki.



Logika medycyny.

Władysław Biegański: „Logika medycyny, czyli zasady ogólnéj metodologii nauk lekarskich". Warszawa, 1894, 8-o, str. 165+IV+6, wydane z zapomogi kasy pomocy imienia d-ra Józefa Mianowskiego.

Istnieją w logice działy, które lepiéj mogą być opracowane przez specyalistów różnych nauk, niż przez samych logików. Wprawdzie wymagamy od istotnego logika, aby znał wszystkie nauki, aby badał działanie myśli na wszystkich polach, na których ta myśl tworzy wiedzę. W ten sposób logik oswoi się z metodą każdéj nauki, uchwyci jéj cechy logiczne, i wykaże związek poszczególnego kierunku badań z ogólnym postępem teoryi badania. Wiele metod, mających powszechne logiczne zastosowanie, najprzód wymyślono dla celów pewnéj specyalnéj nauki. Logika, będąc nietylko teoryą czystéj myśli, ale też teoryą badania naukowego, korzysta z doświadczenia wszystkich nauk i staje się pośredniczką między różnemi działami wiedzy. Jednak najsumienniejszy nawet logik nie może być do tego stopnia obeznany ze szczegółowemi naukami, jak specyalista, w zakresie jednéj z nich, i doświadczenie logiczne, jakie ta nauka nam dać może, lepiéj będzie mogło być wyrażone przez takiego specyalistę, niż przez logika, jeśli tylko ów specyalista będzie miał ogólne logiczne wykształcenie i zamiłowanie do zastanawiania się nad logiczną stroną naukowéj swéj działalności. Medycyna, więcéj niż inne nauki, przedstawia trudności dla logika, pragnącego z niéj wyciągnąć materyał logiczny, gdyż poznanie tak rozgałęzionego systemu nauk popularnie je-

dnoczonych pod nazwą medycyny, wymaga wiele czasu i zabiegów. Z drugiéj strony rozwój logicznych badań na polu medycyny, rozpowszechnienie logiki wśród medyków ma dla ogółu donioślejsze znaczenie, niż logiczne badania innych specyalistów. Przy dziś przyjętym bowiem sposobie wykształcenia specyalistów, w żadnym zakresie młodzież kształcąca się nie jest tak pozbawiona zachęty do logicznego rozwoju, jak w zakresie medycyny. Prawnik, filolog przynajmniéj, jest zobowiązany do słuchania wykładów logiki w uniwersytecie. Przyrodnik, technik, kształci swe logiczne zolności na matematyce i naukach ścisłych. Medyk nietylko logiką, ale nawet matematyką wcale się nie zajmuje, a z nauk ścisłych również logicznéj korzyści nie wyciąga, gdyż najczęściéj zadawalnia się utrwaleniem w pamięci samych wyników i ogólnych praw fizyki, chemii, zoologii, botaniki, mineralogii, nie dbając o drogę, po któréj do tych wyników uczeni doszli. Same zaś nauki medyczne, jakkolwiek bogate pole do obserwacyi logicznéj przedstawiają, są przeważnie uprawiane tylko empirycznie, tak, że medycyna praktyczna jest raczéj sztuką niż nauką. A jednak w żadnym dziale ludzkich czynności błędy logiczne tak drogo nie bywają opłacane, jak w praktyce lekarskiéj, gdzie chodzi o zdrowie i życie pacyentów.

To też wysiłki d-ra Biegańskiego, aby dać nam gruntownie opracowaną metodologię nauk lekarskich, zasługują na największe uznanie, nie tylko logików, lecz téż ogółu lekarzy i chorych. Autor wymownie uwydatnia znaczenie metody dla postępu nauk lekarskich, przy czém podnosi zasługi profesorów Chałubińskiego i Baranowskiego, którzy od swych uczni wymagali gruntownego logicznego wykształcenia i umieli wzbudzić w nich logiczne zajęcie metodami badania i léczenia. Wpływ ten dodatni, według zdania d-ra Biegańskiego, w ostatnich latach ustąpił miejsca całkiem przeciwnym poglądom szkoły niemieckiéj, która główną uwagę zwracając na zmiany anatomo-patologiczne w narządach, zbyt często zapomina, że choroba jest tylko oderwaném pojęciem, że lekarz ma zawsze tylko do czynienia z chorym, nie z chorobą. D-r Biegański uskarża się, i w tém możemy z punktu widzenia logiki mu przyklasnąć, na jednostronność najmłodszego pokolenia naszych medyków. W związku z anatomiczną lokalizacyą chorób idzie krańcowa specyalizacya medycyny. „Medycyna przestała zajmować się chorym organizmem, a natomiast zajmuje się chorym żołądkiem, sercem i t. d. Terapia również staje się przeważnie lokalną, i do jednego chorego trzeba kilku specyalistów. „Ci zaś traktują chorych częstokroć jedynie, jako materyał mniéj lub więcéj ciekawy i nie bawią się w sentymentalizm dawniejszych lekarzy, którzy

zawsze starali się zyskać współczucie i zaufanie pacyentów. W klinikach Chałubińskiego i Baranowskiego pozwalano się choremu wygadać, uskarżać do woli — dziś podobno zdarzają się specyaliści, którzy, przez ciekawość, dla badań naukowych, zdrowym szczepią najniebezpieczniejsze choroby!

D-r Biegański pragnie dziełem swém pobudzić lekarzy do bardziéj filozoficznego traktowania swych zajęć, do zastanowienia się nad metodą nawet w śród praktycznych czynności i do ubezpieczenia się od tak częstych błędów, wynikających z braku logicznego wykształcenia, z niezdolności odróżnienia tego, co napewno wiemy, od tego, co tylko z pewném prawdopodobieństwem przypuszczamy, lub wreszcie od tego, co przyjmujemy bez żadnych dostatecznych podstaw logicznych, jako czcze uprzedzenie.

W tym celu przedstawia najprzód trudności klasyfikacyi i definicyi chorób. Czynności te logiczne w zakresie medycyny nie są tak łatwe, jak na polu nauk ścisłych, gdyż pojęcie choroby określonéj, najczęściéj składa się prócz nielicznych cech zasadniczych, z wielu cech niestałych, które wytwarzają dla definicyi medycznych prawie takie trudności, jak te z któremi walczą nauki społeczne. Cechy niestałe przez medyka nie mogą być pomijane, gdyż często ich ugrupowanie bywa jedynym środkiem odróżnienia dwóch podobnych do siebie chorób. „Większość cech klinicznych bywa niestałą. Gatunek np. chorobowy — tyfus brzuszny — zawiéra jedną tylko cechę stałą, mianowicie: swoiste zmiany anatomo-patologiczne w kiszkach, reszta zaś cech należy do rzędu zmiennych, niestałych. Pomimo to właściwe ugrupowanie tych niestałych cech wyróżnia w zupełności sam gatunek chorobowy".

Klasyfikacya chorób w patologii ogólnie przyjęta, choć oparta na podstawie anatomo-patologicznéj, któréj jednostronność uwydatnił autor we wstępie, wydaje mu się jednak najwłaściwszą i nie próbuje zastąpić jéj inną. Według téj klasyfikacyi choroby dzielą się na: 1) Zaburzenia w krążeniu: przekrwienie, niedokrwistość, zakrzep, zator i obumarcie. 2) Zaburzenia w krążeniu i tkankach, jednocześnie zachodzące: zapalenie. 3) Zaburzenia, w sanych tkankach zachodzące: przerost, zanik, zwyrodnienie. 4) Swoiste zaburzenie samych tkanek: nowotworzenie. Dla każdego logika rażącą w téj klasyfikacyi wadą jest wielka nierówność działów i dowolne a niesymetryczne dzielenie najwyższych rodzajów na najbliższe gatunki. D-r Biegański ukazuje prócz tego jeszcze gorszą wadę, która w oczach logika odéjmowałaby powyższéj klasyfikacyi wszelką wartość — mianowicie nie

obejmuje ona wszystkich znanych chorób, a nawet pomija niektóre z najczęstszych i najlepiéj zbadanych.

Jednak autor sądzi, że obecny stan wiedzy nie pozwala nam jeszcze na zasadniczą reformę przyjętéj klasyfikacyi chorób. Za możliwą zasadę takiéj reformy podaje autor etyologię chorób, jednak z zastrzeżeniem, że przyczyny chorób dotąd zbyt mało są znane, aby mogły posłużyć za materyał do nowego a doskonalszego układu przyrodzonego wszystkich badanych chorób.

Możliwość zaś klasyfikacyi sztucznéj na wzór istniejących w botanice lub chemii analitycznéj d-r Biegański odrzuca, ze względu na niestałość cech patologicznych ogólnych. Stałością większą odznaczają się tylko cechy szczegółowe, właściwe niewielkiéj liczbie gatunków i wskutek tego nie nadające się do ogólnéj klasyfikacyi, tylko do klasyfikacyi w zakresie pewnych działów, jak np. sam autor uczynił w swéj „Dyagnostyce różniczkowéj” dla chorób wątroby. Wbrew zwykłym zasadom logicznym, według których cechy indywidualne do opisu gatunku wchodzić nie powinny, d-r Biegański uzasadnia konieczność wskazania wszystkich cech nawet indywidualnych przy definicyi choroby. Cechy bowiem choroby indywidualne, choć nie w każdym przypadku obserwowane, zawsze lekarz może uważać za idealnie możliwe i w ten sposób dopiéro tworzy wyobrażenie typowego przebiegu danéj choroby. Rozpoznawanie chorób różni się wielce od rozpoznawania roślin lub minerałów, których własności bywają zupełnie stałe. Indywidualne cechy, nie grające prawie żadnéj roli w botanice, stają się bardzo ważnemi w patologii. Tutaj cechy zasadnicze zwykle są ukryte, i tylko podrzędne, zewnętrzne symptomy ulegają badaniu. To téż rozpoznawanie lekarskie nie miéwa nigdy tego stopnia pewności logicznéj, co analiza chemiczna lub określenie gatunku jakiéj rośliny. Autor rozbiéra warunki rozpoznawania przez odnajdywanie podobieństw i różnic, a najszczegółowiéj omawia tę ostatnią czynność, którą nazywa różniczkowaniem. Metoda wykluczania ma w patologii mniejsze zastosowanie, niż w innych naukach przyrodniczych. Wogóle sądzi autor, że w medycynie dotychczas indukcya pewniejsze daje wnioski niż dedukcya, co znowu stanowiłoby odrębność patologii—gdyż w innych zakresach myśli ludzkiéj nigdy indukcya tak pewnych wniosków nie dostarcza, jak dedukcya z dowiedzionych przesłanek. Więc prawdopodobnie brak dowiedzionych przesłanek stanowi trudność dedukcyjnego rozumowania w patologii.

Osobne rozdziały poświęca autor jeszcze metodzie doświadczalnéj, warunkom stosowania statystyki w patologii, powstawaniu hypotez, wynajdywaniu wskazań lekarskich i nareszcie daje krótki zarys

zasad wnioskowania dedukcyjnego, z licznemi przykładami z patologii i terapii. Wszystko to znajdujemy wyłożone z wielką jasnością i ścisłością, i wiele miejsca zajmuje rekapitulacya powszechnie znanych logicznych zasad, czego za złe autorowi mieć nie można, gdyż pisze on dla lekarzy, którzy nie miewają w swych bibliotekach podręczników logiki. Przytém nawet dawno znane prawdy z przyjemnością można odczytać w książce d-ra Biegańskiego, gdy są tak wymownie poparte ciekawemi przykładami z nauki, która logików dotąd najmniéj przyciągała, i w któréj téż logika najmniéj była uwzględniana. W całém dziele d-ra Biegańskiego widzimy konsekwentnie przeprowadzone odróżnienie między pojęciami chorób, a pojęciami przedmiotów nauk ścisłych. Bardzo trafnie uwydatnione są logiczne skutki niestałości cech i tylko dziwić może logików, że tę niestałość cech, lub dokładniéj mówiąc, n i e ś w i a d o m o ś ć c e c h i s t o t n y c h, autor uważa za nieodłączną od przedmiotu, zapominając o tém, że jeszcze niezbyt dawno takie chemiczne pierwiastki, jak w i l g o ć, z i e m i a, odznaczały się niestałością cech, któréjby im dzisiejsze choroby mogły pozazdrościć.

Owe pojęcia „z niestałemi cechami” w patologii, powinnyby dla tak doskonałego logika jak d-r Biegański być poprostu niedojrzałemi wyobrażeniami, jeszcze nie stanowiącemi ścisłych pojęć. Bo o ile metodologia z doświadczenia każdéj nauki może czerpać nowy materyał, o tyle znowu nieubłagane prawa czystéj logiki w żadnym zakresie wiedzy naruszane być nie mogą. D-r Biegański dał dowody swéj logicznéj przenikliwości, gdy wykrył, jak dalece prawdopodobieństwo bywa częstszém w medycynie niż pewność, ale jednocześnie okazał niejaką dozę sceptycyzmu, gdy sądzi, że pewności takiéj, jaką w innych naukach znamy, medycyna nigdy nie osiągnie. Nie wątpimy, że na téj drodze, na którą za przykładem [1]) Chałubińskiego u nas pierwszy wkroczył d-r Biegański, na drodze jasnéj logicznéj świadomości stosowanych metod, medycyna powoli stanie się taką nauką ścisłą jak mechanika rozumowa.

Teorya wynajdywania wskazań lekarskich, na podstawie dzieła Chałubińskiego przez d-ra Biegańskiego przedstawiona, powinnaby wejść do każdego obszerniejszego podręcznika logiki, jako świetny przykład rozumowania naukowego. Polega ona na systematyczném odnajdywaniu coraz to bardziéj zasadniczych przyczyn choroby i na

[1]) Logicznéj treści jest dzieło Chałubińskiego: „Metoda wynajdywania wskazań lekarskich“ (Warszawa, 1874) słusznie przez d-ra Biegańskiego bardzo cenione.

stopniowém usuwaniu choroby przez działanie na te jéj przyczyny. Wywód ten (str. 131—138) należy do najciekawszych ustępów książki i gorąco może być zalecony do przeczytania nawet tym, co na czytanie dzieła całego się nie zdecydują.

Przy wielkiém uznaniu dla całéj pracy d-ra Biegańskiego niezbyt zaważy wykaz drobnych błędów. Autor widocznie w swych logicznych studyach zbyt jednostronnie uwzględniał logików angielskich Milla, Baina i Jevonsa. Gdyby więcéj badał Ueberwega, Sigwarta Lotzego, których logiczne dzieła są daleko głębsze i wszechstronniejsze od dzieł logików angielskich, wtedy nie mówiłby o odwracaniu sądów szczegółowych przeczących, gdyż sądy takie odwracane w ścisłém znaczeniu tego słowa być nie mogą, i niekonsekwentném jest zmieniać przez wzgląd na sądy szczegółowe przeczące ustalone znaczenie odwracania sądów. Odwrócenie sądu: „Niektórzy ludzie nie są inżenierami", brzmiałoby: „Niektórzy inżenierzy nie są ludźmi" i byłoby logicznie fałszywym wnioskiem, nawet, jeśli doświadczenie wykazałoby inżenierów, nie będących ludźmi.

Wpływ jednostronnéj logiki angielskiéj jest także widoczny tam, gdzie autor uparcie zamiast przymiotnika „filozoficzny" używa wyrazu „abstrakcyjny" (np. str. 5, 15 i t. d.) z obawy, aby go nie posądzono o filozofię. Z tego samego źródła wynika prawdopodobnie określenie spekulacyi nienaukowych, jako m e t a f i z y c z n e, jakby metafizyka nie była najpewniejszą z nauk! Również zbyt pochopnie torem Milla za rzecz przyjętą autor podaje, że pewniki matematyczne, oparte na indukcyi (str. 142), z czém większość gruntowniejszych logików wcale się nie zgodzi, bo linii prostych ani nawet równości wcale nie ma w doświadczeniu naszych zmysłów, jak wyczerpująco dowiódł Kant, którego wywodów Mill bynajmniéj nie obalił. Wogóle w teoryi pojęć Mill jest niebezpiecznym przewodnikiem, i jego wyobrażenia o roli abstrakcyi przy tworzeniu pojęć matematycznych bynajmniéj nie pozyskały uznania, nawet w Anglii, gdzie Jevons był najwymowniejszym krytykiem błędów Milla.

Większa znajomość niemieckiéj logiki uchroniłaby autora od mniemania, jakoby Arystoteles nie pojmował indukcyi. Wszak nawet rozumowanie Sokratesa była nawskroś indukcyjném, u Platona zaś i Arystotelesa indukcya na równi była stosowana z dedukcyą, jako dwie niezbędne nawzajem uzupełniające się czynności. Nie brak logicznych środków przeszkodził rozwojowi nauk przyrodniczych w starożytności, ani też nie jest to wcale zasługą Bacona, że w nowszych czasach zakwitły nauki doświadczalne. Inne działały przyczyny w obu wypadkach — tam, gdzie starożytni myśliciele raczyli zająć się

przyrodą, osiągali oni odrazu i nieomal bez wysiłku takie prawdy, nad które nic lepszego nie wymyśliła cała nowożytna nauka. Teorya atomów Demokryta jest do dnia dzisiejszego podstawą całego współczesnego poglądu na układ materyi. Platon przewidział i jasno sformułował identyczność ciepła i ruchu, istnienie mikroskopijnych żyjątek i wiele innych prawd, które obserwacya dopiéro w dwa tysiące lat późniéj spostrzegła. Ale najlepsze umysły Grecyi miały podówczas ważniejsze jeszcze cele badania i odkładały na późniéj, jako rzecz błahą poznanie szczegółów zjawisk zewnętrznych. Dziś, gdy większość myślicieli zwróciła się do tych zjawisk, częstokroć zapominane bywają najważniejsze prawdy, dawno dowiedzione przez naszych ateńskich mistrzów i fizycy, chemicy, fizyolodzy, wierząc w atomy, elektryczność, magnetyzm, nieraz wątpią o tém, czy sami są rzeczywistemi istotami, czyli téż jakiemi złudnemi i przemijającemi zjawiskami, jak przez nich badane objawy. Stary Sokrates, gdyby z grobu powstał, z boską swą ironią uśmiéchnąłby się i zapytałby się dzisiejszych wrogów metafizyki i filozofii: „dla kogo i po co są te wszystkie prawdy, jeśli wprzódy prawdy o sobie nie wiemy?”

Jednym z kroków ku osiągnięciu téj prawdy o sobie jest uświadomienie dróg, któremi kroczy myśl nasza. To téż dzieło d-ra Biegańskiego, pomimo kilku wykazanych usterek, jest dziełem wielkiéj zasługi, témbardziéj, że nawet w zachodniéj literaturze, jeszcze nikt, o ile mi wiadomo, na podobne przedsięwzięcie napisania logiki medycyny się nie odważył. Same zaś usterki w oczach większości czytelników, lekarzy-pozytywistów, będą zaletami, gdyż dowodzą, że autor nie zaraził się jeszcze ową „metafizyką niemiecką”, do któréj od czasów Jana Śniadeckiego, pomimo Kremerów, Libeltów, Trentowskich panuje u nas powszechne uprzedzenie. Miejmy nadzieję, że praca d-ra Biegańskiego wkrótce zostanie przetłómaczoną na zachodnie języki i przyczyni się do uznania, jakie zaczyna wzbudzać u cudzoziemców nasza nauka.

W. Lutosławski.

Drozdowo, 1 października, 1894 r.



WYSTAWA LWOWSKA.

I.

Bez względu na wartość okazów, nagromadzonych na wystawie, umiejętne urządzenie jéj przyczynia się zawsze w znacznéj, rzecby można: w przeważnéj części do jéj powodzenia. Idzie tu zaś nietylko o staranne ugrupowanie przedmiotów i wysunięcie tego, co jest godniejszém widzenia, a umieszczenie na drugim planie przedmiotów, mniéj na uwagę zasługujących, lecz także, i to może najważniejsza, o nadanie całości kształtów dla oka przyjemnych, a wreszcie o utrzymanie wszystkiego w tonie właściwym, o stworzenie organizmu, który sam za siebie mówi, wskazując każdemu swą postacią zewnętrzną, czego tu żądać można, a nie budząc fałszywych pojęć, wiodących prosto do rozczarowania.

Śmiało twierdzić można, że tę właśnie część zadania spełniono we Lwowie umiejętnie i z wielkiém zrozumieniem rzeczy. Nie ubliżając wystawcom i nadesłanym przez nich przedmiotom, możemy wyznać z czystém sumieniem, że owoce ich pracy sprawiałyby inne na zwiedzających wrażenie, gdyby komitet wystawy nie był robił wszystkiego, co tylko mogło się do jéj uświetnienia przyczynić. Zrozumiał to każdy, kto pilnie z czasu korzystał, a dowodem, że zdania nie dzieliły się w tym względzie, było jednomyślnie uznanie dla zasług dyrektora wystawy, p. Zdzisława Marchwickiego.

Mała zaledwie cząstka udających się na wystawę uważa tę wycieczkę za jakąś podróż naukową, a chwile spędzone w budynkach

wystawowych za czas poświęcony pracy poważnéj nad rozszerzeniem zakresu wiedzy. Ludzie oderwani od pracy, szukający w porze letniéj wytchnienia, mają prawo żądać, by zwiedzenie było dla nich rozrywką wakacyjną. Jeżeli wystawa nie przedstawia się estetycznie, jeżeli postać jéj nie nęci oka i nie zapisuje się w pamięci, jako miłe wspomnienie, celu w zupełności dopiąć nie może.

We Lwowie sama przyroda była najdzielniejszą współpracowniczką komitetu. Z chwilą gdy obrano miejsce, można było być pewnym, iż całe dzieło przybierze postawę efektowną i ponętną.

Kotlina, w któréj Lwów leży, zamknięta od północnego-wschodu stromą i lesistą górą z ruinami zamku, rozwidla się po stronie przeciwnéj w kilka węższych parowów, wznoszących się powoli ku rozległemu płaskowzgórzu, panującemu nad miastem. Część tych parowów, krętych i przepaścistych, zamieniono przed kilku laty na rozkoszny, cienisty park. Nad parkiem, na wyżynie rozłożyły się ogromném półkolem pawilony wystawy.

Tuż nad brzegiem jaru, frontem zwrócony ku miastu, stanął wielki murowany pałac sztuk pięknych. Za nim tłoczą się, dokoła kilku placów, inne pawilony, przeważnie budowane z drzewa. Ogół budynków na wystawie dosięgnął liczby stu dwudziestu. Nie wszystkie możnaby przyszłym pokoleniom architektów stawiać za wzór. Pamiętajmy jednak, że na przeciąg czterech miesięcy trudno budować arcydzieła i że materyał, z którego je stawiano, nie nadaje się do wielkiego urozmaicenia stylu.

Plac wystawy zazielenił się i zakrzewił nadspodziéwanie. Słoty, które trwały przez cały niemal czerwiec i dały się we znaki rolnikom, okazały się wielce dobroczynnemi dla trawników i klombów okrywających płaskowzgórze.

Najbliżéj wejścia zajęły miejsce cieplarnie i kioski ogrodnicze. Od czasu do czasu, z przerwami kilkutygodniowemi, odbywały się w nich wystawy kwiatów.

Za pałacem sztuki, już w obrębie parku, wznosi się pawilonik fabryki cementu w Szczakowie. Daléj widzimy, również nieco w tył cofnięty, pawilon miasta Lwowa. W sąsiedztwie wznosi się okazały w stylu doryckim, zdobny polichromią, gmach architektury. Przed nim rozlało się zwierciadło wody. Barwne linie doryckiéj fasady zyskały na tém niemiernie.

Na lewo od wejścia widzimy pawilony: dziennikarski, arcyksięcia Albrechta, hrabiny Mierowéj, p. Rojowskiego z Humenowa, a nareszcie ogromny pałac przemysłu, którego drzwi główne wychodzą na

drugi brzeg opisanéj poprzednio sadzawki. Za tym pałacem umieszczono nie wielkie pawilony: tkaczów korczyńskich, oraz zarządu poczt i telegrafów.

Postępując główną ulicą, mamy, tuż za sadzawką, po jednéj stronie pawilon hr. Andrzeja, po drugiéj—pawilon hr. Romana Potockiego. Tu ulica rozszerza się w obszerny plac. Na lewo mamy trzy znaczniejsze pawilony: pawilon uniwersytecki, pawilon hr. Kazimierza Badeniego, przedstawiający rozwój szkół ludowych, i pawilon wydziału krajowego, dający nam obraz szkół przemysłu domowego. Pozostałą część owalnego placu otoczyły ze stron obu restauracye, piwiarnie, kawiarnie i cukiernie, a środek jego zajęła największa przynęta gości: wodotrysk świetlany.

Wodotrysk ten, składający się z rozlicznych strumieni wody, z których każdy, oświetlony światłem elektryczném, coraz to inną przybiéra barwę, jest jednym z udatniejszych wodotrysków tego rodzaju. Puszczanym bywał w ruch codzień wieczorem. Mimo to nie brakło amatorów, którzy ani razu nie odmówili sobie przyjemności oglądania go. O godzinie, o któréj miał po raz pierwszy w górę strzelić, tłumy otaczały basen, by widowisko oglądać z jak najmniejszéj odległości. Wyznajemy otwarcie, że najładniejszym wydawał się nam, ile razy, zabłąkani w odległym zakątku wystawy, ujrzeliśmy go niespodzianie w chwili, gdyśmy właśnie najmniéj o tém myśleli.

Po drugiéj stronie plac wydłuża się w ulicę. Na lewo mamy wielką halę machin, za nią kotłownię, w głębi główny pawilon rolnictwa, obok niego mleczarnię i wystawę kółek rolniczych, a z tyłu stajnie. Po za halą machin przewija się przez plac wąskotorowa koléjka żelazna, o maleńkich wagonikach i małych lokomotywkach ogrzéwanych naftą. W dalszym ciągu naszéj wędrówki mijamy: pawilon Zieleniewskich, pawilon ministeryum rolnictwa, pawilon dóbr wełdzirskich i dochodzimy do urządzonego z gustem i umiejętnością pawilonu ministeryum skarbu. Połowa tego budynku zawiéra wystawę kopalń i warzelń soli. Bochnia i Wieliczka odsłaniają bogactwa podziemne. Widzimy plany i modele robót. Dowiadujemy się jak wyglądały kopalnie w wiekach ubiegłych. Uczymy się procederu wygotowywania soli z nasyconéj rozczynem wody i poznajemy różne produkty górnictwa i warzelnictwa. W drugiéj połowie budynku rozłożono okazy tytoniu. Na stołach, ustawionych w środku sali, odbywa się fabrykacya cygar i papiérosów.

Po prawéj stronie drogi, którąśmy przebyli, rozsiadły się liczne pomniejsze jadłodajnie, przybytki Gambrynusa i kramy wódczane; w tyle za niemi skupiła się wystawa nafty i wosku ziemnego. Tuż

obok wznosi się rusztowanie, z którego rusza w drogę koléj powietrzna, przebiegająca wysoko ponad ziemią przestrzeń pomiędzy dwoma brzegami parowu.

W punkcie, do którego doszliśmy główną aleą, drogi się dzielą. Droga na lewo prowadzi do wystawy leśnictwa i łowiectwa, do działu węgierskiego, do mniejszego pawilonu machin, do wystawy tartaków i do wielkiéj areny dla wszelkich igrzysk i popisów sportowych. Drogą na prawo dochodzimy do pawilonu ks. Sanguszki, do pawilonu Towarzystw pożyczkowych, do wystawy pracy kobiét i do budynków i chałup, mieszczących wystawę etnograficzną. Na samym dole, w parku, urządzono akwaryum i wystawę rybactwa.

II.

Pod niefortunną gwiazdą przyszło komitetowi urządzać dział rolniczy. Rok przeszły był dla Galicyi, zwłaszcza dla okolic, bliżéj Lwowa położonych, rokiem nieurodzaju. Znać to bardzo wyraźnie w zbiorowym pawilonie rolnictwa, którego skromna, swojska ornamentacya drzewna, na wszelkie zasługuje pochwały, znać to i w pawilonach prywatnych. Nasiona, które nadesłano, nie przynoszą w znacznéj części rolnictwu krajowemu chluby; a wielu, bardzo wielu rolników zdecydowało się w ostatniéj chwili nie korzystać wcale z zamówionego na wystawie miejsca, przenosząc to nad popisywanie się zbożem pośledniém. Dając folgę szczerości, zauważymy, że w dziale rolnictwa mniéj było może prawdziwego zapału, prawdziwéj chęci zgromadzenia wszystkiego, na co kraj się mógł zdobyć, niż w innych działach. Zobaczymy, jak gorliwie zakrzątały się niektóre grupy przemysłowców. Górnicy wytężyli wszystkie siły, by się pokazać w jaknajkorzystniejszém świetle. Nawet gałęzie przemysłu, będące dopiéro w pieluchach, jak fabryki i warsztaty wagonów kolejowych, wystąpiły imponująco. Rolnicy, może właśnie dlatego, iż wystawę urządzono w kraju, któremu nadają powszechnie nazwę rolniczego, nie rozruszali się tak, jak inni. Przemysłowcy pokazali gościom, jak produkcya wygląda tam, gdzie przemysł pierwsze stawia kroki. Było to interesującém i niezwykłém, a działy, przez nich urządzone, przykuwały uwagę nawet tych gości, którzy na wielu innych wystawach przechodzą obojętnie obok okazów przemysłu, będącego w pełnym rozkwicie. W dziale rolniczym niejednego trzeba się było domyślać.

U wejścia do pawilonu rozgospodarowały się szkoły rolnicze. Galicya posiada obecnie trzy typy szkół takich. W szkołach rolni-

czych niższych w Kobiernicach, Horodence i Jagielnicy, oraz w tak zwanéj szkole parobków w Dublanach, wychowują się bądź przyszli właściciele gospodarstw włościańskich, bądź też przyszli karbowi, włodarze, gumienni. Rolników, uzdolnionych do gospodarowania na mniejszych folwarkach, kształci szkoła czernichowska. W Dublanach wreszcie pobiérają naukę gospodarze samodzielni, pragnący posiąść wiedzę rolniczą w całym jéj zakresie. W latach ostatnich przybył Galicyi jeszcza jeden typ zakładu naukowego: wydział rolniczy w uniwersytecie krakowskim. Na wystawie lwowskiéj znalazły prace profesorów i uczniów tego wydziału pomieszczenie w pawilonie uniwersyteckim. Na wykształconych rolnikach miłe wrażenie sprawił widok sumiennych prac z dziedziny gleboznawstwa, dowodzący, że na wydziale rolniczym chcą budować od fundamentów.

Dlaczegoż atoli, skoro zadano sobie tyle trudu nad urządzeniem wystawy szkół rolniczych, pominięto zupełnie jedną z wymienionych powyżéj, a wcale nie najmniéj ważną, szkołę czernichowską? Spotykaliśmy wielu, którzy o to pytali, nie umiejąc sobie wytłómaczyć téj zagadki.

Pod dachem pawilonu rolniczego znalazły schronienie: wystawa szkoły ogrodniczéj w Tarnowie, szkoły chmielarskiéj w Starém Siole i kursu dozorców melioracyjnych. Melioracye wszelkiego rodzaju, regulacye wód, nawodnienia i osuszania, są dzisiaj jedném z wielkich zadań Galicyi. Pionierzy tych robót dają krajowi żyzną ziemię wzamian za moczary, piasek lotny, lub przestrzeń, co roku zaléwana przez wezbraną rzekę. Kurs dozorców oddał już téj prowincyi prawdziwe usługi.

Rolnictwo włościańskie reprezentują kółka rolnicze. Sądząc z wykazów liczbowych, instytucze te rozwijają się znakomicie. Z końcem roku ubiegłego posiadała Galicya 922 kółek. Przy 564 kółkach rolniczych znajdują się sklepiki. Od lat dwóch posiadają one w krakowskim związku handlowym źródło, z którego mogą pobiérać towary tanio i w dobrym gatunku. Oprócz tego, posiadają kółka 1,168 sztuk narzędzi rolniczych i 158 sikawek. Dla członków swych sprowadziły dotychczas nasion za 90 tysięcy złotych reńskich, a nawozów sztucznych za 60 tysięcy.

Mimo to gospodarka włościańska niezmiernie jeszcze nisko stoi. Zaledwie w kilku powiatach, położonych na zachodniém pograniczu, spotyka się gospodarstwa, na które patrzéć można z przyjemnością. P. Rutowski obliczył, że gdyby chłop galicyjski gospodarował tak, jak gospodarują właściciele folwarków, to w saméj tylko Galicyi

wschodniéj roczna wartość włościańskiéj produkcyi rolnéj wzrosłaby o 26 milionów złr.

Dwadzieścia sześć milionów! Nad liczbą tą warto się zastanowić. Wszak to przeszło dwa razy więcéj, niż wszystkie podatki stałe, składane przez Galicyan w skarbie państwa. A jednak p. Rutowski nie brał nawet całego kraju w rachubę. Trudno zaiste dziwić się ekonomistom galicyjskim, że postęp wydaje im się zbyt powolnym.

Potrąciliśmy o statystykę. Na ścianach pawilonu rolniczego porozwieszano dosyć gęsto tablice biura statystycznego. Roboty to ze wszech miar poważne i piękne. Nie ulegniemy pokusie zapełniania naszego artykułu wyciągami stamtąd, poprzestaniemy na kilku danych tyczących się rolnictwa.

Własność większa (dworska) stanowi w Galicyi mniejszy procent całéj powierzchni kraju, niż w prowincyach sąsiednich, wynosi bowiem 39.31%, kiedy w W. Księstwie Poznańskiém 55.81%, a w Królestwie Polskiém 58.39%. W ciągu ostatnich lat dwudziestu zmniejszyła się własność większa o pół miliona morgów.

Całą tę przestrzeń, zajętą przez role i lasy dworskie, podzielić można na dwie części: własność prywatną i publiczną. Własność prywatna zajmuje cztery i pół miliona morgów (w tém 68,466 m. ziemi ordynackiéj) i stanowi 83% całéj własności większéj. Pozostała część znajduje się w rękach państwa i kilku instytucyi. Rząd administruje obszarem 555 tysięcy morgów; biskupi i kapituły posiadają 125 tysięcy; klasztory 65 tysięcy; fundacye krajowe 80 tysięcy morgów.

Cała własność większa, tak prywatna jak publiczna, obejmuje 5,371,000 morgów; ogromną jéj część, bo 2,946,000 morgów, stanowią lsy.

Jeszcze słów parę o obdłużeniu ziemi. W r. 1870-ym stanowiły wszystkie długi hypoteczne całéj własności ziemskiéj 124 miliony, w dziesięć lat potém 172 mil.; w roku 1890-ym doszła ta suma do 188 milionów zł. reńskich.

Jeżeli o wystawie rolniczéj bardzo rozmaite między znawcami odzywały się głosy, to natomiast świetną chwilą dla rolników galicyjskich były dnie wystawy bydła. Tu postęp jest nietylko widoczny, ale niemal zdumiewający. Wrażenie było tém silniejsze, iż na wystawie widziano przeszło 800 sztuk bydła rogatego, a w liczbie téj bydło włościańskie reprezentowane było licznie. To, co widziano, dawało zatém naprawdę wyobrażenie o postępach hodowli w kraju. Oczywista, że niedorzecznością byłoby mniemać, iż cały kraj posiada bydło takie, jak to, które spędzono do obór na placu wystawy. Można tylko stwierdzić, że Galicya ma dziś wspaniały materyał rozpłodowy w ty-

siącach krów i buhajów, z których mogą się z biegiem lat rozmnożyć krocie sztuk, zapewniających dobrobyt przyszłym pokoleniom.

I tu pokazało się znowu, że systematyczna, wytrwała praca, rozpoczęta równocześnie na kilku punktach, musi odbić się ostatecznie w sposób dodatni mimo wszelkich przeszkód i przeciwności. Na chów bydła zwracano więcéj ostatniemi czasy uwagi, niż na jakąkolwiek inną gałąź rolnictwa. Pisano o tém i mówiono wiele; nie szczędzono grosza publicznego na pomoc i zachętę. Umiano wzbudzić zapał i podniecić ambicyę. Skutek nie zawiódł.

Inicyatywa w tym kierunku wyszła przed laty z obu Towarzystw rolniczych: lwowskiego i krakowskiego, które dotychczas kierują całą sprawą. Na ich ręce płyną subwencye, wypłacane przez rząd i sejm, one sprowadzają z zagranicy sztuki rozpłodowe, rozmieszczają je po kraju i doglądają obór zarodowych.

Cztery rasy bydła zagranicznego panują obecnie na ziemi galicyjskiéj. Z tego, co widziano na wystawie, wnosićby można, że ze współzawodnictwa wyjdzie zwycięsko rasa Simmentalska. Różowawe bydło téj rasy wypiéra powoli inne odmiany, a w niektórych okolicach rozgościło się niemal wyłącznie. Na wystawę dostarczyli hodowcy téj rasy wspaniałych, kolosalnych okazów. Pierwszeństwo przyznano p. Hulimce z Mycowa i p. Kazimierzowi Wiktorowi z Żarszyna. Drugą rasę szwajcarską stanowią Szwyce, między któremi pierwsze miejsce zajmowała obora p. Obertyńskiego. Obok tych dwóch ras górskich widzimy dwie nizinne: oldenburską i holenderską. W dziale Oldenburgów otrzymał pierwszą nagrodę p. Śmiałowski, w dziale tak niegdyś protegowanych, a dziś zchodzących z pola Holendrów—p. Józef Wiktor.

Łatwo się domyśléć, że w przeważnéj części powiatów wszelki rozwój hodowli racyonalnéj nie przekracza miedzy dworskiéj. Obok wspaniałych simmenthalerów we dworze widzimy dobór skarłowaciałych szkieletów po podwórkach włościańskich.

Bywa jednak i inaczéj. W zasadzie zrozumieli już wszyscy, że hodowla nie oprze się na silnych podstawach, dopóki kraj nie zapełni się setkami tysięcy zdrowego, silnego i mlécznego bydła włościańskiego. Nie wszędzie umiano tę zasadę w czyn zamienić. Tam atoli, gdzie to zrobiono, wydała ona rezultaty wspaniałe.

Nikt nie dokazał w tym kierunku tyle, ile p. Grzegorz Głuchowski w powiecie nadwórniańskim. W sposób, tak do naśladowania trudny, umiał on zjednać sobie zaufanie ludu okolicznego, zachęcić go do umiejętnego obchodzenia się z bydłem, wpoić mu zasady postępowéj hodowli i po latach pracy doszedł do tego, że bydło włościan z nad-

wórniańskiego wzbudzało podziw na wystawie. Włościanie tamtejsi hodują dziś rasę simmenthalską. Potrafili oni utrzymać ją w takiéj sile, iż Towarzystwo lwowskie nie zawahało się posłać im teraz buhaja importowanego pełnéj krwi. Działalność p. Głuchowskiego przedstawi nam się w całéj pełni, jeżeli zestawimy ją z równie szlachetnemi zabiegami, czynionemi w innych okolicach, mniéj świetnym uwieńczonemi jednak skutkiem. Bardzo ładne bydło przyprowadzili włościanie z Sanockiego, ale z opisaném powyżéj równać się ono nie może.

Rozmnożenie bydła zagranicznego, w takiéj ilości, iżby niém można było zaopatrzéć całą okolicę jest przedsięwzięciem niemal nadludzkiém. Z tego téż powodu nie od wczoraj usiłowano wytworzyć rasę krajową. Na wystawie lwowskiéj widziano trzy odmiany bydła krajowego. Bydło mléczno-białe wystawił p. Kellerman z Kańczugi. Bydło dwojakie, mniéj piękne, ale może bardziéj nadające się do warunków bytu w stajence chłopskiéj, chowa się pod protekcyą obu towarzystw rolniczych. Z Tarnowskiego rozchodzi się rasa majdańska, maści brudno-gniadéj; z Krakowskiego bydło czerwone, przezwane bułeczkowatém. Rozpowszechnianie się każdéj z nich jest znamieniem postępu.

„Gdyby tylko o pół litra — mówi jeden z ekonomistów galicyjskich — była większą wydajność dzienna każdéj krowy dojnéj, przy cenie sześciu centów za litr mléka, to wartość produkcyi podniosłaby się dziennie o 36,000 złr. Obliczmy to na rok cały, to wzrost dochodu krajowego wyniósłby 12,960,000. Bo z takich to drobiazgów tworzy się suma bogactwa krajowego.”

Oprócz owoców pracy ziemiańskiéj, zebranych w pawilonie rolnictwa i na wystawie inwentarza, mnóstwo okazów z tego działu nagromadzono po pawilonach prywatnych. Kto chciał oglądać gospodarstwo rolne, prowadzone wzorowo, połączone z najstaranniejszém gospodarstwem leśném, wzbogacone rozwiniętym i nader urozmaiconym przemysłem, ten znalazł to, czego szukał, w pawilonie arcyksięcia Albrechta. Daléj spotykaliśmy różne gałęzie produkcyi w pawilonach wymienionych już poprzednio. U hr. Andrzeja Potockiego obok rolnictwa i leśnictwa widziano okazy cukrownictwa i górnictwa. W pawilonie ks. Sanguszki zwracało uwagę rybactwo. Pawilon tłumacki wyróżniał się nietylko nader staranną i wielce pouczającą wystawą cukrowniczą, lecz także umiejętnie przedstawioną statystyką cukrownictwa europejskiego.

Znaczna ilość pawilonów mieściła w sobie gospodarstwa o charakterze przeważnie leśnym. Umiano wydobyć nieznane skarby z nie-

dostępnych puszcz karpackich i pokazano je światu. Niejeden mieszkaniec Galicyi, uważający się za znawcę stosunków krajowych, po raz pierwszy ujrzał tu produkcyę górskich tartaków, niezmiernie rozwiniętą, a udoskonaloną wszechstronnie. Różne rodzaje tarcic i desek, gontów, trocin, masy drzewnéj, patyczków do zapałek, tektury z drzewa i wielu innych przetworów świadczy o istniejącym w owych niedostępnych zakątkach ruchu przemysłowym. Znaczna część tych olbrzymich obszarów leśnych, tak ładnie reprezentowanych na wystawie, znajduje się w posiadaniu cudzoziemców.

Rozkoszna, poetyczna strona życia leśnego skoncentrowała się w pawilonie łowiectwa. Pawilonowi temu nigdy nie brakło gości. Wśród karpackich niedźwiedzi, jeleni, rysiów i żbików, pod cieniem ogromnego cisa, przesadzonego tu z gór sanockich, można było bujać fantazyą i przenosić się w strony dalekie.

III.

Rzuciwszy okiem na mapę Galicyi, dostrzegamy od razu olbrzymi łuk Karpat, stanowiący jakgdyby wklęsłą przeciwprostokątnię trójkąta, którego kąt prosty sięga swym wierzchołkiem daleko w stronę północno-wschodnią. Okazałe to pasmo gór budzi w nas domysł, że bogactwo kopalne téj prowincyi musi być znaczne. Dopiéro po dokładném rozpatrzeniu się widzimy, że przypuszczenie nasze było nieuzasadnione. Karpaty nie obfitują w skarby mineralne. Produkcya górnicza całéj prowincyi jest stosunkowo drobna.

Pierwsze miejsce w rzędzie kopalin zajmuje tu oczywiście sól, wydobywana bądź pod postacią soli kamiennéj, bądź tak zwanéj warzonki. Całkowita wartość soli kuchennéj, wraz z rozmaitemi rodzajami, używanemi w przemyśle, wydobytéj w r. 1892, wynosiła 7,760,000 guldenów, wartość nafty i wosku ziemnego (1889 r.) 5,000,000, węgla kamiennego 1,117,000, węgla brunatnego 123,000, rudy ołowianéj 124,000, rudy cynkowéj 123,000, rudy żelaznéj 20,000 guldenów.

W chwili obecnéj najwięcéj budzi zajęcia, najczęściéj bywa przedmiotem rozpraw górnictwo naftowe. Znana w Warszawie „Nafta”, powieść Sewera, spopularyzowała życie nafciarskie i po za granicami Galicyi, a nafciarskie fortuny i posagi spopularyzowały ciemną, gęstą i wcale nie wonną ropę w eleganckich salonach Krakowa i Lwowa.

Po raz pierwszy atoli, w bieżącym dopiéro roku, mogła szersza publiczność na własne oczy widzieć, jak naftę kopią. Idźmyż za tłu-

mem, dążącym w stronę gdzie machina parowa pracuje nieustannie, a studnia z każdą godziną się pogłębia.

Okolice Lwowa nie kryją nafty w swém łonie. Ci, co „kopali naftę” na wystawie, wiedzieli o tém doskonale i na żaden nie narażają się zawód. PP. Gorayski i Trzecieski przygotowani byli z góry na to, że gdyby nawet do największéj doszli głębokości, nie spotkają się z ropą. Cel ich jest inny.

Przedewszystkiém szło tu o zaznajomienie ogółu z techniką przemysłu naftowego, który, wzrastając ciągle, wiele jeszcze zdoła zająć rąk i zużytkować kapitałów. Jeżeli to, co nafciarze galicyjscy robili na wystawie, skieruje ku nim kapitalistów i młode przedsiębiercze siły, zabiegi ich sowicie będą nagrodzone. Nie na tém atoli kończą się cele tego niezwykłego przedsięwzięcia. Głębokie wiercenie dało po raz pierwszy możność poznania głębszych pokładów geologicznych w téj części kraju.

Ruszajmy zatém wprost ku wieży kanadyjskiéj, gdzie pp. Gorayski i Trzecieski poszli w głąb ziemi aż do głębokości 600 metrów.

Wiercenie studni naftowéj odbywa się za pomocą tak zwanego świdra, t. j. ciężkiego żelaza, mającego kształt podobny do dłuta, które, uderzając raz po raz o ziemię, wybija w niéj otwór. Wyrazy: „wiercenie” i „świder” mają tu zatém raczéj przenośne, niż dosłowne znaczenie.

Świder, poruszany parą, wisi na długiéj żerdzi żelaznéj, utwierdzonéj wysoko i raz po raz ostrzem swém uderza. By otwór został wybity równo, musi ostrze dłuta po kolei we wszystkich uderzać kierunkach. W ten tylko sposób wybija na ziemi nie szparę, lecz rodzaj okrągłego komina. By świder uderzał jak należy, i w miarę potrzeby zmieniał położenie, robotnik, mający tytuł wiertacza, trzyma nieustannie rękę na wspomnianéj żerdzi i za każdém uderzeniem nadaje świdrowi właściwy kierunek. Zadanie to, niezmiernie ważne, wymaga i wprawy i siły. Wiertacz doświadczony poznaje po drganiu sztaby żelaznéj, o jaki pokład uderza w téj chwili świder, zagłębiony pod ziemią. Drgania i szarpania sztaby męczą rękę, a mróz daje się w zimie nieraz wiertaczowi we znaki. Mimo to znaleść dziś można w niejednéj kopalni wiertacza, który odbył wyższe studya techniczne przed obraniem zawodu górniczego. Jestto najtrudniejszy do przebycia szczebel w karyerze nafciarza. Kto posiada wykształcenie akademickie, a zarazem dowiódł, że potrafi być wiertaczem, ten może o najświetniejszéj marzyć przyszłości.

Ale na wybiciu otworu nie kończy się jeszcze cała mądrość gór-

nika. Trzeba umiéć wydobyć zeń miałki pył, wytworzony przez uderzanie świdra, trzeba umiéć chronić studnię od zasunięcia się, trzeba nauczyć się sztukowania sztab żelaznych, przy posuwaniu się w głąb. Okruchy ziemi i skał wydobywają górnicy z ziemi za pomocą tak zwanéj łyżki. Jestto rodzaj długiéj tuby, mającéj wewnątrz klapę, zamykającéj dolny jéj otwór. Gdy świder napracował się dostatecznie i na dnie studni utworzyła się już gruba warstwa natłuczonego kamienia lub rozpylonéj gliny, wówczas nadchodzi pora wyciągnięcia świdra i zastąpienia go łyżką. W chwili gdy łyżka całym swym ciężarem o dno uderza, nagromadzony tam pył unosi się w powietrze i, nie znajdując innéj drogi, napełnia jéj wnętrze. Klapa, w téj saméj chwili spuszczona, zatrzymuje go tam. Wraz z łyżką dostaje się następnie na powierzchnię ziemię, a gdy dno dostatecznie zostało oczyszczone, świder zjeżdża znowu na dół i rozpoczyna robotę.

W miarę pogłębiania studni zwęża się jéj średnica przez dobiéranie coraz to mniejszych świdrów. Przy rozpoczęciu roboty używa się świdra, którego ostrze ma niekiedy półtoréj stopy długości. Gdy dochodzimy do bardzo wielkiéj głębokości, średnica studni zwęża się czasem do dwóch cali. Gotową część studni chroni od zasypania rura, przylegająca wewnątrz do jéj ścian. Jeżeli zważymy, że wiercenie, łyżkowanie, rurowanie, odbywa się pod ziemią, na dnie wąskiéj, kształt komina mającéj studni, pojmiemy jakiéj wprawy i cierpliwości, jakiéj dokładności maszyn i narzędzi potrzeba, by wszystkie te czynności odbywać się mogły prawidłowo. A cóż dopiéro, jeżeli świder odmawia posłuszeństwa, jeżeli ugrzęźnie w skale, jeżeli przy wyciąganiu go pękają sztaby, i jeżeli wypadek taki grozi zagwożdżeniem studni, w któréj już utopiono kapitał kilkudziesięciotysięczny. Do chwytania urwanych sztab, do wydobywania zaprzepaszczonych świdrów, do ratowania studzien, którym grozi zalew wody, lub zgniecenie przez masy ziemne służą najrozmaitsze, niekiedy wielce oryginalne i zmyślne przyrządy, ale któż opisze, co się dzieje w duszy nafciarza, gdy mu wypadnie do tych ostatecznych uciekać się środków?

Tak się przedstawia samo kopanie nafty. Rozejrzyjmy się teraz dokoła. Z obu stron opisanéj przez nas studni nagromadzono wszystko, co ma związek z nafciarstwem. Zaraz na wstępie do pawilonu krajowego Towarzystwa naftowego spotykamy się ze wspomnieniami z pierwszych chwil górnictwa naftowego w Galicyi. Naprzeciw wejścia zawieszono portrety trzech pionierów nafciarstwa. Widzimy tam cichą, skromną, łagodną postać Ignacego Łukasiewicza, który przekonawszy świat, że ropa, znajdująca się w górach galicyjskich, może służyć do oświetlania, położył podwalinę pod dobrobyt kraju i własną

fortunę, niewyczerpaną skarbnicę hojnych datków na wszelkie szlachetne cele. Podobnie, jak on, do nieżyjących już należy Tytus Trzecieski, którego portret wisi tuż obok. Dwór jego, położony w okolicy, w któréj nafciarstwo dotąd kwitnie, tchnął zawsze atmosferą, pełną ducha obywatelskiego i wyższego nastroju. Godnym towarzyszem obu był ten, którego na trzecim portrecie oglądamy, Karol Kłobasa. Portrety te w dawne przenoszą nas lata. Początki górnictwa naftowego sięgają roku 1852-go.

W tym samym pawilonie wystawiono mnóstwo przedmiotów służących bądź do kopania ropy w sposób poprzednio przez nas opisany, bądź do wyrabiania z niéj nafty świetlnéj. Plany rafineryi i stopniowe przedstawienie produktów rafinady uzmysławiają tę gałąź przemysłu.

Niepodobna zatrzymywać się przy każdym szczególe. Nie możemy jednak pominąć dwóch punktów wystawy, godnych widzenia.

Spółka Bergheim i Mac-Garvey urządziła na wystawie *pumping-righ* naftowy własnego pomysłu. Jestto nader prosty, a jednak niezastosowany przedtém sposób równoczesnego pompowania ropy z kilku oddalonych od siebie szybów za pomocą jednéj machiny parowéj. Firma Bergheim i Mac-Garvey pracuje w Galicyi od lat dziesięciu; w spółce z innymi przedsiębiercami wywierciła ona dotychczas 371 szybów naftowych. Zbiorowa długość wszystkich tych wierceń wynosi 100 kilometrów. Kopalnia téj firmy w Wietrznie połączona jest z dworcem kolei w Krośnie za pomocą rurociągu, mającego 14 kilometrów długości. Kopalnię w Węglówce łączy 8-kilometrowy rurociąg z dworcem w Korczynie.

Bank kredytowy we Lwowie, jako właściciel kopalni wosku ziemnego w Borysławiu, urządził na placu wystawy szyb borysławski, głęboki na 11 metrów, połączony z chodnikiem podziemnym, do którego wejść można z parku ciągnącego się u stóp wystawy. Nigdy nie brak amatorów, którzy odbywają tę podziemną wędrówkę, a następnie po drabinie wychodzą z szybu na światło dzienne.

Oprócz nafty jedna tylko sól wystąpiła imponująco. Wydobywanie soli jest w Galicyi — jak wiadomo — monopolem rządu. Na wystawie zajmuje górnictwo solne połowę obszernego i eleganckiego pawilonu ministra skarbu. Oprócz przepysznych brył soli kamiennéj, skrystalizowanéj w kostki rzadkiéj czystości i piękności, oprócz sztucznych grot solnych, oprócz zbiorów narzędzi, widzimy nader umiejętne plany kopalń, oraz plastyczne, przez kombinacyę kilku szyb szklanych stworzone, uzmysłowienie całego podziemia; daléj idą modele warzelni soli, dosyć gęsto rozsypanych we wschodniéj części Galicyi,

a wreszcie wykazy statystyczne, z których dowiadujemy się między innemi, że produkcya soli w Wieliczce doszła w roku przeszłym do niebywałéj od lat stu wysokości. Bardzo interesujące są zabytki wielickie z wieków ubiegłych. Oprócz starożytnych planów widzimy tam odwieczne rzeźby, wykuwane z soli. Jest w ich rzędzie postać Chrystusa, upadającego pod krzyżem, z wieku XV.

Inne kopaliny porozrzucano po rozmaitych pawilonach. Dosyć bogato reprezentowane było górnictwo w pawilonie hr. Andrzeja Potockiego. Wystawiono tam ogromne bryły węgla czarnego, tworzące sztolnię, przez którą przechodzi wóz górniczy, okazy węgla i bardzo ciekawych pod względem naukowym skamienielin, okazy galmanu, cynku, ołowiu, pyłu cynkowego, glinek ogniotrwałych, marmuru. Mapy, profile, fotografie uzupełniają tę kolekcyę.

Węgiel brunatny z Kołomyjskiego, który za staraniem p. Szczepanowskiego zdobył sobie miejsce w handlu i przemyśle, piętrzył się w postaci piramidy pod gołém niebem.

IV.

Wypada nam nareszcie wstąpić do pawilonu, będącego niejako punktem środkowym całéj wystawy, do głównego pawilonu przemysłu. Rozejrzenie się w nim jest zadaniem nielada. Pawilon ten zajmuje 6,000 metrów kwadratowych powierzchni, a nagromadzone w nim przedmioty przedstawiają wszelką możebną rozmaitość. Wszystko, co jest wytworem fabryki lub warsztatu, a nie zasłużyło sobie na własny pawilon, ani téż nie koczuje na świeżém powietrzu, mieści się w tym obszernym budynku. Nie pisząc szczegółowéj oceny wszystkich wystawionych okazów, musimy pominąć milczeniem wiele rzeczy ładnych. Idzie nam o obraz ogólny i o te grupy, które na całości wyciskają pewne wyraźne znamię, wyróżniając wystawę lwowską z pomiędzy innych podobnych.

Przebiegnijmy naprzód szybkim krokiem gmach cały. Jeżeli wchodzimy przez drzwi główne, trafiamy prosto na obszerną estradę pod baldachimem. Jestto miejsce uroczystych przyjęć. Tu odbyło się otwarcie wystawy przez arcyksięcia Karola Ludwika. Dla łatwiejszego przeglądu obiéramy inną drogę i wchodzimy przez drzwi boczne od strony zachodniéj.

Uderza nas na wstępie tłum szaf, szafeczek, gablotek, w którym oko się gubi, spróbujmy wszakże się zoryentować. Na lewo mamy krościeńską „Prządkę”, towarzystwo tkaczy, które, nie zważając na

wystawę przemysłu włościańskiego w osobnym pawilonie, i na zbiór produktów tkackich na zbiorowéj wystawie Towarzystwa handlowego, wystąpiło w tém miejscu z kolekcyą swoich wyrobów. Daléj spotykamy p. Ihnatowicza z perfumami, słynnemi w Galicyi z umiejętnie układanych i prawdziwie po amerykańsku rozpowszechnianych ogłoszeń, jak niemniéj z licznych odznak, zdobywanych na różnych wystawach. W sąsiedztwie widzimy przemysłowców zagranicznych, szukających w Austryi zbytu dla swych towarów. Skręcając w pierwszą galeryę boczną przechodzimy koło wyrobów bialskich. Miasto Biała, położone na granicy Galicyi i Śląska, jest jedyną w całéj prowincyi siedzibą przemysłu fabrycznego, nie będącego dopiéro w początkach, lecz rzeczywiście na wielką rozwiniętego skalę. Przemysł ten, całkowicie w rękach cudzoziemskich będący, zajął sporo miejsca w pawilonie głównym. Tuż obok znajdujemy sukna z fabryki w Glinnéj pode Lwowem. Środek galeryi bocznéj zajmują: zapałki, cykorya, mydło, świéce, bulion, aż nareszcie w miejscu, gdzie się galerya rozszerza, wypada nam z respektem uchylić kapelusza: trafiamy na przemysł wódczany.

Wspaniałą piramidą z butelek zastąpili nam drogę pp. Baczewscy, firma, która dawno już rozpoczęła drugi wiek istnienia i czwartemu pokoleniu lwowian rozprasza troski. Daléj idą po kolei Bolanowice, Wieliczka, Izdebnik...

Wystawa galicyjskiego Towarzystwa gorzelniczego, na któréj zwraca uwagę ułożona umiejętnie mapa gorzelnictwa w Galicyi, i wystawa gorzelni szkolnéj w Dublanach zamykają ten dział.

Wracajmy do wielkiéj galeryi poprzecznéj. Mijamy dalszy ciąg wyrobów bialskich, oraz produkta powroźnicze z Radymna, przechodzimy koło kapeluszy, lalek, wyrobów krawieckich, bardzo ładnych kwiatów sztucznych pani Teodorowiczowéj, ażeby dłużéj zatrzymać się przy wystawie instrumentów muzycznych. Co za zmiana! Gdy na wystawie lwowskiéj w r. 1877 zjawił się pierwszy fortepian roboty krajowéj, nie chciano oczom wierzyć. Dziś mamy ich całe szeregi. By módz coś o nichpowiedzieć, trzeba posiadać choć trochę znawstwa.

Przychodzi wreszcie koléj na to, co w pawilonie przemysłu jest najgodniejszém widzenia, najbardziéj znamiennném dla chwili obecnéj i najwięcéj może dającém pojęcia o ruchu, jaki się tam odbywa. Wielkim wynikiem wystawy jest obok innych stwierdzenie niesłychanego rozwoju rzemiosł w miastach drugorzędnych i miasteczkach. Widząc piękne wyroby ślusarskie, nie dowierza się kartkom, na których czytamy nazwy miejscowości. Nikogo nie zadziwi piękny ży-

randol, wykuty u p. Kosiby we Lwowie, ani brama grobowcowa roboty p. Góreckiego z Krakowa, ale każdy stanie przed wyrobami p. Koniuszego z Tarnowa, p. Zajączkowskiego z Krasiczyna i tylu innych.

W wyższym stopniu można powiedzićć to samo o stolarstwie. Jest rzeczą naturalną, że pp. Wczelakowie we Lwowie rozporządzają i doborowym materyałem i wyćwiczonym robotnikiem i zapasem wzorów, tak samo, jak naturalném jest, że firma Muranyi'ch w Krakowie robi dokładnie, czysto i gustownie, ale nie przypuszczaliśmy, że w Stanisławowie umieją zrobić biurko tak wybornie utrzymane w stylu, jak to, które przysłał p. Fiedler, że p. Sworzeń w Rzeszowie, p. Kluz w témże mieście, p. Rogowski w Przemyślu, p. Molenda w Krasiczynie tyle mają gustu, że Gorlice, Bochnia, Rzeszów, Dębica tak ładną, razem wzięte, tworzą kolekcyę. To samo powiedzićć można o wystawie figur kościelnych i ołtarzy. Wiele tam jeszcze niekonsekwencyi stylowych i schlebiania gustowi pobożnych, ale gdzie już wyrabiają tak harmonijnie skończone rzeczy, jak ołtarz p. Cholewy z Przemyśla, tam stolarstwo jest na dobréj drodze.

Stolarstwo i ślusarstwo z bronzownictwem są może najwymowniejszemi przykładami niezwykłego rozwoju rzemiosł w miastach prowincyonalnych. Nie są atoli jedynemi. To samo dostrzedz można w dziale powozów. I tu zastosować się da to, cośmy powiedzieli wyżéj. Trudno dziwić się temu, że Lwów i Kraków wyrabiają powozy. Wyroby pp. Michalskiego i Stromengera we Lwowie i Meissnera w Krakowie znamy z wystaw poprzednich i wiemy, jak te ostatnie np. cenione są w Krakowskiém. Ale prawdziwie pocieszające wrażenie sprawiają wyroby nadesłane z prowincyi. Powozy p. Wójcickiego z Tarnowa, wózki p. Żmudzińskiego z Jarosławia są, jak nas zapewniano, tylko pojedynczemi okazami produkcyi, która z różnych stron kraju mogłaby o wiele więcéj nadesłać przedmiotów.

Z gałęzi przemysłu, rozwijających się w różnych punktach wymienić należy wyrób pieców kaflowych, które, jakkolwiek niczém nadzwyczajném nie uderzają widza, odznaczają się przeważnie robotą czystą i gładką. Pokrewny temu przemysłowi wyrób dachówek, rur drenowych i t. d. nie występuje zbiorowo. Okazy tego działu widzieliśmy częścią w opisanych wyżéj pawilonach wielkich majątków, częścią w mniejszych pawilonikach zbudowanych przez fabryki dachówek.

Nie przepisując katalogu wystawy, nie możemy wymieniać po

kolei wszystkiego, co się w pawilonie przemysłowym mieści. Zatrzymamy się już tylko w kilku jego punktach.

Więcéj, niż wiele innych działów, zwraca na siebie uwagę wystawa departamentów drogowych wydziału krajowego i namiestnictwa. Ponieważ połączona z nią jest bliskiém sąsiedztwem wystawa robót publicznych, wykonywanych pod kierunkiem namiestnictwa, przeto nasuwa się pytanie, czy wielkie roboty publiczne w dziale melioracyi i regulowania wód, przedstawione w pawilonie rolnictwa, nie byłyby tutaj stosowniéj pomieszczone. W każdym razie dział ten jest zajmującym, gdyż daje obraz dokonanego postępu. Długość dróg bitych wzrosła w Galicyi w dwójnasób od lat 25-ciu. W liczbie 8,400 kilometrów, które kraj posiada, znajduje się 5,200 zbudowanych, lub przebudowanych przez władze autonomiczne. Przez ćwierćwiekową praktykę wyrobiły sobie nawet te władze pewną odrębną metodę budowania dróg i mostów, stosowaną głównie przez inżynierów wydziału krajowego, téj naczelnéj władzy autonomicznéj. Odrębność ta zasadza się, jak nam tłómaczyli inżynierowie miejscowi, na używaniu oryginalnego systemu mostów drewnianych, stworzonego przez inżyniera Ibiańskiego, na budowaniu mostów i filarów z betonu, na używaniu do pokładów drogowych cegły, którą w znacznéj ilości wyrabiają cegielnie, będące własnością kraju, a wreszcie na systematycznem zmniejszaniu wszystkich znaczniejszych spadków. O stałéj dążności w tym kierunku świadczy nieustanne przebudowywanie dróg górskich, budowanych niegdyś przez rząd austryacki i znacznemi odznaczających się spadkami, a przebudowywanych dzisiaj przez władze autonomiczne.

Między wystawionemi modelami i planami robót publicznych, wykonywanych przez namiestnictwo galicyjskie i podległe mu instytucye, wyróżniają się modele gmachów wydziału lekarskiego we Lwowie. Pod względem rozmiarów i urządzenia będą to niezawodnie najlepiéj urządzone budynki szkolne w całéj Galicyi.

Koniec galeryi środkowéj zajęło w gmachu przemysłowym galicyjskie Towarzystwo handlowe. Instytucya ta, wystąpiła tu z wystawą zbiorową artykułów przemysłu, które wprowadza w handel. Mając na celu nietylko ożywienie handlu wewnątrz prowincyi, lecz pracując zarazem nad rozwinięciem stosunków z zagranicą, wystawiło Towarzystwo kolekcyę wyrobów, zakupionych w fabrykach położonych za granicami Austryi.

V.

Do rzędu pawionów, imponujących rozmiarami, należała wielka halla maszyn. Wyrób machin i narzędzi znajduje się w Galicyi w pierwszych dopiéro zawiązkach. Słusznie téż nadano temu działowi od razu charakter międzynarodowy. Przez długie jeszcze lata będą Galicyanie sprowadzali narzędzia i machiny z zagranicy, niemałą więc wyświadczył im komitet przysługę, umożebniając przegląd wszystkiego, co wyrabiają dziś kraje, będące naturalnymi dostawcami Galicyi.

Urządzenie tego działu jest wyłączną zasługą pana Władysława Niemekszy. Umieścić tyle olbrzymich machin w niewielkiéj stosunkowo przestrzeni, ustawić każdą tak, iż żaden z wystawców pokrzywdzonym się nie czuje, umiejętnie przeprowadzić transmisye, wszystko obliczyć i o niczém nie zapomniéć, rzecz to zaiste nie łatwa. Wywiązanie się z tego zadania usprawiedliwia w zupełności pochwały, które p. Niemekszę zewsząd spotykają. Przechadzka po obszernym budynku, w którym objął rządy, zaznajomi nas z jego dziełem.

Przewodnią myślą przy urządzaniu działu międzynarodowego było, iż należy nietylko pamiętać o machinach, których Galicya używa w istniejących już dzisiaj działach przemysłu, ale i o tych, które niewątpliwie sprowadzać będzie, jeżeli rozwiną się gałęzie produkcyi, będące dzisiaj w kolébce. Tą zasadą kierował się p. Niemeksza w podróży swéj do Czech, gdzie najwięcéj stosunkowo zjednał wystawie uczestników. Całą wystawę machin urządzono w przekonaniu, że ilość fabryk wzrośnie niebawem w Galicyi w sposób znaczny.

Wzniesiona obok halli machin kotłownia, urządzona z bardzo umiejętném wyzyskaniem miejsca, zaopatruje machiny w parę. Z czterech kotłów, funkcyonujących pokolei, trzy są wyrobami fabryk galicyjskich. Dwa, systemu Cornwall, pochodzą z fabryki Bredta w Ottyni pod Kołomyją, trzeci, systemu Stanisława Horoszkiewicza, o rurach płomiennych, jest dziełem fabryki p. Zieleniewskiego w Krakowie. Para, przeprowadzona z kotłowni rurami podziemnemi, wprowadza co dzień popołudniu ruch i życie do wnętrza ogromnéj halli. Na dane hasło, koła rozpędowe zaczynają się obracać, a w ślad za niemi wszystko, co tu widzimy, wpady w szalony wir.

Przypatrzmy się wystawionym przedmiotom pokolei.

Jeżeli wejdziemy od strony wschodniéj, widzimy po lewéj ręce firmę Pauksz z Landsbergu w Prusach. Fabryka ta, która oddawna zaopatruje Galicyę w gorzelnie, wystawiła tu całkowite urządzenie go-

rzelniane, obliczone na wyrób siedmiu hektolitrów spirytusu dziennie w dwóch zaciérach. Znawcy oddają wszelkie pochwały wystawionym aparatom, które świadczą, że fabryka pruska, chce się stale utrzymać na korzystném stanowisku, jakie sobie w Galicyi zdobyła.

Rzuciwszy okiem na ładnie wyrobione heblarki, tokarnie i świdry p. Hopfengaertnera, przechodzimy na prawą stronę głównego przejścia, gdzie się ulokowała firma najwspanialéj w tym budynku reprezentowana, firma Ringhofera z Pragi. Tylko przedsiębiorstwo nie liczące się z kosztami, gdy idzie o zabłyśnięcie przed obliczem świata, może się zdobyć na tak wielkopański występ. Mamy zatém nadesłane z Pragi wagony do piwa i mięsa, stosownie, według pory roku, ogrzéwane i ochładzane; mamy puszczaną codzień w ruch maszynę do robienia lodu; mamy przyrządy gorzelniane i cukrowniane. Maszyna, wyrabiająca lód, jest oczywiście wielkim magnesem dla publiczności. System, zastosowany tutaj, polega na mechaniczném zgęszczaniu amoniaku, który, ulatniając się następnie, zużywa tak znaczną ilość ciepła, iż woda, znajdująca się dokoła w rurach, odrazu w lód się zamienia. Maszyna parowa słu ży zatém do skrapla nia amoniaku za pomocą ciśnienia mechanicznego. Ponieważ zawsze ten sam amoniak skrapla się, a następnie ulatnia, by znowu przez ciśnienie być zamienionym w płyn, przeto ta sama jego ilość, bez zadnéj zmiany, służyć może przez lat parę do wyrabiania lodu. Można sobie wyobrazić, z jakiém zajęciem przypatruje się publiczność wydobywaniu brył lodowych, które pod względem kształtu porównaćby chyba można z olbrzymiemi jakiemiś karmelkami. Żadna inna maszyna takiém powodzeniem pochwalić się nie może.

W sąsiedztwie umieszczono wystawę pierwszéj berneńskiéj fabryki machin. Mamy tu przedewszystkiém motor parowy systemu Compound, o sile 120 koni, połączony z dwiema maszynami dynamo-elektrycznemi systemu Eggera. Motor ten spełniał na wystawie ważne i liczne funkcye. W halli machin połączony on był z aparatami firm Pauksch i Pollak, nadto poruszał motory drobne, umieszczone w budynku przyległym, utrzymywał w ruchu osobną grupę tartaków. Zkolei przechodzimy obok aparatu p. Muszyńskiego, służącego do otwiérania zamków z odległości za pomocą transmisyi elektrycznéj, a zatrzymawszy się obok wystawy inspektorów Towarzystwa zabezpieczającego kotły parowe, pp. Horoszkiewicza i Hornunga, gdzie widzimy bardzo zajmującą kolekcyę wszelkich uszkodzeń, stajemy znowu przed wielką wystawą zbiorową firmy Nowak i Jahn, gdzie obok aparatów gorzelnianych i piwowarskich, spotykamy maszynę do robienia lodu systemu innego, niż poprzedni. Bardzo pokaźnie przedstawiała się

wystawa fabryki czesko-morawskiéj w Pradze. Fabryka ta, która w ostatniém półroczu puściła w świat 72 sztuki machin parowych (z których każda po nad siłę 300 koni), zbiéra od znawców na wystawie lwowskiéj pochwały za warnik *(Vacuum-apparat)* Herolda, używany w cukrowniach.

Z kolei wymieniamy: aparat pana Arkuszewskiego z Łodzi, do oczyszczania wody dla kotłów parowych, wykonany w Bernie morawskiém; aparaty elektrotechniczne p. Gütchera z Białéj w Galicyi; młyny tarczowe p. Schmei z tegoż miasta, wyroby p. Twerdy'ego z Bielska; akumulatory p. Pollaka z Frankfurtu, cieszące się europejską sławą i przyrządy ceglarskie p. Wanniecka z Berna.

Przed samém wyjściem widzimy wystawę dwóch firm poznańskich. Na lewo ustawili swe machiny pp. Urbanowski i Romocki. Widzimy tu maszynę parową, gniotownik; kolumnę zaciérową, pompę parową, kadź zaciérną Henzego, pompę do wody i lokomobilę. Na prawo zajął ogromną część halli p. S. Cegielski, który zresztą i po za hallą machin znaczną ilość swych wyrobów zgromadził. Jedną z osobliwości całéj wystawy jest urządzona przez niego w osobnym budynku mléczarnia z centryfugą, przerabiającą 800 litrów mléka w ciągu godziny.

Raz jeszcze wypada nam przejść wzdłuż całą hallę machin, by przyjrzéć się nader bogatéj wystawie kolei rządowych galicyjskich. Dział ten, urządzony starannie przez inżyniera tych kolei, p. A. Wexa, przedstawia nam między innemi rozwój warsztatów kolejowych galicyjskich. Warsztaty w Sączu, Lwowie, Stryju, w których wagony kolejowe bywają naprawiane i przerabiane, są poważnym zadatkiem mających kiedyś powstać fabryk na wielką skalę. Model kolonii robotniczéj w Sączu wygląda na pierwszy rzut oka, jak odwzorowanie małego miasta. Rzeczywistą fabrykę wagonów posiada Galicya w Sanoku. Zakład ten, będący własnością p. Kazimierza Lipińskiego, posiłkuje się wprawdzie w znacznéj części wyrobami zagranicznemi, ale, budując wagony nowe, jest ogniskiem znacznego ruchu przemysłowego. Fabryka p. Lipińskiego rozwinęła się w przeciągu lat 8 z bardzo skromnych początków. Obecnie zatrudnia ona około 300 robotników. Oprócz wagonów wyrabia narzędzia i machiny, używane przy kopaniu nafty, a głębokie wiercenie na placu wystawy odbywało się za pomocą machin p. Lipińskiego. W dziale kolejowym wystawił p. Lipiński cysternę do przewozu nafty, ropy lub spirytusu, zbudowaną według przepisu kolei rządowych, takąż cysternę systemu „Lipiński-Feldbacher", złożoną z dwunastu luźnych beczek żelaznych, oraz różne części wagonów. Powstanie i rozwój fabryki p. Lipińskiego w Sanoku jest zna-

miennym rysem okresu, w jakim się galicyjski przemysł fabryczny w chwili obecnéj znajduje.

Opuszczając hallę maszyn, warto rzucić okiem na konstrukcyę całego budynku. Zajmuje on 3,348 metrów kwadratowych. Halla, zbudowana z żelaza i pokryta blachą falistą, wykonaną została w zakładach przemysłowych arcyksięcia Albrechta w Cieszynie.

Wielka halla nie mieściła w sobie wszystkich okazów międzynarodowego działu machin. Znaczna ilość narzędzi rolniczych znajdowała się pod gołém niebem. W mniejszéj halli, którą w ostatniéj niemal dobudowano chwili, ustawiono wyroby firm, nie mogących znaléść pomieszczenia w budynku głównym. Widzimy tu znaczny zbiór wag; między innemi wyroby firm lwowskich Stankiewicza i Pietscha, aparaty gorzelniane Quissecka i Gepperta z Białéj, oraz wiele innych przedmiotów, które w tak pobieżném streszczeniu pominąć musimy. Wystawie maszyn i narzędzi poświęcony jest prawie w zupełności pawilon zbiorowy, urządzony przez ministeryum węgierskie. Spotykamy tam wiele pierwszorzędnych firm peszteńskich i prowincyonalnych.

Osobny budynek wzniesiono dla tartaków. Znajdujemy tu wszystkie ich systemy. W grupie tartaków ruchomych zastosowano motory trojakie: parę, naftę i elektryczność.

Szczęśliwą myśl miała dyrekcya wystawy, starając się o uczestnictwo wiedeńskiego muzeum technologii przemysłowéj. Wzorowa ta instytucya pozostająca pod kierownictwem znanego na tém polu specyalisty, p. Exnera, wystawiła w osobnym pawilonie zbiór motorów drobnych, puszczanych w ruch codzień wieczorem. Motory drobne mieszczą dziś w sobie cząstkę wielkiéj kwestyi społecznéj. Gdyby się spełniły pragnienia marzycieli, którzy chcą wstawić ubogiemu rzemieślnikowi do izdebki tanią i małą maszynkę, mogącą konkurować skutecznie z wielkiemi machinami fabrykanta, centralizacya przemysłu otrzymałaby cios śmiertelny, kapitalizm zatrzymałby się w pochodzie. Dziś do spełnienia tych marzeń daleko, motory drobne są jeszcze za drogie. W każdym razie lekkomyślnością byłoby zaniedbywanie prób i usiłowań, które w wielu kierunkach okazują się już dzisiaj pożytecznemi,

ości mogą nowe otworzyć dla przemysłu drogi.

Na wystawie lwowskiéj widzimy w pawilonie muzeum wiedeńskiego motory i narzędzia, używane w przemyśle metalowym, stolarskim, krawieckim, drukarskim, skórnym i innych.

Pozostaje nam jeszcze wspomnieć w dziale maszyn o dwóch pawilonach: o pawilonie p. Krziżika i osobnym budynku pp. Zieleniewskich z Krakowa.

P. Krziżik objął przedsiębiorstwo oświetlenia elektrycznego wy-

stawy i puszczania w ruch wielkiego wodotrysku świetlanego, mieniącego się co wieczór grą przeróżnych barw. W pawilonie jego widzimy dwie ogromne machiny parowe i całe urządzenie dynamo-elektryczne.

Fabryka braci Zieleniewskich, istniejąca w Krakowie od lat 90, a wyrabiająca machiny od r. 1848, dała nam całkowity obraz swéj działalności. Wspomnieliśmy już przy opisie kotłowni, o kotle, wykonanym przez tę firmę. Przed pawilonym swym ustawili pp. Zieleniewscy obrotnicę dla lokomotym; w pawilonie widzimy zupełne urządzenie mechaniczne do gorzelni, maszyny parowe, pompy różnego rodzaju, do różnych służące przeznaczeń, windy, kotły, części odlewów, które fabryka wykonywa aż do wagi 20 tysięcy kilogramów, a wreszcie mnóstwo przedmiotów drobniejszych.

Naszkicowaliśmy najogólniejszy tylko obraz działu maszyn. Dział ten, za co dyrekcyi szczera należy się pochwała, nazwano jawnie działem międzynarodowym, unikając nawet pozorów, jakoby chciano wmówić w zwiedzających, iż Galicya posiada już naprawdę wielki przemysł żelazny. Jeżeli inne działy pokazują światu, jakie bogactwa ma ten kraj i w jaki sposób korzystać z nich zaczyna, to z działu machin mogą się Galicyanie dowiedziéć, gdzie im najdogodniéj będzie zaopatrywać się w to czego nie wyrabiają sami.

Wielką zaletą w urządzeniu tego działu, było przystosowanie go do potrzeb prowincyi. Jeżeli odliczymy niewielką ilość przedmiotów, wystawionych, że się tak wyrazimy, dla zaimponowania publiczności, to część pozostała jest w ścisłym związku z gałęziami przemysłu, rozwiniętego w kraju. Dlatego tak licznie zgromadzono przyrządy gorzelniane i piwowarskie, dlatego tak pilną zwrócono uwagę na cukrownictwo, które, zdaniem wielu, wejdzie teraz w okres rozwoju.

VI.

Wielkiém powodzeniem na wszystkich poprzednich wystawach galicyjskich chlubiły się wytwory tak zwanego przemysłu domowego. Można było przewidziéć, że na wystawie lwowskiéj zajmie on miejsce pierwszorzędne. Trudniéj było odgadnąć, jak wielkie od ostatniéj wystawy krakowskiéj poczynił postępy, jak się rozrósł i rozwinął.

Teorya i praktyka nie mogą dotychczas pogodzić się, gdy mowa o téj gałęzi produkcyi. Podług rozumowania wielu teoretyków, jest ten przemysł skazanym na śmierć pacyentem,który powinien był już dawno zastosować się do przepisów medycyny ekonomicznéj i wyzionąć du-

cha. Pacyent okazuje tymczasem niepospolitą ochotę do życia i ani myśli słuchać doktorów. Nieustannie powiększa się ilość rąk, w przemyśle domowym zajętych, wartość produkcyi wzrasta stale, a pole zbytu rozszerza się w oczach. Zjawisko to zasługuje témbardziéj na uwagę, iż widownią jego jest Galicya, a zatém kraj nie odcięty żadną linią celną od ognisk przemysłowych na Morawach i w Czechach, które go téż bez przerwy zaléwają swemi wyrobami fabrycznemi. Mimo téj powodzi importowanych fabrykatów, mimo niesłychanie niskiéj ich ceny, przemysł domowy kwitnie i wydaje owoce.

Losy tego przemysłu wszędzie niemal były do pewnego stopnia jednakowe. Początki jego są tak dawne, jak ród ludzki. Produkcya domowa na potrzebę domową była przez wieki i wieków dziesiątki najpotężniejszą formą wytwórczości. Wiek nasz śmiertelne zadał jéj pchnięcie i dziś już tylko w opowiadaniach ludzi, którzy dzieciństwo w jakichś niedostępnych spędzili zakątkach, spotykamy się z płótném domowém, świecami domowemi i mnóstwem innych przedmiotów, które świat dzisiejszy przywykł nabywać za gotówkę.

W miarę rozwijania się stosunków społecznych i rozpowszechniania podziału pracy, zamieniła się ta produkcya na gałąź zarobku, zaspakajającą potrzeby sąsiadów. Starodawnym obyczajem wyrabiano po chatach, a niekiedy po wsiach całych, przedmioty, które szły w handel i dalekie nieraz obiegały kraje. W wędrówkach tych musiał wyrób domowy spotkać się oko w oko z wyrobem warsztatowym lub fabrycznym.

Walka, jaka z tego spotkania wynikła, z różném powodzeniem na różnych toczyła się polach. Państwo, które fabrykom tak potężnéj przez lat wiele dostarczało broni, budując dla nich linie kolejowe, zakładając szkoły fachowe, wyznaczając premie i stypendya, użyczyło gdzieniegdzie pomocy i przemysłowi domowemu. Zaczęto rozsyłać po wsiach nauczycieli, dostarczano wzorów, zakładano muzea. Przemysł ten ocknął się i nabrał otuchy.

Tu atoli nowe zaczęło grozić mu niebezpieczeństwo. Chcąc współzawodniczyć z przemysłem fabrycznym, musi on uwzględniać wymagania nowożytnego handlu. Musi dostarczać towaru na kredyt, a czyniąc to musi żądać kredytu od tych, którzy mu dostarczają materyału surowego i narzędzi. Jeżeli zważymy, że producentem jest tu zbiorowisko różnych jednostek, rozsypanych po chałupach chłopskich, zrozumiemy, jak wielka tworzy się przez to zapora dla prawidłowego rozwoju.

W tym momencie zjawia się zazwyczaj w okolicy, gdzie przemysł taki istnieje, nowa postać, mająca w przyszłości pierwszorzędną

odegrać rolę. Jest to kapitalista-pośrednik. Ująwszy w rękę wszystkie stosunki między producentami a światem zewnętrznym, dostarcza im materyału i odbiéra towar gotowy. Zjawisko to powtarza się z dziwną regularnością we wszystkich krajach, posiadających ten rodzaj przemysłu. Wkrótce stosunek się zmienia. Pośrednik staje się jeneralnym wierzycielem. Producenci są jego dłużnikami. Zmuszeni przyjmować wszystkie warunki, nabywają u niego artykuły żywności i sprzęty domowe, aż nareszcie, utraciwszy resztę samodzielności, widzą jedyne dla siebie zbawienie w śmiałym kroku kapitalisty, który, przedzierzgnąwszy się z pośrednika w fabrykanta, przyjmuje ich do do swéj fabryki na robotników.

Stworzenie szkół przemysłu domowego, ułatwianie wyrobom zbyzbytu, zorganizowanie instytucyi kredytowych, chroniących producenta od wyzysku, oto najważniejsze zadania władz i stowarzyszeń, które otoczyły opieką przemysł domowy w Galicyi. Wyniki téj pracy zestawiono w pawilonie, urządzonym przez wydział krajowy.

Widzimy tu wiele dobrze nam znanych rzeczy. Widzimy wiele nowych.

Najpokaźniéj rozgospodarowało się tkactwo. W okolicach Krosna, gdzie po chałupach pracuje piętnaście tysięcy warsztatów, urósł ten przemysł do rozmiarów imponujących. Tkacz, z tamtych stron przybyły, opowiada nam o zmianach, jakie zaszły od czasów, w których ludność nie znała ulepszonych warsztatów, a lichwiarzy musiała prosić o grosz. „Dawniéj bywało, że chłop dawał żydowi sztukę płótna za kwartę mąki, a dzisiaj ujrzy już czasem i zégar w chałupie”.

Jeżeli te wyroby zasługują na uwagę z powodu rozmiarów produkcyi, to dla oka milszemi są niezawodnie barwne, a przytém harmonijne w swéj jaskrawości tkaniny włościan z wschodniéj części kraju, z pod Glinian, Okna, Kossowa. Tam żyje jeszcze w tradycyi prastary sposób farbowania wyrobów barwnikami roślinnemi, dającemi tkaninie świetność barw, któréj fabryka jéj nie nada i zapewniającemi tym barwom trwałość, któréj farby, chemicznie wytwarzane, nie mają.

Pod względem artystycznym więcéj od wyrobów tkackich zwracają na siebie uwagę roboty snycerskie. Tu z pociechą zaznaczyć trzeba, że nie napróżno odzywały się głosy, przemawiające za zwrotem ku motywom miejscowym. Nawet szkoła zakopańska, która systematycznie uprawiała modny renesans międzynarodowy, uległa nawoływaniu.

Nad udoskonaleniem przemysłu domowego pracuje w Galicyi trzydzieści szkół i warsztatów wzorowych.

Tkactwo ma główne ognisko w szkole tkackiéj w Krośnie. Siedm warsztatów wzorowych szerzy i doskonali różne rodzaje tego przemysłu, tradycyjnie przechowywane w różnych okolicach kraju.

W Wilamowicach, Rychwałdzie, Błażowéj, Łańcucie i Korczynie krzewią te warsztaty wyrób płócien, w Glinianach i Kossowie kwitnie fabrykacya kolorowych fartuszków, firanek, dywaników, a wreszcie w Rakszawie istnieje szkoła dla najmłodszéj gałęzi przemysłu, dla sukiennictwa.

Zakopane ma rządową szkołę snycerską, Kołomyja warsztat dla tegoż przemysłu, w Żywcu i Stanisławowie spotykamy warsztaty stolarskie, w Kamionce szkołę kołodziejską, a dwa warsztaty kołodziejskie w Grybowie i Grymałowie.

W Jaśle, Dżurowie i Czerwonéj Woli założono szkoły koszykarskie; w Zakopanem, Muszynie i Kańczudze szkoły koronkarskie.

Główném zbiorowiskiem garncarstwa jest Kołomyja. Od lat wielu istnieje tam szkoła fachowa, przestrzegająca pilnie czystości miejscowego stylu. W Toustem, na wschodnich kończynach prowincyi, i w Porębie pod Krakowem istnieją wzorowe warsztaty garncarskie. Dla robienia prób i doświadczeń założono we Lwowie stacyę doświadczalną ceramiczną.

Rozpowszechniona w innych krajach gałąź przemysłu domowego, przemysł metalurgiczny, ma w Galicyi dwa ogniska. W Świątnikach istnieje szkoła ślusarstwa, a niedaleko stamtąd, w Sułkowicach, wzorowy warsztat kowalski. Nigdzie może nie był tradycyjny przemysł domowy w tak strasznym upadku, jak w Świątnikach. Osadzie téj, żyjącéj z wyrabiania kłódek, przepowiadano ostateczną ruinę. Lud tamtejszy, nie umiejąc zarabiać w inny sposób, nie zmieniał mimo to zajęcia i brnął coraz daléj w nędzę. Wyroby świątnickie, nagromadzone na wystawie, świadczą o ogromném podniesieniu się tego przemysłu od owych smutnych chwil.

Dla dopełnienia obrazu musimy tu wymienić wzorowe warsztaty szewckie w Uhnowie i Witkowie, oraz warsztat powroźniczy w Radymnie.

Nie wszystkie wyroby przemysłu domowego zmieściły się w pawilonie, któryśmy właśnie opisali. Do grupy téj zaliczyć musimy przedewszystkiém wspaniałe makaty, wystawione przez hr. O. Potockiego, a wyrabiane na zwykłym warsztacie w Buczaczu, w dalszym zaś ciągu wymienić tu wypada mnóstwo drobiazgów, rozsypanych po chatach, stanowiących zbiorową wystawę etnograficzną, a rozłożonych wraz z dworem wiejskim, mieszczącym wystawę strojów, i cerkiewką

huculską, obejmującą nieocenione skarby ludowéj sztuki kościelnéj, po obu stronach parowu, wrzynającego się długą szyją w plac wystawy.

VII.

Mając to tylko na oku, co nam daje poznać ekonomiczne siły kraju i ich zastosowanie, przechodziliśmy mimo wielu pawilonów, opiérając się pokusie zajrzenia do wnętrza. Między budynkami, o których wspomnieliśmy, znajduje się atoli jeden, posiadający właśnie ze względu na ekomiczne życie kraju niemałe znaczenie.

Mamy tu na myśli pawilon towarzystw, na wzajemnym kredycie opartych.

Olbrzymie tablice mówią nam o rozwoju tych instytucyi. Towarzystw typu najbardziéj rozpowszechnionego, t. j. stowarzyszeń zaliczkowych i kredytowych (odpowiadających niemieckim *Vorschuss-Verein*'om, nie zaś warszawskim kasom zaliczkowym, będącym pospolitemi lombardami) było w r. 1892-im w Galicyi 265. Przy układaniu statystyki rozporządzano sprawozdaniami 226 stowarzyszeń. Obejmowały one 170,000 członków, których udziały reprezentowały sumę 5 milionów złr. Ogół udzielonych pożyczek wynosił z końcem roku $25^1/_2$ milionów złr.

Zajmującą jest statystyka członków. W ogólnéj liczbie 170,000 mieściło się 90,000 włościan, 33,000 kupców, 15,000 osób pracujących umysłowo, tyluż rękodzielników, 5,000 właścicieli nieruchomości miejskich i kapitalistów, 3,000 właścicieli dóbr i dzierżawców.

Stowarzyszenia o innym charakterze reprezentowane są w liczbie 71. Znajdujemy między niemi wiele spółek wytwórczych, popiérających przemysł domowy.

Osobna tablica mówi nam o kasach oszczędności. Nagromadzone w nich kapitały dochodziły w r. 1892-im do 60,000,000, w ciągu roku wpłynęło do kas 24,369,000, wypłacono 24,741,000 złr. W ciągu lat 30-tu powiększył się kapitał siedemnastokrotnie.

Kredyt, rozprowadzany przez te instytucye po wsiach i miasteczkach, ma dźwigać ruch przemysłowy, podnosić dobrobyt, a wraz z nią szerzyć moralność i samowiedzę.

Czy to posuwanie się ku lepszemu odbywa się krokiem dość szybkim?

Odpowiedź zależéć będzie w znacznéj części od niecierpliwości odpowiadającego. Skutki nie dorównywają w pierwszéj chwili wy-

tężeniu, z jakiém przystąpiono do pracy. Przed laty dwudziestu łożono na szkoły ludowe z budżetu krajowego 424,000 złr., w roku przeszłym półtora miliona, a z dodatkami z kas powiatowych i gminnych utrzymanie tych szkół przez przeciąg roku 1892 kosztowało 2,986,480 złr. Przez całe dwudziestolecie przybyło szkół 1,450.

Jakże powoli napozór powiększa się w porównaniu z tém ilość osób umiejących czytać! Przy spisie ludności w r. 1890-ym przekonano się, że na tysiąc osób, znajdujących się w siódmym dziesiątku lat życia, jest analfabetów 808, na tysiąc znajdujących się w drugim dziesiątku—już tylko 611. Postęp niezaprzeczony. Pokolenie młode może się pochlubić w porównaniu ze starém dwustu czytającymi na tysiąc głów; ale każdy, kto oblicza ofiary, poniesione na rzecz oświaty, spodziéwa się w pierwszéj chwili liczb o wiele pomyślniejszych.

Bo téż wszystko idzie stopniowo. W Krakowie na tysiąc głów było 293 nieumiejących czytać, w powiatach, pod Krakowem położonych, liczba ta wzrasta do 500, ale są za to w głębi Karpat powiaty, w których jest wyższą nad 900.

Zadaniem wystawy lwowskiéj było właśnie pokazanie gościom wszystkiego, co zrobiono, żeby ten powolny krok postępu ożywić. W pracy niniejszéj staraliśmy się nakreślić obraz tych usiłowań o tyle, o ile za dziedzinę obrały sobie zakres produkcyi ekonomicznéj.

Tadeusz Smarzewski.



J. A. FROUDE.

Po kilkotygodniowéj chorobie umarł w dniu 20 października r. b. w 77 roku życia, w wiejskiéj swéj posiadłości Salcombe, Jakób Antoni Froude, historyk i essayista. Śmierć jego jest dla piśmiennictwa angielskiego stratą ciężką, rzec można—niepowetowaną. W świetnym orszaku wielkich poetów i prozaików, historyków, filozofów i krytyków, którzy wypełnili swą twórczością erę Wiktoryi, zajmował on oddawna miejsce naczelne i zachował je, pomimo wymierzanych na siebie napaści i pomimo polemik, co około każdego z jego utworów się toczyły, — niewzruszone. Można nawet powiedzieć, że w ostatnich kilku latach, ów burzliwy, chmurny, błyskawicami przestrzeliwany horyzont, co się roztaczał nad nim, rozpogodzać i wyjaśniać się zaczynał. Najzaciętsi przeciwnicy dali mu za wygranę, a umysłowa jego fizyognomia w tak stanowcze ukształtowała się rysy, że żadnéj zmiany spodziéwać się już nie było można. Świat naukowy, angielski i europejski, wiedział już raz nazawsze, do czego Froude jest zdolny i w jakich on się duchowych kategoryach skrystalizował. Co do szerokich znowu warstw czytającéj publiczności; ta od wielu lat dziesiątków uznała go za mistrza, rozkoszowała się uroczą ponętą jego stylu, magiczną krasą jego języka, a gdy rozwijał przed nią barwne obrazy przeszłości i wskrzeszał wielkie historyczne postaci, słuchała go z natężoną uwagą, choć nie bez zdziwienia, wywołanego niespodziéwanemi wizerunkami inaczéj dotąd pojmowanych postaci

i epok. Tyle było życia i tyle dziarskości w jego talencie aż do chwil ostatnich, że naturalném było złudzenie co do dalszego jéj trwania. W istocie rzecz miała się inaczéj. Froude dzieło swego życia zakończył i mógł je opuścić z przeświadczeniem, iż złożył w niém świadectwo potężnego wysiłku duchowego. Co z jego dziełem zrobi przyszłość, ile jego prac wejdzie do panteonu ludzkości, to kwestya całkiem odrębna, któréj podéjmować obecnie nikt się nie poważy, a tém bardziéj jeszcze rozstrzygać. W każdym razie należał do najświetniejszych umysłów naszego stulecia i należy mu się coś więcéj nad pobieżną wzmiankę, w wieniec pochlebnych ogólników wplecioną. Może surowa prawda niejedną szramę w jego posągu wyżłobić, ale mimo tego ostoi się posąg i nie oszpecony.

Życie osobiste Froude'a nie było nacechowane zewnętrznie żadnemi dramatycznemi wypadkami. Nie brakowało w nim natomiast wewnętrznego dramatu, tego przedewszystkiém, jaki wybucha w duszy każdéj wyższéj indywidualności, usiłującéj rozwiązać problemat religijny. Zdarzyło się to w Oxfordzie, na fakultetcie teologicznym, do którego wysłany był Froude wraz ze starszym bratem przez ojca, prawowiernego pastora kościoła anglikańskiego i zajmującego w nim stanowisko hierarchicznie wysokie. Wśród normandzkich kolegiów *almae matris* wrzał około 1840 roku ruch buntowniczy przeciwko urzędowemu anglikanizmowi. Owa religia, która była kompromisem pomiędzy katolicyzmem a kalwinizmem, zaskrzepła oddawna w swym dogmatyzmie utylitarnym. Nie dawała karmi imaginacyi, nie zaspakajała serca, kiedy krytyczny racyonalizm znajdował w niéj zapory powstrzymujące samodzielny rozwój umysłów, i było do przewidzenia, że przy pierwszym silniejszym podmuchu rozbudzonego idealizmu pokażą się szczerby w téj archaicznéj budowie. Stało się to, gdy Keble, d-r Pusey i J. H. Newman przedsięwzięli rozbiérać i wyświécać podstawy anglikanizmu. Zbyt często opisywany był ten epizod duchowego rozbudzenia, znanego pod nazwą puseizmu, aby była potrzeba wchodzić w jego szczegóły. Wiadomo, że *Tracts for the time* wstrząsły posadami urzędowego kościoła i pociągnęły za sobą dwa następstwa wprost przeciwne: z jednéj strony logika posunęła najgenialniejszego z tych przywódzców religijnego odrodzenia do zerwania z anglikanizmem i do przejścia na łono katolicyzmu, z drugiéj tchnęła nowe życie w organizm anglikański, wskazała mu praktyczną działalność kapłańską, zbliżyła go do narodu, wciągnęła do spełniania obowiązków ewangelicznego miłosierdzia. Ten ruch wewnętrzny wśród kościoła narodowego, jako najeżony trudnościami, wymagał dłuższego czasu, ażeby się zamanifestować całkowicie i, istotnie, dopiéro po

upływie kilku lat dziesiątków widzimy za dni naszych plon téj siejby. Ruch ku katolicyzmowi za to objawił się natychmiastowo dzięki potężnéj indywidualności Newmana, który niebawem kardynalską ozdobiony został purpurą, a wśród zastępu kolegów uniwersyteckich, jego wpływ, blask, co inteligencyę jego opromieniał, porywał niejedną naturę wrażliwą i bujną. Do chwili obecnéj, wszyscy, co znali bliżéj wówczas Newmana, nie tają głębokiego, wstrząsającego wrażenia, jakie wywierał na swoje audytoryum, na swych kolegów i przyjaciół. Do najbliższych należeli obaj Froude'owie, a szczególniéj starszy Hurrell. Gdyby go właśnie w chwili, gdy ta kampania religijna toczyła się w świecie uniwersyteckim, nie była porwała śmierć nieprzewidziana, byłby niewątpliwie przeszedł za Newmanem do katolicyzmu.

Nie poszedł aż tak daleko młodszy, Jerzy, ale i on stanowczo się zachwiał w swéj wierze anglikańskiéj. Jako dowód najwymowniejszy burzy, co się w jego umyśle toczyła, wymienić można ogłoszoną wówczas przezeń książkę „Nemesis wiary". Jestto w rodzaj powieściowego opowiadania ujęta biografia młodega pastora, Markhama Sutherland, który zwerbowany i nieledwie gwałtem zaciągnięty do szeregów duchowieństwa, pomimo wątpliwości, jakie się w umyśle jego budzą, niebawem nabiéra takiego wstrętu do komedyi, którą odgrywać był zmuszony, że odrzuca bez wahania stanowisko, które zajmował, i zrywa wszystkie związki, jakie go z kościołem łączyły. Jest to tedy ta sama osnowa, co w niedawnéj powieści p. Humphry Ward: „Robert Elsmere". Czytelnicy wiedzą, jak piorunujące wrażenie wywołała ta ostatnia, chociaż cztery dziesiątki lat dzieliło te dwa utwory, podczas których idee agnostyczne wielce się rozwinęły. Z dzisiejszego wrażenia można łatwo wyobrazić sobie ówczesne. A ta jeszcze pomiędzy obu utworami była różnica, iż Robert Elsmere po zerwaniu z kościołem poszedł jako apostoł ewangeliczny pomiędzy lud cierpiący, kiedy bohatér Froude'a, jak zbuntowany Kain, grozi pięścią niebu, ale do żadnéj dodatniéj pracy się nie bierze. Był to utwór gorący, młodzieńczy i jeżeli nazwisko całkiem nieznane młodego pisarza nie utorowało mu drogi wpośród publiczności, to w świecie uniwersyteckim książka ta wybuchła, jak bomba, dynamitem ładowna. Rektor kolegium, Exeter, do którego właśnie Froude należał, wielebny Sewell, spalił w napadzie oburzenia „Nemesis wiary" wobec swych uczniów. Posłużyło to jako reklama dla książki, która natychmiast drugiego doczekała się wydania, ale jéj autor, który właśnie wówczas otrzymał święcenie na dyakona i miał wejść do szeregów duchowieństwa, zaniechał raz nazawsze tego zamiaru. Ten bunt dotknął go jednoczeście w materyalném stanowisku, bo zrzec się musiał dochodów, jakie na

całe życie zapewniał mu jego *fellowship* w kolegium oksfordzkiém. W trzydziestym roku życia, Froude osiedla się w Londynie i obiéra sobie piśmiennictwo i prace naukowe w dziale historycznym za stały zawód. Jak wiemy, blisko przez pół wieku miał sposobność udowodnić, że nie był to zamiar lekkomyślnie powzięty i że mu sił do jego spełnienia nie brakło.

Ażeby już do kwestyi religijnych przekonań Froude'a nie powracać, wypada powiedziéć, że był on nietylko deistą, ale szczerym wyznawcą Chrystusa. Ci, co go z okazyi jego śmierci, jako angielskiego Renana przedstawili, dali fałszywy jego wizerunek. Froude, jako historyk, który właśnie poświęcił swe życie opisaniu narodzin protestantyzmu w Anglii, znał zanadto gruntownie szczegóły jego powstania i rozwoju, aby mógł miéć jakiekolwiek co do jego świętości złudzenia. Nie mógł nigdy zapatrywać się inaczéj na anglikański kościół państwowy, jak na instytucyę polityczną. Mimo swoich opinii ściśle zachowawczych, nie jednoczył się z torysami w podtrzymywaniu i ochranianiu kościoła, którego upadek, jako instytucyi państwowéj, przewidywał. Spoglądał nań z wysoka, z rodzajem pogardliwego politowania i zostawiał go w spokoju. Pod tym względem, jak pod wielu innemi, znać było zawsze na nim głęboki wpływ jego mistrza i druha — Carlyle'a.

Kilka pierwszych lat po osiedleniu się w Londynie poświęca Froude pracom publicystycznym w różnych przeglądach miesięcznych, a przedewszystkiém w *Westminster Review* i *Fraser's Magazine*, którego przez czas jakiś był nawet naczelnym redaktorem. Niebawem świetne pióro, którém kréślił rozmaite studya i monografie, zwróciło na siebie powszechną uwagę i autor ich szturmem zjednał sobie odrazu wydatne stanowisko w literaturze. Większą część tych szkiców historycznych zebrał i ogłosił w czterech tomach p. t.: *Short Studies on great subjects*. Nie będzie zapewne zuchwałością powiedziéć, że ze wszystkich dzieł, z jakiemi staje on przed potomnością, te studya, pisane z różnych okazyi i w różnych przedmiotach w ciągu lat trzydziestu, będą, wraz z jego pracami o Carlyle'u, największym, najcelniejszym tytułem do nieśmiertelności. Niektórzy zaprzeczają mu dostojeństwa historyka i utrzymują, że mu brakowało wszystkich do tego warunków, a szczególniéj chłodnego sądu i bezstronności, ale nikt nie podaje w wątpliwość spostrzegawczéj bystrości, analizy wielostronnéj i nieporównanego malowniczo-opisowego talentu, jakie posiadał. Właśnie w zbiorze tych szkiców historycznych najwidoczniejsze są jego jasne strony, a mniéj uderzają ujemne.

Na czele tego zbioru studyów znajduje się jedno, którego mimochodem zbyć nie można. Nosi ono tytuł „Historya, jako wiedza”. Jeżeli nie wszystkie, to daje ono nam przynajmniéj niejedno z zapatrywań Froude'a na wiedzę historyczną i jest w stanie rzucić światło na własne jego stanowisko, które świadomie sobie w niéj obrał. Nie tai on naprzód, że braknie nam raz nazawsze źródeł, wystarczających do zrozumienia wielu najważniejszych wypadków przeszłości i że zawsze pomiędzy wypadkiém, jako takim, a nami, stawać będzie interpretacya indywidualna tego pisarza, który nas o nim uwiadomił. Doktór Faust słusznie przestrzega studenta, rozgorzałego zapałem do poznania ducha przeszłości, że jestto księga na siedm zamknięta pieczęci i że nie jéj duch, ale duch tego lub owego szanownego uczonego do nas w jéj imieniu przemawia. Mimo tego, ma on o zadaniu, spoczywającém na historyku wysokie pojęcie. Chociaż nie potrafi on odtworzyć przeszłości takiéj, jaką była istotnie, chociaż nie dozwoloném mu jest podnieść zasłony, kryjącéj przyszłość, to jednakowoż w słowach jego dźwięczy głos o moralnych prawach, jakiemi rządziła się ludzkość. „Zmieniają się opinie, zmieniają zwyczaje, religie pojawiają się i upadają, lecz prawa moralne są zapisane na tablicach wieczności. Za każde słowo fałszu i za każdy czyn niesprawiedliwy, za okrucieństwo i tyranię, za zdrożne chuci i próżność, zapłata będzie daną ostatecznie, nie zawsze przez głównych sprawców, ale zawsze przez kogoś. Tylko sprawiedliwość i prawda trwają i żyją. Niesprawiedliwość i fałsz mogą żyć długo, ale godzina sądu ostatecznego wybija nakoniec i dla nich, w formie rewolucyi francuskiéj, albo innych równie srogich”. Historyk nie potrzebuje stawiać teoryi i faktów do swych moralnych aksyomatów naginać dla udowodnienia tych lub owych celów rozwojowych, dla przepowiedzenia przyszłych faz, lecz iść pewnym krokiem naprzód, jak szli wielcy działacze historyczni, nie troszcząc się o chwilowe zawieruchy, z okiem w dal wytężoném. Można się na to zapatrywanie zgodzić, ale obawy nasze co do wyobrażenia, jakie sobie Froude o dziejopisarstwie czyni, budzą się, gdy czytamy o kilka stronic daléj, że celem historyka nie jest zrozumiéć i wytłómaczyć epokę daną, ale przez jéj malowidło wzruszyć czytelnika, przemówić do jego duszy. Iliada Homera, historyczna tragedya Shakespear'a, oto w jego oczach najwyższe słowo historyi: tryska w nich życie, tętni w nich prawda, nie zaś żadna teorya, z'góry postawiona. Wymagać od historyi, ażeby pisana była, jak dramat, jestto wprowadzać ją w sferę, która nie jest jéj właściwą, jestto wykręcać ją i wykolejać do celów, które są i które powinny być jéj obce. Fałszywe i jednostronne zapatrywanie, jakie Froude wtedy sformułował, ustaliło się u niego z postępem lat i wzniosło

do potęgi istotnego *credo*, a wkrótce się pokazało, jak dotkliwie na wartość jego prac historycznych wpłynęło.

Rozmaite postronne i dodatkowe prace nie oddaliły Froude'a od podjęcia i dokonania wielkiego dzieła historycznego. Obejmuje ono dwanaście tomów (a raczej trzynaście, włączając doń napisany przed paru laty epizod o Katarzynie Aragońskiej) i kosztowało go dwadzieścia lat pracy. Pierwszy tom wyszedł w 1856, ostatni w 1891 roku. Dzieło to monumentalne jest „Historyą Anglii od upadku Wolseya do zniweczenia armady hiszpańskiej" a zatém obejmuje większą część panowania Henryka VIII i Elżbiety — epokę najważniejszą w dziejach Anglii, tę która położyła niewzruszone podwaliny nowego organizmu wewnętrznego i przygotowała jéj rolę władczyni świata. Że epoka ta go kusiła do siebie, zrozumiéć snadno, chociaż i w religijném swém usposobieniu i w saméj naturze talentu musiał znajdować nie jedną do przezwyciężenia trudność. Ale zuchwałości, cywilnej odwagi nie brakło mu nigdy. Był to prawdziwy bodziec dla niego stanąć wbrew ogólnym tendencyom i przekonaniom, zrehabilitować ludzi na których nie tylko niepopularność, ale nieledwie klątwa publiczna ciążyła i zgotować im apoteozę a przytém zedrzeć kłamliwą maskę z oblicza tych co się niezasłużenie pod nią kryli. Carlyle, z którym w coraz bliższy wchodził stosunek, przelał w niego téż swoją fałszywą doktrynę o czci dla bohaterów, dla naczelnych działaczy wśród ludzkości. Wybrał sobie swoich i nie historyą narodu ale historyą grupy najwydatniejszych jednostek przyszedł opowiedzieć.

Nazwano jego historyę genialnym paradoksem. Henryk VIII, jéj bohatér, staje przed czytelnikiem w nowém zupełnie świetle: nie tyran to, nie nikczemnik, zasłaniający się pozorami publicznego dobra dla zaspokojenia swych osobistych chuci i namiętności, stwarzający religię państwową nie w przekonaniu o jéj prawdzie ale jako narzędzie swéj władzy, nie ohydny Sinobrody skazujący na śmierć jedne żony a zaślubiający drugie, etc. ale przeciwnie wielki, genialny mąż stanu o orlim poglądzie i daleko sięgających planach, depczący swe własne skłonności i interesa dla dobra państwowego. Sprawiedliwość — oto przewodnia idea, jaka ma dawać klucz do jego działalności. Ażeby takie zapatrywanie uzasadnić, albo przynajmniéj prawdopodobnem uczynić, potrzeba było wyjątkowego talentu, i nikt zaprzeczyć nie może, że Froude udowodnił iż go posiada. Jak wytrawny adwokat, tam gdzie jego klient nie może być uniewinniony, winę zwala na otaczające go osobistości, na podrzędnych pomocników. Tomasz Cromwell wznosi się w ten sposób do homerycznych kształtów i on to podsuwa królowi projekt sfabrykowania religii państwowej. Kuchnia, w jakiéj się

bigosik ów smażył odebrać musi z góry wszelki apetyt! Jedyną zasługą, jedyném usprawiedliwieniem, jakie znaleźć podobna dla tych niecnych konszachtów, którym anglikanizm swe narodziny zawdzięcza, jest, iż spotęgował w Wielkiéj Brytanii poczucie niezależności narodowéj i wyosobnił ją z pośród innych mocarstw. Trzeba tych późniejszych usług nie wypuszczać z pamięci, jeżeli się chce czytać spokojnie ohydną historyę wprowadzania protestantyzmu w Anglii, gwałtów i bezprawiów dokonywanych w jego imieniu, przekupstwa i nigdy niewidzianego zakupywania sumień całych warstw narodowych.

Na silniejszym stosunkowo gruncie obraca się autor, gdy go tok opowiadania prowadzi do panowania Elżbiety. O ile, osłaniał wady Henryka VIII, o tyle uwydatnia te, które kaziły postać królowéj-dziewicy. Chłosta je niemiłosiernie: jéj kokieteryą i lubieżność, jéj skąpstwo, zazdrość, pychę, jéj zamiłowanie intryg i podstępną przewrotność charakteru odmalował farbami jaskrawemi. Wstręt budzi nieprzezwyciężony do Elżbiety jako kobiety. Ale nie podobna mu wybaczyć, że postawił umyślnie w cieniu i należycie nie uwydatnił tych stron monarchini, które strącają jéj osobistość do podrzędnego drobiazgu. Owa jedność politycznego planu, któremu, raz go powziąwszy, służyła z wytrwałością podziwu godną, niezłamana przeciwnościami, zmieniając narzędzia, wyzyskując okoliczności, uwieńczoną została owocami wspaniałemi. Gdyby Froude był doprowadził jéj historyę do końca, nie mógłby się był sam powstrzymać od oddania jej hołdu.

Mimo swych wad, tak rażących, że się mogły wydawać umyślnemi, wielkie dzieło historyczne Froude'a znalazło powodzenie bajeczne. Gdy wykończyl dwa pierwsze tomy, żaden wydawca nie chciał zakupić rękopisu. Wydał dzieło własnym nakładem i znalazł w niém oprócz sławy, która go otoczyła raz na zawsze, źródło wielkiej fortuny. Ale jak zrozumieć łatwo, od samego początku wydawnictwa, krytyka historyczna wystąpiła przeciwko niemu zawzięcie, nieubłaganie. Chociaż dzisiaj, po upływie paru lat dziesiątków, namiętności wówczas poruszone, możnaby uważać za ostygłe, widzieliśmy że tak nie jest i ani przed czterema laty, gdy lord Salisbury powołał Froude'a na katedrę historyi w uniwersytecie oxfordzkim, ani wczoraj przy otwartym jego grobie, nie zmienili o nim sądu historycy krajowi. Odtrącili go oni ze swego koła, odmówili mu wszelkich kwalifikacyi na historyka. Wypada bliżéj temu sporowi się przypatrzéć a zmuszeni będziemy dojść do wniosku, że Freeman i Gardiner, tak samo jak Green, a zatém trójca najznakomitszych powag historycznych jakie Anglia posiadała za dni naszych, (i jakie do dziś dnia pomimo śmierci Freemana i Greena rzec można posiada jeszcze), miała po swéj stronie słuszność.

Ton ich napaści na Frouda może drażnić jego wielbicieli, ale niepodobna spuszczać z uwagi, że im chodziło o prawdę, a w obec niéj osobiste względy traciły znaczenie.

Prawda, najwyższy cel, jedyne istotne godło historyka, schodziło u Froude'a, jak to napomkniętém już zostało wyżéj, do drugorzędnego warunku, i stąd musiało pomiędzy nim a jéj wyznawcami przyjść do skrzyżowania mieczy. Łatwo było udowodnić nie jednym, ale setkami przykładów, że Froude ją lekceważył, że o nią nie dbał. Przytaczał dokumenty i daty pozbawione ścisłości, nie kontrolował źródeł, nie znał tych, które znać był powinien. Popełniał omyłki faktyczne elementarne. Surowy Freeman powiedział gniewliwie, że umyślnie fałszował on wypadki. Jeżeli nie trzeba brać tego oskarżenia dosłownie, to można powiedziéć, że nie szło Froude'owi o skrupulatną ścisłość. Utrzymywano powszechnie w naukowych kołach londyńskich, a piszący wielokrotnie słyszał powtarzany ten szczegół, że gdy lord Salisbury otworzył dla Froude'a swe archiwa rodzinne w Hatfield House, najcenniejsze źródło do poznania nietylko roli Cecila, ale całéj historyi Elżbiety, zajrzał on do nich przelotnie, a spędziwszy 24 godzin w Hatfield House, nigdy już do tych archiwów nie powrócił! Takie podejrzenie żywiono do dokumentów, które jemu tylko były dostępne, że np. dokumenty archiwów w Simancas, ogłoszone przez niego, nie są uznane przez historyków angielskich za wiarogodne, dopóki zgodność ich z oryginałami nie zostanie stwierdzona przez innych, sumienniejszych badaczy.

Nietylko że Froude grzeszył przeciwko téj faktycznéj, że tak powiemy, elementarnéj prawdzie, ale nie kusił się o pochwycenie owéj ogólnéj, wyższéj, leżącéj na dnie dziejowego prądu. Ażeby tę prawdę pojąć i wyrazić, należy wniknąć w duszę narodu, poznać wszystkie jéj fazy i głębokie zwoje, iść krok w krok za niezliczonemi manifestacyami społecznego bytu, odwrócić wzrok od naczelnych jednostek, lecz zrozumiéć ewolucye masy. Ani śladu tego u Frouda. „Życie publiczne narodu — powiada dosłownie — jest wyłącznie życiem kolejno po sobie następujących mężów stanu i polityków." Tylko człowiek czujący tak wyniosłą pogardę dla demokracyi, dla owych idei zasadniczych, co jak nić złota przesuwają się z jednych pokoleń do drugich i co zaznaczają postęp ekonomiczny i społeczny, tylko pisarz wyznający cześć dla bohatérów, któréj go Carlyle nauczył, mógł tak niezadawalniający sobie wytknąć ideał.

Nie mógł nakoniec być historykiem w podniosłém słowa tego pojęciu, bo nie mógł wznieść się do poczucia bezstronności. Nie żądamy od dziejopisarza, ażeby brał stronę tego lub owego stronnictwa,

tego lub owego działacza historycznego. Ta obrona adwokacka budzi nieufność, więcéj nawet — niesmak. Metoda pisania historyi uległa w ostatniéj ćwierci wieku radykalnéj zmianie. Nietylko że nie żądamy od historyka, ażeby stawał po téj lub owéj stronie, ale poszliśmy o jeden krok daléj: nie chcemy nawet, ażeby sądził wypadki, o których mówi. Wiemy, że wiele źródeł jeszcze pozostaje niedostępnemi, że prawdy całéj, wszechstronnéj znać jeszcze nam niepodobna, że zatém sąd jest dotąd przedwczesny. Wszystkie historyozofie, w których sobie dawniejsze pokolenia podobały, w niewielkiéj dziś mamy estymie. Krytyczna ocena dokumentów i źródeł, a nie synteza, oto hasło dzisiejsze. Wolno pisarzowi, posługując się historycznemi dokumentami kreślić nam ponętne obrazy dawnych epok i dawnych ludzi, ale żaden taki utwór nie ma prawa nazywać się historyą. Są to po prostu romanse historyczne. Takie to pisał właśnie Froude.

Nic lepiéj nie pokazuje istotnéj wartości historyków, należących do jednéj lub do drugiéj szkoły, jak miejsce przyznawane im przez pokolenie nie to, do którego oni należeli sami, ale to, co po niém nastąpiło. Zmieniła się metoda, zmienił sposób zapatrywania na dziejopisarstwo, a pisarz wczoraj wynoszony pod niebiosy, traktowany jest niemiłosiernie. Dwa przykłady takiego zwrotu opinii naukowéj daje nam dzisiejsza Anglia, która skasowała wyrok wczorajszéj. Jest powszechnie wiadomém do jak mizernych rozmiarów zeszedł dzisiaj Tom. H. Buckle, autor owéj „Historyi cywilizacyi angielskiéj”, tłómaczonéj na wszystkie języki i uważanéj za arcydzieło. Samo zacytowanie tego pseudo-historyka wystarcza, ażeby jego adepta okryć śmiesznością. To samo, choć naturalnie w mniejszym stopniu, ma miejsce z lordem Macaulay'em. Reakcya, jaka przeciwko niemu nastąpiła, nie dotknęła jeszcze szerokich warstw czytającéj publiczności, która się nim rozkoszować nie przestała, ale jest niezaprzeczoną w kołach naukowych. Wyrzucają mu tam nietylko jego krasomówczą retorykę, jego adwokacką stronniczość, jego brak głębokości sądu, ale przedewszystkiém płytkie pojęcie życia narodowego. W rozwlekłéj swéj historyi, która jest tylko pompatycznym artykułem dziennikarskim, nie rozumié społecznych zagadnień danéj epoki, i tylko pozornie, powierzchownie odtwarza życie przeszłości. Jako przeciwstawa tych historyków, obecna szkoła angielska czci Freeman'a o wiedzy gruntownéj, nieposzlakowanéj, o ferworze niewygasłym do zbadania przeszłości bez najmniejszéj troski o służenie téj lub owéj teoryi, lub doktrynie, czci Samuela Gardinera, który mozolnie, po trzydziestoletniéj niestrudzonéj pracy, wznosi z kamienia wykuty gmach dziejów

narodowych, suchy może i sztywny, ale rozświecający poraz pierwszy najciemniejsze zaułki chaotycznéj epoki rewolucyjnéj, czci nakoniec, i nietylko czci, ale kocha serdecznie Johna Ryszarda Green'a za jego „Historyę angielskiego ludu", za to dzieło, w którém po raz pierwszy naród ujrzał się jak w zwierciedle i cały swój rozwój historyczny zrozumiał.

Skoro Froude nie trzymał się skrupulatnie dokumentów, jak Freeman i Gardiner, skoro nie odtworzył nam przeszłości wszechnarodu, jak Green, lecz dał w formie wprawdzie nietylko retorycznie pięknéj i do zrozumienia łatwéj, jak u Macaulay'a, ale piękniejszéj jeszcze swą prostotą i entuzyastycznym ogniem, tendencyjny, a zatém koś awy wizerunek królów i ministrów, wodzów i biskupów, to nie można obwiniać krytyki, że go smagała bez ustanku, nie można zaprzeczyć, iż w pośród historyków nowego autoramentu, nie ma dla niego miejsca. Dwoma zdobyczami pisarze zdobyć sobie mogą nieśmiertelność: prawdą i pięknem. Skoro Froude tylko jeden z tych dwóch posiadł czynników, nie da się, gdy go wyłącznie jako historyka rozpatrujemy, wskazać mu miejsce u szczytów.

Powiedziano już wyżéj jak szerokie koło czytelników, jaki natychmiastowy rozgłos pozyskał sobie Froude, gdy ogłaszać zaczął historyę Henryka i Elżbiety. Uniwersytet szkocki w St. Andrews, uznając w nim, nie wiedziéć czy słusznie, gorliwego stronnika kalwinizmu, wybrał go swoim rektorem i rozmaite godności i dostojeństwa naukowe sypnęły się na niego. Urągając surowym wyrokom krytyki, pogardliwie odsuwając polemikę i pamflety, co go do zapasów wzywały, wziął się, zaledwie ukończywszy swą dwunastotomową historyę Anglii, do innéj pracy tego samego zakroju. Nowe jego trzytomowe dzieło, wydane w r. 1874, nosi tytuł „Anglicy w Irlandyi w XVIII-ém stuleciu". Nie łatwo na pierwszy rzut oka zdać sobie sprawę, co mu taki wybór doradziło. Nie popełni się prawdopodobnie omyłki, upatrując go w politycznych jego przekonaniach. Coraz więcéj sympatye jego zbliżały go do stronnictwa zachowawczego i nietylko był zachowawczym, jak to prawowiernemu torysowi przystoi, ale nie wahał się stawać po stronie osobistéj władzy monarchów lub pierwszych ministrów; na rządy parlamentarne spoglądał nietylko podejrzliwie, ale sądził je z drakońską surowością. Ponieważ właśnie w téj epoce stronnictwo zachowawcze wstąpiło w energiczną walkę z Irlandczykami i odmawiało im samorządu, którego się coraz głośniéj domagali, zatém Froude uważał za obywatelski, za patryotyczny obowiązek przyjść w odsiecz swoim towarzyszom i rzucić na szalę polemiki dnia całą ciężką amunicyę przeszłości historycznéj. Buńczuczny jego tem-

perament nie uląkł się wrzawy, jaką w takim duchu napisana historya wywołać musiała. Po wydrukowaniu swéj książki, Froude odbył podróż po Stanach Zjednoczonych, odczytując niektóre, najbardziéj kąsające jéj rozdziały w miejscowościach właśnie, gdzie wychodźcy irlandzcy przedstawiali potęgę liczebną przynajmniéj, jeżeli nie moralną.

Łatwo wyobrazić sobie okrzyk oburzenia i zgrozy, jaki wydała cała czytająca Irlandya na ten trzytomowy pamflet. Froude nie krył się ze swemi tendencyami. Jako uczeń Carlyle'a, czcił materyalną siłę. Saxon przedstawiał siłę, a więc panować, ba, nawet ciemiężyć Celta miejscowego miał prawo. Wszystkie nadużycia, gwałty i bezprawia, któremi shańbiła się Anglia w Irlandyi w ciągu XVII stulecia, były w oczach tego historyka koniecznemi manifestacyami władzy—koniecznemi, a zatém prawnemi. Z prawdziwie dramatycznym talentem autor ściele pod rydwan rasy zwierzchniczéj Irlandczyka spodlonego, zdemoralizowanego, niezdolnego ani być swobodnym obywatelem, ani uczciwym człowiekiem. Fakta i tutaj nie są sfałszowane materyalnie, ale tendencyjnie ugrupowane, tak, że światło na jedną tylko spływa stronę, zostawiając w grubym cieniu drugą. Do szeregu protestujących w imieniu historycznéj prawdy krytyków tym razem przyłączył się nowy zapaśnik — Lecky. Poważna osobistość głębokiego myśliciela i poważnego historyka wzmogła siłę argumentów, jakie mu irlandzki patryotyzm podyktował. Froude nie został przekonany, bo przekonanym być nie chciał, ale żadnéj już nie było wątpliwości, że historyi, dzisiejszym wymaganiom odpowiedniéj, od niego oczekiwać niepodobna.

Nowy niejako dział piśmienniczéj działalności Froude'a przedstawiają dwie jego książki wydane po jego dziele o Irlandyi, mianowicie *English in West Indies* i *Oceana.* Są one owocem jego podróży po świecie kolonialnym brytańskim, po Indyach wschodnich, południowéj Afryce, Australii i Nowéj Zelandyi. Przedsięwziął niektóre z tych podróży na własną rękę, inne jako delegat lorda Carnarvona, ówczesnego ministra kolonii. Misya jego, która nie była dokładnie określona, i była rodzajem osobistéj ankiety, do jakiéj ministeryum zachowawcze upoważniło swego gorliwego stronnika, przyprawiła następnie gabinet o nie małe kłopoty, gdy opinie i wrażenia wyniesione przez Froude'a z jego podróży drukiem ogłoszone zostały. Jak łatwo sobie wyobrazić, był on, nim jeszcze lord Beaconsfield dla wyrazu imperyalizm prawo obywatelstwa wywalczył, imperyalistą w całém słowa tego znaczeniu. Nietylko losy i przyszłość Wielkiéj Brytanii, ale przyszłość świata i cywilizacyi była w jego oczach nieodłącznie

związana z posiadaniem jaknajwiększéj liczby kolonii. Nie mógł on w gorącym swym patryotyzmie przeboléć straty niektórych posiadłości, a przedewszystkiém Stanów Zjednoczonych, zazdrosném okiem spoglądał na rywalizujące z Anglią co do kolonizacyi mocarstwa europejskie i pragnął jaknajściśléj połączyć kolonie dzisiaj posiadane z metropolią. Nie wystarczał mu organizm federacyjny, który uważał za zbyt luźny, chciał czegoś więcéj — rodzaj prowincyonalnéj zależności. Łatwo sobie wyobrazić, z jaką podejrzliwością spoglądał na całkowitą niezawisłość niektórych z wielkich państw zamorskich, nominalnie już tylko od metropolii zależnych. W słynnym, a tak surowo mu wyrzucanym aforyzmie pseudo-historycznym, uczynił arystokracyę odpowiedzialną za stratę Ameryki, klasę średnią za nadanie samorządu koloniom, a demokracya miała tę dezorganizacyę do ostatecznego kataklizmu doprowadzić, jeżeli rząd centralny nie stawi jéj mężnie czoła.

Jeżeli *jingoism* angielski mógł tym poglądom Froude'a przyklaskiwać, to łatwo sobie wyobrazić, że w pośród świata kolonialnego, świata pełnego życia, młodzieńczego zapału, zuchwałych dążeń emancypacyjnych, wywołał natomiast więcéj niż oburzenie, rodzaj zgrozy patryotycznéj. Gradem posypały się protestacye. Udowodniono mu czarno na białém, że rozprawia o kwestyach, których nie zna, że nie wniknął w szczegóły organizacyi miejscowéj, że powierzchownie się tylko tym lub owym koloniom przyjrzał, że nie dopatrzył się różnic pomiędzy niemi istniejących, i łatwo było jego licznym antagonistom schwytać go, i tu znowu na faktycznych omyłkach. Gdy wystąpił ze swojém bezwzględném, niemiłosierném potępieniem rasy murzyńskiéj, gdy się ośmielił żałować zniesienia jéj niewolnictwa i gdy przypisywał téj emancypacyi materyalną ruinę niektórych kolonii, cały zastęp liberalny, całe sumienie humanitarne zaprotestowały energicznie. Ekonomiści, którym urągać lubił, zawtórowali w tym chórze złowieszczym. Ukuto wówczas wyraz *Froudacity*, który to neologizm oznaczał cyniczne, zuchwałe urąganie prawdzie.

Można nie sympatyzować z zapatrywaniami Froude'a, ale mimo tego niepodobna, jeżeli się jakikolwiek smak literacki posiada, nie być oczarowanym jego sposobem traktowania problematu kolonialnego. *Oceana* jest poprostu arcydziełem. Autor umyślnie obrał tytuł, który wskrzesił wspomnienie sir Johna Harringtona, który w XVII-ym wieku w poetycznéj wizyi pierwszy nakreślił pod tym właśnie tytułem plan wszechświatowéj potęgi Wielkiéj Brytanii. Geniusz Cromwella mógł już wówczas ocenić wspaniały pomysł, który po upływie dwóch wieków miał się przynajmniéj w wielkiéj części, jeżeli nie całkowicie

urzeczywistnić. Ten sam wielki nastrój dźwięczał u Froude'a. Ogrom zadania, jakie widzi przed swym narodem, napełnia serce jego jakimś świętym dreszczem. Rozszerzyć granice owéj ciasnéj Anglii, nietylko ciasnéj fizycznemi kresami, ale egoistycznemi interesami jednych, hałaśliwą, jarmarczną hecą drugich, wydawało mu się koniecznością. Dlatego niepewnością drażniony, raz złorzeczy demokracyi, to znowu od téj nowéj siły spodziéwa się dokonania herkulesowego zadania, do którego inne czynniki społeczne energii nie posiadają. Nie ma w *Oceana* żadnego dogmatyzmu i dlatego musi oddziaływać potężnie na każdy umysł niezależny. Nie ma tam także sztywnéj systematyczności. Autor pisze rodzaj dziennika podróży, i razem z nim przebiegamy nietylko lądy i morza, ale powracamy do wielkich poetów i myślicieli przeszłości, którzy byli nieodstępnymi towarzyszami tego wykształconego, zamiłowanego w obcowaniu z wybranymi duchami, umysłu. Nie wiele znamy książek, któreby pobudzały więcéj do myślenia.

Do téj saméj epoki twórczości Froude'a należy „Szkic o Cezarze", który istotnie nie jest niczém więcéj tylko szkicem. Widocznie, zamierzał on specyalnie zająć się dziejami Rzymu, jak świadczy o tém świetne studyum o „Antoniuszu i Kleopatrze", jedna z ostatnich jego prac. Nie ma potrzeby rozwodzić się nad „Życiem lorda Beaconsfield'a", które po jego śmierci na wezwanie przyjaciół i dowódzców stronnictwa torysowskiego napisał. Jak się samo przez się rozumié, nie może tego rodzaju biografia rościć pretensyi do monografii historycznéj: jest dla niéj pod wszystkiemi względami zawcześnie. Jestto *oratio pro domo sua* i nie politykowi, ale pisarzowi, jak zwykle przyklasnąć mu trzeba.

Gdy w r. 1892-im umarł profesor Freeman, głowa i przywódzca historycznéj szkoły angielskiéj, nieśmiertelny autor *Norman Conquest*, luminarz uniwersytetu oksfordzkiego, na wakującą po nim katedrę powołał pośpiesznie znajdujący się wówczas u steru rządu lord Salisbury Froude'a. Niewątpliwie, że było to wstąpienie na katedrę Oksfordu, tego Oksfordu, gdzie jego młodzieńczą książkę spalono, gdzie mu odjęto *fellowship*, że objęcie katedry historyi, od któréj to gałęzi wiedzy odsądzili go historycy i objęcie jéj po Freemanie, który był stałym i zawziętym jego przeciwnikiem, nie można wątpić, powiadamy, że musiało to być dla Froude'a tryumfem, i ową zemstą, która podług znanego aksyomatu jest potrawą, co ma być spożywana na zimno. Przez lat trzydzieści mogła była mściwość owa ostygnąć; czy ostygła istotnie, pozostało to osobistą tajemnicą Froude'a. Nominacya jego została przyjętą w świecie naukowym z oburzeniem. Z okazyi jéj

powiedziano słusznie, że uniwersytety nie powinny służyć dla mężów stanu za arenę, gdzie się przeciwnikom politycznym zadaje ciosy i że nie swego stronnika, ale najgodniejszego przedstawiciela wiedzy powoływać tam wypada. Nie szczędzono sarkazmów i jak w urzędowéj przemowie jeden z antagonistów Froude'a oświadczył, śmierć Freemana, stała się opłakańsza jeszcze po dwakroć skoro takiego dano mu następcę.

Krótko trwała profesorska działalność Froude'a, ale okazał się jéj całkowicie godnym. U studentów posiadł prawdziwą popularność do wytłómaczenia łatwą tym osobistym czarem, jaki w rozmowie i bliższém zetknięciu nie omieszkiwał nigdy na swoje otoczenie wywierać. Ale i odczyty jego za rok pierwszy, tylko co właśnie drukiem ogłoszone, korzystny sąd o nim wydać nakazują. Osnową ich było „Życie i listy Erazma”. Skomplikowana, a o tak wielkim wpływie osobistość tego duchowego ojca reformacyi, miała od młodych lat nadzwyczajny interes dla Froude'a, który mu jedno ze swych wcześniejszych studyów był poświęcił. Obecnie ogłoszona jego korespondencya dała mu powód do gruntownego zbadania prodromów reformacyi, nad którą Erazm króluje. Nie ma najmniejszego śladu starości, wycieńczenia i bledniejącego talentu w téj biografi tryskającéj życiem. Forma szkicowa, dorywcza, napomknienia i aluzye do współczesnych stosunków, czynią te odczyty niezmiernie interesującemi. Może więcéj XIX-ty aniżeli XVI-ty wiek odzwierciedla się w tym obrazie Froude'a, ale tam, gdzie samemu Erazmowi przez swą korespondencyą przemawiać pozwala, autor pokazuje nieporównaną umiejętność grupowania faktów i wydatnéj charakterystyki. Nie ma wątpienia, że ta praca o Erazmie znajdzie taką samą szeroką popularność, co i dawniejsze jego prace krytyczne. Macaulay miał zwyczaj mawiać, że najwyższą jego ambicyą było, ażeby na stole każdego salonu obok najnowszéj powieści znajdowała się jego „Historya Anglii”. Nie wiadomo, czy ambicye Froude'a nie były wyższe, ale że tego właśnie celu dopiął, zaprzeczyć się nie daje. Każdy wykształcony czytelnik z upodobaniem powracał do historyka, który, mówiąc o przeszłości, ciągle współczesne zagadnienia poruszał. Jego styl płynny, pełen nieporównanego wdzięku, w swéj prostocie i łatwości, zawsze zastosowany do okoliczności, o któréj mówił, plastyczny, obrazowy, snadnie przebiegający całą skalę od patetyczności do żartobliwych wybryków, brał w swe sidła i najpotworniejsze paradoksy, tendencye, na które się godzić nie było można, czynił nietylko znośnemi, ale nawet powabnemi.

Nie wspomnieliśmy z umysłu dotąd o trzech pracach Froude'a

poświęconych Carlyle'owi, ażeby toku charakterystyki jego prac historycznych nie przerywać. Zajmują one zresztą miejsce tak poczesne w zakresie jego piśmienniczéj spuścizny, że należało traktować je odrębnie.

Dwie wielkie osobistości wywarły przeważny wpływ na Froude'a: w młodzieńczych jego latach był jego mistrzem duchowym—Newman, w późniejszych i na cały jego przebieg dalszy wpływał Carlyle. Mówiliśmy już wyżéj, że Newman wstrząsnął jego przekonania religijne i jeżeli nie powiódł go za sobą aż do katolicyzmu, to zrobił zeń raz na zawsze heretyka wśród anglikanizmu. Dalsze życie rozdzieliło ich szlaki i można powiedziéć, że Froude nosił na sobie ślady Newmanizmu przynajmniéj co do wewnętrznego entuzyazmu, który przeniknął jego naturę, a w formie stylu i języka może być wymieniony jako jeden z rzadkich pisarzy, którzy się na tym klasycznym modelowali wzorze.

Ale jeżeli nie pozostał raz na zawsze w duchowéj zależności od Newmana, to przypisać to należy okoliczności, iż poznał się z Carlylem w téj epoce życia, kiedy jeszcze znaleść i wybrać można dla siebie mistrza, ale która jest ostateczną epoką modelującą ducha. Raz na zawsze Froude stał się lenniczym wasalem fantastycznego despoty, co przez pół wieku jarzmo swe światu anglo-saskiemu narzucał. Otwarcie to sam przyznaje, oświadczając, że pomimo usiłowań jakie nieraz czynił, ażeby swoją własną indywidualność zamanifestować, nigdy nie mógł się wyzuć z kategoryi, przez jakie mu Carlyle na świat spoglądać nakazał. Ci z krytyków, którzy, rozbiérając fenomenalny wpływ mędrca z Chelsea na swą epokę, zauważyli, że wszelako zeszedł do grobu bezpotomnie i żadnego ucznia po sobie nie zostawił, coby jego doktryny był sobie całkowicie przyswoił, zapomnieli widocznie o Froudzie. Jeżeli Carlyle sobie pochlebiał, iż objął po Goethe'm berło umysłowe, to Froude skromniéj się wyrażał, ale czuł niewątpliwie, że on tylko jeden wszedł do samego jądra ducha autora *Sartor Resartus*'a i że on jedynie tradycye po nim przekazać może potomności. Umiérający Hegel powiedział, że żaden z jego uczniów z wyjątkiem Rosenkrantza go nie rozumiał, a że i ten zawsze go nie rozumié. Carlyle był wdzięczniejszy względem Froude'a, oświadczył, że on pojmuje go całkowicie, okazywał mu ufność zupełną i złożył jéj dowód, czyniąc go w swym testamencie, sporządzonym jeszcze w roku 1873-im, spadkobiercą swych literackich pozostałości, zlecając mu w ośm lat późniéj wydawnictwo swojéj korespondencyi i korespondencyi swéj żony. Wystarczyłoby już dla uchronienia imienia Froude'a

od zapomnienia to zjednoczenie imienia z imieniem Carlyle'a wobec potomności.

Od Froude'a też oczekiwano wyjaśnienia wszystkich tych stron charakteru i tych okoliczności dotyczących Carlyle'a, które on za życia chronił w umyślnym półcieniu. Zaledwie wróciwszy z pogrzebu swego starego przyjaciela i mistrza, gdy złożył wraz z historykiem Lecky na samotnym wiejskim cmentarzu szkockim zwłoki oryginalnego myśliciela, Froude wziął się do spełnienia swego zadania. W trzy miesiące późniéj pojawiły się naprzód *Reminiscences*, t. j. wspomnienia, następnie trzy grube tomy listów Joanny Walsh Carlyle, żony filozofa, wydane przez Froude'a, a nakoniec dwutomowe dzieło „Czterdzieści pierwszych lat życia Carlyle'a".

Wrażenie, jakie te prace wywołały, dwie pierwsze szczególniéj, są nie do opisania. Pożerano je, i w miarę jak rysował się całkowity obraz postaci Carlyle'a, prawdziwe osłupienie zapanowało, kończące się ironicznym wybuchem śmiéchu jednych, okrzykami zgrozy drugich. Mówiono o ojcobójstwie, o świętokradztwie, o pogrobowéj zdradzie. Nie było zarzutu, któregoby Froude'owi nie uczyniono. Rzecz dziwna: gdy w historycznych swych opowiadaniach usuwał epizody, nie pasujące do *à priori* postawionéj tezy, czyniono mu wyrzuty i nazywano fałszerzem, teraz znowu, gdy, jako wydawca, bez najmniejszych wyjątków całą korespondencyę swoich bohaterów ogłosił i gdy w nagiéj prawdzie ukazał Carlyle'a, oskarżano go o zbyteczną wierność, skrupulatność, łajano go za brak taktu, wykazywano, że nie miał prawa odkrywać słabych stron bożyszcza i zdziérać z posągowéj postaci téj aureoli wielkości, w któréj się nurzała. Napróżno Froude odpowiadał, że, jako wydawca listów żony Carlyle'a miał jasno sobie nakréśloną drogę, nie udało mu się przekonać tych wszystkich, którzy odrazu spostrzegli, że sympatya, co się do niéj zwróciła, była przedtém wyłączną własnością jéj męża. W biografii Carlyle'a, którą prace swe, o nim zakończył, starał się też nieco ton pierwotny zmienić i zbyt jaskrawe barwy osłabić; pominął niektóre usterki i nałogi najbardziéj wstrętne, jak ów cynizm i urągliwy sarkazm, którym mizantrop smagał wszystkich, co się inaczéj jak on na świat zapatrywać poważyli, ale wszystkie te poprawki przyszły już były zapóźno. Odurzeni gromem maczugi nie mieli już czytelnicy zmysłu dla subtelniejszych rozróżnień.

A prawda wyznać nakazuje, że taką, jaką jest, biografia Carlyle'a jest idealnie napisaną biografią, niezaprzeczoném arcydziełem piśmienniczém. Wśród setek dzieł, o Carlyle'u napisanych, ona jedna stałe, niewzruszone zajmie miejsce i raz na nazawsze stawia w upoka-

rzającém oddaleniu wszystkie inne prace biograficzne, nie wyłączając nawet Nortona. Tak poważni krytycy, jak np. d-r Garnett, najsurowiéj nawet traktując Froude'a, wyrzucając mu, że nie cześć dla prawdy, ale chęć zrobienia wrzawy kazała mu takie podéjrzanéj uczciwości zająć stanowisko, zmuszeni byli oddać pokłon wyjątkowemu talentowi, z jakim praca ta dokonaną została.

Ostatnia ta literacka awantura pokazała, że Froude nigdy obojętnym dla publiczności angielskiéj być nie może, że ilekroć głos zabiéra błyskawice skrzyżują się po nad jego głową. Niepodobna tedy wypowiedziéć, w jakiéj formułce ciasnéj ostatecznego o nim wyroku, a najlepiéj będzie zastosować tutaj słowa, w jakich d-r Johnson zamknął długie wyliczanie usterek, które w jego oczach posiadał Burns: „Był to wielki mąż". Gdy zamiast mąż powiemy pisarz, oddamy Froudowi hołd, do jakiego ma niezaprzeczone prawo.

D-r *M. E. Trepka.*



Nad jeziorem Chautauqua.

(ŁUŹNE WRAŻENIA Z PODRÓŻY).

Rzadko kiedy zdarzyło mi się oglądać tak uroczą okolicę. Przed olbrzymiém oknem wagonu przesuwają się domki rolników. Schludne i kształtne, przypominają raczéj nasze wille. Chatki zwykle szarawéj barwy. Nad niemi w górze obracają się różnéj wielkości wiatraczki studzienne, opodal brudno-czerwonawe gumna kąpią się w półmgle, przetkanéj promykami porannego słońca. Każdy szczegół świadczy o zamożności fermerów. Kiedy niekiedy osada znika w gąszczu drzew owocowych, które ciągną się rzędami i otulają budynki— tylko strzecha unosi się ponad tym przyodziewkiem z zieloności. Jeszcze częściéj spostrzegam pola warzywne: na rżysku po kukurydzy czepia się uschłéj łodygi jakiś owoc w rodzaju naszéj dyni, tylko jaskrawo-czerwonéj barwy. Może dlatego rzuca się tak w oczy i sprawia wrażenie, że jest uprawiany gęściéj niż w saméj rzeczy, bo wzrok mój zatrzymuje się wciąż nad tym brzydalem. Czasami ułożono na ziemi sporą gromadkę z tego kraśnego owocu, widocznie przeznaczoną jest na sprzedaż. Dom za domkiem, gaj owocowy za gajem, pola z czerwonemi a brzuchatemi dyniami uśmiéchają się do nas i niebawem chowają, przyprószone im daléj, tém silniéj lekkim całunem mgły porannéj. A oko wyraźnie dostrzega, że to, co pozostało za nami w tyle, jakoś w dół się zapada. Nie myli się ono, jedziemy bowiem po wyniosłéj pochyłości, oddzielającéj jezioro Chautauqua od

wielkiéj macierzy wód—jeziora Erie. Pomiędzy jeziorami rozpostarł się wał, mający zaledwie jakiś dziesiątek mil angielskich szerokości, lubo różnica w poziomie jest znaczna, bo powierzchnia wód chautauquańskich wznosi się o 800 stóp po nad toń eryjską.

Grunt jest coraz bardziéj pofałdowany i dziksze widoki rozpościérają się zamiast niedawnéj sielanki. Więcéj a więcéj wąwozów i pagórków, i częściéj pokrywa je naturalna szata gęstwiny leśnéj. Powaby przyrody splotły się z wysiłkami ręki ludzkiéj i stworzyły z tego zakątka istny ogród, pół-dziki, pół-cywilizowany. A chociaż jesień wycisnęła już na okolicy swoje piętno, chociaż żółtawa purpura przebija się pomiędzy zielenią i liśćmi usłała murawę, przyroda zaś w ospałości swojéj błaga o spoczynek, przecież osobliwy urok unosi się nad tą łagodnie poszarpaną przestrzenią i im szerzéj słońce rozprasza całuny mgły, z tém większą mocą czaruje turystę. Teraz coś błysnęło przed nami. To Chautauqua srebrzy się w dali, jeszcze spowita w tumanie i do dawnych czarów dodaje nowe.

* * *

Zostawiliśmy za sobą Mayville i jesteśmy na miejscu, w owéj Chautauqua, które imię na skrzydłach rozgłosu obiegło świat. Ale minęły dni świąteczne! Czujemy to na każdym kroku, kiedy stąpamy po téj ziemi nowych wzorów i nowych zwyczajów. Z wrześniem nastaje cisza w tych gajach i na tych brzegach, które tak oryginalném a hałaśliwém tętnią życiem w porze lipcowéj i sierpniowéj. Mytnik nie ściągnął z nas haraczu za wejście na grunta tego filozoficzno-atletycznego kiermaszu, któremu, ażeby znaleść pokrewne urządzenia, musielibyśmy się cofnąć aż do igrzysk olimpijskich starożytnéj Hellady. Przed kilku tygodniami zoczylibyśmy przy wrotach cerbera. Wydałby on nam kartę pobytu, ściągnąwszy, odpowiednio do zamierzonéj gościny, mniejszą lub większą kwotę podatkową. Ale wkupne to posiada wiele przymiotów, bo naprzód nie ma przeraźliwych rozmiarów, wynosi na miesiąc zaledwie parę rubli—istotny drobiazg przy taniości pieniędzy w rzeczpospolitéj zamorskiéj. Jedyny tu w swoim rodzaju haracz na globie ziemskim. Chautauqua wyznaje wspaniałą zasadę: każdy grosz, przez nas uiszczony, daje nam przywilejów bez liku. Złożywszy ten okup, zyskujemy tém samém bezpłatne wejście na codzienne odczyty publiczne i koncerty, dostajemy prawo do stąpania w zbiorowych obchodach i dysputowania na wiecach, słowem, stajemy się obywatelami tego osobliwego obozu-uniwersytetu, jaki rozlokował się na tarasach, co pokryte zielonością i odświeżane powiewem

z jeziora, tak uroczo przeglądają się w wodach, niby zakochane w własnéj piękności.

Niestety, przybyliśmy o niewłaściwéj porze. Gwar, który unosił się nad wzgórzami i rozlegał się w gajach, zamarł, a wielotysięczna rzesza, która na łonie przyrody tak osobliwie połączyła odpoczynek z nauką, gimnastykę umysłu z ćwiczeniami mięśni, życie nieraz na pół obozowe z dobytkami cywilizacyi, wróciła do zmudnéj taczki życia codziennego. W Chautauqua pozostali jedynie ci, kogo do tego uroczego zakątka przykuły warunki bytu. Stali mieszkańcy patrzą na mnie z podziwem, po co do tych miejsc przywędrowałem, kiedy już wszyscy dawno odlecieli i jak Marek podaniowy po piekle tak tułam się wśród ciszy i przyglądam pustym halom. Ale nawet te pustki pociągają mnie ku sobie! Milczą, przecież w swém milczeniu składają jeszcze tak wymowne świadectwo... Tylko co minąłem lekki budynek, służący za halę muzyczną. Stylem swoim przypomina mi on domki szwajcarskie. Dokoła idzie galerya, nad nią miejscami druga. To konserwatoryum letnie, prowadzone według trybu amerykańskiego, to znaczy w sposób mocno odróżniający się od rutyny wykładowéj w Europie: prócz lekcyi muzyki i odczytów o jéj historyi, teoryi i wpływach, hala zajmuje się urządzaniem koncertów publicznych i pochodów muzykalnych podczas sezonu obozowego. Mijam jeszcze drugi i trzeci budynek, każdy o odmiennéj architekturze: ta hala ubrała się w szaty doryckie, inna przypomina mi nasze kościoły małomiasteczkowe, dwie niby-wieże z kadłubem pośrodku patrzą się na mnie. A wszystko kąpie się, t. j. musiało się kąpać w zieloności. Jeszcze obecnie murawa jest utrzymana niby kobierzec salonowy, drzew wszędzie bez liku, osada cała wygląda jak gdyby była wybudowana w leśnym parku. Coś w rodzaju Otwocka, mnóstwo mniéj lub więcéj kształtnych domków, rozproszonych w gęstwinie leśnéj i nad wodami jeziora. Gdybym, puściwszy wodze fantazyi, przedstawił sobie w umyśle miasta dalekiéj a szczęśliwszéj przyszłości, to właśnie wyobraziłbym je sobie nie w innéj postaci. Płód rozigranéj fantazyi występuje tutaj jako drgająca życiem rzeczywistość. Park zaś ów nie wstydzi się swego pochodzenia. Na każdym kroku otwarcie przyznaje się do tego, że jest dawnym borem, przez który przeprowadzono ulice i uliczki, w którym pobudowano domki i wille, gdzieniegdzie zaś wytrzebiono większe place, wszędzie zaś zręcznie uporządkowano, chociaż nie zgwałcano, porywy dawnéj wolnéj przyrody.

Błąkam się rzekomo bez celu w tém rozrzuconém a bezludném miasteczku. Oko z przyjemnością kąpie się w nieładzie, w jakim pozornie stoją domki, po większéj części drewniane i bardzo skromne,

chociaż tu i owdzie nie braknie wspanialszéj willi. Ulice przeniewierzają się aż nazbyt zasadom przyzwoitéj prawidłowości, budynki usadowiły się w różnéj od siebie odległości, te stanęły rzędem nad tonią jeziora, tamte wstydliwie kryją się w gąszczu, każdy zaś współubiega się z innym o głębszą ciszę i piękniejszą zieloność. Uliczka, może godziłoby się powiedzieć, dróżyna, opatrzona drewnianym chodnikiem, biegnie pomiędzy drzewami i chowa się w lesie i tam wije się i skręca wężykowato od domku do domku. Idziemy po niéj. Strumyk szemrze w gęstwinie ucywilizowanéj zlekka, zręczny mostek z pniów, zalotnie naśladujący nieokrzesane kształty wiejskiéj kładki z poręczami, cisza leśna, jędrne, świéże powietrze... Woda płynie u dołu z cichym pluskiem, a w tym szmerze wyobraźnia chwyta echa gwarnych korowodów nad ruczajem, i deklamacyi zmieszanych z dysputami filozoficznemi, i szeptów miłosnych. Przyrodzie zostawiono jéj wdzięki naturalne i nie ośmielono jéj znieważyć tresurą koszarową. Swawoli ona jak smarkacz amerykański, któremu wolno nabić sobie guzów bez liku na łbie, byleby tylko saméj głowy nie roztrzaskał. Oparty na poręczy mostku wypatruję, czy z po za drzew nie bieleją płócienne namioty. Wiem, że ich nie ma, lecz łudzę się nadzieją, że może zoczę jakiegoś niedobitka. Bo te kilkaset domków, z jakich składa się Chautauqua, nie wystarczają na potrzeby rzeszy, która podczas lata napływa z dalekich okolic, ani nie zawsze przypadają do gustu letnikom, którzy znalazłszy się tutaj, chcą nacieszyć się przyrodą. Przedsiębiercy budują obozy, złożone niekiedy z setki i więcéj namiotów. Na ziemi ułożona jest z desek podłoga, nad nią rozpięto nieprzemakalne płótno, prosty stolik, łóżko żelazne i bujający się fotel stanowią całe umeblowanie. W pośrodku stoi drewniany barak z werendą, to restauracya. Może wygodniś nie będzie zadowolony w takim obozie, niejeden z swojskich letników pogardliwie wykrzywi usta na taką poziomość gustów, ale Amerykanin nie zważa na przesądy, ani obawia się prostoty. Organ miejscowy daje rady przewyborne: „lęka się ktoś drobnych niewygód — niechaj w domu siedzi!”, „zabiérajcie z sobą co najlepsze pledy, jezioro bowiem leży 1,200 stóp nad poziomem morza i bywa tam czasami zimno nawet w sierpniu!” Obozowy tryb życia stwarza taniość, utrzymanie całe kosztuje na tydzień zaledwie pięć dolarów, co przy stopie zarobku za morzem odpowiada tylu naszym papiérkom. A kto rozporządza środkami pieniężnemi, w olbrzymim hotelu *Atheneum* może znaleść wszelkie wygody. Ludzie wszelkiego stanu i położenia, *all sorts and conditions of men*, znajdują w Chautauqua odpowiadającą swojéj zamożności i swoim skłonnościom

strzechę nad głową. Innych różnic rzeczpospolita letnia nie zna i znać nie chce.

* * *

Kultura zamorska posiada w sobie sporo takiego, co wychuchany zdechlak ochrzciłby mianem prostactwa, lubo świadczy ono o męskości i naturalności. Oko ogląda tam niejednokrotnie namioty w uroczych zakątkach: nad jeziorami, w gąszczu leśnym, na wysepkach. Na upartego, w niejednym z takich obozów ujrzałoby wieczorem w pośrodku proste ognisko. To *yankee* używa wczasów na łonie przyrody! A obozy takie bywają różnéj wielkości i różnego celu. Niekiedy szkoła na parę tygodni wynosi się pod gołe niebo studyować naturę. Np. „wolna akademia" w Rochesterze ucieka do kniei na ośm tygodni, połowę tego czasu obozują chłopcy, drugie pół — dziewczęta. Przepisy surowe nakazują młodzieży spędzać cały czas na świeżém powietrzu i ćwiczyć swoje mięśnie. Kilku nauczycieli kieruje mustrą, gimnastyką, boksowaniem, nauką pływania; odbywają się systematyczne wykłady geologii i biologii, zdejmowanie pomiarów i fotografowanie. To czasami znowu tysiąc osób i więcéj wynosi się do gajów tonąć w zachwycie mistyczno-religijnym: słuchają one tam kazań, śpiéwają hymny pokutne, wywołują w sobie dreszcz skruchy. Niekiedy taki *revival* liczy do dziesięciu tysięcy uczestników. Z podobnych namiotów narodziła się téż Chautauqua. Knieje ciągnęły się jeszcze przed laty trzydziestu na tych wzgórzach, po których stąpamy. Komuś z pośród metodystów spodobała się okolica, zwołał współwyznawców na ćwiczenia religijne. Obok rozpamiętywań urządzono wykłady o Biblii dla nauczycieli, pracujących w szkółkach niedzielnych. Z tego skromnego zaczątka narodziła się Chautauqua dzisiejsza. Powtórzono zbory pod gołém niebem w drugim i trzecim roku na coraz większą skalę, do wykładów z Historyi świętéj dodano kurs pedagogiki. Aż wreszcie ktoś wpadł na myśl zorganizowania stałego związku, który pod nazwą *Chautauqua Assembly* wniesiono 1873 r. do aktów stanu nowoyorskiego. Zasady zboru dosyć proste. Na czele stoi zarząd, wybiérany przez właścicieli gruntów w Chautauqua, prezydent i kanclerz spełniają obowiązki swoje bezpłatnie, inni członkowie pobiérają tyle, ile płacą swoim urzędnikom pokrewne instytucye, wszelkie zyski idą na utrzymanie względnie rozszerzanie fundacyi. A dochody są nielada, w ubiegłym roku wynosiły bowiem na naszą monetę około 300,000 rubli! Z funduszów są opłacani profesorowie, wydawany stały miesięcznik, oraz czasowy organ codzienny

podczas lata, przeprowadzone wodociągi, wznoszone nowe gmachy i utrzymywane stare. Rozumié się, zaczątki były bardzo skromne. Zamiast uroczego miasteczka z halami szkolnemi bielały tylko namioty. Cele zaś były jeszcze mniéj pokaźne. Założycielom szło tylko o to, ażeby podnieść poziom oświaty pomiędzy nauczycielami, którzy wykładali w szkółkach niedzielnych. Chcieli oni wyrobić z nich pedagogów uzdolnionych, przedewszystkiém zaś poznajomić ich z Historyą świętą. Ale fundacya niebawem przyjęła szersze rozmiary. Kurs, obliczony na dwa tygodnie, przekształcił się na uniwersytet, trwający przez tyleż miesięcy, nauka religii na wykłady o wiedzy świeckiéj, namioty na hale i pracownie. A co jeszcze niezwyklejsza, twórcy umieli dotrzymać kroku rosnącemu swemu dziełu. Wiek, który szronem osypał ich włosy i może zgarbił postać, bynajmniéj nie ostudził zapału, ani nie zniżył polotu. Przywykliśmy do tego, ażeby ci, którzy zrobili na pewnéj drodze krok naprzód i powołali coś gdzieś do życia, tém samém dawali za wygranę wszelkiemu postępowi i swoim uporem szkodzili zwycięstwu własnéj myśli. Związek chautauquański nie zna takiéj sztywności. Stworzył go kapłan, metodysta. Ale nie uląkł się świeckiéj nauki, ani pozytywizmów lub materyalizmów. Stojąc u steru zarządu, bezustannie rozszerzał zakres kursów i nie obawiał się pomocy heretyków. Nauka więc nowoczesna z swemi uogólnieniami i wnioskami wyryła sobie w Chautauqua szerokie koryto i przedostaje się do umysłów licznéj gromady letników. A wśród dziwów rzecz najosobliwsza, że rosnący z każdym rokiem obóz, mimo że wyhodowali go sekciarze, nietylko nie wyklinał nauki świeckiéj, ale równie nie rzucał i nie rzuca gromów na inne sekty. Każde wyznanie jest równouprawnione w obrębie gruntów Chautauqui. Rok rocznie widzi ona na swojém terytoryum parlamenty religijne na drobną skalę: przedstawiciele różnych sekt, jeden po drugim, wstępują na tę samą mównicę i tym samym słuchaczom, do których przemawiał poprzednik, wykładają główne zasady swego obrządku, niekiedy toczą się dysputy, ale jeden drugiemu nie wydrapie oczu, bo młodsi wiekiem starcom wrogiego obozu podają ramię i wprowadzają na trybuny. W Ameryce rozpowszechnia się czysty deizm, powiadający, że wszystkie nauki są tyluż manowcami, prowadzącemi ku téj saméj prawdzie, która jest jedna i powszechna. Ci różni kaznodzieje wyłuszczają ją ze swegu punktu widzenia, zebrani zaś niechaj oceniają, który stoi najbliżéj skrytego źródła owéj prawdy.

Chautauqua do dnia dzisiejszego nie zrzuciła z siebie szaty swojéj pierwotnéj. Otrząsnęła się ze ślepego dogmatyzmu i wzięła rozbrat z nietolerancyą, ale hołduje niezmiennie duchowi religijnemu.

Właśnie w obecnéj chwili stąpam po najwymowniejszém świadectwie, że poczęła się ona w takim duchu i w nim wytrwała. Jestem bowiem w parku palestyńskim, który ciągnie się równolegle do toni jeziora. Amerykanin poglądowość uprawia nawet w nauczaniu Historyi świętéj! Dla unacznienia dziejów Biblii, stworzył olbrzymi model ziemi palestyńskiéj. Wody jeziora są morzem śródziemném, naturalnemu zdaje się ruczajowi nadano bieg Jordanu i zmuszono go wléwać się do stawu, przedstawiającego morze Martwe. Od téj słonéj kotliny podnosimy się w górę rzekomego Jordanu i po zrobieniu kilkuset kroków mamy przed sobą pagórek. To góra Hermon, z któréj możemy przyglądać się pasmom górskim i dolinom ziemi świętéj, jéj miastom i wodom. Nawet skały, które piętrzą się w parku, pochodzą z Chanaanu, aż stamtąd bowiem przywieziono głazy! Podczas lata bywa tutaj niekiedy bardzo gwarnie, od czasu do czasu zapraszany bywa jakiś z turystów, który zwiedzał Palestynę. Dni jego pobytu są wielką uroczystością dla dziatwy: oprowadza on młodą generacyę po miniaturowéj ziemi świętéj i opowiada o tém, co widział na własne oczy. Jeszcze częściéj czyni to nauczyciel. W bliskości wznosi się muzeum pamiątek biblijnych, oraz panoramy Jerozolimy. Wszystko to są środki pomocnicze do wykładów, miewanych dla dzieciaków codziennie w *Children's Temple*. Dodajmy do tego widoki stereoptyczne, drzeworyty, rozdawane z opisami Palestyny, jéj ludności i zwyczajów, czytane głośno podróże po jéj terytoryum, a będziemy mieli jakie takie pojęcie o chautauquańskim trybie nauczania Historyi świętéj.

* * *

Jesteśmy przed sanktuaryum chatauquańskiém. Na siedlisko dla téj świętości wybrano gaj, leżący na panującéj wyniosłości. Wśród drzew bieleje *Hall of Philosophy*, lekki, powiewny budynek, spoczywający na kolumnadzie doryckiéj. To zbór koła naukowo-literackiego! Z ostatnim dniem sierpnia, kiedy *Chautauqua Assembly* zwija swoje wykłady i ludziska rozjeżdżają się, dla zarządu bynajmniéj nie wybija godzina odpoczynku, raczéj nastaje okres ciężkiéj a mozolnéj pracy, w porównaniu z którą nawał zajęć w porze letniéj jest igraszką. Komitet kieruje szkołą na łonie rodziny i w zaciszu mieszkania prywatnego dla osób, które z braku czasu lub z innych powodów nie mogą uczęszczać do zakładów naukowych, a przecież chcą czegoś się poduczyć. Osób zaś takich jest mnóstwo w Ameryce. Pełno tam ludzi ambitnych, acz nie o téj chorobliwéj a histerycznéj ambicyi, która przywdziewa na siebie maskę fałszywą, rada, że naiwni pozłotę wez-

mą za jedno z istotném złotem. Za kantorkiem w sklepie, albo w drobnym kramiku, w fabryce i w kuchni, ba, nawet na świeżym rudunku pod strzechą drobnego farmera — t. j. naszego włościanina, znajdzie się ktoś, chcący nieco zgłębić tajemnice otaczającéj go przyrody, oświécić się w sprawach społecznych, zdobyć teoryę uprawianego przez siebie zawodu. Ten, zamknięty w swojém ustroniu, nie może dostać najmniejszéj wskazówki; tamten przebywa wprawdzie w gwarniejszém ognisku, ale w nawale pracy zaledwie godzinkę czasu dziennie zdoła obrócić na kulturę swojego umysłu. I otóż komitet związku chautauquańskiego pośpiesza z pomocą tym samoukom, troskliwie a starannie uwzględniając warunki, w jakich garną się oni do wiedzy. Ułożył kursa systematyczne samouctwa, które wymagają paru lat pracy półgodzinnéj, względnie godzinnéj dziennie. Wszedł w stosunki ze znakomitościami, które podjęły się ułożenia odpowiednich podręczników, oraz z firmami wydawniczemi, od których bierze w komis dzieła pierwszorzędnéj wartości i ułatwia samoukom nabycie ich po zniżonéj cenie. Wydrukował *syllabusy* (rodzaj drukowanych kierowników) do studyów ogólnie kształcących, wydaje miesięcznik, który dostarcza zdrowéj lektury. Ułożył *memoranda* — notatniki do każdéj z polecanych książek, do których samouk wpisuje rzeczy przeczytane, aż wreszcie otrzymuje przewyborny skrót tego, czego się nauczył, postronny zaś czytelnik dostaje probierz, pozwalający mu osądzić, czy ów ktoś skorzystał cokolwiek i jak zrozumiał autora. Stworzył systematyczne kursa w zakresie kolegium, ale opracowywane w domu: każdy z samouków, który uiścił odpowiednią, bardzo małą opłatę, otrzymuje schemata, według nich studyuje przedmiot i wypełnione posyła kilkanaście razy do „biura korespondencyjnego”, które rozwiązuje wątpliwości, daje wskazówki i uczniowi wytyka słabe strony. Za pomocą korespondencyi, lecz z zachowaniem pewnych ostrożności wolno złożyć egzamin i otrzymać dyplom honorowy, w praktyce nie posiadający zresztą najmniejszéj wagi.

Ale samotna praca nie zawsze bywa wydajną, nieraz zaś jest nazbyt kosztowna. Przynajmniéj komitet zarządzający jest tego zdania, że osoba pojedyncza, skoro rozporządza tylko własnemi siłami, nigdy nie dopnie tych rezultatów, jakie zdobędzie naówczas, kiedy wysiłki swoje zsolidaryzuje z wysiłkami sąsiadów, zmierzających ku temu samemu celowi. Kółka wprowadzają wymianę myśli pomiędzy uczestnikami i starcie poglądów, usuwają opaczne wnioski z rzeczy przeczytanéj, uczą bronić swego zdania, z groszaków nagromadzonych pozwalają dojść do biblioteki i pracowni i nawet płacić za wykłady. Zarząd więc troskliwie wyszukuje apostołów idei chautauquańskiéj, którzyby

w różnych zakątkach Stanów Zjednoczonych organizowali zbory samouctwa. A dzieje się to w sposób iście amerykański. Nauczyciel, który przejął się był pomysłami chautauquańskiemi, kaznodzieja miejscowy lub publicysta zwołują meeting, tam wykładają cele samouctwa, organizują komitet lokalny, wchodzący w stosunki z organizacyą centralną, i pomiędzy ludnością miasta wywołują zainteresowanie. Tworzą się kółka i gromadzą biblioteczki, ktoś zjeżdża i za niską opłatą w paru lekcyach wykłada zasady danéj gałęzi wiedzy—w tym wypadku prąd chautauquański zléwa się z innym, jeszcze obszerniejszym, demokratyzacyą wykształcenia uniwersyteckiego. Członkowie zbiérają się na zabawę, urządzają wycieczki i na podstawie oświaty wiążą się w grupę koleżeńską, wzajemnie uczącą się i pospołu bawiącą.

Tak wygląda szkielet wewnętrzny, który tyle daje pojęcia o istotném życiu, ile każdy podobnie suchy schemat o téj różnobarwności i wartkości, jaka pod nim się ukrywa. Broszurka, w którą zaopatrzyliśmy się na drogę, ów szkielet przyodziewa nieco muskułami. Znajdujemy tam listy samouków, pełne wdzięczności za pomoc otrzymaną. Pochodzą one z najrozmaitszych zakątków i od osób znajdujących się w bardzo odmiennych warunkach. Ktoś, zagnany losami aż do kniei Amazonki, pisze: „Przeczytałem wasze sześć książek, siedząc na skale olbrzymiéj nad zléwem rzek Rio-Negro i Rio-Bianco, wśród Andów, na wiele mil dokoła nie miałem innego sąsiedztwa nad chatę ubogiego Indyanina. Jaką łaską nieba jest Chautauqua dla osób, które zostały zagnane do takiéj dziury na pół cywilizowanéj!” „Jestem matką ośmiorga dzieci—dziękuje jakaś Amerykanka. — W ciągu lat czterech pracowałam nad kursem, o ile na to pozwalały okoliczności. Nie byłabym tém, czém dzisiaj jestem, gdyby wasze kierownictwo nie zwróciło myśli moich ku czemuś wyższemu, niż troski życia codziennego!” „Kiedym począł nieco zarabiać—spowiada się młodzieniec—postanowiłem pieniądze, które szły na tytoń, odkładać na kupno książek. Ktoś powiedział mi, że istnieje Chautauqua i wielokrotnie dziękuję mu za to, że życiu memu przysporzył nowe źródło uciechy.” Znaleźli się entuzyaści, przeważnie z pośród kapelanów, którzy słowo, poczęte w Chautauqua, ponieśli do armii i w mury więzień. Jeden z takich zapaleńców opowiada o skutkach swojéj propagandy: „Nocą odwiedzam celki. Więźniowie siedzą przy stolikach i mają przed sobą książki i papiéry. Zasypują mnie gradem pytań. Chautauquański system kształcenia skierował ich myśli w inną stronę i kształci smak więźniów w zakresie czytania. Niektórzy otwarcie przyznają się, że przedtém nie czytali nic porządnego. A czytanie lepszych rzeczy pro-

wadzi do lepszych myśli, lepsze zaś myśli są w każdym razie pragnieniem lepszego postępowania". A jeżeli mamy zawierzyć statystyce związkowéj, któréj nie ufać niepodobna, to okaże się, iż z górą 200 tysięcy samouków korzystało ze wskazówek, udzielanych przez organizacyę — od r. 1878. Czy wciągu tego czasu ogół wszechnic niemieckich może pochlubić się podobnemi owocami swojéj pracy? Pamiętajmy zaś, że w tym zastępie nie ma karyerowiczów, którzyby zdobywali pozory wiedzy celem otumanienia łatwowiernych, oraz, że samouctwo amerykańskie jedynie zaspakaja łaknienie wiedzy — nic więcéj.

Otóż *Hall of Philosophy*, które bieleje pomiędzy drzewami, jest w porze letniéj świątynią organizacyi samouctwa, słynącéj pod skróconém mianém: *C. L. S. C.* t. j. *Chautauqua literary and scientific circle.* „Szkółki domowe", mieszczące w sobie wyrostków obok starców 80-letnich, wybitnych specyalistów w swéj gałęzi, którzy przecież życzą sobie poznać inne pola działalności umysłowéj, i jednocześnie prostych robotników, siedzących nad abecadłem wiedzy, wysyłają swoich członków do obozowéj *alma mater*. Naturalnie, jadą nieliczni, chociaż wszyscy marzą o tém, ażeby parę tygodni pobyć nad jeziorem, skąpać się w panującéj tam atmosferze koleżeństwa i zaświadczyć o swojéj obecności udziałem w pochodach chautauquańskich. Każdy z nich obiecuje sobie, że kiedyś odbędzie tę świętą wycieczkę, skoro upora się z całkowitym kursem i że pójdzie w uroczystym marszu, w jakim ci, którzy świéżo uzyskali dyplomy honorowe, wkraczają po raz pierwszy w próg świątyni filozoficznéj. A dzień ów, przypadający w sierpniu, bywa największą uroczystością w obozie. Wille i namioty zostają przybrane odświętnie, w gajach powiéwają gwiazdziste chorągwie Związku północno-amerykańskiego, powietrze rozbrzmiéwa głosami ludzkiemi, na drodze do świątyni wznoszą się bramy tryumfalne, którym za podpory służą popiersia Platonów i Sokratesów, spoidłami zaś są łańcuchy kwiatów. Pochód, po odśpiéwaniu hymnów pobożnych, wyrusza z amfiteatru. Wszystko, co tylko Europa w ciągu wieku wynalazła, celem zwiększenia świetności występów, a zatém muzyka, rzucanie kwiatów pod nogi, z tego wszystkiego skorzystała jéj córa, ażeby podnieść wspaniałość pochodu. Na czele kroczą władze rzeczypospolitéj chautauquańskiéj, późniéj w różnobarwnych kokardach idą alumni z lat poprzednich i wśród hymnu obozowego:

...O happy circle, ever wider
And wider be thy sweep,

Till peace and knowledge fill the earth
As waters fill the deep... [1]).

wprowadzają nowe zastępy towarzyszów do sanktuaryum, przed któróm są rozdawane dyplomy. Ojciec z matką i dziećmi niekiedy dostają papiéry takie, opatrzone różnéj barwy pieczęciami; to znowu po dyplom sięga ktoś przyprószony siwizną. Grzmot oklasków i głośne *hear! hear!* witają każde podobnie niezwykłe świadectwo.

Wreszcie nowi członkowie zostali wtajemniczeni do misteryi filozoficznych i otrzymali prawo uczestniczenia w zborach, jakie odbywają się w halli. Codziennie o ósméj zrana, w pogodę i podczas słoty, filozofowie obu płci gromadzą się pod białą kolumnadę na uczone dysputy, wskrzeszające tradycyę klasycznych Aten, tak samo, jak je wskrzesza struktura gmachu, odtwarzająca kształty Parthenonu. Wielu leni się stanąć do apelu o tak wczesnéj godzinie, za to wieczorem wszyscy zjawiają się do „stołu okrągłego”. Na odgłos dzwonu, rozbrzmiéwającego z gaju, wypróżniają się czółna, przerzedzają zastępy atletów, a wszyscy śpieszą na zbór, poczynający się o piątéj. Ławki niebawem zostają zajęte, uczestnicy gromadnie sadowią się na ziemi. Wszelkie zasady nudnego *savoir vivre*'u poszły w zapomnienie, zapanowała swoboda koleżeńska. Sabbat poczyna się od śpiéwów, późniéj na wezwanie przewodniczącego powstają z siedzeń ci, którzy po raz pierwszy znaleźli się w sanktuaryum, witani oklaskami przez kolegów, wreszcie ktoś ma odczyt, po nim ciągną się dysputy. Jeżeli ochoty starczy, otwartą bywa „puszka zapytań”. Zewsząd w kierunku stołu lecą karteczki z zapytaniami, dlaczego ten a ten kurs ułożono w tym, a nie w innym porządku? czemu na liście książek rekomendowanych znalazło się takie a takie dzieło? Pytania poważniejsze przeplatane bywają błahszemi: o barwie wstęgi zastępu z tego lub owego roku, o kolorze oczu lub kształtach nosa téj lub innéj znakomistości... Swawola dziecinna towarzyszy pożytkowi, szanowne zgromadzenie filozofów trzęsie się nieraz od śmiéchu i darzy rzęsistém hop! hop! mimowolnych dowcipnisiów. Sabbat trwa, aż póki organizm nie zaprotestuje. Tłumy opuszczają hallę, o którą odbija się echem śpiéw pożegnalny. Dokoła świątyni płomień bucha z trójno-

---

[1])
...O koło szczęśliwe, niechaj szerzéj
I szerzéj rozciąga się twój wpływ!
Aż pokój i wiedza pokryją ziemię,
Jak woda napełnia głębiny...

gów greckich i rozprasza mroki, a nieliczne gromadki zapaleńców dyskutują przy drgającém świetle pochodni klasycznéj.

* * *

Indyanie zniknęli z téj okolicy, pozostawiając po sobie wspomnienie jedynie w nazwisku jeziora. Ale zwyczaje ich przetrwały, obóz bowiem chautauquański ze swego charakteru jest bliższy życia czerwonoskórego, aniżeli naszéj atmosfery cywilizowanéj. Morgan z powodu Irokezów czyni uwagę, że „widzimy tam fakt szczególny, iż każda czynność, społeczna lub polityczna, bierze początek swój lub kończy się w radzie zbiorowéj". Podobnie dzieje się nad jeziorem. Każda czynność, a więc zabawa i nauka, ćwiczenie fizyczne i wycieczka poczynają się w zrzeszeniu i niém się kończą. Co tylko posiada cel wspólny lub jednakie upodobanie, wszystko to sejmikuje pospołu, wiąże się w kluby luźne lub mocno zwarte i stwarza własną organizacyę. Ci, którzy chcą nauczyć się jakiegoś języka, przypuśćmy francuskiego, stanowią już odrębny związek, po za wykładami zbiérający się regularnie parę razy w tygodniu na sejmiki — francuskie. Gdzieś na łące bywa rozłożone ognisko, młodzież siedzi na pniach lub leży na pledach i do późnéj nocy gorączkuje się i rozprawia o jakiéjś kwestyi w języku, w którym jeszcze niezbyt daleko zaszła. To znowu zwolennicy francuszczyzny gromadzą się w halli jakiéjś, deklamują utwory znakomitych pisarzy, dają przedstawienia amatorskie, słuchają odczytów o literaturze lub życiu we Francyi. Zbyteczna chyba powtarzać, w jakim to wszystko odbywa się języku.

A skoro języki, np. francuski lub niemiecki, albo przedmioty, jak ekonomia lub estetyka, posiadają własne kluby, tém bardziéj wiążą się pomiędzy sobą przedstawiciele jednakich interesów, potrzeb i upodobań. Więc wyrostki sejmikują parę razy w tygodniu. Zorganizowani wzorem ciała prawodawczego Stanów Zjednoczonych, według jego ustawy odbywają posiedzenia, wnoszą bile, — rzecz małéj to wagi-że dotyczą one jakiegoś szczegółu w grze w piłkę, i wyłaniają komisye celem zbadania warunków przechadzki zbiorowéj. Dziewczęta w starszym wieku czynią również to samo. Rozprawy obracają się około interesów czysto dziewczęcych, o ile bowiem idzie o sprawy ogólno ludzkie, Amerykanka nie będzie unikała mężczyzny, ale pospołu z nim obradowała nad niemi. Zebrania panieńskie są jednocześnie przyjęciami towarzyskiemi, niby rautami, przeznaczonemi dla płci żeńskiéj, a noszącemi najrozmaitsze nazwy. A zatém mamy *a library téa*, podczas któréj prawodopodobnie roztrząsano kwestyę biblioteczek do-

mowych; *a school girls' breakfast*—raut, wydany przez starsze pokolenie dla młodszego wieku podlotków; *dulcedomum tea* — „herbatkę" pożegnalną, przed rozjechaniem się z Chautauqui. Dziewczęta na swoich sejmikach wysnuwają dyalektykę „przywilejów", przysługujących sio strom i córkom, mówią o obowiązkach, spoczywających na gospodyni domu, potrącają o etykę ławy szkolnéj, rozbiérają nawet szanse towarzystwa, walczącego z migreną... Nie ma tam owego feminizmu, który wstydzi się swojéj kobiécéj natury i nietylko przywdziałby ubiór męski, lecz chciałby posiąść instynkty mężczyzny. Jeszcze wyżéj w hierarchii klubów widzimy sejmy kobiét-matek, radzących znowu o swoich specyalnych powinnościach i o zadaniach macierzyństwa. Najobficiéj wątku dostarcza wychowywanie dziatwy, późniéj idzie kwestya wstrzemięźliwości i propaganda nieużywania trunków—spisek przeciwko mężom!

Słowem w ciągu całego lata, gwarno bywa w Chatauqua od sejmów i sejmików, rozpraw i odczytów, komitetów i podkomitetów. Obradują w językach angielskim, francuskim i niemieckim, w przyszłości może będą to czynili jeszcze w starożytnéj łacinie; zbiérają się cykliści, gimnastycy, śpiéwacy, bo któż zliczy różne sporty! Kłócą się i przekonywają wyrostki, podlotki, matki, roztrząsają o sprawach publicznych, sejmy ekonomiczne, w dyalektykę wprawiają się filozofowie Życie zrzeszone wrze całą pełnią i porywa przybysza w swój odmęt. Wreszcie wieczorem, chautauquańczyków, zmęczonych nauką i dysputami, oczekują bezpłatne „igrzyska". Każdy obywatel letniéj *Assembly*, opłaciwszy przy wejściu na terytoryum téj osobliwéj Rzpltéj haracz bezpłatnie korzysta z odczytów i koncertów w amfiteatrze. Zgrabny front jego nieco przypomina strukturę wspanialszych świątyń wiejskich. Pomiędzy dwie wieżyczki wtłoczył się główny przybytek Tułów wydłużył się i wkroczył w łono pagórka tak, iż frontowe wejście jest o piętro niżéj galeryi, która leży na powierzchni wzgórza. Wnętrze zdoła pomieścić w swojém przestworzu kilka tysięcy osób, przewiewne łączy w sobie komfort z prostotą. Halla filozoficzna jest świątynią wybranych, Amfiteatr zaś — wszystkich obecnych. Do tego budynku ściągają tłumy w różne godziny dnia, rano na hymny religijne, popołudniu ne odczyty. Najludniéj jednak bywa tam ku zachodowi słońca. Wtedy toczą się w sali dysputy teologiczne pomiędzy wyznawcami różnych sekt, odbywają się turnieje „sylabizowania" [1], po-

---

[1]) „Sylabizowanie" odgrywa wielką rolę w życiu Anglika i Amerykanina. Jakiś dowcipniś wyrzekł, że w języku angielskim imię pisze się „Józef", a czyta „Jan". Z tego powodu, kiedy spotka się parę nieznajomych osób, sylabizują litera

prawnéj wymowy, poetyckie; to znów ktoś daje koncert lub czyta klasyczne utwory literatury angielskiéj, jakaś znakomitość wygłasza odczyt. „Podróże idealne” cieszą się nielada powodzeniem. Yankee lubi zmieniać miejsce swojego pobytu, a kiedy rzeczywistość stawia mu przeszkody, naówczas chce, aby go chociaż łudzono. *Ideal trip* poznajamia go zatém z okolicami, których jeszcze nie oglądał. Są to odczyty, posługujące się nowoczesną techniką stereoptyczną. Ktoś, dobrze znający pewien zakątek globu ziemskiego, opowiada o nim. W jego powieści słowo jest tylko dodatkiem do szeregu obrazów, rzucanych przez stereoptykon na płótno. Widok za widokiem przesuwa się przed publicznością: przyroda w swéj szacie różnobarwnéj, dzieła ręki ludzkiéj, twory kunsztu, słowem, co tylko opisywana okolica posiada godniejszego uwagi, wszystko to pokolei oglądamy w pewném wyrozumowaném, a przyczynowém następstwie. Prelegent swoją opowieścią wiąże obrazy jedne z drugiemi, wdaje się w szczegóły, rzuca różne uwagi. W roku bieżącym chautauquańczycy zapoznali się w takiéj podróży idealnéj z Japonią, przyglądali się Romie cezarów, zarówno téj, która tonęła w zbytku i rozpuście, jako téż innéj, kryjącéj się w podziemiach i prześladowanéj, pruli w wyobraźni swojéj nurty Renu i ze statku przypatrywali się zwaliskom dawnych zamków.

Igrzyskami w amfiteatrze kończy się zwykle dzień nad jeziorem.

* * *

A jaki duch panuje w tych zabawach i jak amerykanie zręcznie umieją wygrywać na strunach duszy ludzkiéj, o tém możemy wnioskować z paru przykładów, których osobiście byłem świadkiem. Wprawdzie działo się to zdala od Chautauqui, przecież pozwolę sobie uczynić wycieczkę taką, gdyż mniemam, że da świadectwo najwłaściwsze o atmosferze nad jeziorem podczas lata.

Było to w Newarku. Rankiem niedzielnym spostrzegłem na ulicy plakaty ligi samokształcenia, oznajmiające, że popołudniu w jéj halli odbędzie się odczyt o źródle przesileń handlowych. Naturalnie, nie omieszkałem skorzystać z nadarzającéj się sposobności.

Sala odczytowa na drugiém piętrze, wejście bezpłatne. W przedpokoju ogromny stół ugina się pod stosami ulotnych świstków, broszur i większych książek — treści, jak wyrażano się niegdyś, humanitarnéj.

po literze, z niesłychaną prędkością, swoje nazwiska. „How do you spell“ — jak się pan sylabizuje? — pyta yankee cudzoziemca, który zapomniał zarekomendować siebie w ten sposób.

Sprzedają tam po najniższéj cenie różne rozprawy o wiwisekcyi, alkoholizmie, postępie, miłości bliźniego. W sali znajduje się już kilkadziesiąt osób, przejścia pokryte prostéj roboty, lecz grubemi wojłokami, tak, iż nie słychać stąpania. Na ścianach porozlepiano ustawy ligi, porozwieszano portrety filantropów i humanistów z różnych miejsc i czasów. Po całéj sali leżą różnych rozmiarów książki, elegancko oprawione w okładki jednakowéj barwy. Siadam na pierwszém lepszém miejscu i ręką sięgam po upominek, rozłożony na niém i oczywiście dla mnie przeznaczony. *Cosmian Hymn book!* Ze zrozumiałą ciekawością przerzucam kartkę po kartce. Wydawca w przedmowie spowiada się z pobudek, które skłoniły go do wydrukowania tego zbioru hymnów kosmicznych. Publiczność, gromadząca się w salach towarzystw etycznych i humanitarnych, oddawna utyskuje, że nie posiada śpiewnika, któryby zjednoczył hymny wyższéj moralności z dobranemi melodyami, a był wolny od wszelkiego ciasnego sekciarstwa. Oko ślizga się po kartkach książki. Hymny na cześć przyrody Shelley'a, pełne uniesienia i fanatyzmu, energiczna liryka Byrona, oddychająca żądzą indywidualizmu, utwory poetów zagranicznych w angielskim przekładzie, słowem, umiejętna ręka dokonywała wyboru. Humanizm przemawia z każdego wiersza, to energiczny i zuchwały, to rozmarzony i miękki.

Sala zapełnia się publiką różnego wieku i płci, oraz, o ile wolno sądzić z pozorów, nader różnéj zamożności. Jakaś młodziuchna *miss* siada przy umieszczoném w kącie pianinie, ktoś wchodzi na trybunę. Posiedzenie otwarte. Prezydujący bierze zbiornik hymnów kosmicznych i dyktuje nr. 84. To znaczy, iż chórem go odśpiéwamy. Panienka przy pianinie wydobywa z niego stosowną melodyę i po sali płyną dźwięki hymnu *Life let us cherish!* Opiewa on radości życia: prowadzi nas na łono przyrody i każe napawać się jéj wdziękami, wskazuje na wielkie czyny i radzi je szanować, opowiada o miłości i o tém, jak to uczucie uprzyjemnia drogę żywota. A strofka każda wybucha dziękczynieniem i zarazem radą: niechaj życie będzie nam miłe. Po chórze rozpoczyna się odczyt. Wywody płytkie, wnioski dziecinne. Trwa z pół godziny, poczém nowy hymn rozbrzmiéwa w sali— na cześć wzajemnéj miłości. Człowiek dla człowieka niechaj będzie bratem i nigdy nie odmawia pomocy moralnéj i materyalnéj. Niewiadoma bowiem godzina, kiedy my sami będziemy potrzebowali ręki braterskiéj.

Hymn ów zamknął część pierwszą posiedzenia. Jakiś jegomość z kapeluszem w ręku obchodził publiczność; ze składki będzie wynagrodzoną *miss* przy pianinie i prelegent. Chwilowa przerwa i znowu

chór, napełniający przestworza halli echami jakiegoś śpiewu. Wreszcie rozpoczyna się ożywiona dyskusya na temat odczytu. Osoby z pośród publiczności zabierają głos, jedne mówią rozsądnie, inne plotą jak na mękach, ale prezydujący nikomu nie przerywa, wolność jest zupełną. Po rozprawach jeszcze raz z piersi obecnych brzmi hymn.

Tak właśnie muszą wyglądać owe wieczorynki w amfiteatrze i sejmy przy „okrągłym stole". Hymny posiadają charakter bardziéj religijny, taką jest jedyna różnica.

* * *

Już po drugiéj. Znudzony oglądaniem pustek na słońcu, przyglądam się wodom jeziora. W powietrzu rozpostarła się przezroczystość jesienna, która pozwala mi odróżniać kontury drugiego brzegu. Powierzchnia toni zlekka faluje, rozleniwiona ciepłem gasnącéj jesieni. Przerzucam biuletyny zarządu. Świstki w sposób amerykański głoszą sławę obozu-uniwersytetu. Lubo dzieło dostatecznie mówi samo za siebie, przecież nie zawsze zarząd na tém poprzestał. Im więcéj ktoś siebie chwali, ten, przy rzeczywistéj zasłudze, będzie bardziéj wywyższony, zasada ta życia amerykańskiego buńczucznie rozparła się na każdéj stronicy niektórych świstków: podnosi urodę jeziora, wysławia twórców, opowiada cuda o zdrowotności gruntów obozowych. Trzeba jednak przyznać, że plewy téj jest znów nie tak wiele, jak na ojczyznę reklamy, przesada zaciera się w mnóstwie informacyi i sprawozdań natury przedmiotowéj, które w jaśniejsze, a jaśniejsze barwy ubiérają przedemną ten osobliwy płód kultury amerykańskiéj. Muszę podziwiać niezmordowaną wynalazczość kierowników. Zarząd rzeczypospolitéj chautauquańskiéj, zaiste jest niezmordowany, kiedy idzie o dobro rodaków. Nietylko przewodniczy on kształceniu rocznie kilkudziesięciu tysięcy samouków. Założył jeszcze związki, składające się z drobnych obywateli — *Chautauqua Young Folk's reading union.* Rok rocznie wydaje podwójny program dla dziatwy, jeden dla téj, która nie skończyła dwunastego roku życia, drugi dla starszéj po nad ten wiek. Każdy z młodocianych uczestników jest zobowiązany do przeczytania sześciu wskazanych w programie książek. Na dowód, jako jest członkiem ligi, nosi strzałkę srebrną z godłem *Aim high!* po wykazaniu się zaś z przeczytania kursu, otrzymuje dyplom honorowy i podczas uroczystości nad jeziorem, jeśli jest obecny, idzie w zastępie swoich kolegów. Komitet wydaje *memoranda,* ułatwiające zapamiętanie rzeczy przeczytanych oraz publikuje urzędowy kwartalnik, poświęcony komunikatom małoletnich członków i ich kółek. Amerykanin przyucza się do zrzeszonego życia i umiejętności współdziałania z innymi już od młodości.

A w cieniu ligi drobnego obywatelstwa, niby w fałdach sukni materyalnéj, kryje się parę pomniejszych. Z nich wymienię chociażby *C. T. C. C.* (miejsko-wiejski klub, *Chautau-Buatown and country club)*, który zresztą wyrósł po nad zamiary pierwotne i zagarnął swoją organizacyą starsze wiekiem osoby. „Jestto związek dziatwy, która o czém chce się dowiedzieć, czémś zostać i cokolwiek zdziałać. Szkoła i zarazem ogród, ma on za towarzyszy zwierzęta, rośliny, przyjaciół zaś i książki za kierowników. Nauczycielami są rolnik, ogrodnik, hodowca kwiatów, dozorca bydła, pasterz, dziewczyna do dojenia krów i inne osoby, wiedzące, co potrzeba wiedziéć w zakresie spraw wszelkiéj rośliny i każdego pożytecznego zwierzęcia na folwarku lub w wodzie". Czyli, bez przenośni i górnolotnéj frazeologii, jest to samouctwo, w którém poznanie żywéj przyrody nierozerwalnie wiąże się z praktycznemi zastosowaniami wiedzy w rolnictwie, hodowli bydła, pszczelnictwie i innych pokrewnych gałęziach przemysłu. Członkowie w ciągu zimy czytują polecone książki; kiedy zaś nadejdzie lato, pracują praktycznie. Przez cały zaś czas, codziennie wciągu każdego z następujących po sobie miesięcy, winni wprawiać się kolejno w jakąś z czynności meteorologicznych, zapisywać o wyznaczonéj godzinie wysokość barometru, notować kierunek wiatrów i chmur; jednocześnie zaś, przez kwartał, hodować pewne zwierzę lub roślinę według udzielonego programu. Siedzibą zarządu jest pewna ferma w stanie nowoyorskim, gdzie wszyscy, zapisani do klubu, są mile widziani. W tém to ognisku znajduje się biuro informacyjne— rodzaj skrzynki otwartéj, każdy z młodocianych członków może nadsyłać zapytania z zakresu rolnictwa, ogrodu, hodowli i otrzymuje odpowiedź od kogoś, kto odpowiednim działem zarządza na folwarku.

* * *

Czas nagli. Perspektywa przenocowania w opustoszałéj a chłodnéj stolicy uniwersytetu wakacyjnego niezbyt mi się uśmiécha. Opuszczam więc jezioro i z powrotem udaję się pomiędzy halle. Dążę do kolegium, ale po drodze wstępuję do gimnazyum — budynku, zgodnie z swoim źródłosłowem, będącego przybytkiem ćwiczenia mięśni. Chautauquańczycy przypisują doniosłe znaczenie temu rodzajowi powiedziałbym rozrywki, gdybym, wyrażając się w ten sposób, nie wypaczał zupełnie zasadniczéj myśli. Sport bowiem przestał tam być zajęciem, uprawianém z nudów przez próżniaków, lecz uchodzi za święte przykazanie hygieny ciała i umysłu. Około tuzina miejsc dla *lawn-tennisu*, kilka placów dla gry w piłkę, mnóstwo regat w porcie, szkoły pływackie, oraz jazdy konnéj i na rowerze, zabaw w polu i boksowania, wreszcie gimnazyum zachęcają opieszałych do wzmocnienia siły fizy.

cznéj, podniesienia żywotności organizmu i przygotowania w ten sposób gruntu pod systematyczną, a zdrową działalność umysłową. Katalog tegoroczny wylicza aż 25 nauczycieli, którzy kierowali różnemi działami ćwiczeń fizycznych! Wypadłoby nam opisać całą litanię różnych odmian sportu, gdybyśmy chcieli być ściśli. A ćwiczenia ciała przeplatane bywają wykładami poświęconemi anatomii i fizyologii ruchów, ażeby gimnasta rozumiał skutki naprężenia każdego mięśnia. Stereoptykon pomaga wykładowi ustnemu, nauczyciel specyalny przedstawia historyę sportów i udziela wskazówek, skoro ktoś prowadzi studya teoretyczne nad przedmiotem. Atleci wiążą się w kluby—w zakresie saméj gry w piłkę jest ich aż dziesięć! Gdzie zaś są kluby, tam możemy być pewni, że istnieje rywalizacya. I w rzeczy saméj wyścigów i konkursów bywa mnóstwo w porze letniéj, np. miłośnicy piłki dwa razy tygodniowo walczą z sobą o lepszą, kluby stają wtedy na przeciwnych metach. Uroczystość wyścigów wodnych, oraz konkurs cyklistów, stanowią uroczystość publiczną. Wszelkiego kalibru gimnastyka jest obowiązkiem społecznym, przepisem moralności chautauquańskiéj. Igrzyska dawnéj Hellady zmartwychwstały w szacie nowoczesnéj!

* * *

Kształtny, sporych rozmiarów budynek z mnóstwem galeryi. Wewnątrz pełno tam musi być słońca i światła. To kolegium! Olimpijczycy starego świata może pogardliwie spojrzą na kółka samouctwa i udzielane dyplomy, na igrzyska letnie i sporty, odczyty i sejmy. Zarzucić mogą, że te instytucye hodują dyletantów, którzy zapoznali się z ostatniemi wynikami głównych gałęzi wiedzy, lecz nie nawykli ani do systematycznego myślenia, ani nie wyszkolili się w metodologii naukowéj. Takie lekceważenie dorobku umysłowego, nagromadzonego nie w biurokratyczny sposób, pierzchnąć winno z chwilą, kiedy wstępujemy do kolegium. Najbardziéj wymagający mandaryn chyba że złoży broń przed tym budynkiem!

W gronie kilkuset jego słuchaczy znajdują się postaci najrozmaitsze, bardzo wielu jest studentów z wszechnic amerykańskich, którzy korzystają z kursów chautauquańskich, ażeby posłuchać wykładów jakiéjś znakomitości; jeszcze więcéj jest nauczycieli ze szkół średnich, chcących wydoskonalić się w swoim przedmiocie, lub poznać inne im nieznane. Opowiadają o starcu, który w 60-ym roku życia wziął się do studyów nad łaciną. Wykłady w kolegium ciągną się niespełna przez dwa miesiące. Prelegent musi dać jakąś całość skończoną z swego przedmiotu. Ażeby w tak krótkim czasie coś skorzystać, trzeba dobrze przysiedzieć fałdów! Weźmy chociażby „fakultet łaciń-

ski" — przedmiotu, bardzo upośledzonego za morzem. Rozpada się na kursy: niższy, przygotowawczy, i dwa wyższe, studyujące Cezara i Wirgiliusza. Pierwszy, przeznaczony dla początkujących, zabiéra słuchaczom dziewięć godzin tygodniowo. Cezar jest czytany pięć razy w tygodniu, podobnie Wirgiliusz. Z czasem mają powstać jeszcze wyższe wykłady. Ale gołosłowne wyliczenie nie daje jeszcze pojęcia o metodach nauczania, bo nawet w zakresie języków starożytnych zerwano zupełnie z naszém martwém czytaniem autorów. Posunięto się tak daleko, że do pomocy zawezwano stereoptykon i wykład języka łączy się z wykładami o kulturze ludów klasycznych. Obok łacińskiego istnieją fakultety: grecki, niemiecki i francuski, fizyczny i chemiczny, biologiczny i geologiczny, psychologiczny i matematyczny, historyczny i ekonomiczny. Przeglądając programy niektórych, wprost jestem zachwycony praktycznością wykładów, a niekiedy metodami. Sądzę, że niewielu słuchaczy z wszechnic europejskich może rywalizować ze znajomością przedmiotu, jaką wynosi student fakultetu ekonomicznego. Przy każdym wydziale istnieje jeszcze seminaryum, w którém chętni mogą głębiéj poznać dany przedmiot. Bilem prawodawczym stanu New-York kolegium uznane zostało za filię miejscowego uniwersytetu, egzaminatorzy urzędowi zjeżdżają na grunt Chautauqui ku schyłkowi sierpnia. Obok kolegium, jeśli nie po nad niém, winniśmy postawić „instytut literatury świętéj", czyli po prostu zmodernizowaną akademię teologiczną, prowadzoną w duchu sekciarstwa amerykańskiego. Prócz studyów nad Biblią, istnieją tam fakultety angielszczyzny starożytnéj i biblijnéj greki, języków semickich, historyi i kultury Izraela. Wreszcie dodajmy kursa pedagogiczn gromadzące paręset słuchaczy.

Ale kolegium i instytut literatury świętéj stanowią jedynie cząstkę szkół, otwiérających podczas lata nad jeziorem swoje podwoje. Mamy tam jeszcze mnóstwo zakładów fachowych: konserwatoryum, które naucza muzyki, szkoła prawna kształci prawników, handlowa— buhalterów, artystyczne uczą rysunku, rzeźby, modelowania, deklamacyjne wypuszczają krasomówców, fotograficzne fotografów. Nie zbywa na nauce nawet kunsztu kucharskiego.

Wszystkie te instytuty i zakłady są prowadzone zgodnie z przepisami systematycznego szkolnictwa. Dają one wiedzę teoretyczną względnie umiejętność praktyczną za tanie pieniądzę, o jakiéj to taniości nie mamy w Europie wyobrażenia. Sądzę, że nauczanie jest tam poważniéj i serdeczniéj traktowane, aniżeli w naszych zakładach wyższych; może mniéj jest balastu erudycyjno-mandaryńskiego, więcéj

za to zrozumienia podstaw danéj nauki, uświadomiania sobie jéj metod i owładnięcia przedmiotem. Bądź co bądź, słuchacz-amator pracować musi nie na żarty, ale studya odbywają się w wyjątkowo dogodnych warunkach, jakby na łonie przyrody. Nie jest on studentem w europejskiém znaczeniu słowa, nie zna próżnowania całorocznego z rujnowaniem zdrowia w epoce egzaminów, zdobywa naukę świadom swoich zamiarów i w niczém nie przypomina dwudziestoletniego wyrostka, który jak smarkacz uczy się tylko na stopnie, rad kiedy na egzaminie podpatrzył pytanie i zdobył dyplom chociażby medyka, na jaki nie zasłużył. Kończy on zakład, przeświadczony, że dopiéro rozpoczął się uczyć i że całe życie jest nieustającą szkołą, wymagającą ciągłych studyów. Co zaś najważniejsza, „szkoła domowa" jest wytrwałém ćwiczeniem woli i wyrabianiem charakteru. Chautauquańczyk każdy może o sobie powiedziéć, że jest dziełem rąk własnych i budowniczym swego losu — *master of himself*, jak mówią tam za morzem.

* * *

Wspominaliśmy o kursach pedagogicznych. Stanowią one poniekąd źrenicę rzpltéj chautauquańskiéj. Wszak nawet cały uniwersytet letni wyłonił się z kursów, założonych celem przygotowania dobrych nauczycieli niedzielnych! I dzisiaj mnóstwo wykładów w koegium jest przeznaczone głównie dla pedagogów, t. j. winny poznajomić ich z umiejętnością nauczania innych danego przedmiotu. A zapobiegliwość zarządu nie ustaje, kiedy spokój zapanuje w ognisku letniém. Jego staraniem powstała liga nauczycieli, która krzewi pomiędzy nimi samouctwo. Kurs jest trzechletni i obejmuje psychologię, zasady teoretyczne nauczania, oraz jego metody praktyczne, wreszcie historyę pedagogiki. Wybrano książki odpowiednie, ułożono stosowne *memoranda*, słowem, zrobiono to wszystko, cośmy oglągali w zakresie ogólnego kształcenia. Kończący taki kurs domowego samouctwa, zostają członkami wyższéj organizacyi: klubu sokratycznego, który wziął sobie za cel propagandę pomiędzy kołami pedagogicznemi, bo pracuje różnemi drogami nad podniesieniem poziomu umiejętności wychowawczéj w swojéj ojczyznie.

* * *

Ma się już ku zmierzchowi. Niewielkie czółno pruje wody jeziora i wiezie mnie z powrotem do Mayville'u. Jak wszędzie w Ame-

ryce, podobnie można do jeziora dojechać paru współzawodniczącemi nawzajem liniami kolejowemi, jedna zaś z nich wypuszcza jeszcze odnogę do gruntów uniwersyteckich. Turyści jednak zwykle wolą dostawać się wodą, gdyż nietylko piersi oddychają świeższém powietrzem, ale téż wzrok napawa się uroczemi krajobrazami. Jezioro wije się niby rzeka, długie na 20 mil ang. i nie więcéj nad dwie mil szerokie, w pośrodku zaś niemal ścięte. Może stąd pochodzi jego nazwa, która zdaniem niektórych znawców indyjszczyzny — inni mówią coś zgoła odmiennego — ma oznaczać: worek, związany pośrodku. Oko ślizga się po pełnych uroku widokach: obfita wegetacya, swoją barwą tu i owdzie zdradzająca obecność licznych zdrojów, brzeg mniéj to więcéj urwisty, dźwigający na sobie gaje, przyodziane w purpurę i od obecności jesieni i od promieni zachodzącego słońca. To znowu ciągną się łąki. Toń jest przezroczysta jak w krynicy. Cisza rozsiadła się nad nią, słyszę plusk najłagodniejszy wody o czółno, taki głęboki spokój panuje dokoła. I dla jeziora nastały chwile spoczynku. Parowce, które zawalone turystami pruły je wszerz i wzdłuż podczas lata, w przystani oczekują przyszłego lipca, flotyle yachtów, kajaków i czółen równie odpoczywają. Zmroków nie rozprasza światło elektryczne, ani ognie bengalskie, jak to bywało, kiedy obchodzono „noce weneckie”. Cicho i głucho, a do tego chłodno, ba, nawet zimno...

Łódź trzyma się brzegów. Długie cienie pobiegły od lądu i kładą się na zmarszczonéj powierzchni i czynią chłód jeszcze dotkliwszym. Terytoryum uniwersyteckie zniknęło z oczu. Wyobraźnia, utraciwszy przedmiot swego zajęcia całodziennego, swoją drogą zaprząta się wzorami, jakie tam powołano do życia. Idea bowiem chatauquańska znalazła apostołów i naśladowców. Na całym obszarze rzeczypospolitéj zamorskiéj powstają filie macierzy chautauquańskiéj. Jeszcze silniéj rozpowszechniają się systemy samouctwa i organizacye, niém kierujące przy pomocy korespondencyi, oraz zwyczaj treściwych wykładów w porze letniéj. Na razie obchodzą nas tylko córy *Almae matris*, które nie wypierają się swoich rodowodów. Jest ich pono do półsetki. Żadna nie zdołała dorównać obozowéj macierzy, lecz każda pracuje z pożytkiem i krząta się nad podniesieniem poziomu kultury ojczystéj. Chautauquańczycy, którzy dla odległości lub z innych powodów muszą wyrzec się wycieczki nad jezioro, próbują w swéj okolicy zaimprowizować coś takiego, coby przypominało chociażby w miniaturze starą macierz. W dalekiéj Florydzie wśród gajów nad niewielkiém jeziorem rozrosła się Chautauqua południowa; inna, która

usadowiła się w jednym z zakątków Indyany na licznych wysepkach posiada nawet taki sam model Palestyny; „Halla na wzgórzu” w Lakeview (w stanie Massachusets) jest kopią halli filozoficznéj. Niektóre z nich gromadzą po parę tysięcy uczestników. Iście po amerykańsku biorą się ludziska do rzeczy. Ażeby marzenia swoje przyoblec w szaty rzeczywistości, nie dbają oni o wygody, ani nie cofają się przed wieloletniém krzątaniem. Posiwiali starcy rozwijają taką gorączkową działalność, jak gdyby dopiéro wstępowali w lata męskie. Np. Chautauquańczycy z S. Paulu i Mineapolu postanowili nad wodami pobliskiego jeziora stworzyć taki sam obóz-uniwersytet. Wybrano wyspę czarodziejską—skałę, kąpiącą się w górze w zieloności, u dołu zaś w przezroczystéj krynicy Minnetonki, pełną uroku i powabów. Projektodawcy zwołali mityng z przedstawicieli miejscowego koła chautauquańskiego. Stawiło się do trzystu osób. Obrady ciągnęły się późnym wieczorem przy łunie ogniska obozowego i pod przykryciem z czółen. A kiedy ułożono ustawy nowéj filii i zgodzono się na statut, melodya hymnu obozowego *Almae matris* zadrgała w powietrzu:

....God bless the hearts that beat as one
Though continents apart
We great you, brothers, face to face,
We meet you heart te heart!... [1])

— hymnu, głoszącego, że Chautauqua nie jest związane z żadném miejscem specyalném, i opiewającego koleżeństwo jéj uczniów i rzeczników. Niektóre z pośród cór przeniewierzyły się nieco wzorom macierzy-założycielki. Chautauqua np. w Montéagle (stan Tennessee) rozwinęła o wiele mocniéj stronę towarzysko-społeczną pożycia. Raz na tydzień bywa tam urządzany mityng wszystkich obecnych — celem zabawy i wymiany myśli, wówczas kiedy w macierzy płynie życie mnóstwem drobniejszych prądów i nie zna takiéj ogólnéj agory. W tym celu wybudowano olbrzymi gmach, stojący w ciągu całego dnia na oścież, jest on wtedy czytelnią bezpłatną.

A ponieważ Amerykanom nie zbywa na ambicyi, napewno niejednemu z tych apostołów kołata się w umyśle nadzieja, że z biegiem

---

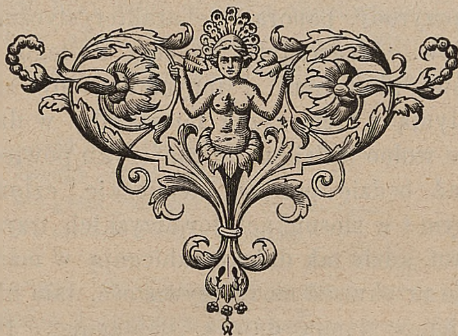
[1]) Niechaj Bóg pobłogosławi sercom, pospołu bijącym
Po przez dalekie lądy.
Witamy was bracia, twarzą w twarz,
Spotkamy was ramieniem przy ramieniu.

czasu jego twór przyćmi może swoją sławą starą macierz. Ale jakoś ona też nie starzeje się. Z roku na rok każda z jéj cór kilkudziesięciu nabiéra sił, lecz i *Alma mater* czyni postępy. Marzy ona — ba, o czém nie marzy! Chciałaby stworzyć takie same, jak latem, zjazdy podczas zimy — dla rolników, w porze letniéj nie mogących porzucać roli, która przecież ich żywi. Wolni w miesiącach, kiedy całun śnieżny otula ziemię, znaleźliby w Chautauqua zimowéj naukę i jednocześnie właściwe téj porze rozrywki. Dąży do zbudowania różnych muzeów, np. historycznego. W gajach sterczałyby budynki, zawierające każdy drobiazgową historyę kultury tego lub innego zakątka globu ziemskiego. Marzy daléj o tém, ażeby park Palestyny rozszerzył się do tego stopnia, iżby malec miał pod sobą całą Syryę i nawet Egipt, słowem, wszystkie miejsca, związane z Historyą świętą. Geografia winna posiadać własne muzeum z biblioteką, gdzieby uczeń znalazł modele dziwów i kaprysów przyrody, panoramy charakterystyczniejszych ustroni, rzeźby całych lądów. Lingwistyka zmierza do tego, ażeby ogniska obozowe „Niemców", „Rzymian" i innych narodów zamieniły się na całe osady. Studyujący niemczyznę mieszkałby w dzielnicy germańskiéj, w któréj nie wolno będzie w innym języku powiedziéć ani słowa, restauracya dawać będzie potrawy niemieckie, członkowie chodzić w stroju narodowym i w stosunkach towarzyskich trzymać się wzorów niemieckich. Tam, gdzie tak daleko zabiegają w marzeniach, te zaś usiłują nieustannie przekuwać na rzeczywistość, tam nie ma obawy, że zgrzybiałość i niemoc złamią dawną Chautauquę. Przytém nie jest ona zazdrosną, największém bowiem i najmilszém z pośród rojeń założycieli jest marzenie, aby Chautauqua przestała być lokalną, t. j. związaną z jednym zakątkiem ojczyzny amerykańskiéj. Wszak hymny nawet o to proszą Istotę najwyższą! Niechaj idea obozów-uniwersytetów wędruje w świat daleki i na wzór, a podobieństwo *Almae matris* wszędzie stwarza takie same instytucye. I rzeczywistość spełnia to życzenie. Widzieliśmy jéj pochód po lądzie amerykańskim, nie zlękła się przecież przestworów morskich! Rzecz charakterystyczna, że kiedy nasza stara Europa niedowierzająco przysłuchuje się wieściom o cudactwach yankee'ów w zakresie oświaty, wówczas nowe lądy pokrywają się kółkami samouctwa i letniemi uniwersytetami. Hasła chautauquańskie znajdują tam gorących wielbicieli. W Kaplandzie i Natalu, w Australii i Nowéj Zelandyi, ba, nawet w Honolulu istnieją takie organizacye. W Japonii młode pokolenie, wykształcone na wzorach angielskich, tak żwawo się zakrzątało, że nawet miesięczny organ związku amerykańskiego

jest systematycznie tłómaczony, takie bowiem istnieje zapotrzebowanie.

Pogrążony w myślach, ocknąłem się już w pobliżu Mayville'u. Zmrok zapadał, w nim migały zdala światła miasteczka. Wyskoczyłem na brzeg z żalem, że na zawsze muszę opuszczać jezioro, jeszcze zaś z większym, że nie udało mi się spędzić jakiegoś tygodnia nad jego wodami w téj porze, kiedy gwar uniwersytetu letniego unosił się nad tonią i przeglądającemi się w niéj gajami.

K. R. Żywicki.



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

„Pieśni spóźnione“, przez Felicyana. Kraków, nakładem autora. 1893, str. 80.

Smutny ton, w minor nastrojony, dźwięczy we wszystkich „Pieśniach spóźnionych” Felicyana. Poeta, który posiada niezaprzeczony i niepospolity talent, chętnie uderza w struny swéj lutni dlatego, by z niéj wydobyć harmonijną, choć melancholii pełną melodyę. W pieśniach Felicyana smutek i tęsknota odzywają się głosem przejmującym, ale tkliwym i tak sympatycznym, że rozpocząwszy czytanie tych kart, pisanych w głębokim nastroju i z uczuciem szczerém, z serca płynącém, oderwać się od nich niełatwo. Poeta patrzy na ziemię okiem, które często łzą zachodzi — a wówczas łamią się promienie światła w niéj, jak w kropli rosy...

Felicyan rozkochany jest widocznie w świecie klasycznym i lubi stamtąd czerpać porównania a także ten pozorny spokój, który obrazom jego nadaje oryginalną, pociągającą cechę. To tło, greckiemi rysami w wielu miejscach narzucone, przedstawia urozmaicony widok: przesuwają się przed naszemi oczami i wspomnienia antyczne, i postaci z mitologii — wszystko jednak zrozumiałe jest tu dla dzisiejszego czytelnika i wypływa z toku opowiadania logicznie i konsekwentnie. Poeta przeniknął starożytne ideały i odczuł ówczesne prądy; to téż, kiedy np. mówi w „Koniu drewnianym” o Troi i pięknéj Helenie, koloryt wiersza jest przedziwnie oddany, myśl w wytworną jest ujęta formę, a dowcip ma werwę i ciętość.

„Hekabe” Felicyana tchnie bólem, wyrażonym dobitnie i silnie.

Utwory zaczerpnięte ze Starego Testamentu, noszą na sobie znamię powagi. „Z ksiąg przypowieści” wzięta treść i oddana tercynami, w obrobieniu poety dowcipem i wdziękiem się odznacza. Trafia do serca śliczna poezya p. t.: „Chusta Weroniki”. W pieśni téj odzywa się bardzo przekonywająco motyw wiary, która uzdrawia; utwór kończy się apostrofą do ludzkości, aby nie odwracała wzroku od Boga, lecz w nim szukała pociechy z ufnością:

Ludzkości biédna! Gdybyś ty pokorę
Z wygnania przyzwać chciała i prostaczą
Wiedzę aniołów, którzy trosk swych płaczą...

tobyś wznieść się zdołała tam, gdzie króluje miłość.

Światło zabłyśnie każdemu, jeżeli szczerze pragnąć będziemy słońca. Poeta wskazuje młodzieńcowi to *Fiat lux!*

Kapłanem jesteś! W drżące twoje łono
Duch Boży wstąpił i tam pozostanie,
Póki sam zechcesz—tylko mu, kapłanie,
Wiecznie świątynię chowaj oczyszczoną.

Pragnienie światła jest szczytne i łaknąć go zawsze powinniśmy:

Był wieszcz świetlany. Ten, gdy się domierza
Kres jego życia, z wszystkich sił swéj duszy,
Idąc w kraj światła—jeszcze wołał: „słońca“.

Dążenie to do światła powinno górować po nad wszystkiemi uczuciami człowieka:

Tak to w miłości żądzą śmierci pała,
Ten, kto jéj rozum swój święci!...

Nie przeszkadza to jednak, aby dla wydobycia harmonii jesiennéj w uroczéj „Ghazell” zadawać sobie miłosne pytania i zawołać w końcu:

O, na Boga! dziewczę moje! niebo moje! wszystko moje!
Choć zarówno pragnę znać mój wyrok, jak się go i boję,
Niech wiem wreszcie, nim w dręczący sen mi śmierć powieki sklei,
Co jest prawdą: wiara w ciebie? czy w iną miłość bez nadziei?

Patrząc na obumiérającą przyrodę, poeta smuci się na widok nieba zachmurzonego, ostatniéj zieleni na drzewach, odrobiny bladych kwiatów w szumiących ścierniach; serce mu się na to wszystko ściska, a jesień „samotnie kona”, bo ptaki zwabione kędyś, „za słońca czarem w świat lecą”. Wcale go nie może pocieszyć, zjawiający się czasem z po za chmur promień, gdyż wydaje się on, jak uśmiéch nad mo-

giłą. Coraz mu tęskniéj, smutniéj i żałośniéj, oczy wzbiérają łzami pierś podnosi się łkaniem. Opuszcza poetę nadzieja:

Lepiéj mieć jeszcze, choćby bardzo mało,
Niżeli przeżyć wszystko, co się miało.
Bo gdy nadejdzie martwe święto zimy,
W którém ni gromów czekać ani tęczy,
To któż zaręczy:
Że po niém wiosnę ujrzymy?

„Sierocy pątnik” rusza więc naprzód. Dokąd idzie? — nie wié, nie pyta o to, tylko, uciekłszy przed wrzawą życiową, radby niepokój również pozostawić za sobą, ale ten postępuje z nim... Szuka tedy poeta uspokojenia w odwiecznéj świątyni na Wawelu — i tu odgłos dzwonu Zygmuntowskiego kołysze mu serce.

W dzień Zaduszny — *memento mori!* — modli się za tych, których już nie ma, za braci swoich zasyła modlitwę, a wpośród mogiłek widzi przesuwających się cichych zakonników. Jeden z nich, młody, wygląda blado i tak drży i słania się, że prawie umarłego ma pozór. Nagle młody, słaby mnich spotyka świéży grób, w którym, jak napis świadczy, spoczęło siedemnastoletnie dziewczę. Zakonnik utkwił w mogiłę swój wzrok, zadumał się nad losem, duch śmierci powiał dokoła; zakonnik sam bliski jest śmierci, ale go wnet do życia budzi szept cichy towarzysza: *Memento mori!*

W inną stronę odwraca oczy swe poeta i widzi, jak z prostych desek zbitą trumnę wiozą na cmentarz, a za trumną nikt nie idzie, więc poeta pyta:

Któż jest ten, co tak osamotniały
Do swego kresu się zbliża?
Kto był? skąd przyszedł? Po co?
Któż zbada?

Był to nędzarz, który, oparty o przyźbę chaty, skonał, kiedy zaś mu pierś odkryto —

To niespodzianie
Ujrzano, iż na łachmanie
Miał krzyż zasługi.

Pociesza się wędrowiec nasz dopiéro wtedy, gdy powziął przekonanie o niezwalczonéj sile cnót teologicznych:

Nie zginie Miłość z Wiarą i Nadzieją,
Choć i proroctwa zniszczeją,
Chociaż języki ustaną,
Choć się i Wiedza stanie zepsowaną.

Pozostają jednak rany niezagojone, których dotykać nie można: „*Glossa noli me tangere!*"

Nie tykaj ran mych, bo mię one bolą.
Nie sądź wyniośle, że mam cierpień wstręty.
Nic mię nie boli to, żem w bok był pchnięty
Setnika włócznią—bo on w swéj niewierze
Nie trwał i Boskość Moją wyznał szczerze,
...Lecz ty, mędrcze z synagogi,
Nie tykaj ran mych, bo mnie one bolą.

Tylko wy smutni, którym wieje w oczy
Wiatr, a w milczeniu serce krwią się broczy—
Cierpliwi moi w cierniach i gorzkości —
Wyznawcy Prawdy Słów Mych, sercem prości
Najmici Pańscy, tu i tam po świecie,
Schyleni w pracy nad zdziczałą rolą —
Wy tylko, skargą waszych ust, możecie
Całować usta moich ran, bo przecie
I was, tak samo jak mnie, one bolą.

Są, co mię znają—i tych znam. Prostacze
Duchy, z któremi radość mam i płaczę.

Po wypowiedzeniu takich uczuć, zaczerpniętych w słowach Chrystusa, zapisanych u św. Jana, pisze poeta końcowe ustępy swoich pieśni. Są to „Meandry" — utwory krótkie, zwarte, pełne myśli głębszéj, w piękną przyodzianéj formę.

O myśli człecza! tyś jak rajski rzadki
Ptak, w którym dyszy ukryty
Duch anielskiego banity.
Dziś patrzysz w niebo przez więzienne kratki,
Lecz z chwilą, gdy cię Bóg wypuści z klatki,
Wzlecisz wprost w jasne błękity.

Rozsypał tu autor mnóstwo cennych rzeczy, które czytelnik zbiéra i układa w piękne wzory szlachetnych tendencyj i dobrego uczucia.

W sprawie, by cudzém było to, co moje,
Niemałą bywa ponętą
Do celu drogą iść krętą,
Bo tu szlak gładszy, niż przez męstwa znoje.
Lat dziesięć, prawdą, z trudem brano Troję —
A w dzień ją jeden łatwo kłamstwem wzięto.

To jedna z tych głębokich idei, jakie rozsnuł w swych poezyach Felicyan. Odczytaliśmy zbiorek ten z zajęciem rzeczywistém, często ze wzruszeniém silném i serdeczném,—zawsze z przyjemnością prawdziwą, jakiéj dostarcza dzieło istotnie piękne. Jedno tylko zapytanie:

czemu poeta nazywa owe pieśni „spóźnionemi”? Nigdy to, co jest dobre, ani to, co jest szczere, ani to, co oddycha pięknem, nie przebrzmieje: zawsze pieśni o dobru, prawdzie i pięknie będą chętnie przez wszystkich słuchane.

Ad. Dobrowolski.

Maryan Gawalewicz i Piotr Stachiewicz. „Królowa Niebios“. Legendy o Matce Boskiéj (z 12 ilustracyami). Warszawa. Gebetner i Wolff. 1894, str. 160, w 4-ce.

Romantyzm, szukając środków odświéżenia atmosfery poetycznéj, zwrócił się do legend średniowiecznych i do twórczości ludowéj; z tego zwrotu prócz utworów drobnych różnego charakteru, nie wyłączając i religijnego, powstały: „Dzieciątko Jezus” ks. Ignacego Hołowińskiego, oraz „Zachwycenie” i „Błogosławiona”.

Dzisiaj, wśród budzącéj się reakcyi przeciw pozytywizmowi i naturalizmowi, kiedy umysły nie zadawalniające się powszednością i obrazkami, z niéj skopiowanemi, wzdychają za karmią podnioślejszą, więcéj pierwiastku fantazyjnego w sobie mającą, otrzymujemy legendy ludowe o Matce Boskiéj p. t.: „Królowa Niebios”.

W dobie romantyzmu, pomimo całego uwielbienia dla „pieśni gminnéj”, największe arcydzieła Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego nie z podań ludowych powstały, lecz z wchłonięcia wszystkich żywiołów cywilizacyjnych i z wielkiego talentu twórców. Czyżby dzisiaj dopiéro miała nadejść pora dla rozległych a pięknych utworów na tle ludowém?

P. Wojciech Dzieduszycki spróbował przed kilku laty wysnuć epopeję z podań, dotyczących przeszłości zamierzchłéj, jego atoli „Baśń nad baśniami” nie nabyła ani rozgłosu, ani uznania. Może to jednak było winą rodzaju talentu; może ktoś z potężniejszém natchnieniem potrafiłby wyśpiewać poemat żywotny, tętniący takiemi uczuciami i takiemi myślami, któreby mogły rozgrzać serca i podnieść dusze ku wyżynom?...

P. Maryan Gawalewicz na skalę skromniejszą zapragnął zużytkować legendy, krążące wśród ludu o Dziewicy-Matce, pocieszycielce strapionych, ucieczce grzésznych.

Jest on wielbicielem fantazyi gminnéj, jakby żył w zaraniu romantyki, jakby nań wcale nie oddziałały prace krytyczne, które od lat wielu rozbiorowi fantazyi téj poświęcano. Głosi on śmiało, że w skarbnicy téj bogactw jest tyle, „że świat za nie można kupić cały”, gdyż ona jedna w noc Świętojańską „od wieków zrywała kwitnące pa-

procie", ona jedna „z duchami ma układ odwieczny i zna na nie odwieczne zaklęcia i ma je wszystkie z ciemnych głębin ziemi i morza, z przejrzystych oceanów powietrza, z świetlanych przestworów nieba na każde zawołanie".

Nie podejrzéwając szczerości tych zachwytów, zwróciłbym tylko uwagę autora na ten fakt, iż owa czarodziejska fantazya, która skrzydłami anioła potrafiła wznieść się od ziemi do nieba, dostać się przed sam tron Przedwiecznego, spojrzéć olśnionem od światłości okiem na to, czego żaden śmiertelny nie oglądał i wrócić natchniona, aby ludziom opowiadać cuda na ziemi" — nie zdołała przecież stworzyć nawet ułamków epopei, a powtóre, że potrzeba było wielowiekowéj uprawy téj fantazyi, potrzeba było potężnych wpływów poezyi europejskiéj, ażeby w XIX-ym dopiéro wieku módz osiągnąć tak wysokie wzloty, jakie u mistrzów romantyzmu naszego widzimy. A jeżeli tym faktom zaprzeczyć niepodobna; jeżeli z przeszłości naszéj literackiéj przed wiekiem XIX-ym nie możemy przytoczyć ani jednego utworu, któremuby bogactwo, bujność i lotność fantazyi przyznać było można; to jakież znaczenie mają te wszystkie pochwały, które p. Gawalewicz za przykładem romantyków tak hojnie na pieśń gminną rozsypał?

Zdaje mi się, że już dawno minął czas, kiedy można było bez żadnéj krytyki popuszczać wodze dowolności osobistego upodobania czy chwilowego usposobienia w rzeczach nauki. Przesada w uniesieniach budzi tylko naturalną reakcyę w kierunku wprost przeciwnym, a prócz tego wzmaga wymagania czytelnika względem utworu, osnutego na motywach, tak entuzyastycznie pod niebiosa wynoszonych. Gdyby autor „Królowéj Niebios" troszkę chłodniéj był się zastanowił nad możliwemi skutkami dytyrambu na cześć poezyi gminnej dla swojego dzieła, byłby może znacznie swój zapęd pohamował.

Bo cóż znajdujemy w legendach, przezeń obrobionych? Jedno tylko silne, wzruszające spółczucie Matki Boskiéj dla siérot, biédnych, opuszczonych. Powtarza się ono wielokrotnie, wchodzi do najróżnorodniéj przedstawianych podań, a zawsze w sercu wrażliwém zrobić musi wrażenie. Ale nawet i to uczucie, ponieważ jest rozproszone w różnych ustępach poematu, ponieważ nie stało się jakby ogniskiem, z którego wychodzą wszystkie promienie poetyczne, ponieważ wreszcie nie posiada prawie nigdy wielkiéj siły ekspresyi, ani świéżości pomysłu, — rozpływa się łatwo w pamięci i przemija bez głębszego wstrząśnienia duszy. Weźmy dla przykładu jeden z takich drobnych ustępów. Siérotka pasie krówki w lesie; klęka pod lipą i modli się; była już chłodna jesień, a dziecko, łachmanem poprutym osłonięte drżało z zimna — „wtedy w gałęziach lipy nagle zajaśniało,

zżółkłe listki dźwięknęły, niby blaszki złote i między konarami cudnie piękna Pani schyliła się, by podniéść płaczącą siérotę; zdjęła jéj własnoręcznie jéj nędzne odzienie, a otuliła płaszczem swym i rzekła do zlęknionéj dzieciny, uśmiéchnięta słodko: — Oddaj mi swój kożuszek za ten płaszcz, siérotko! A dziecko duże oczy wypatrzyło na nią i stało, jak niemowa, przed niebieską Panią, co się ulitowała nad biédną niebogą i czuło tylko, że mu bardzo błogo i dziwnie ciepło było w okryciu téj szaty, z któréj świéciły gwiazdy i woniały kwiaty...”

Ładne to jest, niewątpliwie, ale z takich drobnych kamyczków trzebaby z wielką umiejętnością i z wielkim wyborem układać mozajkę, żeby utworzyć dzieło sztuki. Fantazya bowiem ludu naszego, wbrew dytyrambom romantyków, niezasobna jest i nie umié rozsnuwać jednolicie wątku na rozleglejszą skalę, ma charakter anegdotyczny, opowié jakieś zdarzenie krótko, bez obszernego wchodzenia w motywy, bez wyprowadzania następstw. Samo zdarzenie jest oczywiście dla poezyi tematem, ale bez rozwinięcia odpowiedniego nie będzie miało cech artystycznych. W legendach o Matce Boskiéj są oderwane fakta, lecz nie ma spójni, wiążącéj je w całość; jedyną bowiem więzią jast tu sama osoba Maryi Panny. Nie wiem, czy z takiego materyału mógłby powstać poemat, lecz to rzecz pewna, iż „Królowa Niebios” p. Gawalewicza takim jednolitym poematem nie jest. Autor podzielił wprawdzie swój utwór na trzy części: „Na ziemi”, „W niebie” i „Z nieba”, ale to jedynie w tym celu, ażeby ugrupować rozmaite podania; w gruncie rzeczy każdy rozdział (a jest ich 35) stanowi tu całostkę odrębną; a nawet w jednym rozdziale bywa dwa i więcéj tematów. Nie ma żadnéj myśli ogólnéj, któraby te rozbite na części wypadki wiązała; potrzeba każdemu zdarzeniu, opowiedzianemu w legendzie, przypatrywać się osobno. I sam autor nie miał pod tym względem złudzenia; utworu bowiem swego nie nazwał poematem, tylko „legendami o Matce Boskiéj”.

Są one wogóle ładne, ale dość jednostajne, zamykają się w szczupłym obrębie życia wiejskiego. Bo naturalnie, zgodnie z właściwością umysłu ludzkiego, wszystkie wyobrażenia, najwyższe nawet o Bogu i niebie, tchną antropomorfizmem, zastosowanym do bytu, zwyczajów, pojęć i zwykłych uczuć wieśniaka. Bóg jest panem, podobnym trochę do dziedzica, tylko wszechmogącym. On tak samo jak pan nie poufali się zanadto z chłopami, on tak samo jak pan może odwołać to, co powiedział, może się rozgniéwać, może się omylić i zrobić nie tak dobrze jak zamierzał, co następnie poprawia. Matka Boska więcéj ma do czynienia z gromadą; wszak niejedna dziedziczka dawała przyodziéwek, niejedna wstawiała się do pana o ulgi dla chłopa lub o da-

rowanie mu kary, niejedna posyłała lekarstwa do chaty. Jest w niéj mieszanina natury ludzkiéj i boskiéj; boi się jak niewiasta, ucieka przed prześladowcami, chociaż każdéj chwili może cudu dokonać, z trądu dziecko oczyścić, zasiać zboże tak, iżby nazajutrz mogło być zżęte i t. p. Na jéj wstawienie się Pan Bóg darowuje ludziom grzechy, zostawia im podczas potopu ten mały kłosek zboża, jaki Najświętsza Panna drobną swą dłonią objąć potrafiła. Z czyśca, ba, z piekła nawet wybawia dusze, zagarniając je pod płaszcz swój. Gdzie jest cierpienie, łzy, niedola, klęska, tam ona śpieszy z pociechą, poradą i pomocą. W niebie téż nie próżnuje; jako matka litościwa przędzie len na okrycie dla tych duszyczek sierocych, co do raju się bez matek dostały. Ten charakter litościwy Matki Bożéj bardzo ładnie p. Gawalewicz wyraził, lubo nie słowami pieśni ludowéj.

Choć siedem mieczów tkwiło w Jéj łonie,
Chociaż w cierniowéj żyła koronie,
Choć Jéj do krzyża Syna przybito,
W sercu nie miała cierpkiéj goryczy
Ani do świata, ani do ludzi,
Ich przyjaciółką, ich opiekunką, ich dobrodziejką
Była do zgonu i po wiek wieków pozostać miała.
A choć krwawemi łzami płakała,
Łzy te na kwiaty ziemia zmieniała.

Charakterem łagodnym odznacza się większość legend przedstawionych przez p. Gawalewicza; piekło nawet ze skwarzącemi się duszami nie nabiéra u niego barw groźnych i przerażających; dwa tylko zauważyłem podania, w których okrucieństwo i krwawa wogóle fantazya odgrywają wielką rolę: to podanie o nieméj królewnie i jéj dwunastu braciach, oraz o złotowłoséj dziewczynie, co perłami płakała a śmiała się różami. Barwa tych legend jest całkiem odmienna od innych i więcéj niż inne surową, nieprzerobioną, cudzoziemskością trąci; nie zdaje mi się, ażeby trafnym był ich wybór wobec nastroju ogólnego, jaki w „Królowéj Niebios” panuje.

Fantazya, panująca w legendach o Matce Boskiéj, trzyma się blisko ziemi, i to tak bardzo, że niekiedy wygląda jak satyra poziomego pojmowania rzeczy przez wieśniaków. Najbardziéj to uderza w legendzie o chłopie zaproszonym do nieba. Bóg Ojciec otworzył okno, wyjrzał, przeżegnał świat na wszystkie strony i spytał: Urodzaje macie? — a ten tą łaską pańską ośmielony, odrzekł przytomnie dziedzicowi nieba: Dziękować Bogu, obrodziło chleba. — Więc go w miłości spożyjcie i zgodzie!—rzekł mu Bóg Ojciec i westchnął głęboko. Kmieć się do kolan pochylił z podzięką, a Bóg krzyż nad nim

zrobił i dał znak, aby posłuchanie skrócić; Marya Panna spytała kmiecia, czyby nie chciał jakiéj łaski lub jakiego cudu, a on Jéj na to: — Chcę do swoich wrócić!"

Podobny rys lubo nie w tym stopniu jaskrawy, widzimy w podaniu o stworzeniu przed Ewą pierwszéj dziewicy z kwiatu. Gdy Bóg przyprowadził tę dziewicę Adamowi, „zrobiło się w Raju jeszcze jaśniéj, gdy przechodziła, bo w dzień wszystkie gwiazdy wybiegły na niebo, ażeby ją zobaczyć" i zrobiło się jeszcze wonniéj, bo ziemia dyszała z rozkoszy zapachami. Tylko Adam jeden stał obojętny i nieczuły, bo za wątłą dlań była, za powiewną, za mglistą i obłoczną; nie wiedział, coby począć miał z taką towarzyszką i jakby z nią do pary się nadał..." Bóg zachował tę dziewicę na matkę swego Syna, a Adamowi dał inną odpowiedniejszą towarzyszkę...

Co do wykonania, to p. Gawalewicz umiał zachować naiwność i prostotę opowiadania ludowego, gdzieniegdzie tylko używając zupełnie niepotrzebnie wyrazów ludowi nieznanych, jak: kohorty, miliardy, blok brylantowy, opalowy obłok, najada, nimfa leśna. Czasami zdarzy się jakiś zwrot niewłaściwy np. było mu nieswojsko (zam. nieswojo), uśnięte ciało, paciérz zapomnićć, więcéj w znaczeniu już i t. p. W stosunku do ilustracyi nie można uważać utworu p. Gawalewicza za prosty tekst do nich; Matkę Boską lubi on okrywać płaszczem gwiazdami haftowanym; smętek i zaduma mistyczna nie ukazują się na twarzy Bogarodzicy w poemacie tak jak są w ilustracyach.

Wydanie pod względem druku i papiéru do najpiękniejszych u nas zaliczyć można.

Ogólna dążność utworu, wyrażona na str. 89 ze wszechmiar na uznanie zasługuje: „Nie smuć się, duszo ludzka, nie wątp nigdy i bądź jak słońce, jak księżyc, jak gwiazdy, jak gwiazd tych choćby najmniejsza kruszyna — zwierciadłem nieba; niech z jasności jego zawsze choć promyk w tobie się odbija, abyś świéciła choć drobną iskierką, ażeby w tobie jasno było — duszo." Podnoszenie ludzi do sfer ideału—to wielkie zadanie twórczości...

P. Chmielowski.

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— *Kucharzewski Feliks.* **Bibliografia polska techniczno-przemysłowa.** Nakład redakcyi „Przeglądu Technicznego", mała 4-ka

str. XX i 327. Warszawa, 1894. — Rozpoczęty przed dwoma laty druk „Bibliografii polskiéj techniczno-przemysłowéj” ukończony został przed niedawnym czasem. Ośm wydanych zeszytów stanowi tom poważnéj objętości, obejmującéj spis prac, drukowanych oddzielnie, w czasopismach lub znanych z rękopisu, we wszystkich działach techniki i przemysłu do końca roku 1874.—Układ i treść dzieła przedstawia się w sposób następujący. Wstęp obejmuje uwagi i wyjaśnienia ogólne, dotyczące opracowania bibliografii niniejszéj, oraz bardzo interesującą statystykę wszystkich prac technicznych, graficznie objaśnioną. Ze statystyki téj dowiadujemy się, że liczba prac drukowanych, artykułów i rękopisów od samych początków piśmiennictwa technicznego u nas do końca roku 1874 wynosi 9,127, z których na książki i odbitki z datą przypada 2,119, na artykuły czasopism i pism zbiorowych 6,906, na druk bez daty 41, na rękopisy 61. Następuje W y k a z d z i e ł i a r t y k u ł ó w b i b l i o g r a f i c z n y c h, na które powołano się w Bibliografii niniejszéj; źródeł tych podano 15. W y k a z c z a s o p i s m i d z i e ł zbiorowych polskich, z których czerpano tytuły prac, podanych w „Bibliografii”, wynosi 163. T r e ś ć sama podzielona została na 21 działów, a mianowicie: I. Miary, wagi, monety, tablice liczbowe; II. Geometrya stosowana, rysunek techniczny; III. Mechanika. Machiny parowe. Ustroje mechaniczne; IV. Machiny rolnicze, młyny; V. Jedwabnictwo, pszczelnictwo, wełnictwo; VI. Leśnictwo, rośliny przemysłowe; VII. Górnictwo, hutnictwo, wyroby kruszczowe; VIII. Materyały budowlane; IX. Budownictwo, rzemiosła budowlane; X. Drogi, mosty, inżynierya miejska; XI. Drogi żelazne; XII. Hydrotechnika; XIII. Fizyka przemysłowa; XIV. Wojskowość, pyrotechnika; XV. Technologia, rzemiosła; XVI. Przemysł chemiczny. technologia domowa, leśna; XVII. Cukrownictwo; XVIII. Gorzelnictwo, piwowarstwo; XIX. Pokarmy, napoje; XX. Ekonomia przemysłowa, wystawy; XXI. Biografie, szkoły, towarzystwa. W każdym z tych działów prace podane są chronologicznie, w ostatnim zeszycie są jeszcze do każdego działu dodatki. — W końcu umieszczony jest spis alfabetyczny nazwisk autorów, tłómaczów, wynalazców i t. d., wymienionych w „Bibliografii”, wreszcie szczegółowy indeks przedmiotów.— Z tego krótkiego przedstawienia widać, że autor starał się oprzéć „Bibliografię” swoją na podstawie możliwie pewnéj i wystarczającéj, że treść rozklasyfikował według systemu praktycznego, najłatwiéj do użytku się nadającego, że za pomocą starannego spisu i indeksu podniósł używalność praktyczną dzieła. Przygotowanie podobnéj pracy stanowi istotną zasługę, bo daje nietylko inwentarz całkowitéj niemal produkcyi naszéj umysłowéj w dziedzinie techniki i przemysłu, ma

więc wartość dla historyków wiedzy i kultury, lecz prócz tego ma wartość aktualną, bo pozwala pracownikom w rozmaitych gałęziach wiedzy technicznéj znaleść te książki, rozprawy i artykuły, które mogą im być potrzebne.—Rzeczą jest techników przy korzystaniu z „Bibliografii" sprawdzać ścisłość i zupełność jéj spisów, oraz dopełniać braki, jeżeli się znajdą. Nam się zdaje, że p. Kucharzewski w granicach możności dał rzecz pełną i sumiennie opracowaną. Jego „Bibliografia techniczno-przemysłowa" będzie tém dla techników, czém była i jest „Bibliografia" Żebrawskiego dla matematyków.

S. D.

= *Jan Rutkowski.* **Testament Hopkinsa** (Warszawa. Nakładem Spółki wydawniczo-literackiéj, 1894, str. 260). — Przed trzema mniéj więcéj laty podało „Ateneum" (1892, t. I) ocenę pierwszego zbiorku nowel i opowiadań p. Rutkowskiego. Zaznaczone tam cechy jego talentu odnajdujemy i w zbiorku obecnym, z tą tylko różnicą, że ani jednego jasnego, pełnego wesołości nie widzimy tu obrazka. Wstrzemięźliwość uczucia i słowa, chłód pozorny w przedstawianiu niedoli, upodlenia i staczania się w przepaść, dowcip ostry, skłonność do rozumowań i wywodów, pewna wymuszona pogoda umysłu, przyjmującego jednako złe i dobre, cnotę i występek, aczkolwiek spragnionego objawów miłości bezinteresownéj i poświęcenia, fantazya ruchliwa wielce i niespokojna, lubo umiejąca w niewielu wyrazach znamiennych odtworzyć żywo i plastycznie fizyognomie osób i sytuacye:—oto co znamionuje nowele, a raczéj obrazki i opowiadania zawarte w tomie p. t. „Testament Hopkinsa". Tytuł ten zaznacza opowiadanie najobszerniejsze, bo zajmujące więcéj niż połowę książki, a zarazem najoryginalniejsze. Zacny dziwak, brzydki na twarzy, a dość zamożny, zawiedziony okrutnie w młodości, gdy mu przyjaciel jego odbił narzeczoną, żyje w Paryżu jako członek ambasady angielskiéj, wydaje wiele na cel dobroczynny, a trzykrotnie w ciągu lat dziesięciu spełnia czyny z bezpośredniego popędu dobrego serca pochodzące: raz ocala dziecko od spadnięcia z dachu sześciopiętrowéj kamienicy, drugi raz przychodzi w pomoc owemu przyjacielowi-zdrajcy, który grą namiętną pociągnięty został do naruszenia cudzéj własności, trzeci raz wreszcie ochronił od zniewagi napastowaną przez szlifibruka dziewczynę, narażając się na śmieszność wobec swoich znajomych panów i pań wielkoświatowych. Umiérając, zapisał cały swój majątek temu z trojga owych ludzi, kto okaże choćby najmniejszy dowód żalu po nim, a wykonanie tego zapisu pozostawia wypróbowanemu przyjacielowi swojemu, kapitanowi Marshallowi. Zarówno Hopkins

jak Marshall byli zwolennikami spirytyzmu; więc za pośrednictwem spirytystycznych objawów otrzymuje Marshall, dobrawszy sobie zapalonego spirystę Crookesa, oraz opowiadającego to zdarzenie, odpowiedź ducha Hopkinsowego, iż jedyną osobą z owych trzech, co śmierć jego opłakała, była Berta Figuier, obroniona niegdyś przez poczciwego dziwaka. Gdy miał wręczyć jéj pieniądze, po załatwieniu formalności spadkowych, przekonał się ze zdziwieniem, że już została żoną starego, chudego Crookesa. Po niejakim czasie Marshall w czasie wielkich upałów wyjechał na wieś pod Paryżem i zaprosił telegraficznie Crookesa na obiad. Crookes przybył, ale sam; okazało się, że Berta już go porzuciła dla ulicznego śpiéwaka Bartolo. Gdy podpił sobie dla zalania smutku, wygadał się, jakim sposobem potrafił skłonić Bertę do zostania jego żoną: oto powiedział jéj, że dostanie spadek po Hopkinsie pod tym jedynie warunkiem, gdy jego — Crookesa — przyjmie za męża. Usłyszawszy to kapitan Marshall pada rażony apopleksyą. Najładniejsze w tém opowiadaniu są uboczne obrazki życia paryskiego. Treści oryginalnéj nie umiał autor ująć w kompozycyę jednolitą. Opowiadanie w zasadzie odbywa się niby w pierwszéj osobie, od autora jako uczestnika, lecz są kilkakrotnie odstępstwa od tego planu; mianowicie parę rozdziałów przedstawiających szczegóły życia owych osób, którym Hopkins wyświadczył dobrodziejstwo, już nie ma téj formy osobistéj. Podobnież drugi rozdział (bardzo obszerny), w którym Marshall odczytuje papiéry pozostałe po Hopkinsie, a z którego dowiadujemy się o przeszłości tytułowego bohatéra, również bezosobiście został odtworzony. Nie zadawalnia zatém utwór ten jako kompozycya; zanadto sztuczną i sztukowaną wydaje się jego budowa, ale szczegółów kilka ma pięknych, jak np. owa scena z dzieckiem na dachu, figura śpiéwaka ulicznego Bartolo i in. — Ta nieumiejętność utrzymania jednolitości, jednego punktu widzenia, z którego maluje swe obrazki przebija się i w mniejszych utworach. Tak np. w szkicu p. t. „Trzy okna" miał początkowo autor zamiar przedstawienia dziejów osób zamieszkujących w trzech nad sobą leżących lokalach za pośrednictwem obserwowania samego przez okno, ale niebawem zamiar ten porzucił i wszedł do wnętrza lokalów, odtwarzał ciche rozmowy i t. p. Pomysłu tego świéżego, ale trudnego do przeprowadzenia, wyrzekł się dla zwykłego trybu opowiadania. W innych obrazkach mamy już do czynienia ze zwykłemi formami. „Mój malarz" — to obraz obniżenia dążności artystycznych, znoszonego z rezygnacyą. „Z szarych dni" — to obrazek obywatela, który zmarnowawszy swój majątek, zostaje ekonomem w majątku kupionym przez Żyda, i godzi się ze swym losem, widząc, jak żona jego ani my-

ślеć mu dozwala o wymodleniu łaski od bogatego stryja. „Bliźnięta” — to obrazek dwu dziewczynek, mających dotychczas te same zamiłowania, kochających się nad wyraz, w serca których ziarenko niechęci wzajemnéj zapuszczają słowa miodowe ładnego mężczyzny, zarówno do jednéj jak do drugiéj wystosowane. „Na szosie” pracuje aż do zupełnego wyczerpania Chaimek, krawiec, który po spaleniu się miasteczka chciał zarobić na chléb dla żony i ośmiorga dzieci i... dziewiątego, które nadejdzie. „Fotografia z natury” daje nam poznać w sposób wielce sympatyczny nauczyciela Niemca, wyśmiewanego przez uczniów, wyzyskiwanego przez kobiétę, u któréj się stołował, umiérającego z myślą o matce, któréj pragnąłby odesłać zaoszczędzoną z wielkim trudem sumkę. „Dziewiąty i dziesiąta” — to żywy, barwny wizerunek tych, co poszukują... zazwyczaj napróżno zajęcia z ogłoszeń; zwykle przychodzą pod wskazany adres już jako dziewiąty lub dziesiąta z rzędu.

= *Or-ot.* **Pieśni.** Warszawa. T. Paprocki, 1894, str. 175. — Po pięciu latach z nowym Or-ot (Artur Oppman) występuje zbiorkiem poezyi. O pierwszym pisaliśmy w „Ateneum” (1889, t. I), pragnąc, ażeby autor wyszedł z ogólników zwątpienia i sarkazmu i wstąpił w sferę bardziéj określonych celów i zadań. W drobnéj tylko cząstce znajdujemy w tym nowym tomiku spełnienie owych pragnień. I tu spotykamy na początku obronę poezyi p. t. „Potwarcom pieśni”. Żądanie, żeby poezya żyła życiem dzisiejszém utożsamił tu autor z zepchnięciem jéj w błoto i pokalaniem archanielskich jéj skrzydeł, mówiąc:

. . . . Więc chcecie
W strofach pieśniarzy słyszéć nerwów granie
Najbrutalniejsze zmysłowe zamiecie.
Najszlachetniejszych porywów konanie...

Odpowiemy na to: bynajmniéj! chociaż i te przejawy życia jako istniejące muszą znaleść uwzględnienie w poezyi; wszak Baudelaire przeważnie tych chorobliwych nastrojów stał się wieszczem. Atoli obok tłumu „zlepionego z nerwów i z kału”, obok przesytu i rozbestwienia żądz, obok chaosu pełnego jęku i zgrzytu, są i w życiu dzisiejszém przykłady poświęcenia i ofiarności, męstwa i odwagi, jasnéj myśli i serdecznego uczucia—trzeba tylko patrzéć w życie bez uprzedzenia, nie powtarzając wciąż za innymi pacierza o nikczemnościach schyłku wieku. Wówczas znajdzie się dla poezyi materyał dość obfity, ażeby nie tykać błota i przedrażnionych nerwów, jeżeli poeta tego sobie nie życzy: wówczas pieśń może być „czystą i jasną”, a chociaż nie

zostanie „mistrzynią” ludów, to przecież spełni swoje zadanie, podnosząc serca ku górze:

Gdy serca stygną, gdy zmrok niebo kryje,
Niech ona śpiéwa o majowych różach,
Niech ona wianki z wonnych kwiatów wije,
Niech wiosennemi barwy świat obleka,
Choć zima bliska... choć wiosna daleka...

Dzisiaj, gdy wszyscy prawie zapomnieli
O krajach marzeń, uniesień i złudzeń,
Niechaj pieśń spłynie w swéj dziewiczéj bieli,
Niech tłum oczyści z duchowych obrudzeń,
Niech serca wskrzesi i myśl wyanieli!

Zgoda! lecz nie ma zgody na to, iżby nam poezya dawała sny tylko same „choćby bez przebudzeń”, gdyż żyć a nie śnić pragniemy; nie ma zgody na to, by poezya „kłamała”, choćby „szlachetnie” kłamała, gdyż prawda a nie kłamstwo, choćby w najszlachetniejszym zamiarze, powinna być naszą przewodniczką. Autor sam niewątpliwie napisał słowa powyższe w uniesieniu jedynie chwilowém, gdyż gdzieindziéj („Nimfa”) potępia „czar marzenia”, potępia senne odrętwienie, wié bowiem, że potrzeba „żyć jak człowiek, nie jak cień”. Szkoda tylko, że nie przetrawiwszy należycie swych myśli, naraża się na zarzut sprzeczności z samym sobą, tak jakby o stronę wewnętrzną natchnień swoich nie dbał, upajając się piękną, potoczystą formą wiersza. Czy sam poeta spełnia program przez siebie wyrażony, czy serca wskrzesza i myśl wyaniela? czy oczyszcza tłumy z duchowych obrudzeń? Podobno więcéj zapowiedział, niż dotrzymał. Jak w poprzednim zbiorku, tak i w obecnym najwięcéj jest ładnych piosnek o nikłéj treści miłosnéj, najwięcéj smutków, rozrzewnień, tęsknot wypowiedzianych gładko, ale bez wybitnéj cechy indywidualnéj. Najlepsze są tu niewątpliwie „szkice z zaułków”, malujące nam fizyognomie, sceny z życia Starego miasta („Dziewczę z facyatki”, „Stary aktor”, „Rynek staromiejski”, „Trzy boginie”, „Jaskółki”, „Pod syreną”, „Na facyatce”), chociaż dodać wypada, że i w wyborze tego tematu nie jest autor pierwszym u nas; poprzedził go już bowiem Gomulicki. Ton swobodny i lekki, ironia łagodna i pełna wyrozumiałości znamionuje te ładne obrazki. Tam, gdzie Or-ot chciał odmalować uczucie namiętne, zdobywał się zaledwie na powtórzenie gwałtowne frazeologii, nie mogąc wstrząsnąć duszy lub zmysłów („Demon”, str. 143). Powiódł mu się w téj mierze jeden tylko obraz symboliczny trzech demonów: nędzy, orgii, alkoholu, duszących życie utalentowanego człowieka. Nę-

dza upadla go głodem, szalona namiętność splugawia go błotem życia a pijaństwo zamienia w zwierzę. Alkohol mówi:

Gdy wpierw zgryzot odbiorę go hydrze,
Widm czarownych gdy zwabię obliczem,
Nic go z wściekłych mych szponów nie wydrze
Mojéj grozie nie oprze się niczém.
Myśl, że ginie, w nerw każdy mu wpiję,
Rzucę w czaszkę szaleństwa katusze —
I zabiję! zabiję! zabiję
Jego ciało i serce i duszę!...

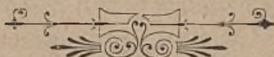
= *Wanda Grot-Bęczkowska.* **Nowelle i obrazki** (Warszawa, M. Glücksberg, 1894, str. 278).—Nazwisko p. Wandy Grot-Bęczkowskiéj po raz pierwszy pojawia się na tytułowéj karcie książki; ale dawniéj spotkać je było można na łamach czasopism, w których drukowane były opowiadania zawarte obecnie w tomiku. Jest ich pięć; a dotykają one pewnych stron życia biednéj klasy miejskiéj („Z szaréj przędzy"), tak zwanych inteligentnych klas („Pomyłka Ewuni", „Jeden z wielu", „Nic nowego") i wreszcie warstwy ludowéj („Maryśka"). Z wyjątkiem tego ostatniego, wszystkie inne pisane są w sposób, który nie może zwrócić na siebie baczniejszéj uwagi; nie wykrywają nam bowiem żadnéj nieznanéj strony życia lub usposobienia duchowego, nie dodają do poznania duszy człowieka świeżego jakiegoś rysu; są tylko gładkiém, bez wybitnéj zdolności plastycznéj odtworzeniem rzeczy widzianych lub słyszanych, których się mnóstwo przed oczy nasze ciągle nawija i które już niejednokrotnie przez powieściopisarzy i nowelistów naszych były obrabiane. Kiedy opisuje autorka szczegóły życia na Starém mieście, to w każdém niemal słowie, w każdym geście osób, w każdém wydarzeniu znać raczéj jakąś reminiscencyą literacką, nie zaś żywe, własném okiem zrobione spostrzeżenie. I Walentowa-stróżka, i biédna wdowa, od któréj domagają się gwoździ do trumny nieboszczyka męża i jéj córka Stasia, piękna jak marzenie, narażona na pokusy i młodo umiérająca—są to rzeczy dobrze znane i nieraz o wiele świetniéj przedstawiane. W „Pomyłce Ewuni" pierwsza tylko część przedstawiająca żywą, rozkapryszoną dziewczynę, która lekceważy miłość poważnego, a brzydkiego Stefana, a idzie za odznaczającego się błyskotliwą powierzchownością samoluba i brutala, ma parę scenek ładnych; dalsza zaś historya opowiedziana jest pobieżnie i nie posiada wartości artystycznéj. „Jeden z wielu" to dzieje upadku i poniewierania się zdolnego, ładnego chłopca, psutego przez matkę, wyzyskującego rodzeństwo, chwytającego się rozmaitych zajęć, w których wytrwać nie

może, ginącego wreszcie przedwcześnie w szpitalu: kobiéta, karty i butelka w połączeniu z miękkim, lekkomyślnym charakterem stały się przyczyną zaguby zdolności i napełniły goryczą serca kochających i poświęcających się dla takiego człowieka osób. Zbyt blado, zbyt urywkowo i szkicowo przedstawione zostały w tém opowiadaniu charaktery i ich rozwój, ażeby mogły uczynić silniejsze wrażenie. „Nic nowego" — to wyjście za mąż pięknéj, pełnéj zdrowia panny 17-letniéj za 60-letniego bogacza, skąpego, kapryśnego i obrzydliwego, co powoduje chorobę serca u zdenerwowanéj Stefanii. Atoli nie dzieje tego wstrętnego małżeństwa wypełniają opowieść, tylko historya doktora, który leczył Stefanią, a miał dziecinnie kapryśną i nadzwyczaj zazdrosną żonę, główny tu motyw stanowi. Napomknął on pacyentce swojéj, dla któréj poczuł najgłębszą sympatyę, że praca mogłaby ją uwolnić od znoszenia wstrętnego jarzma i tym sposobem obudził w niéj szereg myśli nowych, dawniéj jéj nieznanych. Po śmierci męża zrzeka się Stefania zapisanego sobie majątku i wyjeżdża z Warszawy, nie dając o sobie żadnéj wieści. Tak trwają rzeczy lat sporo, w ciągu których żona doktora umiéra. Doktór przypadkiem odnajduje Stefanię oddaną wychowaniu biédnych dzieci — następuje ich połączenie w celu spólnéj pracy dla dobra ogólnego. W noweli téj są momenta psychologiczne pełne dramatyczności, lecz nie zostały one przez autorkę zużytkowane.—W „Maryśce" inny ton panuje; autorka spróbowała tu metody naturalistycznéj; bez obsłonek idealnych nakreśliła kilka scen z życia wiejskiego, dobiérając barw jaskrawych; brutalność i zwierzęca chuć chłopa unieszczęśliwia dziewczynę, która broniąc się wygryza dziurę w jego policzku, gdy on jéj ucho zębami odrywa. Potém dziewczyna topi swe niemowlę; zamknięta w sobie służy wiernie w dalekich stronach od swéj rodzinnéj wioski, a w chwili, gdy miała doznać wynagrodzenia za tyle przecierpianych ciosów, gdy się o nią oświadczył jakiś parobek, wysłana w zamieć śnieżną za sprawunkiem, zbłąkawszy się, umiéra z głodu i zimna. Główny fakt w tém opowiadaniu mało jest uprawdopodobniony, ale na ogół biorąc w „Maryśce", chociaż miejscami trywialność scen razi, mamy także dowody, że pewien stopień energii w rysunku i wyrażeniach właściwy jest autorce; nie zachęcamy jéj wprawdzie, ażeby w tym samym kierunku tworzyła, ale życzymy, ażeby w szlachetniejszych scenach podobna energia jéj towarzyszyła.

= *Ignacy Dąbrowski.* **Felka.** Nowela. (Warszawa, T. Paprocki, 1894, str. 203). — Autor „Śmierci" zamierzył w drugim swoim utworze p. t. „Felka" przedstawić zupełne inne usposobienie, inny ro-

dzaj charakteru, aniżeli w pierwszym. Nie samolubstwo, ściągające wszystko do siebie, lecz serce dobre, pozbawiające siebie samo przyjemności i wygód, ażeby innym sprawić radość, lub przyjść z pomocą stanowi motyw zasadniczy „Felki". Biédna krojczyni w magazynie, ciesząca się nad wyraz podwyższeniem o 3 ruble pensyi miesięcznéj, podwyższeniem, które okazuje się zwodném, gdyż p. Skrodzka, dająca téj dziewczycie mieszkanie i jedzenie, zaraz o dwa ruble podniosła wymagania swoje, ta poczciwa, dobra, ogromnie naiwna Felka pisuje listy do swéj matki, będącéj w obowiązku na wsi, i spowiada się jéj, jak na spowiedzi, ze wszystkich myśli i postępków swoich. Na pierwszym baliku poznała eleganckiego p. Kazimierza, który z nią znaczną część wieczorku przetańczył, a potém zapytał, czy może ją z magazynu odprowadzać. Zrazu się pogniéwała, ale następnie zauważyła, że po ulicy każdemu chodzić wolno i bardzo była zmartwiona, gdy Kazimierz przez pierwsze trzy dni po tym wieczorze nie zjawił się pod magazynem, gdy ona przecież włożyła nową woalkę i rękawiczki. Za to w dniach dalszych tém żywszych doznawała wrażeń, gdy ją Kazimierz, zpoczątku do domu tylko, a potém przez kilka ulic przeprowadzał. Choć matka w listach gniéwała się na nią za takie postępowanie, już nie mogła sobie tych spacerów odmówić, a nawet, pomimo wzdragania się, poszła z Kazimierzem do teatru na „Damę kameliową". Za to dostała burę od matki, która już nie do córki, ale do pani Skrodzkiéj napisała list z wymówkami i żądaniem, ażeby odtąd Kazimierz albo przychodził do p. Skrodzkiéj, albo téż z jéj córką wcale się nie widywał. I p. Skrodzka i Felka chętnie na to przystały; przystał także Kazimierz — i tu się rozpoczyna cichy dramat. Pani Skrodzka miała córkę Romanę, która pensyę skończyła, dużo powieści czytała, a nawet w piśmie dla dzieci powiastki sama drukowała. Romana od pierwszéj zaraz wizyty zagarnęła Kazimierza dla siebie, gdy Felka chodzić musiala po wędliny i do stołu nakrywać. Długo, bardzo długo łudziła się biédna dziewczyna, że Kazimierz tylko przez grzeczność więcéj z Romaną rozmawia; pracowała téż nad siły, aż do wyczerpania, poszcząc przytém i susząc dla odpokutowania za swoją wycieczkę do teatru z Kazimierzem i za swoje kłamstwa wobec pani Skrodzkiéj, gdy się tłómaczyła z późnego przychodzenia do domu. Na Wielkanoc Romana wyjechała, państwo Skrodzcy wyszli pierwszego dnia na cały dzień do znajomych, Felka miała nadzieję, że Kazimiarz w ten dzień ją odwiedzi; ażeby zaś być pewną usłyszenia dzwonka, przesiedziała do 11-éj w nocy w przedpokoju — napróżno. Nazajutrz przyszedł p. Kazimierz, gdy było sporo gości u pp. Skrodzkich, ale bawił tylko pół godziny. Odtąd Felka mało nawet wtrącała się do rozmowy Kazimierza z Romaną,

gdyż mówili o takich rzeczach, których ona zgoła nie rozumiała. Podejrzenia zaczęły się już rodzić w duszy biédnéj dziewczyny, a wynikiem ich było, że nie chciała nawet za piéniądze robić nowéj sukni dla Romany, ale ponieważ serce w miłości jest uparte, więc przed sobą samą przyznać się nie chciała do swych wątpliwości. Majówka na Saskiéj Kępie, na którą tak liczyła, była dla niéj zupełnie straconą; przesiedziała sama, lub z małym synkiem Skrodzkich, którego podczas krupu pielęgnowała. Wkrótce uderzył w nią cios — oświadczyny Kazimierza o rękę Romany. Poskarżyła się też matce w rozczuleniu: „no widzi mama, no widzi mama, co oni mi zrobili...” i postanowiła się od nich czémprędzéj wyprowadzić. Na egoizmie téj rodziny, któréj tyle dobrego ze swych skromnych środków wyświadczyła, teraz dopiéro się poznała. Już do nich nigdy nie przyjdzie, już nic od nich nie chce, tylko... co ona teraz zrobi?... Na tém pytaniu, pełném smutku, urywa się korespondencya — i słusznie; autor nie chciał doprowadzać rzeczy do katastrofy tragicznéj, ani téż zasmucać czytelników obrazem wątłości uczuć, ani szydzić; chciał tylko odtworzyć środkami jaknajprostszemi zawód serdeczny dziewczyny dobréj, uczynnéj, niewolnéj wprawdzie od małych próżnostek, od małego udawania i drobnych kłamstw, ale uczciwéj i pociągającéj swą szlachetnością. Dokonał swego zadania dobrze pod względem artystycznym i psychologicznym, chociaż głębszego wzruszenia wywołać nie potrafił. Zadużo tu mowy o ubiorach i stroikach, zadużo prozaicznych opisów i opowiadań, zamało uczuciowości. Z przyjętego raz tonu nigdy autor nie wyszedł; utrzymał go konsekwentnie od początku do końca; sfery wyobrażeń i sposobu mówienia krojczyni nie przekroczył; zanadto może nawet pamiętał, że listy pisuje magazynierka. Pomijając parę drobniejszych miejsc, wytknę tylko jedno. Opowiadając treść „Damy kameliowéj”, Felka dodaje: „Jak umiérała, miała na sobie biały peniuar koronkowy z długim trenem i kontrafałdą ztyłu, wolno puszczoną od saméj szyi. Ze zwyczajnéj brylantyny toby to nawet nie tak dużo kosztowało — i pewnie sobie taki sam na rano zrobię, jak za mąż wyjdę” (str. 117). Zdaje mi się, że w tym ustępie autor zapomniał na chwilę, że jego Felka jest nietylko krojczynią, ale ma proste, dobre, kochające serce...



KRONIKA MIESIĘCZNA.

Przesilenie rolne. — Kwestya produkcyi. — Fachowy konserwatyzm rolników. — Akcya ratunkowa i Towarzystwo kredytowe ziemskie. — Emigracya ze wsi do miasta i brak rąk roboczych.—Przyczyny i pogląd „Przeglądu Tygodniowego". — Kredyt rolniczy. — Ubezpieczenie oficyalistów rolnych i towarzystwo „Przezorność".—Przytułek dla rzemieślników i ich apatya. — Emancypacya kobiét i tradycya.—Brak konsekwencyi. Polowanie na emancypantki. — Wyższy zakład gospodarczy dla kobiét i Chyliczki.

Przesilenie rolne dobiega już zapewne do kulminacyjnego punktu. Przesilenie to jest powszechne i w Niemczech wpływa nawet na bieg polityki wewnętrznéj, na stosunki stronnictw parlamentarnych. I u nas, i w cesarstwie, nadzwyczajnie niskie, od lat trzydziestu kilku niepraktykowane ceny zboża czynią z kłopotów rolnych pierwszorzędną sprawę ekonomiczną, stojącą ciągle na horyzoncie. Wszyscy to wiedzą i odczuwają, że dla rolników przyszły istotnie „ciężkie czasy", i że narzekanie ich, które uważano często za płynące z nałogu—teraz, niestety, znajduje zupełne usprawiedliwienie.

Taniość zboża, która nie zwraca nawet kosztów produkcyi, narzuca samą siłą rzeczy wszystkim bez wyjątku rolnikom wprowadzenie, obok dotychczasowego systemu, opartego na uprawie zboża innego jeszcze. Ale jakiego mianowicie? Zamęt, pod tym względem trafnie przedstawia „Prawda": „Z wyjątkiem rutynistów lub niedołęgów, dziś każdy inteligentny rolnik pojmuje, że musi przejść od wyłącznéj produkcyi ziarna do jakiéjś innéj, któraby mu należycie wynagradzała pracę. Ale do jakiéj? W tém pytaniu tkwi główna trudność. Każdy bowiem wié, że tu i owdzie dają dobry dochód chmielniki lub plantacye cykoryi, ale równocześnie słyszymy ostrzeżenia, że w tych

gałęziach przemysłu objawiła się nadprodukcya, która grozi rynkowi przepełnieniem. Czy podobna wobec tego strachu wyłazić z jednego błota i pogrążać się w drugie, niewątpliwie gorsze, bo wymagające nowych nakładów, zwykle czerpanych z wysoko oprocentowanéj pożyczki? Logika, po drodze życia kawałkami zbiérana wiedza, wreszcie obiegające prasę wieści dowodzą, że są jakieś niewyzyskane dotąd u nas pola pracy rolnéj, ale jakie nikt dokładnie powiedziéć nie umié. Rada sąsiada, przyjaciela, przygodnego towarzysza podróży, zaimprowizowanego ekonomisty lub reportera, nie daje dość bezpiecznéj podstawy do oparcia na niéj kosztownego przedsięwzięcia, ani téż rękojmi, ża ono nie runie pod druzgoczącym zawodem. Kto to odważy się zarzucić siew żyta i pszenicy, zburzyć całą swą gospodarkę i rozpocząć np. uprawę cykoryi dlatego, że podobno według czyjéjś opinii ma ona być poszukiwaną na rynku! Tu potrzeba wskazówek ścisłych i rzetelnych."

Takie ujęcie rzeczy niewątpliwie jest trafne. W istocie, wobec sprzecznych rad, zamiarów, poglądów, rolnik nasz, mówiąc po prostu, może stracić głowę, czego się chwycić należy i gdzie deski ocalenia szukać, zwłaszcza wobec braku pieniędzy nietylko na nakłady, lecz i na potrzeby bieżące. Zaznaczymy przy tém, że tak poważne przesilenie, jak obecnie, w postaci niepraktykowanie niskich cen zboża, rolnictwo nasze, a zwłaszcza większa własność ziemska, po raz pierwszy od zniesienia pańszczyzny przechodzi. Rolnicy byli mniéj, niż przemysłowcy, kupcy i fabrykanci, lub inni zawodowcy, na wielkie ekonomiczne przesilenie wogóle przygotowani. Zawód ten, do niedawnych jeszcze czasów, był traktowany według tradycyi patryarchalnych: buchalteryjnéj ścisłości, obliczeń i przewidywań, po większéj części w nim nie znano i nie stosowano. Nawet ci, którzy w okolicy swojéj uchodzili za dobrych gospodarzy, wiedzieli przedewszystkiém, że potrafią wyprodukować tyle a tyle pszenicy, buraków lub żyta, wypaść tyle a tyle wołów lub baranów, że nabywca na tę produkcyę czeka i dobrze za nią zapłaci. Tacy, którzy drenowali pola irygowali łąki, i jakby w przeczuciu fatalnego kryzysu obecnego, zakładali systematyczną hodowlę nasion lub przekształcali gospodarstwo rolne na przemysłowe, w kształcie fabrykacyi nabiałów i chowu bydła rasowego — stanowili rzadkość, bo zdawało się większości, że dobrze zaorana skiba i ziarno zabezpieczą przyszłość rolnictwa. Któż np. w r. 1878, kiedy korzec pszenicy dochodził 10-ciu rs. i wyżéj, przewidywał, że za lat 15-cie spadnie ta cena do 3-ch rs. z małym ułamkiem?

Rolnicy więc, nietylko może przez opieszałość i lenistwo, lecz i wskutek natury swego zawodu, okoliczności ekonomicznych, warunków życia wiejskiego, zapewniającego konserwatyzmowi i społecznemu, i fachowemu, większą trwałość, niż w mieście — zostali nie przygotowani do téj ogólno-europejskiéj klęski ekonomicznéj, która ich gniecie od lat kilku, a teraz kulminacyjnego punktu dosięga. Odegrała tu swoją, bez zaprzeczenia, wielką rolę konserwatywna lekkomyślność, lecz nie obciążajmy już nią teraz rachunku ziemian, rachunku i tak bardzo przykrego.

Na nic się nie zda podwajanie alarmów i lamentów bezpożytecznych, lecz dążenie do możliwie trzeźwéj oceny sytuacyi i następnie do ogólnych środków zaradczych, określonych jasno i konsekwentnie jest pilne. Że z obmyśleniem systemu ratunkowego czekać nie można, zgadzają się na to wszyscy. P. Jan Bloch, pisząc o sprawach rolniczych w „Kurjerze Warszawskim" i przystępując do wniosków, nastręczających się z pierwszego zeszytu „Wiadomości statystycznych", wydawanych przez Towarzystwo kred. ziem., mówi, iż na dalsze zeszyty czekać nie ma czasu, bo akcya ratunkowa jest pilną, „sprawy rolnictwa nie cierpiącą zwłoki i pod żadnym pozorem nie mogą być odkładane do jutra, a tém bardziéj do pojutrza". Autor téż mniema, że „Towarzystwo kred. ziem. jest jedyną instytucyą, którą obchodzą sprawy ogółu większych i znacznéj części drobnych posiadaczy ziemi; Towarzystwo kredytowe ziemskie dla ich potrzeb wyłącznie powstało; obecnie ono jedynie tylko robotę jakąś zacząć może".

Z uwag p. Blocha przypuścićby można, iż nie uważa on dotychczasowego zachowania się naszéj instytucyi kredytowéj, wobec przesilenia rolnego, za zupełnie odpowiadające pilnym potrzebom czasu i ważnym zadaniom téj instytucyi, bo mówiąc o wzmiankowaném już statystyczném wydawnictwie Towarzystwa, którego zadaniem jest zebrać dokładne wiadomości, dotyczące obszaru, gatunku ziemi, produkcyi, wartości szacunkowéj i hypotecznéj i t. d. majątków ziemskich, dodaje jednak: „czy téj akcyi nie należało rozpocząć przed trzema laty, a może i znacznie wcześniéj? Wydział statystyczny, gromadzenie liczb, to dopiéro wstęp, to umożliwienie rozpoczęcia akcyi, ale nie sama akcya."

Byłoby niewątpliwie do życzenia, ażeby w dalszym ciągu swéj nowéj pracy p. Bloch przedstawił najskuteczniejszy — według jego mniemania — plan akcyi ratunkowéj, którą za tak pilną, najsłuszniéj zresztą uważa, i do któréj, jak ze świéżych artykułów jego wnosićby można, posiada dostateczne materyały i inicyatywę. Trudno komuś

trzeciemu, niewtajemniczonemu w machinę wewnętrznéj działalności Towarzystwa orzekać o biegu téj machiny, czyli o inicyatywie, rutynie i prowadzeniu interesów ziemskich w instytucyi; wprawdzie natrafia ona od czasu do czasu na opozycyę żywą, ale o ostatniéj powiedział wogóle kiedyś europejski historyk, że „oddawna duch opozycyjny był górą; przez opozycyę prędko zarabiało się na popularność, daleko prędzéj i bezpieczniéj, niż pracą." Z tych względów zdanie p. Blocha, jako doświadczonego ekonomisty, o łączności interesów rolniczych, potrzebujących gwałtem ratunku i wskazówek realnych, z działalnością Towarzystwa, o inicyatywie, którąby przyśpieszyć powinna w tak trudnéj zwłaszcza ekonomicznie chwili, ta instytucya, zdanie, naturalnie należycie wymotywowane, mogłoby nie być pozbawione praktycznego znaczenia. Ktokolwiek zresztą podjąłby się tego referatu i przesiał przez sito krytyki masę projektów, żądań, narzekań i pretensyi rolniczych, byle to uczynił jasno i konsekwencye fachowe wyprowadził — przysłużyłby się dobrze i rolnictwu i pomógłby myśli publicznéj do oryentowania się wśród tylu rozstrzelonych zdań i poglądów. Naturalnie, że pracy takiéj mógłby dokonać tylko ekonomista, z praktycznemi potrzebami rolnictwa dokładnie obeznany. Zapewne pracę podobną przedsięweźmie który z zaszczytnie znanych statystów ziemiańskich, jak pp. Górski, Kłobukowski lub Bloch? Opozycya znajduje wprawdzie wielką popularność u tłumu i historyk dobrze ją określił; lecz pamiętajmy, że są także zwolennicy drzémki i rutyny, którzy nie lubią, ażeby ich cucono.

W tym przeglądzie interesów bieżących nie można się zatrzymywać przy wszystkich sprawach obecnego położenia rolnictwa, chociaż tych spraw, i to palącego charakteru, nie brak. Obok najgłówniejszéj, którą są niskie ceny zboża i wielkie odłużenie hypoteczne, grupują się inne, jak nieśmiertelna kwestya kredytu, sposób parcelacyi, bardzo dotkliwy w niektórych okolicach kraju brak rąk do pracy i t. d. Ten ostatni objaw naszych stosunków ekonomicznych, spotykany dotąd sporadycznie, wzrósł w tym roku nadzwyczajnie, i liczne korespondencye z różnych stron kraju zaznaczają, że nietylko podczas zasiewów, żniw i zbiorów, lecz i w zwykłym trybie gospodarstwa nie dostaje robotnika. Warszawa bardzo także narzeka na brak sług, a i w przemyśle jest większe zapotrzebowanie, niż zaofiarowanie sił roboczych. Między wsią a miastem jest ta jednakże różnica na korzyść ostatniego, że ono pochłania właśnie emigrantów wiejskich, kiedy tymczasem wieś, która, według świadectw naocznych, w okolicach przemysłowych, jak Łódź, Zgierz, Ozorków, Pabianice i t. d., obu-

miéra, nie ma skąd luk, powstających wskutek wychodźtwa — zapełnić.

Objaw ten więc, który przybiéra cechę, znamiennego zjawiska, powinienby wywołać gruntowniejsze zdania, czyto w prasie, czy w warszawskim oddziale towarzystwa pop. rus. przem. i handlu. „Przegląd Tygodniowy”, poświęciwszy téj sprawie artykuł, z poważnym i trafnym poglądem na jéj przebieg i wskazawszy przyczyny tego przeobrażania się stosunków wewnętrznych— mówi: „Teraz dopiéro zaczynamy odczuwać skutki reformy włościańskiéj, chociaż nie uważamy jéj za zamkniętą i ukończoną. Głównie wpływ tego faktu zaznacza się przez wyjście włościanina z jego sfery lokalnéj i rozszerzenie widnokręgu ekonomicznego i społecznego. Nie wystarcza już chłopu ciasny zakres domu, okolicy, zrzucił strój dawny, nabrał wymagań przedtém mu obcych, a stąd ma inne już widoki i potrzeby.” Inaczéj nieco rzecz się ma wtedy, kiedy chodzi o wynalezienie „środków zaradczych”. „Przegląd” te środki widzi we „wprowadzeniu maszyn rolniczych, podwojeniu pracy przez kształcenie specyalnych robotników i wreszcie zmniejszaniu liczby służących, jużto wypełniając samym niektóre czynności, jużtéż utrzymując mniejszą ilość, ale lepiéj wynagradzanych pracowników. Maszyny w rolnictwie muszą wejść na porządek dzienny, bo za niemi przemawia nietylko brak rąk, ale również potrzeba zniżenia kosztów produkcyi wobec upadku cen na płody rolnicze”. Nabywanie maszyn odbywać się musi czy to przez stowarzyszenia rolników na wzór syndykatów francuskich, czy téż przez spółki rolne. Zdaje się, że zjawi sko jest zaduże, żeby mu wystarczyły środki proponowane, które są zresztą słuszne. Słuszne niewątpliwie, bo przebieg współczesnych stosunków społecznych bezustannie dowodzi, że stowarzyszenie i solidarność ekonomiczna najlepiéj pomagają do konsolidowania się zachwianych interesów danéj warstwy, maszyny zaś i wogóle narzędzia techniczne ułatwiają i czynią tańszą produkcyę. Lecz w rolnictwie maszyna nie będzie nigdy zapewne miała tak szerokiego zastosowania, jak w przemyśle, a przecież i ten odczuwa także, w pewnych chwilach, brak rąk ludzkich, choć doraźnie daje takie zarobki, jakich robotnikowi żadną miarą rolnictwo zapewnić nie może.

Sam więc postęp i ułatwienia techniczne sprawy téj, zdaje się, rozwiązać nie mogą. I w krajach innych, gdzie rozdrabnianie się chłopskiéj własności ziemskiéj z jednéj, a prądy emigracyjne, zewnętrzne i wewnętrzne, tak silne w tém stuleciu, z drugiéj strony, rzucają masy ludności wiejskiéj, przeważnie proletaryatu, to do okręgów przemysłowych, to do miast wielkich, to nawet za ocean — uznano za

niebezpieczne nietylko dla ekonomicznych stosunków, lecz i dla politycznéj równowagi państwa, te fale wychodźcze, uruchomiające ludność. Są wprawdzie fataliści w ekonomii, według których nie nawiele się zda, ograniczanie kręgów, jakie tu fale zataczają i według których także należy je zostawić t. zw. naturalnemu układowi rzeczy. Taki pogląd nie odpowiada jednak interesom rolnictwa i widokom tych warstw ludności wiejskiéj, które stale trzymają się ziemi, skoro powstają usiłowania, ażeby utrzymać przy niéj chłopa już to przez parcelacyą, już to przez włości rentowe, już to nawet, przez tak niepopularną, w epoce równości cywilnéj, instytucyą, jak projektowane majoraty chłopskie. Z tych środków, o tyle parcelacya znajduje przeważnie zwolenników wśród zachwianych właścicieli ziemskich, dla których jest ona koniecznym środkiem ratunku, o tyle włości rentowe witają z uznaniem zamożniejsi—nawet w tém uzasadnioném przekonaniu, że dziś, zwłaszcza przy niskich cenach, uprawa większych obszarów nie w każdych warunkach się opłaca, kiedy tymczasem włościanin na mniejszym dziale znajduje pewne zabezpieczenie bytu i ochronę od pokus emigracyjnych, z wyjątkiem może takich, epidemicznego charakteru momentów, jak była u nas np. świętéj pamięci emigracya brazylijska.

W istocie rzeczy — czy to przynęcie emigracyi, czy pokusom wielkomiejskim ulegają przeważnie te żywioły wiejskie, które nie znajdują ani na roli, ani w ogóle stosunków wiejskich widoków przyszłości. Atrakcya, która przyciąga masy ludzkie do miast wielkich, dwojako głównie działa: albo w postaci dostatku, a przynajmniéj smaczniejszego chleba, lub téż w postaci powabnego „lekkiego życia" i demoralizacyi. Gra tu także rolę ambicya, któréj podlega zarówno przyszły kandydat do laurów politycznych i artystycznych, jak i Marysia wiejska, marząca o parasolce i kapeluszu, jak i Wojtek i Józiek, który woli być stróżem w kamienicy, niż stróżem na gumnie.

Jeżeli więc wogóle są środki zaradcze przeciwko temu zjawisku leżą one głębiéj, w zmianie stosunków gospodarczych, w podniesieniu ekonomicznéj skali życia niższych warstw wiejskich.

Kredyt dla rolników, ta stara kwestya, w ostatnich czasach, stała się—rzecz prosta—szczególnie ważną. Wiadomo, że kredyt hypoteczny bardzo poważnie podkopała ta nieszczęśliwa dewastacya; kredyt zaś osobisty dla rolników był w bankach naszych bardzo ograniczony. W takim stanie rzeczy rozporządzenie Najwyższe o kredycie, wydawanym dla rolników przez Bank państwa powitane zostało z wielkiém uznaniem. Instytncya ta wydaje pożyczki na zboże, czy w ziarnie, czy w słomie, w pierwszym razie do 70%, w drugim zaś do 40% wartości produktu. Pożyczki udzielają się na dziewięć miesięcy,

mogą być jednak jeszcze na 3 miesiące prolongowane. Formalności przy udzielaniu pożyczek są dość krótkie i proste. Ponieważ z kredytu od dawnych czasów, w złych i dobrych chwilach, korzystano u nas bardzo lekkomyślnie, więc i teraz odezwały się ostrzeżenia, które można było zresztą uważać za usprawiedliwione. Dotychczasowy przebieg sprawy nie ziszcza obaw co do lekkomyślnego używania kredytu bankowego. Według wiadomości, podawanych w dziennikach, rolnicy bardzo powściągliwie korzystają z możności zaciągnięcia pożyczki. Przytaczano np., że w obrębie gubernii warszawskiéj zaledwie 5% posiadaczy ziemskich zrobiło dotąd podania o pożyczki; z innych okolic znów donoszą, że pożyczki już bywają zwracane, co usuwa obawę, jaką miano z początku, iż z nadejściem terminów bankowych cała masa zastawionego zboża zjawi się nagle na rynkach i ceny jeszcze niżéj spadną.

Chociaż kłopoty właścicieli ziemskich są bardzo ciężkie i złożone, to jednak obowiązki spoczywające na nich, nie powinny być przerywane, ani odkładane. Tamte swoją drogą, a te — swoją. Czego nie zrobiono w czasach pomyślnych, kiedy ceny zboża stały dobrze i cały ruch interesów z rolnictwem związanych bił energicznėm tempem—tego dokonywać trzeba dzisiaj, bo nie wszystko można odsyłać *ad calendas graecas;* nie można mianowicie tego, co odpowiada sprawiedliwości. Przychodzą chwile takiéj podwójnéj buchalteryi i podwójnéj energii.

Tego rodzaju sprawą jest niejednokrotnie już tutaj poruszany projekt ubezpieczenia oficyalistów rolnych. Potrzeba ubezpieczenia pracowników wynika z ekonomiczno-społecznych, nie zaś z amatorsko-filantropijnych pobudek; utrwala stosunki służbowe między chlebodawcami a pracownikami, rokuje podniesienie materyalnego i moralnego poziomu téj klasy pracującéj, którą pod ostatnim względem tyle słusznych i niesłusznych spotyka zarzutów.

Jak wiadomo, przy sekcyi rolnéj powstała specyalna delegacya dla opracowania projektu ubezpieczeń i następnie porozumienia się ze sferą ziemiańską. Projekt zyskał uznanie ostatniéj, a następnie zawarto układ z Towarzystwem „Przezorność”, powierzając téj instytucyi wcielenie projektu i odpowiednią agitacyę. Delegacya nie przyszła do „Przezorności” z próżnemi rękoma, lecz przeciwnie — z licznemi ofertami, które w jednéj gub. suwalskiéj wynosiły około 30 tysięcy rubli, a i w innych okolicach, zwłaszcza w siedleckiém i na Kujawach, zjednano dla ubezpieczeń wiele zwolenników. Cóż z tym materyałem i z tą inicyatywą uczyniła „Przezorność”?Dotychczas—jak piszą dzien-

niki—niewiele. „Kuryer Warszawski”, wymawiając słusznie opieszałość temu Towarzystwu, które usunęło z drogi wszystkich innych konkurentów, posiadających więcéj energii i zaniechało rzecz dobra ogólnego”, przepowiada, że „czeka ono, aż zniecierpliwieni kandydaci zrzekną się swoich dobrych chęci i, o wszystkiém zapomną. Chodzą u nas wprawdzie ludzie i rzeczy taką drogą i ironia „Kuryera” jest słuszną; nie wskazuje jednak téj drogi ani logika, ani słuszność, ani nareszcie to, co w téj sprawie zrobiono dotychczas. Zrobiono już bowiem pierwszy krok, który tyle znaczy, co w bitwie pierwszy strzał. Jeżeli zjednano dla idei ubezpieczeń właścicieli ziemskich, jeżeli podano ofert na kilkadziesiąt tysięcy rubli, i wypracowano szczegółowo projekt—to cóż wobec tego znaczy opieszałość „Przezorności”? i dlaczego ma niweczyć całą sprawę? Może „Przezorność” w warunkach ubezpieczeń nie widzi dla siebie dostatecznych korzyści, lecz to jeszcze nie powód do upadku projektu wogóle. Wprawdzie delegacya zawarła z tém Towarzystwem jakiś układ, którego treści nie znamy, lecz ten układ nie może chyba obowiązywać inicyatorów do oczekiwania *ad ifinitum*, aż „Przezorność” działać zacznie. Według więc zwykłego trybu rzeczy mniemać by należało, że delegacya powinna cofnąć swój projekt z „Przezorności”, która—jak pisze „Kuryer”—„dotąd milczy”. Czyby nie lepszém było i dla siebie i publiczności przerwanie milczenia i danie odpowiedzi?

Sprawa innéj kategoryi pracowników, mianowicie przytułku rzemieślniczego, tak pod względem finansowym, jak i co do placu na budynek, także stoi prawie na miejscu. Składki dotychczas napływają bardzo powoli i specyalna delegacya posiada dopiéro 29 tys. rub. Z 53-ch cechów, które zobowiązały się do powiększania funduszu, siedm tylko złożyło deklaracye; wydział zaś przytułków rozesłał podobno 380 wezwań i otrzymał na to trzy odpowiedzi. Widoki rychléjszego wcielenia tego dobroczynnego projektu w obecnéj chwili przynajmniéj, odsunęły się jeszcze przez to, że magistrat nie uznaje za możliwe oddanie placu pod budowę przytułku w mieście, lecz na Pradze.

Mogłyby więc sprawę popchnąć naprzód tylko energiczniejsze składki cechów rzemieślniczych; pod tym względem jednak dotychczasowy przebieg rzeczy małą chyba pozwala żywić nadzieję. Zachowanie się cechów dawałoby do myślenia, jako niepraktykowane niedbalstwo i lekceważenie własnych interesów. Co sądzić o tém naszém społeczeństwie rzemieślniczém? Albo ci, co doń przemawiają, nie znają go i nie wiedzą, w jakie czułe miejsce uderzyć; albo też jest

to żywioł, do ekonomicznéj samowiedzy jeszcze nie przebudzony, i na nic się w takim razie nie przyda zapisywanie papiéru narzekaniami i nawoływaniami, których tyle od dwu lat słyszymy.

* * *

Kwestya kobiéca ma u nas kilka pięter przez kilka zamieszkiwanych postaci. Istnienia jéj na niższych piętrach nikt w wątpliwość nie podaje, lecz o ile okaże się wyższych—powstaje zaraz zażegnywanie jéj przez znachorów, krzyk puszczyków, trzepot skrzydeł sowich, gęganie domowego ptastwa, a świątobliwa dama, pod nazwą tradycyi domowéj, z obrażoną godnością podnosi się na kanapie i ceremonialnie poprawiając suknię, wychodzi z pokoju, kiedy zameldowano wejście skromnéj rodziméj emancypacyi.

I w téj sprawie logika nasza szczególnemi chodzi drogami. Zewsząd, ze wsi i miasta, z warsztatu i ze dworu, z redakcyi i z pensyi, odzywają się głosy, wzywające kobiétę do życia produkcyjnego, do fachowego wykształcenia, do współpracownictwa z mężczyzną. Nawet pisma, tak pod względem uszanowania dla tradycyi niepodejrzane, jak „Biesiada literacka" i „Gazeta rolnicza", podniosły znów sprawę pań i panien wiejskich, wyrzucając im brak przygotowania do pracy produkcyjnéj. Pierwsza, rozbiérając warunki gospodarstwa kobiécego na wsi, zapytuje: „Czyż dawny przesąd, jaki trwał między mężczyznami, że gospodarzem doskonałym może być lada czwartoklasista ze szkół wydalony, przeniósł się do kobiét? Czy panny posażne, urodziwe, wychowujemy dla zabawki świata?" „Gazeta rolnicza" jeszcze dobitniéj się odzywa: „Znamy jednostki, które się odznaczyły w danéj gałęzi pracy kobiét na wsi, ale ogół kobiét naszych — po większéj części — konsumuje, nie produkuje, słowem, nic nie robi".

Nie wdając się w téj chwili w rozbiór zarzutów, do kobiét wiejskich zwróconych, zapytajmy się stróżów „ognisk domowych" i ochmistrzów prawowierności: jakim sposobem chcecie pogodzić żądanie wasze produkcyjnéj pracy, którą dziś kobiéta może tylko wypełnić przez fachowe przygotowanie z jednoczesnym zakazem waszym dążenia jéj do niezależności umysłowéj? Za niezależnością materyalną, własnemi wysiłkami wywalczoną, do któréj przynaglają kobiétę ekonomiczne warunki współczesnego życia, idzie przecież w prostéj konsekwencyi samodzielność umysłowa. Przez pracę wyzwalały się ludy i stany, wyzwalają się przez nią i kobiéty. Taki jest porządek rzeczy.

Ruch kobiécy w swéj zdrowéj i szlachetnéj treści, po odtrąceniu z niego żywiołu frazeologicznego, naśladownictwa i próżności, jest jednym z najszlachetniejszych uderzeń pulsu ludzkości w tém stuleciu. Pozwalając wyjść kobiécie z dawnego zakresu stosunków, co zresztą narzuciła sytuacya ekonomiczna i duch czasu, trzeba tém samém uznać następstwa tego wypadku. W dramacie Sienkiewicza „Na jedną kartę” stary książę opowiada, że oddał Józwowicza, swego wychowanka, do gimnazyum z zamiarem, ażeby po ukończeniu 4-ch klas został jego sekretarzem. Józwowicz jednak zapragnął skończyć gimnazyum i tego dopiął.

— A któż go oddał do uniwersytetu?

— Do uniwersytetu oddał się sam—odpowiada książę z głębokim smutkiem.

Ci, co pozwalają kobiécie na akuszeryę lub buchalteryę, lecz odmawiają jéj prawa do doktoratu, do samodzielności w myśli i życiu—przypominają owego komicznego księcia. Nie dostrzegają przytém bijącéj w oczy niekonsekwencyi: oto nie protestują wcale przeciwko stanowisku, jakie zajęła kobiéta, jako autorka, stanowisku, na którém samodzielność jest, w zasadzie przynajmniéj, pierwszym warunkiem.

Nie prowadzimy jednak teraz dyskusyi generalnéj o sprawie kobiecéj. Jeszcze nie raz znajdzie się powód powrotu do niéj; w prasie i w powieści odbywa się od czasu do czasu istne polowanie na emancypantki. Myśliwi nasi, puszczający się na te łowy, celują przeważnie z broni dawnego kalibru, ze skałkówek, które mogłyby spoczywać w staréj zbrojowni; są nawet tacy, którzy wychodzą z drewnianemi fuzyami.

Powróćmy teraz do materyału faktycznego i powszedniego. Według „Gazety rolniczněj”, może się to komu wydać paradoksem, ale nie ulega wątpliwości, że do rzędu klęsk, które obecnie trapią nasze gospodarstwo wiejskie, należy zaliczyć zupełne zaniedbanie gospodarstwa kobiécego i brak na wsi kobiéty-specyalistki. Sprawa ta — zdaniem „Gazety” — powinna być postawiona na porządku dziennym w Towarzystwach rolniczych i odpowiednich instytucyach, na odczytach i w szkołach.

O ekonomiczne współpracownictwo kobiéty, wołają, jak widzimy, wszyscy, a p. Sęp w „Biesiadzie literackiéj” twierdzi nawet, że „nasze gospodarstwo niewieście jest jeszcze zmiataniem kurzów, zbiéraniem kłosów i gałęzi, wyszukiwaniem iskry w popiele”, kiedy tymczasem w Danii, którą p. Sęp kobiétom naszym za wzór stawia, nie-

wiasta „i na dąb się porwie, i płomienia buchającego nie ulęknie się i pole uprawi, gdy zaś męża powołają do stolicy sprawy sejmowe i inne, czeladź i dobytek ani się domyślą, że kobiéca ręka jest przy sterze”. To dopiéro te amazonki duńskie!

Profesor Stebout z Kijowa przedstawił ministrowi rolnictwa projekt wyższego zakładu gospodarczego i naukowego dla kobiét. Otóż, według mniemania organu rolniczego, taka specyalna akademia dla kobiét jest jeszcze przedwczesna. „Z utworzeniem ministeryum rolnictwa—mówi „Gazeta”—które się dopiéro zaczyna organizować *ab ovo*, okazał się faktycznie wielki brak ludzi specyalnie wykształconych do zajęcia w nowém ministeryum wyższych posad administracyjnych; w istniejących zaś dotąd szkołach i szkółkach rolniczo-gospodarczych brak teraz zdolnych nauczycieli, a brak ten jeszcze bardziéj da się uczuć w niedalekiéj przyszłości, gdy nowe ministeryum rolnictwa zechce mnożyć liczbę profesyonalnych szkół gospodarczych, o które natarczywie dopomina się duch czasu.”

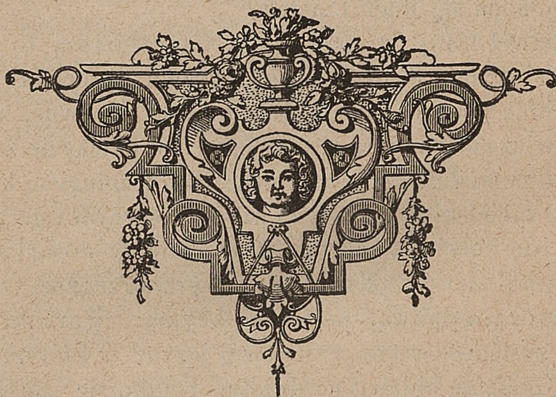
Gdyby nawet fakty przytaczane były prawdziwe, to jeszcze nie można w nich znaleść dostatecznego powodu przeciwko projektowi wyższego zakładu gospodarczego dla kobiét. Zapewne, że z logicznego punktu widzenia, najprzód powinny być należycie zorganizowane, niższe, potém średnie szkoły rolnicze, z równoległém kształceniem personelu nauczycielskiego dla tych szkół i specyalnego przygotowywania kobiét do kursów wyższych i t. d. Ale w stosunkach faktycznych podobna kolejność tak rzadko jest przestrzegana, że ją chyba uważać można za wątpliwą, może za fikcyjną. Warunki realne tłómaczą często system teoretyczny na swój język, w którym ze ścisłém następstwem jednego objawu po drugim rzadko się można spotkać. Zdarza się, że pewna instytucya, jak w tym razie naukowa, nie jest, z praktycznego stanowiska najpilniejszą; ale jeżeli już będzie, to z pewnością do tych rzeczywistych potrzeb nagiąć się potrafi, i stanie się użyteczną. Przecież teorya nieraz wyprzedza praktykę, a zupełną ich harmonię trudno na świecie znaleść. Nie uzbrajajmy się więc przeciwko nieistniejącéj jeszcze wyższéj szkole gospodarczéj dla kobiét; przeciwnie, powitajmy ten projekt z całém uznaniem i popiérajmy go według możności.

Z wyłącznie praktycznym zakresem gospodarstwa wiejskiego istnieje od lat kilku szkoła gospodarcza dla dziewcząt w Chyliczkach, o dwie mile od Warszawy, pod Piasecznem, założona i podtrzymywana przez Cecylię hr. Plater-Zyberkównę. P. Sęp w „Biesiadzie”, który jéj wielkie pochwały oddaje, ubolewa nad tak małą liczbą uczennic

w zakładzie, że „desperacya może porwać człowieka na pytanie: dlaczego? Zdawałoby się, że setki uczennic powinny uczęszczać do zakładu, w którym dziewczęciu wychowanemu religijnie, w zasadach uczciwych, nic nie grozi; w którym wiedza gospodarcza podaje sposoby do życia, do ratowania majątku podupadłego — tymczasem przeciwnie się dzieje."

I zapewne, że źle się dzieje. Możeby było lepiéj, gdyby szkoła w Chyliczkach, obok bardzo gorących przyjaciół, miała i chłodniejszych, którzyby jéj zalety bez panegiryków, a przekonywająco światu odkryli.

B. Lut.



Wydawcy: *W. Spasowicz* i *A. Pawiński.* — Redaktor *P. Chmielowski.*

Zaproszenie do przedpłaty na rok 1895.

ATENEUM

PISMO MIESIĘCZNE, NAUKOWE I LITERACKIE.

Niebawem rozpoczniemy **dwudziesty** rocznik pisma naszego. W ciągu lat ubiegłych wierni raz obranemu kierunkowi, ale zarazem baczni na te zmiany, jakie w rozwoju umysłowym narodów ucywilizowanych zachodziły, staraliśmy się zaznajamiać czytelników ze wszystkiém, co człowieka ukształconego wogóle, bez względu na specyalność, jaką się zajmuje, obchodzić może; staraliśmy się dostarczać wyobraźni i uczuciu karmi zdrowéj i estetycznie pięknéj, dając możność wypowiedzenia się w **Ateneum** nietylko osobistościom dobrze ogółowi znanym, ale także i takim, które po raz pierwszy w literaturze występując, potrzebowały zachęty, ażeby swój talent rozwinąć.

Z szerokiego i urozmaiconego swego programatu **Ateneum** nie wyłącza żadnéj gałęzi wiedzy, któréj rozwój obchodzić może każdego ogólnie wykształconego człowieka. Zarówno postęp nauk, poświęconych zgłębianiu zjawisk duchowych, jak rozwój umiejętności, które świat przyrody badają, znajdować będzie właściwe odbicie w łamach naszego pisma. Nie hołdując wyłącznie krańcowym teoryom, do których prowadzi wrażliwsze umysły jednostronność

wykształcenia, **Ateneum** widzi normę rozumnego postępu w spokojnem, rozważnem i wszechstronnem badaniu i ocenianiu zarówno zjawisk przyrody, jak i zjawisk duchowych.

Nie wyliczając tu całego szeregu artykułów z zakresu umiejętności społecznych, filozofii, historyi i piśmiennictwa, które w roku przyszłym ogłosić zamierzamy, śpieszymy tylko podzielić się z czytelnikami wiadomością, że znakomita powieściopisarka nasza, ***Eliza Orzeszkowa,*** oddawna należąca do grona najżyczliwszych spółpracowników pisma naszego, dała nam powieść p. t.:

„BRACIA"

którą w styczniowym zeszycie **Ateneum** na rok 1895 rozpoczniemy. Innych też powieściopisarzy mamy zapewnione współdziałanie.

WARUNKI PRZEDPŁATY.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach całego państwa, oraz we wszystkich krajach, należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie Rs. 12. Półrocznie Rs. 6. Kwartalnie Rs. 3.

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio:

Do Redakcyi ATENEUM, Warecka 10.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM”.

1. **Dzieła dramatyczne** Williama Shakespeare, w dwunastu tomach. Przekład *J. Ulricha* z objaśnieniami *Kraszewskiego*. Wyd. nowe z rycinami tytułowemi. Warsz., Gebethner i Wolff, 1895, 8-vo, str. VII i 367.
2. *Ferdynand Hösick.* **O Słowackim, Krasińskim i Mickiewiczu.** Studya historyczno-literackie. Krak., Gebethner i Spółka, 1895, 8-vo, str. 333.
3. *Zygmunt Przybylski.* **Komedye jednoaktowe** dla teatrów amatorskich. II. Warsz., nakład Gebethnera i Wolffa, 1894, 8-vo, str. 152.
4. *Bolesław Prus.* **Opowiadania wieczorne.** Warsz., nakł. T. Paprockiego i S-ki, 1895, 8-vo, str. 423.
5. *Kazimierz Tetmajer.* **Poezye.** Serya II. Sfinks. Fantazya dramatyczna. Kraków, nakł. autora, 1894, 8-vo, str. 217.
6. **Słownik apologetyczny** Wiary Katolickiej, podług d-ra Jana Zaugey'a, opracowany i wydany staraniem *X. Wł. Szcześniaka* i grona współpracowników. Warszawa, druk Stanisława Niemiery, 1894, zeszyt 5 (str. 192).
7. *Wiktor Gomulicki.* **Jeden z nowych.** Nowelle. Studya, Obrazki. Warsz., Gebethner i Wolff, 1894, 8-vo, str. 276.
8. *Wiktor Gomulicki.* **Złote ogniwa.** Powieść, tom II. Warszawa, nakład T. Paprockiego i S-ki, 1895, 8-vo, str. 294.
9. *Adam Darowski.* **Szkice historyczne.** Serya druga. Petersburg, nakład księgarni Grendyszyńskiego, 1895, 8-vo, str. 552.
10. **Arcydzieła Szekspira** w przekładach *Paszkowskiego*, *Koźmiana* i *Kasprowicza*. Lwów, nakład Księgarni Polskiej, skład główny u Centnerszwera w Warszawie, zesz. 11 i 12 (cena zeszytu 15 kop.).
11. **W Ogródku Dziecięcym.** Zbiór zabaw, wierszy i piosenek z zastosowaną do nich melodyą, ułożyły *Jadwiga Warnka* i *Ludwika Jakołkowska*. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1895, str. 109.
12. **Wyniki prac i doświadczeń** wykonanych w r. 1893/94 przez Stacyę doświadczalną w Sobieszynie, podał Dr. *A. Sempołowski*. Warszawa, 1894, 8-vo. str. 71).
13. *Stefan Gębarski.* **Chatka pod lasem.** Opowiadania, wiersze i komedyjka dla młodocianego wieku, z rycinami. Warsz, nakład Gebethnera i Wolffa, 1895, 8-vo str. 229.
14. **Z blizka i z daleka.** Powieść dla młodzieży. Napisał *Edward Nałęcz.* Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa, 1895, 8-vo, str. 202 z 6 rycinami.
15. *Bracia Grimm.* **Baśnie** dla dzieci i młodzieży. Opracowała *C. Niewiadomska.* Warsz. nakł. Gebethnera i Wolffa, 1895, 8-vo, str. 282 z 10 rycinami.
16. *Władysław Umiński.* **Podróż bez pieniędzy.** Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa, 1894, 8-vo, str. 261 z rycinami.
17. **Dobra wróżba.** Powieść dla dzieci od lat 10 do 12. Wolny przekład z francuskiego, *Anieli Sulickiej.* Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa, 1895, 8-vo, str. 231 z rycinami.
18. *Teresa Jadwiga.* **Dziedzice Otoka.** Powieść dla dorastającej młodzieży. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1895, 8-vo, str. 179 z ryciną.
19. *W. M. Kozłowski.* **Dekadentyzm współczesny** i jego filozofowie (Paweł Bourget i Fryderyk Nietzsche). Warszawa, 1893, str. 50 in 8-vo.
20. *Władysław M. Kozłowski.* **Życie Rośliny** z 40-ma rysunkami. Warszawa, 1894, str. 114 in 8-vo maj.

